

A woman with long brown hair, wearing a green knit hat, sunglasses, and a red jacket, smiles warmly. She is positioned in front of a blue wooden door. The scene is decorated with white snowflakes and red berries on branches. The overall mood is festive and cheerful.

KATARZYNA
MISIOŁEK

Julia

— ZACZYNA OD NOWA —

KATARZYNA
MISIOŁEK

Julia
= ZACZYNA OD NOWA =



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Katarzyna Konior/bluemango.pl*
Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*
Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*
Korekta: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*
Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Zdjęcia wykorzystane na okładce:

© Sandra Cunningham/Shutterstock

© Eugenio Marongiu/Shutterstock

© Africa Studio/Shutterstock

© by Katarzyna Misiołek

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2017

ISBN 978-83-287-0790-0

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2017

Spis treści

Choinka była ciężka...
Mamo, błagam cię...
Kilka minut później...
Mamo, hej!
Kiedy dotarłam...
Dochodziła dziesiąta...
Dzień później...
Mama zadzwoniła...
Wieczorem, z siatką...
Tym razem Rafał...
Babciu, chooodź!
Zbierałam się...
Do redakcji...
Julka, masz teraz...
Do matki...
Położyłam się...
Mama zadzwoniła...
Na dachu...
W Wigilię...
W Dworcowej...
Daj mi to...
Siostra zapukała...
Matylda odezwała się...
Myłam talerze...
O czym chciałeś...
Powinnam jeszcze raz...
Kilka dni po sylwestrze...
Cześć, kobieto...
Była za kwadrans...
To chyba tutaj...
W czwartek...
Doprawiałam właśnie...

Stefan, dasz mi kluczyki?

Naprawdę lecę na wakacje!

Z pokoju...

Czwartego dnia mojego pobytu...

Siedem dni i koniec...

Dwa dni po moim powrocie...

Choinka była ciężka, znacznie cięższa, niż się spodziewałam. Moje skostniałe z zimna palce lepiły się od żywicy, brakowało mi tchu.

Nie mam pojęcia, czemu nagle zamarzyłam o drzewku. Odkąd się rozwiodłam, świętowałam bez całej tej pompatycznej oprawy, zadowalając się co najwyżej tanim stroikiem kupionym w pobliskim markecie. Jednak w tym roku moje myśli uparcie krążyły wokół choinki, migających w półmroku salonu światełek i kilku pudeł z ozdobami, które upchnęłam na najwyższej półce w garderobie. Dlatego kiedy wracałam ze spotkania z młodszą córką, pojechałam dwa przystanki dalej i poszłam na niewielki plac targowy. Facet, który sprzedawał mi drzewko, stwierdził, że gdyby był na miejscu mojego męża, to nigdy nie pozwoliłby mi czegoś takiego taszczyć. Posłałam mu krzywy uśmiech. Nie miałam ochoty wyjaśniać, że mąż od dawna mieszka na drugim krańcu miasta i jest określany jako „były”.

Byłam kilkanaście metrów od domu, kiedy zaczęło prószyć. Przeklinając w duchu własne zapominalstwo, bo znowu nie zabrałam rękawiczek, przyspieszyłam kroku. Zimno! Chryste, czemu jest tak zimno? Wiało z północy – lodowaty wiatr wdzierał się wszędzie i przenikał do szpiku kości. Na rogu Norymberskiej i Bratysławskiej niemal zderzyłam się z jakimś młodym facetem. Puchowa kurtka w trupie czaszki, na czubku głowy koczek z ciemnych włosów upodabniający go do samuraja, w rękę kawa z pobliskiego Starbucksa.

– Sorry – burknął, nie odrywając wzroku od swojego smartfona.

Wydał mi się dziwnie znajomy, nie potrafiłam sobie jednak przypomnieć, gdzie mogłam go widzieć. Zresztą, jakie to miało znaczenie? Pewnie mieszka w okolicy, a może pracuje w jednym z biur za rogiem, pomyślałam. Minęłam go bez słowa, ciągnąc za sobą nieszczęsne drzewko, którego czubek zamiatał wyłożony bordową kostką brukową pasaż w okolicach ratusza.

Osiem dni do Bożego Narodzenia... Kiedyś uwielbiałam święta. Zapach jedliny przemieszany z aromatyczną wonią cytrusów, tartej skórki pomarańczowej, goździków i wanilii, babcia przygotowująca kutię, tato z książką w dłoni i rudym kotem na kolanach sączący poncz, ubierana wspólnie z dziewczynkami choinka i kilometry łańcuchów z kolorowego papieru. Tyle ciepłych chwil, tyle wspomnień... Moje córki latami produkowały całe pudła ozdób, których nigdy nie pozwoliły mi wyrzucić. A później dorosły, spoważniały, są nawet nieco cyniczne. Moi rodzice się rozeszli, ja rozstałam się z Erykiem, dziewczyny poszły na swoje, a święta stały się zbędnym rytuałem, niemal przeszkodą w ich luzacko zaplanowanej codzienności.

„Ale po co robić uszka, skoro można kupić?” – zdziwiła się ostatnio moja młodsza córka. Jasne, wszystko można kupić, oprócz domowej atmosfery, pomyślałam, przystając przed witryną jubilera. „A co Twoja ukochana chciałaby znaleźć pod choinką?!” – pytał reklamowy slogan. Ja pewnie znajdę książkę, skarpety i jakieś słodczyce, pomyślałam. Córki nie lubiły kupować prezentów, nie miały do tego cierpliwości, a mama...

Mniejsza z tym, powiedziałam sobie, przystając przed przejściem dla pieszych. Młoda dziewczyna w czerwonej kurtce zerknęła na trzymaną przeze mnie choinkę i posłała mi uśmiech. Spojrzałyśmy sobie w oczy i z miejsca poczułam do niej sympatię. Zielone. Przeszłam przez jezdnię i skierowałam się w stronę mojej ulicy. Byłam od domu dosłownie o rzut beretem, kiedy

poślizgnęłam się na oblodzonym chodniku i runęłam jak długa. Jak zawsze w takim wypadku, to były sekundy: szłam sobie spokojnie, ciągnąc za sobą coraz cięższe drzewko, a za chwilę już leżałam na przysypanym śniegiem chodniku. Pasażerowie tkwiącego w korku miejskiego autobusu z zaciekawieniem wyciągali szyje, żeby nie stracić rozgrywającego się na ich oczach widowiska. Usiłując wstać, złapałam się ławki. Wysoki brunet w szarym płaszczu wyrósł przede mną jak spod ziemi.

– Pomogę! – zaoferował, podając mi rękę.

Złapałam jego dłoń, starając się nie myśleć o otaczających nas gapiach. Podciągnął mnie w górę z taką łatwością, jak gdybym ważyła tyle co nic. A przecież niedawno wskazówka wagi utknęła na sześćdziesięciu sześciu kilogramach i za nic nie chciała iść w dół...

– Jest pani cała? – zapytał.

Miał ładny głos. Radiowy, jak powiedziałyby moja matka.

– Nie licząc połamanej dumy... – odparłam.

Uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

Otrzepałam płaszcz i spojrzałam nieznajomemu w oczy.

– Dziękuję – powiedziałam.

Skinął głową i schylił się po moją torebkę, która wypadła mi z ręki.

– Spore to drzewko. Sama je pani taszczy? Pewnie kupione na placu? – gość, z błękającym mu się na ustach nieco złośliwym uśmiechem, zerknął na porzuconą w śniegu choinkę.

Wzruszyłam ramionami.

– Taszczyłam, taszczyłam i jakoś dotaszczyłam – rzuciłam mało sympatycznym tonem, jak gdyby nagle rozbudził się we mnie duch wpajanego mi przez córki feminizmu.

– Daleko pani mieszka? – zapytał tymczasem on i jeszcze raz zerknął na nieszczęsne drzewko.

– Zaraz za rogiem – powiedziałam.

– W takim razie odtransportuję panią pod same drzwi – zaproponował.

– Ale nie trzeba, naprawdę. Ja...

– Żaden problem – uciął dyskusję.

– Pobrudzi się pan żywicą – powiedziałam, zerkając na jego jasnoszary płaszcz.

– Przeżyję – rzucił i nie oglądając się na mnie, z moją choinką pod pachą, ruszył w dół ulicy.

– To tamta kamienica, zaraz za rogiem. Szara, świeżo wyremontowana, z metalowymi kratami na balkonach.

– Wygląda na to, że jesteśmy sąsiadami – powiedział, kiedy przystanęliśmy przed ciężką drewnianą bramą. – Mieszkam po drugiej stronie ulicy, kawałek dalej. Przepraszam, nie przedstawiłem się. Michał Wolski.

– Julia Sosin – podałam mu zgrabiałą z zimna dłoń. Uścisnął ją wolną lewą ręką i bąknął coś o tym, że miło mu mnie poznać. Podniósł kołnierz płaszcza.

– Ależ ziąb! – dodał, przytupując.

– Przepraszam, nigdy nie mogę znaleźć kluczy – tłumaczyłam się, coraz bardziej nerwowo

przeszukując moją przepastną zamszową torebkę.

– Zdarza się – mruknął.

W jego kieszeni rozdzwoniła się komórka, ale nie odebrał.

Kiedy w końcu udało mi się otworzyć bramę, Wolski wszedł za mną.

– To może już poradzę sobie sama? Pan pewnie się spieszy, a...

– Powiedziałem pod same drzwi – uparł się.

Nie spodobał mi się jego ton. Zwracał się do mnie niczym do smarkuli, którą można zbesztać. Ale prawdę mówiąc, na tym zatłoczonym pełnym ludzi chodniku tylko on zainteresował się moim losem. Reszta przechodniów mijała mnie obojętnie, zajęta sobą i swoimi własnymi sprawami.

– Proszę wybaczyć, ale czy mógłbym umyć ręce? – zapytał nowy znajomy, kiedy dotarliśmy na ostatnie piętro, przed moje drzwi. – Świetnie rozumiem, że może pani mieć opory przed wpuszczeniem do mieszkania obcego mężczyzny, ale ta żywica rzeczywiście...

– Proszę, niech pan wchodzi – przepuściłam go w drzwiach.

Przedpokój był w miarę przestronny, ale i tak nagle poczułam się niezręcznie.

– Gdzie ją postawić? – zapytał Wolski. – Ma pani kogoś, kto zamontuje stojak?

– Poradzę sobie – zapewniłam go.

Położył drzewko na parkiecie pod oknem w salonie i zaczął przeproszać, że nie zdjął butów.

– Absolutnie proszę się tym nie przejmować, ta podłoga już niejedno przeżyła – roześmiałam się nieco nerwowo. – Łazienka jest tam – skinęłam w stronę zamkniętych drzwi.

Dopiero kiedy wszedł do środka, przypomniałam sobie, że w umywalce moczą się trzy moje beżowe staniaki. Stare, znoszone, zdecydowanie mało seksowne. Cholera! Gorzej mogłoby być tylko wtedy, gdybym przed wyjściem na spotkanie z córką namoczyła jakieś rozciągnięte majtasy w stylu prababki Brygidy. Zażenowana myślą o tym, co obcy facet zastał w mojej łazience, oparłam się o ścianę. Czułam, jak płoną mi policzki.

Mój niespodziewany gość zjawił się w korytarzu chwilę później.

– Umyłem ręce nad wanną – powiedział i oboje parsknęliśmy śmiechem. – Jeszcze raz przepraszam za najście – skinął mi głową i ruszył do drzwi.

Napije się pan herbaty? – miałam na końcu języka, jednak nie powiedziałam nawet słowa. Matka pewnie by uznała, że zmarnowałam naprawdę dogodną okazję. Facet był mniej więcej w moim wieku, bez śladu obrączki na palcu. Słowem, dobrze rokował. Tyle że ja nie miałam w sobie tego specyficznego kobiecego sprytu, tej swobodnej umiejętności owijania sobie mężczyzn wokół palca. W naszej rodzinie to moja rodzicielka była w tej dziedzinie ekspertką. Ja, pomimo dawno przekroczonej czterdziestki, nadal się czerwieniłam, kiedy ktoś choćby na mnie spojrzał... Dlatego wykrztusiłam tylko jakieś pospieszne podziękowanie, pozwoliłam mu wyjść, zamknęłam za nim drzwi i założyłam łańcuch. Ściągając kozaki, zauważyłam kilka mokrych śladów jego butów na świeżo cyklinowanym parkiecie.

Z korytarza doszedł mnie głośny dziewczęcy śmiech. Pewnie studentki, które wynajmowały niewielkie mieszkanie na parterze, wróciły właśnie z zajęć. W torebce rozdzwoniła się moja komórka, ale postanowiłam ją zignorować. Odwiesiłam płaszcz i otworzyłam szafkę

w poszukiwaniu szmaty do przetarcia podłogi. W mieszkaniu unosił się mocny, przyjemny zapach męskiej wody kolońskiej i przez jedną chwilę miałam wrażenie, że z łazienki wyjdzie przepasany frotowym ręcznikiem Eryk. Szybko jednak odegnałam wspomnienie byłego męża, wytarłam parkiet, wrzuciłam brudną szmatę do miski w łazience i usiadłam na brzegu wanny. Ten dzień nie był ciężki, a jednak czułam się zmęczona. Wyglądałam też nie najlepiej. Grudka rozmazanego tuszu pod lewym oknem, przykłapnięte włosy, „zjedzona” szminka.

– Obraz nędzy i rozpaczcy – mruknęłam pod nosem, odkręcając kran nad wanną.

Myjąc ręce, wyobraziłam sobie, że w salonie, z kieliszkiem wina w dłoni, czeka na mnie taki mężczyzna jak Michał Wolski, ale szybko otrząsnęłam się z dziewczynskich marzeń. Niedawno z kimś się rozstałam i z całą pewnością nie miałam ochoty na dalsze dramaty. Faceci z kieliszkiem wina w ręku znacznie lepiej prezentują się na ekranie telewizora niż w życiu, powiedziałam sobie w duchu, wycierając dłonie w niewielki różowy ręcznik, prezent od starszej córki.

Choinka leżała w salonie, porzucona pod oknem. Przyniosłam stary metalowy stojak, który służył jeszcze moim dziadkom, i po kilkuminutowej szarpaninie okraszonej paroma grubymi przekleństwami, umieściłam w nim drzewko. Chwilę później, znowu upaprana żywicą, pokłuta igłami, z nadłamanym paznokciem i zachwycona unoszącym się w pokoju zapachem jedliny, usiadłam w fotelu z kubkiem gorącej malinowej herbaty w ręku.

Osiem dni do Bożego Narodzenia, dwa tygodnie temu skończone czterdzieści sześć lat i niczym niezmacona cisza w pustym mieszkaniu...

– Jest dobrze, dziewczyno – powiedziałam głośno do siebie. – Jest dobrze!

Nagle zachciało mi się śmiać. Czy gdybym zaprosiła Michała Wolskiego na herbatę, zostałyby i sączył ją teraz ze mną w przyjaznym półmroku mojego salonu, czy może znalazłby byle jaką wymówkę i pospiesznie pognał w stronę frontowych drzwi? Wspomniał, że mieszka po sąsiedzku, jednak nigdy nie widziałam go w okolicy. Kim jest? Do kogo wraca? Nie miał obrączki, ale to przecież o niczym nie świadczy. Czemu, do cholery, nagle o nim myślę? Moja matka twierdzi, że muszę sobie znaleźć kogoś, że przecież kobiecie zawsze źle samej. Nie wiem dlaczego, ale nadal robię wszystko, żeby dopasować się do schematu, w który zawsze chciała mnie wcisnąć. Mnie, moją siostrę, swoje wnuczki.

Na myśl o dziewczynach leciutko się uśmiechnęłam. Starsza, Matylda, niedawno skończyła dwadzieścia sześć lat. Młodsza, Olga, ma dwadzieścia trzy. Piękne, mądre, zabawne, moje! Czasem, przyglądając się im, nie mogę się nadziwić, jak bardzo są odważne, przebojowe, pewne siebie. Mnie zawsze brakowało tupetu, żeby przeciwstawić się matce i postawić na swoim. One nie mają z tym najmniejszego problemu. Żyją tak, jak chcą i chociaż moja rodzicielka załamuje nad nimi ręce podczas każdego rodzinnego spotkania, nie zamierzają zmieniać niczego w swoim życiu.

Mamo, błagam cię, przyjedź! Niczego dzisiaj nie ogarniam!

Dochodziła dziewiętnasta, kiedy zadzwoniła moja starsza córka.

– Teraz? – zdziwiłam się.

– Jeśli możesz... Kamila, nie bierz tego do buzi! – krzyknęła w słuchawkę Matylda i na moment odeszła od telefonu. – Wybacz, mamuś. Tym razem orzech...

– Mówiłam ci, chowaj takie rzeczy! Nie możesz trzymać orzechów w zasięgu jej rączek, skoro...

– Zabieram się za ciasto! Przecież wiesz, że przylatują rodzice Briana, a ja... Mamo, przyjedź, bo chyba tu dzisiaj oszaleję! – Matyldzie lekko załamała się głos i zrozumiałam, że tym razem nie obejdzie się bez rodzicielskiej interwencji.

Córka była świetną matką, bardzo kochała Kamilę i od początku zajmowała się nią bez pomocy niani, ale – rzadko, bo rzadko – miewała takie chwile, kiedy wszystko waliło się jej na głowę i potrzebowała mojego wsparcia. Wiedziałam, że nie znosi przygotowań do świąt, a perspektywa podejmowania gości jawiła jej się pewnie niczym pełen udręki koszmar z nią, jako młodą i niedoświadczoną gospodynią, w roli głównej.

Obiecałam, że będę za jakiś kwadrans. Odłożyłam trzymaną w rękę książkę.

– Super, dziękuję! – Córka cmoknęła w słuchawkę i pospieszenie się rozłączyła.

Zakładając płaszcz, przypomniałam sobie, że przecież nastawiłam dla siebie ryż. Weszłam do kuchni, żeby zestawić garnek na kuchenną deskę. Zjem, kiedy wrócę, zdecydowałam.

Na zewnątrz znacznie się ochłodziło. Śnieg już nie sypał, ale temperatura musiała spaść do jakichś minus ośmiu, może nawet minus dziesięciu stopni. Zatrzasnąwszy wejściową bramę, zorientowałam się, że znowu nie wzięłam rękawiczek, ale nie chciało mi się już po nie wracać na górę. Wsunęłam dłonie do przepastnych kieszeni starego płaszcza i szybkim krokiem ruszyłam w stronę przystanku. Był tuż za rogiem, kilka metrów od miejsca, w którym po południu wywinęłam orła. Na wspomnienie nieznanego bruneta, który dosłownie pozbiarał mnie z chodnika, zaczerwieniłam się po same cebulki włosów.

Że też to zawsze ja muszę z siebie zrobić kompletną idiotkę! – pomyślałam.

Wsiadałam do autobusu, kiedy w mojej torebce rozdzwoniła się komórka.

– Mamuś, to jeszcze raz ja. Słuchaj, głupio mi prosić, ale kupiłabyś po drodze tak ze trzy, cztery bułki? Brian idzie dzisiaj na piwo ze swoimi studentami i pewnie będzie późno, a mnie nie chce się ubierać małej, żeby z nią wyjść. Zresztą jest cholernie zimno, a ona wciąż pokasłuje – usłyszałam głos córki.

– Jasne, kupię. Potrzebujesz czegoś jeszcze? – zapytałam, przeciskając się w stronę kasownika.

– Nie wiem, może mleka? Dobrze by było, gdybyś wzięła soczek marchwiowy dla Kamili i coś słodkiego dla mnie. Jesteś? Słabo cię słyszę...

– Jestem, córciu.

– Dzięki. – Matylda ponownie cmoknęła w słuchawkę i przerwała połączenie.

Wysiadłam przystanek wcześniej, żeby zejść do znajdujących się na parterze galerii handlowej delikatesów. W sklepie było niemiłosiernie gorąco. Rozpięłam płaszcz i poluzowałam wełniany szalik, który nieprzyjemnie gryzł mnie w szyję. Rok temu dostałam go na urodziny od mojej młodszej córki i chociaż krzykliwy, pomarańczowo-czarny wzór średnio mi się podobał, nosiłam go z czysto sentymentalnych powodów.

Przy samym wejściu do delikatesów młoda matka usiłowała uspokoić rozwrzeszczanego chłopca. Czerwony na twarzy i zaryczany, mówił w kółko o jakimś zaginionym dinozaurze. Złapałam za koszyk z nieprzyjemnie lepiącą się rączką i starając się nie myśleć o tym, jak wiele brudnych łap trzymało go przede mną, weszłam na pełną ludzi salę. W tle słychać było utrzymaną w klimatach Bożego Narodzenia muzykę, co jakiś czas przerywaną ogłoszeniami o wyjątkowych promocjach.

Bułki, mleko, sok, czekolada, powtarzałam sobie w myślach, mając nadzieję, że niczego nie zapomnę. Byłam właśnie przy regale ze słodyczami, kiedy kątem oka dostrzegłam Rafała, z którym niedawno się rozstałam. Pomimo że nadal zdarzało mi się za nim tęsknić, teraz nie miałam ochoty z nim rozmawiać. Nie tu, nie w tym momencie, nigdy! Ale na odwrót było już za późno. On też mnie zauważył, a w jego dużych ciemnych oczach dostrzegłam ulotny przeblysł paniki. Skrzywiłam się. No jasne, wyjątkowo niezręczna sytuacja... Nie spodziewałam się go w tej części miasta, a jednak sterczał przy pobliskim regale z makaronem i wyraźnie czekał aż do niego podejść. Zresztą, chcąc przejść do dalszej części sklepu, i tak musiałabym go wyminąć.

– Cześć – rzuciłam niby od niechcienia, chociaż głupie serce solidnie się rozszalało.

– Julia! Co za niespodzianka! – powiedział sztucznie, przesadnie entuzjastycznym tonem.

Zauważyłam, że znacznie skrócił włosy i zaciął się przy goleniu – jego lewy policzek szpeciło brzydkie rozcięcie.

– Co u ciebie? – zapytał po chwili, najwyraźniej chcąc jakoś podtrzymać tę naszą żenująco niezręczną, koślawą rozmowę.

Wysoki szpakowaty facet, mijając nas w wąskim przejściu pomiędzy regałami, trącił mnie ciężkim sklepowym wózkiem i wymamrotał ciche przeprosiny.

– Posłuchaj, naprawdę chciałem do ciebie zadzwonić, ale... – Rafał poluzował krawat i nie patrząc mi w oczy, dodał, że często o mnie myślał.

– Daruj sobie, bardzo cię proszę.

– Julia, ja naprawdę chcę, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Zrozum, że cała ta sytuacja była... – Rafał urwał w pół słowa, bo podeszła do niego ładna, mocno umalowana nastolatka w zielonym płaszczu.

To musi być Karolina, jego piętnastoletnia córka, pomyślałam. Wyglądała nieco inaczej i znacznie poważniej niż na zdjęciach z telefonu, które kilka razy mi pokazywał, jednak była do niego tak podobna, że nie miałam nawet cienia wątpliwości, kim jest. Te same duże ciemne oczy, ocienione długimi rzęsami, ten sam owal twarzy, kształtny prosty nos, pełne usta. Włosy też miała po ojcu – lśniące, w kolorze gorzkiej czekolady. Z tym że on lubił przycinać je krótko, niemal na jeża i miał już w nich pierwsze nitki siwizny, a jej grube pasma błyszczącymi falami opadały do połowy pleców.

Na widok córki Rafał jeszcze bardziej się spiął i nie patrząc mi w oczy, zaczął czytać etykietę na trzymanym w ręku gotowym sosie do dań z mięsem.

– Idziemy? – zapytała dziewczyna, zupełnie mnie ignorując.

Kiedy do nas podchodziła, co prawda zmierzyła mnie wzrokiem, ale teraz odwróciła się do mnie plecami, jasno i wyraźnie dając mi do zrozumienia, że nie ma ochoty ani na rozmowę, ani na moje towarzystwo. Poczulałam się niezręcznie...

Tymczasem mój były, nie wiedzieć czemu, nadal przy mnie sterczał.

– Za chwilę – odpowiedział, co wyraźnie nie spodobało się naburmuszonej księżniczce.

– Tato, teraz! Mama już czeka! – rzuciła nieco piskliwym, wysokim tonem, w którym zabrzmiały właściwe nastolatkom, rozkapryszone nuty.

Na wzmiankę o matce dziewczyny Rafał jeszcze bardziej się zmieszał.

– Wybacz, rzeczywiście powinniśmy już iść – ustąpił córce i odłożył na półkę trzymany w ręku słoik z sosem.

Nie odpowiedziałam, ale chyba nawet tego nie zauważył. Skinął mi głową i ruszył w stronę kas, tuż za nim, śmiesznie drobiąc, szła jego córka. Zauważyłam, że ma na nogach zamszowe kozaczki na wysokich obcasach i chyba niezbyt pewnie się w nich czuje. Ładna dziewczyna, pomyślałam.

I nagle zdałam sobie sprawę, że przez osiem długich miesięcy naszego związku on nawet nas sobie nie przedstawił. Mówił, że mnie kocha, że szuka czegoś na poważnie, że może nawet kiedyś się pobierzemy. Oboje po rozwodach, spragnieni nowego początku, czułości, zrozumienia. Był dla mnie tratwą ratunkową, opatrunkiem na poharatane po odejściu Eryka serce, nadzieją na przyszłość. A później, zupełnie niespodziewanie, oznajmił, że wraca do byłej żony, że chcą spróbować raz jeszcze. Że przecież to dla dobra córki, że nie potrafi inaczej, że powinnam zrozumieć...

Pamiętam, że robiłam kopytka, kiedy zadzwonił do drzwi. Miałam mąkę we włosach, na policzku i na starym rozciągniętym swetrze, który dostałam od matki. Ucieszyłam się na jego widok, chociaż się tego dnia nie umawialiśmy. Ja miałam jechać z obiadem do chorej na anginę córki, on miał ponoć jakieś szkolenie. A jednak przyszedł i mnąc w dłoni kupiony na stacji benzynowej wiecheć, płacząc się i zacinając, zaczął mówić o powrocie do byłej żony. Kobiety, która regularnie wyzywała go od dupków i chujów, rozbiła na jego głowie wazon i traktowała jak śmiecia... Roześmiałam się. Byłam pewna, że żartuje. Dopiero kiedy zobaczyłam w jego oczach łzy, zrozumiałam, że mówi poważnie. Cisnęłam w niego kwiatami. Podniósł je, położył na komodzie w przedpokoju i ruszył w stronę drzwi. „Przepraszam, Juleczko” – powiedział jeszcze, zanim je za sobą zamknął.

Wróciłam do kuchni i osunęłam się na podłogę. Gdzieś w głębi gardła wzbierał szloch, ale nie potrafiłam płakać. Siedziałam tylko i gapiłam się w ścianę. Nie potrafiłam zrozumieć, czemu to zrobił. Wieczorem wysłał mi esemesa. Pisał, że nie chciał mnie zranić, że wierzył w naszą wspólną przyszłość. Dzień później zadzwoniła do mnie jego była żona i wyniosłym, nienawistnym głosem wycedziła, żebym trzymała się od Rafała z daleka. Zrozumiałam przekaz, zresztą nigdy nie potrafiłam władować się z butami pomiędzy dwoje ludzi. A przecież związałam się z nim już po jego rozwodzie. Zmieniłam więc numer, wyrzuciłam nasze wspólne zdjęcia i starałam się o nim zapomnieć.

Jednak to spotkanie uświadomiło mi, że nadal o nim myślę i nadal za nim tęsknię...

Kilka minut później, z torbą pospiesznie zrobionych zakupów, weszłam do damskiej toalety. Kolejka była krótka, ale na podłodze rozgrywało się spektakularne widowisko – leżąca na plecach, na oko trzyletnia dziewczynka, darła się wniebogłosey głucha na wszelkie perswazje matki. Obecne w łazience kobiety przyglądały się scenie w ciężkim milczeniu, w żaden sposób nie usiłując wpłynąć na dziecko czy wesprzeć na duchu wyraźnie zażenowaną matkę. Posłałam jej krzepiący uśmiech, ale nie zwróciła na mnie uwagi. Przykucnęła obok rozhisteryzowanej córki i usiłowała ją podnieść, ale dziewczynka na oślep machała rękami. W końcu wyszły – młoda matka z potarganymi włosami i zapłakane, ciągnięte brutalnie za rękę dziecko.

– Bezsztresowe wychowanie – mruknęła stojąca przede mną otyła brunetka w getrach w panterkę, które niemiłosiernie ciasno opinały jej masywne uda. – Na głowę rodzicom wchodzi, bo mogą! – dodała znacznie głośniej. Nikt nie odpowiedział i po chwili w toalecie słychać było jedynie szum wody i warkot przestarzałych suszarek do rąk.

Przypomniałam sobie pewną scenę z wesołego miasteczka. Musiałam mieć jakieś pięć lat, mama zabrała mnie na karuzelę. Niestety, na miejscu okazało się, że moje ukochane łąbędzie są nieczynne z powodu przerwy technicznej. Zmęczona upałem matka usiłowała mi wytłumaczyć, że przyjdziemy innym razem, ale wpadłam w totalną histerię. Wyrwałam się jej i rzuciłam w kierunku metalowego ogrodzenia, za którym była karuzela. Pamiętam, że zacisnęłam na nim palce tak kurczowo, że matka nie mogła ich oderwać. „Chcę na łąbędziaaaaa, na łąbędziaaaaa!” – darłam się ku ucieście mijających nas ludzi. Mama długo zachowywała cierpliwość, w końcu jednak wybuchła. Udało jej się oderwać mnie od ogrodzenia i zaciągnąć do wyjścia. Na łące, poza terenem wesołego miasteczka, uderzyłam ją pięścią w bok. Syknęła z bólu i posłała mi wściekłe spojrzenie, ale chwilę później przyciągnęła mnie do siebie i zasypała pocałunkami. „Kupię ci lizaka, dobrze?” – powtarzała, ocierając mi łzy. W końcu dałam się udobruchać i uspokoiłam się na tyle, żeby mogła bez wstydu wsiąść ze mną do autobusu. Scena ulotniła się z mojej pamięci na długie lata. Przypomniałam ją sobie dopiero dzisiaj.

Myślałam ręce, kiedy w mojej torebce rozdzwoniła się komórka. Wytarłam dłonie w rąbek spódnicy i sięgnęłam po telefon.

– Mamo? No gdzie ty przepadłaś? Zaczynam się martwić! – usłyszałam zmęczony głos Matyldy.

– Przepraszam cię, córciu. Spotkałam kogoś w sklepie, a później zaszłam jeszcze do toalety – powiedziałam, zastanawiając się, czemu w ogóle jej się tłumaczę.

– Na kogo wpadłaś? – zainteresowała się moja latorośl, mlaszcząc przy tym w słuchawkę. – Znalazłam odrobinę przeterminowane rodzynki w czekoladzie. Nie mam pojęcia, kto i kiedy je kupił, ale są rewelacyjne! – dodała. – To kogo spotkałaś?

– Nie znasz – skłamałam.

– Okay. To czekamy. Powiedz babci pa, pa! No powiedz coś, myszko – zaszczebotała do córeczki.

Zapewne trzymała na ręku moją wnuczkę, która wydała z siebie radosny pisk.

– To pa, mamuś! – Matylda trzeci raz tego dnia cmoknęła w słuchawkę, przesyłając mi w ten

sposób buziaka, i przerwała połączenie.

Schowałam telefon do torebki, wycisnęłam na dłoń porcję pachnącego wanilią mydła i jeszcze raz umyłam ręce. Przeciskałam się właśnie w stronę jednej z suszarek, kiedy w torebce ponownie odezwała się moja komórka. Tym razem, zanim ją odebrałam, porządnie wysuszyłam dłonie.

– Co to za upiorny szum?! – usłyszałam głos matki.

– Suszarki do rąk, jestem w toalecie.

– Myślałam, że zastanę cię w domu! Przejeżdżałam akurat i wstąpiłam, ale oczywiście nikt mi nie otworzył! – naskoczyła na mnie. – Zadzwoiłam nawet do tego dziwaka z naprzeciwka, ale on chyba nie reaguje na domofon!

– Nikt ci nie otworzył, bo nie ma mnie w domu. Jadę do Matyldy – wyjaśniłam, starając się nie okazywać poirytowania.

– To może ja też wpadnę? Chociaż nie, czekaj, przecież dzisiaj mam serial. – Na szczęście mama porzuciła plan spontanicznego zwaleni się nam na głowę.

– Mamo, muszę kończyć. Wychodzę z centrum handlowego i zaraz...

– To wychodź, w czym ja ci przeszkadzam? Dzwonię, żeby ci przypomnieć o kardiologu! Pamiętasz, że idziesz ze mną na wizytę do doktora Dębskiego? Wiesz, że nienawidzę tych wszystkich koszmarnych poczekalni, a...

– Pamiętam, mamo!

– To dobrze, Juleczko. I jeszcze o tych zakupach pamiętaj! W sobotę koniecznie musisz się ze mną wybrać.

– Mamusiu, oddzwonię, dobrze? – weszłam jej w słowo.

– Oddzwonisz, akurat! Nigdy nie oddzwoniasz – stwierdziła i nie czekając, aż coś dodam, przerwała połączenie.

Wychodząc przez oszklone drzwi galerii handlowej, przypominałam sobie czytany niedawno artykuł o ludziach w moim wieku, których psycholożka nazwała „pokoleniem sandwich”. Mamy wciąż jeszcze potrzebujące naszej opieki dzieci i jednocześnie starzejących się rodziców, jesteśmy wciśnięci między nich niczym ser lub wędlina pomiędzy dwie połówki bułki i staramy się sprostać opiece i nad latoroślami, i nad coraz bardziej zagubionymi życiowo seniorami rodu. A to zadanie niełatwe, zarówno pod względem logistycznym, jak i finansowym, pomyślałam, przebiegając przez jezdnię. Z głośników jednego ze sklepów dobiegał stary bożonarodzeniowy szlagier, nad moją głową, rozciągnięte pomiędzy kamienicami, migotały setki świątecznych światełek.

Córka zadzwoniła, kiedy wchodziłam na jej osiedle.

– Mamuś, tylko się nie wściekaj, ale zapomniałam o pampersach. Minęłaś już aptekę?

– Minęłam, ale mogę zawrócić – powiedziałam zmęczonym głosem.

– Jesteś pewna? Strasznie dziś zimno... Mogłabym napisać esemesa do Briana, ale on jest teraz w jakimś pubie bez zasięgu i nie wiem, czy w ogóle to odczyta. Pewnie sprawdzi telefon dopiero koło północy...

– Córciu, skoro są potrzebne, to się wrócę. Jakie mam kupić? – zapytałam.

W dużej sieciowej aptece była gigantyczna kolejka. Część stojących przede mną osób przeraźliwie kaszłała, część co chwilę wydmuchiwała nosy albo kichała. Staralam się nie oddychać i nie panikować na myśl o unoszących się w powietrzu zarazkach, w końcu dotarłam do lady i zrobiłam szybkie zakupy.

– Proszę pani, jeszcze reszta! – krzyknęła w ślad za mną młoda farmaceutka.

Wróciłam po zapomniane trzydzieści groszy i z ulgą wyszłam na mróz.

Matka zadzwoniła jeszcze raz, kiedy mijałam rozświetloną witrynę należącego do moich znajomych sklepu optycznego.

– Posłuchaj, Juleczko, bo tak sobie jeszcze pomyślałam, że może poznałabyś się jednak z moim nowym sąsiadem? – zapytała, jak zawsze od razu przechodząc do rzeczy. – Ja mu się przyglądam od paru ładnych tygodni i muszę ci powiedzieć, że bardzo mi się podoba to, co widzę! Elegancki, kulturalny, z dobrym autem. Podobno pracuje w urzędzie miasta, jeszcze się o to dopytam Eli Halskiej, w każdym razie mogłabyś go poznać i chociaż raz się z nim umówić!

– Mamo, znowu zaczynasz?! – warknęłam.

– No, ale czemu od razu tak się jeżysz?! Mówię tylko, że mogłabym was sobie przedstawić, bo on jest chyba świeżo rozwiedziony, a ty jakoś zawsze marnie wybierasz... No bo przecież ten Rafał, to w ogóle było jakieś nieporozumienie! Co to za mężczyzna, który raz się rozwodzi, a później znowu...

– Mamo, nie będę tego słuchać!

– No pewnie, jasne! Ty nigdy matki nie słuchasz, a później same dramaty! Zobacz tylko, co się stało, odkąd...

Nie mam pojęcia, co matka miała na myśli, bo rozłączyłam się zanim dokończyła zdanie. Niezrażona moim opryskliwym zachowaniem rodzicielka jeszcze dwukrotnie usiłowała się do mnie dodzwonić, ale nie odebrałam.

Dochodziłam do klatki niskiego, odnowionego niedawno bloku, w którym Matylda z Brianem wynajmowali trzypokojowe mieszkanie, kiedy usłyszałam sygnał przychodzącego esemesa. Odczytałam go na półpiętrze, porzucając siatki na pełnym podeschniętych paprotek parapecie.

Przepraszam, fatalnie to dziś wyszło! Może zjemy razem kolację, pogadamy na spokojnie... Możesz mi nie wierzyć, ale nadal mi na Tobie zależy! Zadzwonię! Rafał – przeczytałam.

– Dupek! – syknęłam, a jednak gdzieś wokół mojego zranionego serca rozeszło się przyjemne ciepło.

Postanowił wrócić do byłej żony, ale chce zjeść ze mną kolację? Jak niby mam to rozumieć? – głowiłam się, czekając, aż córka otworzy drzwi. Jedno było pewne – chociaż nadal chyba coś do niego czułam, kolacji z nim jeść nie zamierzałam! Pochlebiło mi, że zadał sobie trud, żeby zdobyć mój nowy numer. Pomyślałam, że może jednak w jakiś sposób jestem dla niego ważna. Wiem, to idiotyczne...

Mamo, hej! Wchodź! – Matylda otworzyła mi z maseczką na twarzy i młodą w ramionach.

– Mama jest zielona! – oznajmiła moja wnuczka, wyciągając do mnie rączki.

– Weźmiesz ją? – zapytała córka, kiedy już cisnęłam siatki z zakupami na fotel przy drzwiach i pozbyłam się płaszcz.

– Chodź do babci – uśmiechnęłam się, a wnusia wtuliła buzię w moją szyję i oplótła mnie ramionami.

– Zaraz ci oddam pieniądze, tylko ją wykąpię – córka powiesiła mój płaszcz i wzięła ode mnie Kamę, która momentalnie zaczęła się wiercić w jej ramionach.

– Nie chcę! – krzyknęła, a Matylda posłała mi wymowne spojrzenie.

– Wygląda na to, że przechodzimy kolejny etap buntu – stwierdziła filozoficznie.

Schyliłam się, żeby rozpiąć kozaki.

– Ale masz odrost – zauważyła córka.

– Zrobię włosy przed sylwestrem – powiedziałam, wsuwając stopy w podsunięte mi przez Matyldę kaptcie.

– A wybierasz się gdzieś?

– Nie wiem, pewnie nie – wzruszyłam ramionami.

– Do nas wpadną znajomi, ale w sumie nie mam ochoty na żadne imprezy. Znajac Briana, przygotowanie wszystkiego będzie na mojej głowie. Jego rola sprowadza się zazwyczaj do kupienia chipsów i piwa...

– Twój ojciec też nigdy w niczym mi nie pomagał, jeśli już o tym mówimy – skrzywiłam się.

– Bo we wszystkim go wyręczałaś! – wytknęła mi córka. – Wybacz ten bajzel, nie ogarniam dzisiaj niczego. Za dwa dni przylatują rodzice Briana, a ja myślę tylko o tym, że to będzie kompletna katastrofa. Podobno jego matka świetnie gotuje i jest wyjątkową pedantką, a ja od tygodnia nie mogę się zmobilizować, żeby ogarnąć mieszkanie. – Matylda włączyła czajnik i oparła się o parapet. – W dodatku wyszło na to, że chcą się zatrzymać u nas, wyobrażasz sobie? Z całą ich kasą olali wszystkie hotele i zwałą się nam na głowę! Brian się cieszy, a ja nie wiem, jak przeżyję te święta! Sześć dni z dwójką zupełnie obcych ludzi pod dachem! Wspólna łazienka, wymuszone rozmowy, inspekcja teściowej. Pewnie przejrzy mi wszystkie szafki! – skrzywiła się moja latorośl.

– Może nie będzie tak źle? Nie zakładaj od razu najgorszego. Opowiedz coś o nich – poprosiłam.

– A co byś chciała wiedzieć?

– Gdzie jest Brian? – zapytała Kamila, łapiąc Matyldę za rękę.

– Brian będzie dziś późno, mówiłam ci.

– I nie poczyta mi?

– Dziś ja ci poczytam. Wolisz misia Paddingtona czy...

– Tak! – mała klasnęła w dłonie, okręciła się wokół własnej osi i wdrapała się na kuchenne krzesło.

– Jego matka – Matylda zwróciła się w moją stronę – ma świetnie prosperującą, kultową wręcz pracownię krawiecką, w której szyte są kostiumy do filmów historycznych, spektakli teatralnych i najprzeróżniejszych rekonstrukcji. Ojciec jest emerytowanym oficerem policji prowadzącym własną firmę ochroniarską. To ponoć coś dużego, nie tylko ochrona osób prywatnych. Brian wspomniał, że ochraniają konwoje, monitorują systemy alarmowe w placówkach bankowych i robią mnóstwo innych rzeczy.

– Brzmi ciekawie – powiedziałam.

– Kamila, siedź spokojnie! – zbeształa małą, która usiłowała właśnie klęknąć na krzesło, moja córka. – Jeśli spadniesz i rozbijesz sobie głowę, pan doktor da ci zastrzyk!

– Nie strasz jej – szepnęłam, a Matylda parsknęła śmiechem.

– A wygląda ci na przestraszoną? – zapytała lekkim tonem.

Herbatę, którą przygotowała wcześniej Matylda, piłyśmy w milczeniu, przyglądając się Kamili. Dziewczynka przesuwiała po kuchennym blacie solniczkę, udając, że to ciężarówka i była tak tą czynnością zaaferowana, jakby nagle zniknął cały świat wokół niej, włącznie z nami oczywiście.

– Muszę zmyć tę maź z twarzy i wykąpać małą. Jeśli masz ochotę, w lodówce jest gulasz. Upredzając twoje pytanie – Brian zrobił, podobno według przepisu swojej matki. Ja nie miałabym chyba pojęcia, jak się za to zabrać. Odgrzejesz sobie?

– Jasne – powiedziałam.

– Aha, mamuś, jeszcze jedno. Mam nadzieję, że któregoś wieczoru będziemy mogli wpaść do ciebie na kolację. Wiesz, my z małą i rodzice Briana. Tylko się nie stresuj i nie przygotowuj niczego nadzwyczajnego.

– Oczywiście, wpadajcie!

– Nie mogę w to uwierzyć, że jesteśmy ze sobą ponad półtora roku, a ja dopiero teraz poznaję jego rodziców. No, ale zawsze coś stawało na przeszkodzie... Najpierw operacja jego ojca, później ta koszmarna sprawa z pożarem...

– Jakim pożarem? – zdziwiłam się.

– W pracowni matki Briana. Szczęściem sąsiedzi momentalnie zaalarmowali straż i udało się uratować część przygotowanych do spektaklu kostiumów. Tyle że ponoć niemiłosiernie cuchnęły dymem – roześmiała się Matylda. – Chodź, lalczko. Pójdziemy się wykąpać – wyciągnęła ręce do małej, która tym razem bez sprzeciwu dała się zaprowadzić do łazienki.

Poszłam za nimi i oparłam się o framugę otwartych na oścież drzwi.

– A co u Piotra? – zapytałam, kiedy córka odkręciła kran nad wanną.

– A jak myślisz? – Matylda odpowiedziała pytaniem i podwinęła rękawy pasiastej bluzki. – Dzisiaj kąpiemy się z kaczkami czy z łódeczkami? – zapytała stojącą obok córkę.

– Z kaczkami! – zdecydowała mała i Matylda podała jej dwie gumowe zabawki. – A wracając do Piotra, oczywiście znowu spóźnia się z alimentami. W dodatku olał sobotnie spotkanie, a ja, głupia, powiedziałam małej, że wpadnie. Czekala na niego całe popołudnie,

a wieczorem dostała lekkiej gorączki, podejrzewam, że z emocji – dodała córka półgłosem.

– Mamusiu, patrz! Kaczuszką pływa! – Kamila wrzuciła zabawkę do napełniającej się wodą wanny i z zachwytem w błękitnych oczach przyglądała się dryfującej na powierzchni kaczce.

– Co? Nic na to nie powiesz? Przecież zawsze go broniłaś? – syknęła Matylda.

– Nie zawsze, córciu. Wiesz, że...

– Nieważne, zresztą i tak nie mam ochoty o nim gadać – córka nachyliła się nad wanną i sprawdziła temperaturę wody. – Kto zaraz wskoczy do kąpieli? – zapytała małą, która pisnęła z radości. – Wiesz, co mnie najbardziej wkurza? Jego bezczelność! Wiem, że ma nową dziewczynę, której nie szczędzi kasy! Miesiąc temu byli na Dominikanie, ale paru stówek na córkę żałuje! Ostatnio Brian kupił jej kilka książeczek, lalkę i kolorowanki, a ja miałam łzy w oczach, kiedy podeszliśmy do kasy. Bo on od początku jest dla niej lepszym ojcem niż Piotr. Jego skąpstwo jest wręcz obrzydliwe, mamó! Skąpstwo, cwaniactwo, brak uczuć! Czy on naprawdę za nią nie tęskni?! Jak można nie widzieć własnego dziecka ponad miesiąc, a później olać umówione spotkanie?! I jak mam wytłumaczyć trzylatce, że jej tatuś to zwykły dupek?! – wybuchła Matylda.

– Porozmawiamy, kiedy ją położysz, okay? – przerwałam jej i zapytałam: – Masz coś do przeproszenia? – zapytałam.

– Jasne, cały stos. Ale najpierw coś zjedz – córka posłała mi uśmiech i włąła do wanny solidną porcję kokosowego płynu do kąpieli.

Wyszłam z łazienki i wróciłam do kuchni, gdzie samotnie zjadłam całkiem niezły gulasz. Myjąc zalegające komorę zlewu naczynia, pomyślałam, że w sumie Matyldzie naprawdę się poszczęściło. Kiedy rozwodziła się z Piotrem, byłam przerażona. Bez stałej pracy, z półrocznym dzieckiem i groszowymi oszczędnościami wyniosła się z mieszkania męża i wróciła do mnie. Zapłakana, roztrzęsiona, z małą na ręku i torbą podręczną zapukała do mnie koło północy i oznajmiła, że to definitywny koniec jej małżeństwa. Później przez jakiś czas była sama, w końcu, zupełnie przypadkiem, na imprezie u znajomego, spotkała Briana – dwudziestokilkuletniego nauczyciela angielskiego, w którym niemal od razu się zakochała. A Brian niemal od razu pokochał jej córkę i zajmuje się nią lepiej niż jej rodzony ojciec, myślałam sobie, zabierając się do prasowania.

Deska była rozłożona i jak zawsze stała pod oknem. Wiele razy powtarzałam obu córkom, żeby ją składały, bo fatalnie to wygląda, ale zarówno Matylda, jak i Olga były zbyt leniwe, żeby dbać o tego typu rzeczy. Włączyłam żelazko i sięgnęłam po męską koszulę – pierwszą z pokaźnego stosu. Później przeprosowałam całe naręczce podkoszulków z nadrukami, kilka kuchennych ścierek i dwie nocne koszule z kotem Garfieldem, które kiedyś dla żartu kupiłam Matyldzie na promocji w jednym ze sklepów. Dopieszczałam przedostatnią rzecz, kiedy zza uchylonych drzwi łazienki doszedł mnie charakterystyczny szum. Nagle przypomniało mi się, że moja młodsza córka Olga, będąc niemowlęciem, zasypiała tylko wtedy, kiedy szumiała jej nad głową włączoną suszarką.

– Mamuś, napijesz się wina? – jakieś dwie minuty później Matylda pojawiła się w salonie z owiniętą włochatym ręcznikiem Kamilą na ręku.

– Chętnie.

– Zaraz ci naleję, tylko ją ubiorę i położę...

- Idź, zajmij się małą, sama się obsłużę. Kieliszki w kredensie, wino w barku, tak?
- Złota jesteś – córka posłała mi uśmiech i zachęciła małą, żeby powiedziała mi „dobranoc”.
- Pa, kochanie – pomachałam wnuś, która wyglądała na zmęczoną i senną.

Składając deskę do prasowania, pomyślałam o moim byłym mężu Eryku. Miał sporo wad, ale prasowanie szło mu naprawdę wyśmienicie.

– Twój ojciec nigdy nie pozwalał mi dotykać swoich koszul, pamiętasz? – zapytałam, kiedy córka wróciła do salonu.

– Pamiętam. Zdarzało się nawet, że prasował moje kiecki – uśmiechnęła się Matylda. – Nie robił w domu niemal nic, ale z żelazkiem widywałam go regularnie. Po co składałaś deskę, przecież niedługo będzie potrzebna. Miałam ją złożyć dopiero przed przyjazdem gości...

– Rozmawialiście ostatnio? – zapytałam, ignorując jej uwagę o nieszczęsnej desce.

– Tak, a wy? – córka odpowiedziała pytaniem i nalała sobie odrobinę wina.

– Dzwonił do mnie jakoś w październiku, ale...

– Dawno.

– A o czym niby mamy gadać? – wzruszyłam ramionami.

– Przeżyliście ze sobą ponad dwadzieścia lat!

– I co z tego? – mruknęłam.

– Nic, przepraszam – Matylda upiła kilka łyków, odstawiła kieliszek na ławę, usiadła na kanapie i sięgnęła po leżące na szklanym blacie precle. – Brian stale podjada taki szajs, a ja przez niego też podjadam i utyłam ostatnio cztery kilo. Chcesz?

– Po tym gulaszu? Chyba żartujesz? – roześmiałam się.

– Odzywa się do ciebie Rafał? Wciąż nie mogę uwierzyć, że się rozstaliście.

– Nie – skłamałam, nie mając pojęcia, że w chwili, gdy to mówię, mój były facet koczuje właśnie pod moimi frontowymi drzwiami.

Kiedy dotarłam do swojego mieszkania, Rafał siedział na schodach. Ramieniem wsparty o ścianę, w rozpiętej puchowej kurtce, z opartymi na kolanach łokciami sprawiał wrażenie skrajnie zmęczonego. Żarówka na klatce dawała nikłą, bursztynową poświatę, ale nawet w tak wątłym świetle zauważyłam głębokie cienie pod jego oczami. Co dziwniejsze, kiedy wpadliśmy na siebie w delikatesach, zupełnie ich nie dostrzegłam. Na mój widok wstał i przeczesał palcami obcięte krótko włosy.

– Co tu robisz? – zapytałam szorstkim, nieprzyjaznym tonem.

– Czekam na ciebie, to chyba jasne?

– Jak wszedłeś przez bramę? Zawsze jest zamknięta, chyba że te studentki z dołu znowu zapomniały ją zatrzasknąć...

– Mam klucz.

– Masz klucz? – powtórzyłam jak echo. – Przecież oddałeś mi klucze!

– Ale ten do bramy sobie dorobiłem. Na wszelki wypadek. Julia, tęsknię za tobą! Kiedy dzisiaj cię zobaczyłem... – Rafał dosłownie doskoczył do mnie i złapał mnie za rękę. – Nie kończmy tego tak nagle, bez zastanowienia...

– Bez zastanowienia?! – roześmiałam się gorzko. – Po ośmiu miesiącach związku oznajmiłeś mi, że jednak wracasz do byłej żony, a teraz nagle koczujesz pod moimi drzwiami?! Dochodzi północ, a ja jutro mam kilka ważnych spotkań, więc wybacz...

– Jula, proszę cię! Tkwiałem na tych schodach ponad dwie godziny, żeby...

– Żeby co, Rafał?! – podniosłam głos. – Wiesz, co jest najśmieszniejsze? Twoja córka nie miała pojęcia, kim jestem, prawda? Byłeś ze mną tyle czasu, ale nigdy nas sobie nie przedstawiłeś, nie pokazałeś jej nawet mojego zdjęcia!

– Nie była gotowa...

– Na co nie była gotowa?! Na to, że jej ojciec układa sobie życie?!

– Ona ma piętnaście lat, Jula! Wbrew temu, co się działo, wierzyła, że zejdę się z jej matką, nic na to nie poradzę! Posłuchaj, ja...

– Rafał, puść mnie. – Wyrwałam rękę z jego zaciśniętych palców i wyjęłam z torebki klucz. – Wejdę teraz do środka, a ty wrócisz do domu. Żona się już pewnie niepokoi – wycedziłam.

Nie odpowiedział. Cofnął się pod ścianę i w milczeniu patrzył, jak otwieram frontowe drzwi.

– Możesz w to wierzyć lub nie, ale nadal cię kocham – powiedział cicho, kiedy wchodziłam do mieszkania.

– Kochać mnie nikt ci nie zabroni – odpowiedziałam szeptem.

Kiedy już zatrzaskałam za sobą drzwi, zdjęłam płaszcz i opadłam na fotel w przedpokoju, poczułam, że mam w oczach łzy. Tak, ja też za nim tęskniłam, jednak upokorzenie, które mi zafundował, było zbyt wielkie, żeby mogła sobie pozwolić na powrót w jego ramiona. Przedstawiłam go przecież przyjacielom, rodzinie dałam do zrozumienia, że to, co się między nami dzieje, to coś naprawdę poważnego. A on potraktował mnie w taki sposób... – myślałam,

rozpinając buty.

Chociaż u córki wypiliśmy już dwa kieliszki wina, nalałam sobie jeszcze odrobinę wiśniówki. Rano musiałam wstać nieco przed szóstą, ale wiedziałam, że prędko nie zasnę. Sącząc wiśniówkę przypomniałam sobie o schowanych w kredensie lampkach i chociaż do Wigilii brakowało jeszcze tygodnia, zawiesiłam je na choince.

– Od razu przytulniej – westchnęłam głośno, kiedy ciemny salon załała ciepła migająca poświata.

Gdzieś zza ściany dobiegły ciche takty muzyki klasycznej, chyba Berlioza, chociaż pewności nie miałam. Przymknęłam oczy, a moje myśli poszybowały w przeszłość do pewnego pięknego kwietniowego dnia, kiedy poznaliśmy się z Rafałem.

Stałam na przystanku, on zapytał mnie, jak ma dojechać do ronda Piasta Kołodzieja. Podjechało właśnie sto osiem i wsiedliśmy oboje. Tego samego wieczoru zjedliśmy pierwszą wspólną kolację, a on opowiedział mi o sobie. Świeżo rozwiedziony, z zawodu księgowy, ojciec nastoletniej córki. Uwielbia paintball, gokarty, mocnego rocka i egzotyczne smaki. Od lat wraca do Tajlandii, która jest jego rajem na ziemi, hoduje dwa gekony i od jakiegoś czasu znacznie mniej pali – pamiętam, że na naszej pierwszej randce on sporo mówił, a ja głównie słuchałam.

Tydzień później kochaliśmy się na wąskiej, pojękującej sprężynami wersalce w jego wynajętej kawalerce, a ja miałam wrażenie, że mam dwadzieścia kilka lat i spędzam jedną z szalonych nocy gdzieś w obcym mieszkaniu, z niemal obcym facetem. Tyle że tak naprawdę, mając dwadzieścia kilka lat, byłam młodą żoną i matką dwóch dziewczynek, a szalone noce oglądałam co najwyżej w telewizji...

A wracając do Rafała – po naszej pierwszej wspólnej nocy kupił mi wiklinowy kosz pełen róż i wiśniowe czekoladki. „Mógłbym się w tobie zakochać” – powiedział. Uczepiłam się tych słów kurczowo, związałam się z Rafałem emocjonalnie, niemal zawisłam na nim, uzależniłam się od jego obecności. Wygłodniała uczucia, spragniona wspólnych poranków, schnąca z tęsknoty za błyskiem pożądania w czyichś oczach, rzuciłam się w ten romans bez zastanowienia, z marszu. Pierwsze pół roku było idealne. Mnóstwo seksu, jego zapewnień o miłości, noce spędzane na rozmowach, leniwe przedpołudnia w łóżku, jajecznicą na szczypiorku, którą dla mnie smażył. Będąc z Erykiem, rzadko jadałam śniadania, ale nagle zaczęłam się delectować tymi niespiesznymi porannymi momentami we dwoje. Później jednak coś zaczęło się zmieniać... Nagle rozdzwoniła się jego komórka. Odbierał po kilka, nawet kilkanaście połączeń w ciągu dnia, zrobił się nerwowy, opryskliwy... Dobrze pamiętałam pewną chłodną październikową noc. Wracaliśmy ze spotkania z moimi znajomymi, oboje dość mocno wstawieni. Mżyło i wiało, ale Rafałowi zebrało się na amory. „Chodź, proszę” – powiedział i pociągnął mnie pomiędzy blaszane garaże w pobliżu zamkniętego nocą targowiska. Przesmyk był wąski, zaledwie półtorametrowy, ale on już podciągał mi w górę spódnicę i niecierpliwie opuszczał moje grube rajstopy. Wziął mnie tamtego dnia na stojąco, opartą o lodowato zimną, metalową ścianę blaszanego garażu. Odwracałam głowę, wyginałam ją niemal do bólu karku, żeby tylko czuć na wargach jego pocałunki. Pamiętam, że smakował whisky i wypalonym niedawno papierosem, a opuszki jego palców były szorstkie. Mżawka siąpiła prosto na moją uniesioną ku niebu twarz, skręcała moje włosy w niesforne spiralki, nasączała wilgocią wełniany płaszcz. „Nigdy nikogo tak nie pragnęłam, jak ciebie” – wyszeptał Rafał, zanim we mnie doszedł. Wysuwał się z mojego wnętrza, kiedy w kieszeni jego płaszcza rozdzwoniła się komórka. Odebrał ostro, gniewnie, po

chyba piętnastu dzwonek. „Czego znowu chcesz?!” – zapytał. Domyśliłam się, że dzwoniła jego była żona, ale nie miałam odwagi, żeby go wtedy o to zapytać.

Za to on nie miał już dla mnie tyle czasu co kiedyś i z dnia na dzień robił się coraz bardziej nieuchwytny. Nadal jednak wmawiałam sobie, że pomiędzy nami nic się nie zmieniło. To tylko stres, sporo pracy, problemy z rozkapryszoną nastoletnią córką – powtarzałam każdemu, kto chciał słuchać. Naszej przedostatniej wspólnej nocy napisał dla mnie wiersz.

*Jestem trzepotem motyli skrzydeł na Twym nagim ramieniu, pająkiem w gęstej sieci
Twoich myśli i wspomnień.*

*Fusami z kawy, w której o świcie moczysz usta,
i powiem letniego wiatru, który Cię schładza.
Szelestem Twojej jedwabnej sukni,
czerwoną koronką na Twoich nagich piersiach,
upojnym zapachem, który zniewala zmysły, wodzi na pokuszenie. Jesteś cudem wśród
wszystkich cudów świata
i tylko Bóg, którego nie ma, wie, czemu wybrałaś akurat mnie...*

Ty i ja.

Niebo i Ziemia.

Ogień i woda.

Pustka w sercu.

Strach...

Tak napisał na wyrwanej z notesu kartce. I chociaż pogoniłam go z początkiem grudnia i wciąż staram się zapomnieć o tym, co było, ta maleńka karteczka wsunięta pomiędzy strony *Spóźnionych kochanków* Whartona nadal tam tkwi. Jest schowany przed całym światem jako pamiątka dni, w których dla kogoś byłam wszystkim.

Dopiero znacznie później zrozumiałam, że wiersz, który napisał dla mnie w moim łóżku, był niczym innym, jak tylko pożegnaniem...

Dochodziła dziesiąta trzydzieści przed południem, kiedy zaparkowałam pożyczony od naczelnego samochód na chodniku przed jedną ze starych willi na warszawskiej Saskiej Kępie. Jasnowłosa kobieta, która w narzuconej na ramiona puchówce wyszła przed dom, żeby otworzyć mi furtkę, mówiła z charakterystycznym wschodnim zaśpiewem i wyglądała na nie więcej niż dwadzieścia pięć lat.

– Pani Izabela czeka na panią w salonie – oznajmiła mi, kiedy szłyśmy kamienną ścieżką w stronę domu.

Podążałam kilka kroków za nią, rozglądając się po zadbanym, starannie utrzymanym ogrodzie. Teraz, kiedy przycięte w eleganckie kule żywopłoty i wszelkie inne kwiaty kryły się pod śniegiem, nie było w nim niczego specjalnego, ale latem to miejsce musiało wyglądać bajecznie. Kamienne ławki, niewielka fontanna, pergole – z moim stanem konta mogłam jedynie pomarzyć, że kiedyś zamieszkałam w takim miejscu.

– Pani nietutejsza? – Ukrainka odwróciła się tak gwałtownie, że niemal na nią wpadłam. – Nie z Warszawy, prawda? – dopytywała się.

– Nie – przyznałam, nie wdając się w dalsze szczegóły.

Zresztą szłam o zakład, że naszego prowincjonalnego miasteczka nie potrafiłaby nawet zlokalizować na mapie. Polska ograniczała się dla niej pewnie do stolicy, w której pracowała, i regularnych wpłat na konto dokonywanych przez jej pracodawczynię, pomyślałam i od razu zrobiło mi się głupio. Przecież nic o tej dziewczynie nie wiedziałam. Nie powinnam jej oceniać skoro w ogóle jej nie znam...

Przyglądałam się uważnie fasadzie starej willi. Z zewnątrz dom nie wyglądał zbyt okazale. Otynkowany na kolor ciemnomusztardowy, z niewielkim balkonem nad gankiem od frontu i dużymi starymi oknami, idealnie wtapiał się w otoczenie. Czułam jednak, że jego wnętrze okaże się bardziej wyrafinowane, i intuicja mnie nie zawiodła. Już w przestronnym korytarzu zachwyciło mnie ogromne lustro w złoconych ramach i wielkie donice z palmami. Salon okazał się olbrzymi. Ktoś, kto kiedyś remontował ten dom, musiał wyburzyć przynajmniej jedną ścianę.

Izabela Konarska siedziała na dużej krwistoczerwonej sofie. Ubrana w wąską beżową sukienkę z wełny i krótkie szafirowe botki na cieniutkich obcasach sprawiała wrażenie kogoś, kto dopracował swój styl do perfekcji.

– Witam – powiedziała chłodnym oficjalnym tonem, a dziewczyna, która wprowadziła mnie do salonu, ruszyła w stronę drzwi.

– Oksana, czekaj! – powstrzymała ją gospodyni. – Oprócz kawy i ciasta przynieś nam też sok. Proszę, niech pani siada – zachęciła mnie Konarska i założyła nogę na nogę.

– Możemy zaczynać? – zapytałam, kiedy zostałyśmy same. – Nazywam się Julia...

– Wiem, jak się pani nazywa. Nie wpuściłabym do domu kogoś z ulicy. – Konarska lekko wyduła napompowane kolagenem usta i pochyliła się w moją stronę. – Cieszę się, że mamy okazję porozmawiać – dodała.

Włączyłam dyktafon i postawiłam go na niskiej drewnianej ławie z fantazyjnie

powyginanymi nogami.

– Nie lubię owijać w bawełnę, więc od razu przejdę do rzeczy. Opowie mi pani o tamtym popołudniu? – zapytałam.

– Nie czytuje pani prasy? – roześmiała się gorzko, pogardliwie. – Przecież już wszystko zostało opisane, a pod moim adresem padło chyba każde z możliwych wyzwisk. Wyrodna matka, suka, kurwa, dziwka, pijaczka. – Izabela Konarska sięgnęła po leżące na ławie marlboro i wysupłała z opakowania przedostatniego papierosa.

– Nie interesuje mnie, co napisały brukowce. Chcę poznać pani wersję – powiedziałam cicho.

– Cóż, problem w tym, że moja wersja nie różni się zbyt od tej, którą opisały te wszystkie szmatławce. Wypiłam trzy kieliszki wina, a później pojechałam po Gabriela... Tylko że ja naprawdę nie czułam tego wypitego alkoholu, a to wszystko wydarzyło się tak niespodziewanie! Oblewaliśmy nasz sukces na festiwalu filmowym, kiedy zadzwonili do mnie z przedszkola Gabrysia. Jego wychowawczyni, rozhisteryzowana idiotka, która moim zdaniem nie nadaje się do pracy z dziećmi, z płaczem powtarzała, że Gabryś rozbił sobie głowę i wszędzie jest strasznie dużo krwi. Więc nie zastanawiając się, co robię, wsiadłam w samochód i pogałam po małego. Nie wiem, czy chcę, żeby pani to nagrywała. Może to pani skasować? – Konarska zapaliła papierosa i zaciągnęła się dymem. – Pewnie pani wie, że mój były mąż jest lekarzem, prawda? Pisali o tym, a pani wygląda na taką, która dobrze przygotowuje się do wywiadów – dodała, kiedy sięgnęłam po dyktafon i skasowałam naszą krótką rozmowę. – Chciałam zabrać Gabrysia do kliniki Marcina, ale wjechałam w tę witrynę i...

– Co się stało w momencie wypadku? – zapytałam.

– Nie pamiętam wszystkiego. Rozpłakałam się, chociaż nie zdawałam sobie z tego sprawy. Z kawiarni, w którą wjechałam, wybiegli wzburzeni ludzie. Jakiś starszy mężczyzna chciał mi pomóc, ale wtedy ktoś krzyknął: „Przecież to Konarska, ta aktorka!” i nagle wokół mnie rozpiętało się piekło. W momencie, w którym wjechałam w witrynę, rozciąłam sobie wargę i rozbiłam głowę, bo nie miałam zapiętych pasów. Ale ludzi nie obchodziła krew na moim płaszczu. Ktoś zrobił mi zdjęcie, ktoś inny podszedł tak blisko, jakby chciał mnie dotknąć, ktoś inny zajrzał do mojego samochodu. Usiadłam na krawężniku i płakałam, a ludzie napierali, otaczali mnie, zacieśniali krąg wokół. Jakaś kobieta zaczęła krzyczeć, że jestem pijana i przez tłum przeszedł złowrogi pomruk.

– Była pani pijana – powiedziałam.

Konarska strzepnęła popiół z końcówki papierosa i spojrzała mi prosto w oczy.

– Widzi pani, problem polegał na tym, że zupełnie nie pomyślałam, że po wypitym winie nie powinnam siadać za kierownicą. Myślałam tylko i wyłącznie o tym, że muszę pędzić na ratunek synkowi.

– Czemu nie zadzwoniła pani po taksówkę? – zapytałam.

– Bo liczyła się każda minuta! Tamtego popołudnia świętowaliśmy festiwalowy sukces w domu naszego reżysera na obrzeżach Warszawy. Zanim dojechałaby tam taksówka...

– Więc wolała pani wsiąść za kierownicę po kilku kieliszkach wina, niż wezwać taryfę? A wychowawczyni z przedszkola? Czemu nie zadzwoniła po karetkę?

– Wezwała karetkę, ale ja miałam to gdzieś. Nawet jeśli przyjechałaby wcześniej i zawiozła

Gabrysia do szpitala, planowałam zabrać moje dziecko do kliniki byłego męża. I czemu mam wrażenie, że pani też mnie oskarża?! – zapytała Konarska ostrym, mało sympatycznym tonem. – Ludzie już wydali na mnie wyrok, niemal mnie zlinczowali! Ten wywiad miał przysporzyć mi sympatyków, nie kolejnych wrogów i zgodziłam się na niego tylko dlatego, że prosił mnie o to bardzo dobry znajomy! Ale jeśli obrzuci mnie pani kolejną porcją błota, to ja...

– Pani Izo, nic nie trafi do druku bez pani autoryzacji. Poza tym nie jestem pani wrogiem. Jestem kobietą, matką, dziennikarką. Chcę pokazać sytuację od strony faktów, ale też emocji.

– Dziś w nocy znowu ktoś kręcił się pod naszym domem. Boję się, że nas podpalą, rozumie pani?! Mam koszmary, w których widzę pochylone nad sobą zwierzęce pyski i gniewne twarze rozsierzonego tłumu.

– Gdzie jest teraz pani syn?

– W Gdańsku, u moich rodziców. Tu chwilowo nie czuję się bezpieczna...

– A pani mąż?

– Który? – roześmiała się aktorka i przez moment w jej dużych zielonych oczach zamigotało rozbawienie.

– Obecny – sprecyzowałam.

– Na spotkaniu z potencjalnymi inwestorami, w Bostonie. Normalnie nalegałabym, żeby nie leciał, ale ta sprawa jest kluczowa dla jego kariery.

– A były mąż? Przyjaciele? Ma pani w kimś oparcie?

– Szczerze? Nie ufam już chyba nikomu. Nie po tym, jak jedna z moich znajomych zacytowała moją wypowiedź w jakimś brukowcu.

– A co pani powiedziała?

– Powiedziałam, że kiedy włącza się instynkt macierzyński, nie liczy się nic innego. I że gdybym miała zdecydować jeszcze raz, ponownie siadłabym za kierownicą tego samochodu.

– Jak pani sądzi, czy ta sprawa zniszczy pani aktorską karierę? Od kilku lat grywa pani przeważnie role kobiet ciepłych, oddanych rodzinie, raczej nieskomplikowanych psychologicznie. Nie licząc pani debiutu na ekranie i ostatniego serialu, oczywiście. Czy teraz, po tym incydencie, widownia się od pani odwróci, czy wręcz przeciwnie? Dostanie pani lepsze propozycje, może zagra rolę swojego życia?

– Nie wiem i prawdę mówiąc ciężko mi odpowiedzieć na to pytanie. Obecnie siedzę w domu, skazana na towarzystwo Oksany i boję się jechać nawet po cholerną włoszczyznę do rosółu! Wczoraj wyszłam tylko na balkon i już wyskoczył zza krzaków jakiś paparazzo. Ja sobie świetnie zdaję sprawę z tego, co się stało, z powagi sytuacji. Ale też jestem w jakimś stopniu ofiarą. Ofiarą ludzkiej nienawiści i niefortunnych okoliczności. Nigdy wcześniej nie prowadziłam po alkoholu, nigdy! Gdyby nie ten wypadek Gabrysia, wracałabym od znajomego taryfą, a auto zostawiła pod jego domem. Ale stało się, tamtego popołudnia instynkt macierzyński wygrał z rozsądkiem i doszło do tragedii. Teraz ludzie patrzą na zdjęcia w brukowcach i widzą tylko to, co chcą widzieć. Roztrzaskaną witrynę kawiarni i wbite w nią moje porsche. Wie pani, ile nienawistnych spojrzeń płynie w stronę człowieka, tylko dlatego że ma lepszy samochód?

– W tej historii nie chodzi o markę pani samochodu, pani Izabelo – wtrąciłam.

Roześmiała się i odrzuciła do tyłu gęste ciemne włosy.

– Oczywiście, że w tej historii chodzi również o markę mojego samochodu! Gdybym była mieszkającą w ciasnej kawalerce samotną matką, która rozbiła zdezelowanego fiata uno, ludzie zupełnie inaczej odebraliby tę sytuację! Wtedy byłabym znękaną matką Polką pędzącą na ratunek dziecku. A teraz jestem bogatą suką, której kasa i sława poprzewracały w głowie! Dziś rano ktoś wrzucił do naszej skrzynki na listy wydruki moich starych zdjęć. Nagich zdjęć, oczywiście. Kojarzy pani thriller *Szakale*? Byłam jeszcze studentką filmówki, kiedy jeden z wykładowców namówił mnie do pójścia na casting. W każdym razie dostałam rolę, ale pokazałam wtedy co nieco ze swoich wdzięków. A dziś znalazłam wydruki tamtych zdjęć w skrzynce, pomiędzy ulotkami z pobliskich pizzerii i listami z pogrózkami. Na Facebooku obrzucają mnie setkami obelg i wyzwisk, na moją komórkę od rana dzwoni jakiś oszołom, który twierdzi, że od lat mnie kocha i zrobi dla mnie wszystko, a moja mama boi się wyjść na ulicę, bo pod jej gdańskim domem też koczują paparazzi! Cieszę się, że mój syn ma dopiero cztery lata i nie rozumie całego tego zamieszania, które wokół nas wybuchło. Chociaż, znając ludzką podłość, kiedyś ktoś i tak mu pewnie powie, że ma matkę pijaczkę... Chciałabym, żeby pani napisała o... – Konarska urwała, bo w salonie pojawiła się Oksana z tacą pełną przysmaków.

– Przepraszam, że tak długo... Pan Dominik dzwonił – dziewczyna postawiła tacę na ławie i rozlała kawę do fikuśnych kwiecistych filiżanek.

– Czego chciał? – zapytała aktorka, sięgając po elegancką posrebrzaną cukiernicę.

– Martwi się.

– W Bostonie? Naprawdę nie ma tam lepszych rzeczy do roboty? – prychnęła Konarska, a w jej głosie wychwyciłam nutkę rozgoryczenia. – Idź już, mamy mało czasu. I przynieś mi jakiś proszek, od rana pęka mi głowa.

– Oczywiście – dziewczyna pospiesznie się wycofała i zostałyśmy same.

– Jak pani to widzi? – zapytała Konarska, dosypując do swojej kawy dwie łyżeczki cukru. – Pytam, czy jest szansa, że odzyskam ludzką sympatię. Jeśli będzie trzeba, przepraszę. Jeśli będzie trzeba, pójdę na jakąś terapię, odpracuję to charytatywnie... Przysięgam, że zrobię wszystko, tylko niech ten koszmar się już skończy!

– Cudów obiecać nie mogę, ale postaram się napisać ten tekst tak, żeby pokazać panią w jak najkorzystniejszym świetle. Nie popieram tego typu wybryków, jak każdy. Wsiadanie za kierownicę po alkoholu jest jedną z najbardziej bezmyślnych rzeczy, jakie możemy zrobić, ale patrząc na tę sytuację całościowo, widzę też matkę, która pędziła na ratunek rannemu dziecku i kobietę, która na moment zapomniała o zdrowym rozsądku – powiedziałam, a Konarska spojrzała mi prosto w oczy.

– Dziękuję! Jest pani jedną z nielicznych osób, które zechciały mnie wysłuchać. Większość dziennikarzy poskładała do kupy podane przez brukowce informacje i naprędce skleiła osądzające mnie teksty, w których zawsze jestem przedstawiana jako ta zła. Śmieszne, prawda? Mówią mi, że jestem złą matką, że powinno mi się odebrać syna. Ale przecież to do niego wtedy pędziłam – powiedziała cicho Konarska. – W każdym razie, gdyby miała pani jeszcze jakieś pytania, proszę pisać. Podam pani maila, bo telefonów wołę nie odbierać – dodała.

Pożegnałyśmy się bardzo oficjalnie. Izabela wstała, podała mi rękę i lekko skinęła głową. Idąc w stronę wyjścia, zerknęłam na marmurowy gzyms olbrzymiego kominka, na którym stało

kilkanaście ramek ze zdjęciami. Syn Konarskiej, bo to musiał być on, miał wielkie zielone oczy, urocze dołeczki w policzkach i proste ciemne włosy, które odziedziczył po matce.

– Jest piękny – powiedziałam, a Izabela po raz pierwszy tego przedpołudnia dumnie się uśmiechnęła.

– I taki mój – szepnęła, a ja zrozumiałam, że chociaż potępiam to, co zrobiła, mam dla niej mnóstwo zwykłego ludzkiego współczucia.

Wieczorem po powrocie do domu uważnie obejrzałam wzięty z pobliskiej wypożyczalni cały film *Szakale*. Był marnej jakości, ale świetnie zrobiony. Konarska grała w nim dziewczynę sopockiego mafiosa wkręconą przez swojego chłopaka w narkotyki i pornobiznes i chociaż faktycznie wzięła udział w dość odważnych erotycznych scenach, jej rola była fantastycznie zagrana, a film dawał wiele do myślenia.

Dzień później, tuż przed ósmą rano, wbita w nową bluzkę i nieco przyciasne w pasie džinsy, weszłam do gabinetu naczelnego.

– Oddaję kluczyki – powiedziałam.

– Dzięki. Tylko znowu nie zaczynaj tej swojej gadki o służbowym aucie dla ciebie. Jak świetnie wiesz, nadal nas na to nie stać. – Stefan oderwał wzrok od monitora i przyjrzał się trzymanemu przeze mnie kubkowi z kawą. – Przez moment miałem nadzieję, że przyniosłaś ją dla mnie – dodał.

– Marzyciel – roześmiałam się, siadając naprzeciwko.

Stefan Król. Redaktor Naczelny – złocona tabliczka, którą mój przełożony zamówił na trzydziestolecie swojej pracy w naszej lokalnej gazecie, stała na jego masywnym dębowym biurku, częściowo przywalona jakimiś papierami. Na parapecie, tuż obok doniczek z ozdobnymi papryczkami, które od jakiegoś czasu hodował, leżało *Przebudzenie* Stephena Kinga, autora, którego z racji imienia i nazwiska od lat kupowaliśmy naczelnemu na każdą gwiazdkę i urodziny. Dzięki temu miał już w domu całkiem okazałą kolekcję dzieł króla horroru, a i my sami często pożyczaliśmy od niego co ciekawsze tytuły.

– Przeczytałeś już? – zapytałam.

– Co? – mruknął Stefan.

– Ostatniego Kinga.

– A, nie. Zostawiłem sobie na święta.

– Na święta dostaniesz pewnie coś nowego – zażartowałam.

– Jak było wczoraj? – zmienił temat naczelnny.

– Dobrze.

– A coś więcej? – Stefan odchylił się do tyłu, a wysłużone obrotowe krzesło złowrogo zaskrzypiało pod jego ciężarem.

– Żal mi jej. Fakt, mogła kogoś zabić, ale i tak jej współczuję.

– Dobrze, właśnie tego nam trzeba. Posłuchaj, o ten tekst poprosił mnie naprawdę dobry przyjaciel, dlatego daj z siebie wszystko. W Wigilię chcę to puścić na pierwszej stronie. Masz się odwołać do kobiecej solidarności i napisać cholerny wyciskacz łez, rozumiemy się?

– Stefek, domyślam się, że planujecie z przyjacielem wybielić ją w oczach opinii publicznej, ale ja nie jestem jej marketingowcem. Opiszę historię zaszczutej przez media matki, ale też kobiety, która niefrasobliwie wsiadła do samochodu po alkoholu. Tak to widzę.

– Piła wino, do cholery! Nie brała koki, nie chlała wody!

– Była pijana, Stefan!

– Posłuchaj, jeśli to spieprzysz, nieprędko powierzę ci ważny temat – zagroził mi naczelnny.

– Nie spieprzę tego, obiecuję. Po prostu nie spodziewaj się mdłej laurki.

– W Wigilię widzę to na pierwszej stronie!

– Powtarzasz się, staruszkule – mrugnęłam do niego, a on łypnął na mnie spode łba.

– Uważaj, żebym ja ci wieku nie wypomniał – burknął. – Ile to już czasu dla nas piszesz?

– Dwadzieścia dwa lata z drobnym okładem.

– Dwadzieścia dwa lata – Stefan z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Fakt, szmat czasu – przyznałam. – A z tematów było już chyba wszystko... Od wyburzenia starego hotelu przy dworcu, po dramatyczny poród trojaczek, wywiad z lokalnym gangsterem, wycieczkę śladami trucicieli wody, sprawę Dariusza K.

– A wiesz, że niedługo mają go wypuścić? Ścierwo! Zamordował trzynastoletniego dzieciaka i będzie chodził wolno!

– Co ci mam powiedzieć, Stefek? Świat to szambo. – Skrzywiłam się na wspomnienie głośnej przed laty sprawy trenera karate, który zakochany w jednym ze swoich wychowanków, miesiącami nękał chłopca i jego rodzinę, aż w końcu odebrał nastolatkowi życie.

– Jego ojciec nadal tu mieszka... Czasem widuję go w spożywczym i nie wiem, gdzie oczy podziąć... Taka tragedia... – Stefan podrapał się po porastającej jego czaszkę krótko obciętej siwej szczecinie i zerknął w stronę drzwi. – Moja Alina ma tu dziś wpaść. Uparła się, że przytaszczy choinkę. Cholerne święta! Możesz mi wytłumaczyć, kto to wymyślił i w jakim celu?

– Katolicy w celach komercyjnych – odpowiedziałam. Naczelny głośno się roześmiał.

– Zanim wyjdiesz, mam jeszcze pytanie. Co sądzisz o kąciku porad psychologicznych? Poprowadziłabyś go?

– A wyglądam ci na psychologa? Mam skończone trzy semestry filologii polskiej, przypominam na wypadek, gdybyś nie pamiętał...

– Taka niedouczone? – zażartował naczelny, jeszcze mocniej odchylając się na wysłużonym krześle. – A tak na poważnie, Julka, zastanów się nad tym. Wiesz, o co mi chodzi, prawda? Chyba że lepsze byłyby porady prawne... Tylko mi nie mów, że nie jesteś prawniczką! Ręką w rękę z doktorem Google'em poradzisz sobie ze wszystkim.

– Psychologię mogę na siebie wziąć, ale o poradach prawnych zapomnij! Nie znam się na paragrafach, poza tym tutaj już naprawdę trzeba specjalisty. Pochrzanimy coś i jeszcze skończymy w sądzie. Mało mamy problemów? – przystopowałam szefa.

– Dobra, pewnie masz rację. Ale gdybyś znała jakiegoś godnego polecenia prawnika, to...

– Stefek, nikt ci tego nie będzie ogarniał za darmo! Masz kasę na zbyciu? Bo wydaje mi się, że nie!

– Niby tak, ale przecież to byłaby świetna reklama dla jakiejś kancelarii, poza tym...

– Nie potrzebujemy porad prawnych! Od wielu lat informujemy mieszkańców o lokalnych dramatach, wypadkach, pogrzebach, festiwalach, otwarciach nowych sklepów i bibliotek. I tyle! Tak działaliśmy zawsze i to się sprawdza.

– Gdybyś ty chociaż raz mnie poparła, dziewczyno – westchnął Król.

Sekundę później odezwała się jego komórka.

– Córka numer trzy – mruknął, zanim sięgnął po telefon.

Uśmiechnęłam się pod nosem i zerknęłam na wiszące na ścianie za biurkiem zdjęcie, na którym Stefek w otoczeniu żony i czterech córek zdmuchuje świeczki na swoim urodzinowym

torcie.

Dobry z niego człowiek, pomyślałam. Ciepły, rodzinny, życzliwy. Wspaniały szef, oddany kolega, interesujący rozmówca. Kiedyś, lata temu, kiedy byłam początkującą dziennikarką, był dla mnie jednym z niewielu prawdziwych autorytetów. Teraz nie patrzę już na niego tak bezkrytycznie, ale sympatia pozostała. Dobrze się pracuje z kimś, kto czasem ustąpi i pozwala postawić człowiekowi na swoim. Przez te dwadzieścia dwa lata zżyliśmy się tak, że traktuję go jak kogoś z rodziny. Kiedy miał operację przepukliny, w towarzystwie jego córek czuwałam na szpitalnym korytarzu. Kiedy ja wpadłam w długi, to on pożyczył mi pieniądze. Lubimy się, wspieramy i szanujemy, pewnie dlatego, pomimo raczej marnych zarobków i sporej liczby nadgodzin, jeszcze nie odeszłam z tej pracy i chyba nigdy tego nie zrobię. Nie, dopóki to Stefek jest tutaj naczelnym, pomyślałam, wychodząc na korytarz.

Dopiero zasiadając w swoim niewielkim przeszklonym boksie, przypomniałam sobie, że zostawiłam u szefa kubek z niedopitą kawą. Nie chciałam mu jednak przeszkadzać w prywatnej rozmowie, usiadłam więc za biurkiem, włączyłam komputer i przejrzałam to, co udało mi się napisać we wstępnym szkicu do artykułu o Izabeli Konarskiej.

Stefan zjawił się u mnie dziesięć minut później i postawił kawę na moim biurku.

– Następnym razem zwolnię cię za to dyscyplinarnie – rzucił rozbawionym tonem.

– Oj, szybko byś się za mną stęsknił – uśmiechnęłam się zalotnie, a on parsknął śmiechem.

– Pewnie tak – mruknął. – Magda jest w ciąży – dodał, przystając w progu.

– Żartujesz?! To świetne wieści! Przecież tak długo starali się z Maćkiem o dziecko!

– No wieści świetne, fakt. Szkoda tylko, że dowiedziałem się tego z Facebooka...

– Co? – roześmiałam się. – Myślałam, że powiedziała ci przez telefon. To ona dzwoniła, tak?

– Ona, ale nie miała wiele czasu, bo z kimś się tam umówiła. Powiedziała tylko „tatusiu, wejdź na Fejsa”, życzyła mi dobrego dnia i tyle ją słyszałem. Więc wchodzę na jej profil, a tam gigantyczny bocian z dzieckiem w beciku i hasło „w końcu się spodziewamy!”. Z Facebooka, wyobrazasz sobie?!

– Takie czasy. W każdym razie gratuluję! Może tym razem będzie wnuk? Cztery córki, trzy wnuczki... Przydałby się jakiś chłopak.

– Ach, w tej kwestii porzuciłem już wszelką nadzieję – machnął ręką Stefan. – Dobra, to już ci nie przeszkadzam. I pamiętaj – wyciskacz łez! – dodał jeszcze, zanim wyszedł.

Do pracy usiadłam, posilając się zbożowym batonikiem. W głowie miałam mętlik. Tak, w dużej mierze współczułam Konarskiej, ale nie chciałam też bagatelizować jej wysokości. Śmierć na polskich drogach nadal zbierała żniwo, a pijani kierowcy stanowili grupę, której szczególnie nienawidziłam. Zdawałam sobie jednak sprawę z presji ze strony naczelnego, a w pamięci nadal miałam pełne łez oczy aktorki, która opowiadała mi o synku i konieczności gnania mu na ratunek.

Mama zadzwoniła, kiedy dopijając zbyt mocną kawę, beczynn timer wpatrywałam się w migający kursor na pustym arkuszu Worda. Odebrałam, niemal strącając z biurka kubek, i cicho zaklęłam. Od rana wszystko leciało mi z rąk, ewidentnie miałam jakiś lewy dzień...

– Mamuś, nie bardzo mogę teraz rozmawiać – zaczęłam z nadzieją, że matka nie zdąży się rozgadać. – Mam duży artykuł do napisania, poza tym...

– Ale jak to nie możesz rozmawiać? Przecież obiecałaś, że dzisiaj podejdziesz ze mną do kardiologa na umówioną wizytę! – obruszyła się moja rodzicielka, tradycyjnie wchodząc mi w słowo.

– To dzisiaj?! – przeraziłam się, zerkając na kalendarz z półnagimi, cynamonowymi panienkami, który dla żartu sprawili mi redakcyjni koledzy. – Przepraszam, myślałam, że to dopiero jutro.

– Dzisiaj, przecież chyba sto razy ci mówiłam! Za czterdzieści minut powinniśmy być w przychodni! Dzwoniłam do ciebie dwa razy, ale oczywiście nie odbierasz! – Wyrzuty w głosie matki wyraźnie się nasiliły.

– Wyciszyłam telefon, rano mieliśmy zebranie, a później...

– Mniejsza z tym! – weszła mi w słowo rodzicielka. – Zbieraj się!

– Mamo, a nie mogłabyś...

– Za czterdzieści minut! Widzimy się na miejscu! – Matka nawet nie udawała, że rozumie mój brak czasu.

Rozłączyła się, zanim zdążyłam cokolwiek dodać, a ja zostałam z telefonem w ręku i kolejnym obowiązkiem na głowie.

– Szlag by to wszystko – szepnęłam i dokończyłam leżącą na biurku chałwę.

Dieta od nowego roku, uśmiechnęłam się pod nosem i wyjęłam z kosmetyczki frotkę, którą w pośpiechu związałam włosy. Matka nie cierpiała, kiedy nosiłam kucyk i pewnie właśnie dlatego tak tę fryzurę lubiłam... Szukając szalika, podniosłam z podłogi dwie czyste kartki, które rano wpadły pod moje biurko, i podlałam mizerną paprotkę, dogorywającą w różowej donicy zupełnie niepasującej do jej opłakanego stanu.

– Posłuchaj, jeśli zdążysz, napisz mi jeszcze jakąś notkę z otwarcia...

– Konrad, dziś na pewno z niczym nie zdążę – weszłam w słowo redakcyjnemu koledze, który zajął za moje przepierzenie. – Muszę wyjść, wybacz.

– Jasne, sorry – kumpel wzruszył ramionami i pospiesznie się wycofał.

Płaszcz założyłam już w windzie. Chwilę później wyjęłam z torebki telefon i przejrzałam nieodebrane połączenia. Matka rzeczywiście dzwoniła dwa razy, młodsza córka też usiłowała się ze mną skontaktować. W drodze na przystanek wybrałam jej numer, mając nadzieję, że Olga chciała jedynie pogadać, bo na żaden kolejny rodzinny dramat nie byłam gotowa ani fizycznie, ani psychicznie. Odebrała po ósmym dzwonku, kiedy już miałam się rozłączyć.

– Cześć, mysza. Dzwoniłaś – zaczęłam.

– No tak, bo pomyślałam, że może być dzisiaj do mnie wpadła? Położysz mi farbę na głowę,

pogadamy – powiedziała córka. – A trzymam w zanadrzu parę naprawdę mocnych newsów! – kusiała moja młodsza latorośl.

– Olguś, nie wiem, czy dzisiaj dam radę. Mam sporo na głowie...

– Mamuś, proszę! Stęskniłam się. – Olga nie zamierzała ustąpić i w końcu się zgodziłam.

– Ale będę dopiero koło dwudziestej, bo muszę jeszcze popracować – zastrzegłam.

– Okay, fajnie! – ucieszyła się córka. – To pa!

– Pa, kochanie – powiedziałam, ale Olga zdążyła się już rozłączyć.

Mijając jedną z kamienic tuż obok przystanku, zerknęłam w okna szkoły językowej na parterze, gdzie w rześście oświetlonej sali kilkoro młodych ludzi zaśmiewało się z czegoś, wpatrując się w olbrzymi ekran telewizora. Do przychodni, w której przyjmował doktor Dębski, dotarłam w niecałe dwadzieścia minut – zdyszana, zmęczona i głodna, bo oprócz trzech kaw i resztki chałwy, od rana nie miałam w ustach niczego konkretnego.

Matka czekała na mnie przy przeszklonym wejściu, przeglądając jakąś kolorową ulotkę.

– Piszą, że można schudnąć od akupunktury – powiedziała, zanim wrzuciła kolorową broszurę do przepełnionego kosza, wokół którego walały się śmieci.

– Nie wiedziałaś? – zdziwiłam się.

– Niby skąd? Chinką nie jestem – mruknęła.

– Świetnie wyglądasz – pocałowałam ją w policzek, bo faktycznie wyjątkowo korzystnie wyglądała w rozjaśnionych niedawno na płatyne włosach, które w dodatku nieco podgoliła z jednego boku, nadając krótkiej fryzurze modnej asymetrii.

Do tego odważna czerwona szminka, dzinsy i krótka czarna kurtka z fantazyjnie wywiniętym kołnierzem. Jedno jest pewne – nie wyglądała na swoje siedemdziesiąt lat i nikt jej tyle nie dawał.

– Co to za płaszcz? – zapytała, kiedy wchodziliśmy do środka.

– Stary – powiedziałam, nie wdając się w dyskusję.

– Wyglądasz na zmęczoną – zauważyła, kiedy weszliśmy do przestronnego korytarza z recepcją w głębi.

– Jestem zmęczona. Daj, powieszę. – Wzięłam od niej kurtkę i powiesiłam ją na wieszaku.

– Siadaj, odpocznij, mów, co u ciebie! – Matka zajęła nam dwa miejsca w wygodnych, obitych szarą tkaniną fotelach i wyjęła z torebki lusterko, w którym przez dłuższą chwilę się przeglądała. – Myślałam o kolejnym botoksie, ale chyba jeszcze poczekam... Tobie też by się przydał. Doktor Robert mówi, że...

– Mamo, nie dam sobie wstrzyknąć w twarz jadu kiełbasianego! – syknęłam, a matka głośno się roześmiała.

– No, ale przecież to zupełnie bezpieczne! Zobacz, jakie są efekty! Wyglądam piętnaście lat młodziej! – Matka jeszcze raz przejrzała się w lusterku i w końcu schowała je do torebki.

W tym samym momencie z gabinetu wyszedł kardiolog matki, doktor Dębski, a moja rodzicielka zerwała się z fotela i pognała w jego kierunku.

– Doktorze kochany, jak dobrze pana widzieć! Zrobiłam wszystkie badania i tak sobie myślę,

że może byśmy...

– Proszę usiąść i poczekać, aż panią poproszę – wszedł jej w słowo lekarz, który, pomimo wylewnego powitania ze strony mojej matki, wyglądał tak, jakby nie miał pojęcia, kim ona jest.

Matka, lekko zmieszana, przystanęła na środku poczekalni, szybko jednak odzyskała właściwy sobie rezon. Poprawiła włosy, przejrzała się w wiszącym na ścianie lustrze i z powrotem usiadła na miejscu.

– Przepracowany, to i niecierpliwy – mruknęła. – Ale podobno jest w separacji! A ta jego żona, też zresztą lekarka, prowadzi ponoć świetnie prosperującą klinikę...

– Mamo! – syknęłam.

– No co? Przecież to żadna tajemnica. Wszyscy wiedzą, że ona sobie kogoś znalazła – wzruszyła ramionami matka. – Słuchaj, a ty się ostatnio widziałaś z Matyldą? – zmieniła temat.

– Tak, czemu pytasz?

– No jak to, czemu? Przecież ja się całymi dniami o nią zamartwiam! No bo wygląda na to, że z tym Brianem to ona już tak na poważnie...

– Kochają się, to chyba dobrze? On ma świetne podejście do Kamili, od początku traktował ją jak własną córkę.

– Własną córkę?! – zachnęła się matka. – Przecież nikt o zdrowych zmysłach nie weźmie go za jej ojca! Jest czarny jak smoła, a ona...

– Wiesz, zawsze, kiedy myślę, że niczym mnie już nie zaskoczysz, tobie się jednak udaje. Czarny jak smoła? Od kiedy jesteś rasistką? – zapytałam cicho.

– Odkąd moja wnuczka związała się z Murzynem! – syknęła.

Skrzywiłam się, bo ta rozmowa mocno podniosła mi ciśnienie.

– Jakie to ma znacznie, mamusiu? – powiedziałam. – Kochają się, są ze sobą szczęśliwi, a Brian to świetny chłopak! Wiesz, jak Matyldzie byłoby przykro, gdyby to wszystko słyszała?

– Przykro? Trudno! Mówię, co myślę! Może i on jest świetny, ale tu nie Londyn! Tu ludzie nie są aż tak tolerancyjni, nie rozumiesz tego?! Ona jeszcze nie jeden raz usłyszy gorzkie słowa! Naraża siebie i dziecko, taka jest prawda! – matka pokiwała głową i zapatrzyła się w ścianę. – Tylu młodych chłopaków się przy niej kręciło, a ona musiała się z czarnym związać?! Co to za moda teraz na takie zabawy?! Jak w nią ktoś kiedyś kamieniem rzuci na ulicy, to obie zmądrzejecie! To jest prowincja, Juleczko, nie wielki świat! On się tutaj wyróżnia, nie pasuje...

– Prowincja?! I co? Na prowincji ludzie nie potrafią zrozumieć miłości?! – podniosłam głos.

– Nie musisz od razu się wściekać. Po prostu się o nią martwię – powiedziała matka.

– To przestań się martwić, bo u nich wszystko w najlepszym porządku! – zapewniłam ją, czując, że trzęsą mi się ręce.

Dziwne, bo zazwyczaj, chociażby z racji wykonywanego zawodu, byłam opanowana, ale nikt nie potrafił aż tak wytrącić mnie z równowagi, jak moja matka...

– Zazdroszczę ci tej niefrasobliwości, wiesz? Tej twojej ślepoty i nieumiejętności przewidzenia pewnych zdarzeń! A Matylda też powinna być mądrzejsza! Ma w końcu małe dziecko! – westchnęła, uparcie drążąc temat.

– Wybacz, muszę zadzwonić – skłamałam i wyjęłam z torebki komórkę.

Matka nie odpowiedziała.

Przyglądając się swoim pomalowanym na bordowo paznokciom, zapatrzyła się w zamknięte drzwi gabinetu doktora Dębskiego.

Na zewnątrz wyszłam w narzuconym na ramiona płaszczu. Z komórką w ręku i osłaniając się od wiatru, stanęłam za wysokim murem przed ośrodkiem zdrowia. Z eleganckiej terenówki wysiadł młody łysiejący blondyn z torbą lekarską w dłoni, gdzieś za moimi plecami ktoś przeciągle zatrąbił. Zmarzłam niemal od razu, wciąż silnie wiało i trzymał lekki mróz. Włożyłam płaszcz i w pośpiechu zaczęłam go zapinać. Lekarz, podrzucając w dłoni kluczyki od swojego audi, wbiegł po starannie odśnieżonych schodkach i zniknął za przeszklonymi drzwiami. Marzyłam o papierosie. Oczywiście, świetnie rozumiałam, co miała na myśli moja matka. Sama przecież kilkakrotnie pisałam artykuły dotyczące napadów o rasistowskim podłożu i o brutalnych pobiciach ciemnoskórych cudzoziemców. Wierzyłam jednak, że Briana nie spotka nic złego. Ufałam, że otaczają nas dobrzy, życzliwi ludzie, którzy nie byłiby zdolni do żadnego aktu bestialstwa. Przecież on tu mieszkał od paru lat, nie zrobił nic złego! Uczył w szkole językowej, był dobrym człowiekiem. Czy sam fakt, że jego dziadkowie pochodzili z Kenii, może działać na jego niekorzyść? On wychował się już w Londynie, dorastał w kilkumilionowym kotle kulturowym, gdzie jego ciemna skóra na nikim nie robiła wrażenia. Ale tutaj, w naszym niewielkim prowincjonalnym miasteczku, nie wszystkim podobał się fakt, że moja córka spotyka się z ciemnoskórym mężczyzną, którego poznała w nocnym klubie na przedmieściach Londynu. Tylko czy był sens przejmować się tymi, którzy wtykali nos w nie swoje sprawy? – zastanawiałam się, podchodząc do drzwi.

Wracając do poczekalni, miałam nadzieję, że Dębski poprosił już moją matkę na wizytę. Niestety... Siedziała, przeglądając ilustrowany magazyn, na mój widok wyraźnie się ożywiła.

– Zapomniałabym o najważniejszym! Siadaj, zaraz ci wszystko powiem! Tylko się nie złość, bo tym razem to naprawdę...

– Mamo, jeśli po raz kolejny chcesz mi wcisnąć jakiś wybrakowany towar, to przysięgam, że szybko się do ciebie nie odezwę!

– Ale czemu zaraz wybrakowany, Julciu?! Rozwodnik, metr osiemdziesiąt sześć, piękny mężczyzna z własnym mieszkaniem, w dodatku inżynier! Mówił, że szuka kogoś na stałe i nie w głowie mu skakanie z kwiatka na kwiatek, a...

– A w wersalce rozkładają się zwłoki jego czwartej żony – rzuciłam żartem, który oczywiście matki nie rozśmieszył. – Mamuś, wiem, że chcesz dobrze, ale to, że prowadzisz biuro matrymonialne, nie znaczy, że co tydzień będę chodzić na randki z twoimi klientami!

– Jak chcesz, Juleczko, jak chcesz... Tylko pamiętaj, że ja któregoś dnia odejdę, a twoje córki już teraz mają własne życie i zanim się obejrzyysz, nie będziesz miała z kim słowa zamienić!

– Kota sobie kupię i będę do niego gadać. Albo gekona.

– Z gekonem do łóżka nie pójdziesz, a kot cię nie zaprosi do restauracji – stwierdziła matka.

– No to jest jeszcze Stefan. Do pogadania, nie do łóżka – sprecyzowałam. – Do niego też zawsze mogę zadzwonić, nawet w środku nocy. – Uśmiechnęłam się na myśl o naszym redaktorze naczelnym, a matka, która nigdy nie darzyła go sympatią, wymownie się skrzywiła.

– Stefan! Też mi pociecha dla młodej atrakcyjnej kobiety, wyliniały dziadyga z piwnym

brzuszykiem! – parsknęła.

– Na wypadek, gdybyś zapomniała, mam jeszcze siostrę – mruknęłam.

– No tak, masz jeszcze siostrę... A kiedy ostatnio się z Iloną widziałyście? Dzieli was niecałe dwadzieścia kilometrów, a widujecie się dwa, góra trzy razy w roku! Rozumiem, że po tym, co się stało możesz mieć...

– Nie mam ochoty rozmawiać o tym, co się stało, mamo! – weszłam jej w słowo.

Matka chciała jeszcze coś dodać, ale z gabinetu doktora Dębskiego wyszła szczupła ciemnowłosa kobieta, więc poderwała się z krzesła.

– Miej oko na moją kurtkę – przykazała mi, zanim weszła do środka, a ja wywróciłam oczyma dokładnie tak, jak robiły to czasem moje córki.

Czy ona oszalała? Kto niby miałby się połasić na jej kurtkę? – pomyślałam, nie kryjąc poirytowania. Czekając na nią, zjadłam kanapkę, którą zrobiłam sobie do pracy, i starając się nie myśleć o Ilonie, przeczytałam artykuł o rzekomo ostatnim kieliszku pewnego rodzimego pisarza. Oczywiście, miałam lekkie wyrzuty, że tak siostrę zaniedbałam, ale to przecież ona odsunęła się od nas wszystkich...

Mama była w gabinecie doktora Dębskiego ponad dwadzieścia minut, ale wyszła z niego dosłownie rozpromieniona.

– Cóż to za uroczy człowiek z tego doktora, fantastyczny! – paplała, kiedy podawałam jej kurtkę.

– A jak twoje serce, skoro już jesteśmy u lekarza? – zapytałam, a matka tylko machnęła ręką.

– Nieznaczny niedobór potasu, poza tym wszystko dobrze. Jak na mój wiek, oczywiście...

– No i widzisz. Tutaj botoks nie pomaga – wbiłam jej szpilę i od razu zrobiło mi się głupio. – Przepraszam, mamo...

– I powinnaś – mruknęła. – Jadłaś dzisiaj coś konkretnego? Bo mam łazanki, gdybyś miała ochotę.

– Nie, muszę wracać do redakcji. Mówiłam ci, że mam pilny artykuł do napisania.

– O czym tym razem? – zapytała matka, wiążąc na szyi swoją ulubioną jedwabną apaszkę.

– Piszę kilka rzeczy na raz, między innymi o Izabeli Konarskiej. Kojarzysz?

– Czy kojarzę? Żartujesz? Przecież ona tak genialnie zagrała w *Szagalach*, że powinna za to dostać Oscara! – zachwyciła się matka.

– To ta pijaczka, co to się porsche rozbijała po stolicy? – wtrąciła siedząca w fotelu obok starsza kobieta. – I o takich artykuły piszą, zamiast o porządnym ludziach – dodała kąśliwym tonem.

Nie odpowiedziałam.

Odwróciłam się do niej plecami i ruszyłam w stronę drzwi, ale w matkę jakby coś wstąpiło.

– Niech się pani nie wtrąca w prywatne rozmowy! – ofuknęła kobietę. – A Konarska może i była pijana, ale nie ona jedna! Gdyby była mężczyzną, uszłoby jej to płazem! Ale na kobietę zawsze można splunąć i zrobić z niej kozła ofiarnego, ot tak, dla przykładu!

– Mamo, uspokój się – zawróciłam i złapałam ją pod rękę. – Chodźmy, szkoda czasu na takie

jałowe dyskusje.

– Dyskusja może i jałowa, ale gdyby to pani dziecko pijana paniusia potrąciła, to nie tak by pani gadała! – rzuciła kobieta, zanim wstała i nie dodając nic więcej, z malującym się na twarzy oburzeniem, weszła do łazienki dla pacjentów.

– Słyszałaś to?! Znalazła się mądra! Z córką rozmawiam, a ona się wtrącać będzie! – Matka wyglądała na mocno wzburzoną, dawno nie widziałam jej w takim stanie.

– Mamuś, zapomnij, okay? Świata nie zmienisz, nie ma się co unosić. A Konarska faktycznie była pijana – powiedziałam cicho.

Matka nie odpowiedziała i w milczeniu doszliśmy do jej volkswagena.

– Wsiadaj, podrzucę cię – powiedziała w końcu.

– Daj spokój, musiałyś jechać naokoło – powiedziałam, nie bardzo miałam ochotę na kontynuowanie rozmowy o Matyldzie, moim życiu i całej reszcie.

Ale matce nigdzie się tym razem nie spieszyło.

– Tym lepiej – wzruszyła ramionami. – Przynajmniej będziemy miały okazję, żeby jeszcze chwilę porozmawiać – dodała, a mnie zrobiło się głupio, bo ostatnio rzeczywiście nie poświęcałam jej zbyt wiele czasu...

Wręcz przeciwnie, zajęta pracą, zagoniona i zestresowana, wręcz się od niej opędzałam. Pewnie dlatego, że ostatnimi czasy każda nasza rozmowa kończyła się jej krytycznymi uwagami bądź radami, których nie miałam ochoty wykorzystywać.

– Więc? – matka wyjęła z torebki kluczyki i podała mi znaleziony na dnie zbożowy batonik. – Zjedz coś – wcisnęła mi go w rękę i poprawiła mi szalik.

– Okay, jadę z tobą. Obiecuj, że nie zaczniesz mi stręczyć kolejnych klientów swojego biura – rzuciłam lekkim tonem.

– A, na to już chyba nie mam siły. Wsiadaj, zimno jest. – Otworzyła samochód i zebrała stos kolorowych broszur z siedzenia pasażera.

W aucie było chłodno. Otuliłam się szalem, podczas gdy matka zasiadła na fotelu kierowcy i przez dłuższy moment ustawiała lusterko.

– Nie rozumiem, czemu ty sobie w końcu nie kupisz samochodu? – zapytała, wycofując na ciasnym parkingu przed przychodnią i przez jedną chwilę miałam upiorne wrażenie, że rąbnie w bok eleganckiej terenówki jasnowłosego doktora.

Nic takiego się jednak nie stało, a matka płynnie włączyła się do ruchu.

– Po co mi auto, mamuś? Do redakcji mam parę przecnic piechotą, a na wyjazdy w teren Stefek daje mi kluczyki od swojego wozu i jest okay.

– Każda kobieta potrzebuje samochodu! Nie byłabyś przynajmniej zdana na łaskę i niełaskę nieuprzejmych taryfiarzy.

– Ale ja jakoś zawsze trafiam na tych uprzejmych – powiedziałam, zapinając pasy.

– Bo uwierzę – mruknęła matka, ale nie kontynuowała tematu. – A co u tego twojego sąsiada? – zapytała, kiedy wjeżdżaliśmy w ulicę, przy której mieściła się siedziba naszego dziennika.

– Którego?

– No tego dziwaka, co z domu nie wychodzi. Młody chłopak i nosa z mieszkania nie wyściubia! Co teraz są za czasy...

– Nie wiem, co u niego, bo widziałam go raptem ze trzy razy w życiu, zazwyczaj z daleka.

– No, ale wiesz chociaż, czemu on tak w tym mieszkaniu siedzi? – drążyła temat, szukając jednocześnie wzrokiem miejsca do zaparkowania.

– Nie wiem, mamuś, ale jestem pewna, że gdybyś zadzwoniła do jego drzwi i zapytała, wszystko by ci opowiedział.

– Nie bądź zgryźliwa, wiesz, że tego nie lubię! Zapytać chyba mogę? – matka zjechała na chodnik, wyłączyła silnik i pogłaskała mnie po twarzy. – Jutro urodziny twojego ojca, pamiętasz? Zadzwoń do tego starego piernika i pozdrów go ode mnie.

– Ty nie zadzwonisz?

– Wiesz, że nie. W dniu, w którym zostawił mnie dla tej kelnerki, stracił wszystko! Życzenia ode mnie też!

– Zadzwonię – obiecałam, uśmiechając się na myśl o Karen, pięćdziesięciokilkuletniej Amerykance, właścicielce sieci restauracji na przedmieściach Sztokholmu, dla której tato jakiś czas temu zostawił mamę.

Rozeźlona i upokorzona, matka zawsze nazywała ją kelnerką, chociaż Karen posiadała imponującą dużą willę, letni nadmorski domek z sauną i dwa terenowe samochody.

– Pa, mamuś! Dzięki, że mnie podwiozłaś – pocałowałam ją w policzek i wysiadłam na mróz.

Wchodziłam do budynku, kiedy kątem oka zauważyłam, że mama wysiada z samochodu.

– Julka, czekaj! Zapomniałam! Kupiłam ci skarpety! Zawsze narzekasz, że marzną ci nogi, a była przecena... – dogoniła mnie przed drzwiami i wcisnęła mi w rękę parę wzorzystych, kolorowych skarpetek.

– Jezu, mamuś – roześmiałam się, mając nadzieję, że nikt z naszej redakcji nie był przypadkowym świadkiem tej sceny.

Ulica była jednak pusta, a matka miała taką rozradowaną minę, że sama parsknęłam śmiechem.

– Dziękuję, na pewno będę nosić – obiecałam.

Przesłała mi w powietrzu całusa i ruszyła w stronę swojego samochodu, a ja poczułam dziwny skurcz w sercu. Rzadko się dogadywałyśmy, jednak kochałyśmy się miłością znaną tylko matkom i córkom – pogmatwaną, zawilą, trudną, ale niekłamana i prawdziwą. Powinnam być dla niej miłsza, pomyślałam, wchodząc do budynku i nagle naszło mnie takie straszne, upiorne przecucie, że więcej jej nie zobaczę...

– Mamo! – krzyknęłam, wybiegając z powrotem na przysypaną śniegiem ulicę.

Spojrzała w moją stronę wyraźnie zaskoczona i z ręką na klamce samochodu poczekała, aż do niej podejść. Kocham cię, chciałam powiedzieć, ale nie zdołałam z siebie tych słów wydusić. Dlatego tylko ją przytuliłam i stałam tak przez całą wieczność, na mrozie, wdychając znajomy, ciężki zapach jej perfum, a ona głaskała mnie po głowie kojącym matczynym gestem i tuliła do siebie, dopóki obie nie zaczęłyśmy drzeć z zimna – ja w rozpiętym płaszczu i ona w kusej, zdecydowanie zbyt cienkiej kurtce.

– Uważaj na siebie – powiedziałam w końcu.

– Niezmiennie. – Matka, chyba lekko zażenowana moim niecodziennym przypiływem czułości, mrugnęła do mnie, przejrzała się w bocznym lusterku i wsiadła do samochodu.

Kiedy odjechała, pomyślałam, że to takie smutne. Przez te wszystkie lata żyłyśmy tuż obok, dzieląc się tysiącami zupełnie zbędnych informacji i krążąc gdzieś wokół siebie, ale tak niewiele między nami było czułości. Wiedziałam, że moja babcia też nigdy mojej mamy nie tuliła i nagle zaczęłam się zastanawiać, czy ja jestem wystarczająco ciepła w stosunku do córek i wnuczki.

– Julka, czekaj! – z zamyślenia wyrwał mnie głos Konrada, który znalazł się w budynku w momencie, w którym ja weszłam na półpiętro. – Idziemy dzisiaj na bilard, dołączysz? – zapytał.

– Nie mogę, umówiłam się z córką.

– Szkoda. – Konrad przepuścił mnie w drzwiach do redakcji i dodał, że mam na policzku szminkę.

– Matka mnie podrzuciła – wyjaśniłam, a on zerknął na trzymane przeze mnie skarpety i szczerząc się w szerokim uśmiechu zasiadł za swoim biurkiem.

Parząc herbatę, pomyślałam o siostrze. Ilona dzwoniła do mnie kilka dni temu, ale nie usłyszałam telefonu, a później zapomniałam oddzwonić. Zła siostra, zła córka, zła matka... Nie, do ciężkiej cholery! Nie mogę się o wszystko obwiniać! – powiedziałam sobie. Nie byłam idealną córką, nie byłam idealną siostrą i z całą pewnością nie byłam idealną matką i babcią, ale w końcu kto z nas jest? – pomyślałam, wyjmując z lodówki truskawkowy jogurt.

Stefan wszedł do naszej małej kuchni, kiedy dopijałam herbatę.

– Z kim cię dzisiaj swatała twoja krwiożercza macierz? – zażartował. – Widziałem przez okno, jak wysiadłaś z jej samochodu.

– Dzisiaj nie dałam się wyswatać z nikim, jeśli już musisz wiedzieć.

– Kamień z serca – zarechotał mój naczelny i nagle spoważniał. – Zdążysz z tekstem o Konarskiej?

– Będzie na czas – zapewniłam go.

Pokiwał głową i ruszył w stronę drzwi.

– Masz szminkę na policzku – rzucił jeszcze, zanim wyszedł, więc wyjęłam z torebki chusteczki i przeglądając się w małym lusterku do makijażu, starłam ze skóry ślad krwistoczerwonego matczynego pocałunku.

Wieczorem, z siatką pełną frykasów, zadzwoniłam do drzwi młodszej córki. Dotarłam co prawda mocno spóźniona, ale przed wyjściem zdążyłam usmażyć dla niej naleśniki i zrobić jej ulubioną sałatkę z kukurydzą, porem i ananase. Niestety ucierpiała na tym praca i wiedziałam już, że czeka mnie pół nocy ślęczenia przed laptopem. Nie żałowałam jednak tych kilku godzin snu – moje dziewczyny zawsze były dla mnie najważniejsze.

Olga otworzyła mi w czarnych getrach i kusej czerwonej koszulce, ze związanymi w wysoki kucyk włosami – ostatnio miała niemal obsesję na punkcie dbania o figurę, więc pewnie niedawno skończyła ćwiczyć. Na szczęście nadal dopisywał jej apetyt i nie stosowała żadnych drakońskich diet, które różnie mogły się skończyć. A przynajmniej nic mi nie wiadomo, żeby na jakiejś diecie była.

– No cześć, maminko! Wreszcie jesteś, bo prawdę mówiąc, już miałam do ciebie dzwonić! To dla mnie? – młodsza córka dosłownie wciągnęła mnie do mieszkania i zatrzasnęła nogą frontowe drzwi. – Mogłaś zadzwonić, że się spóźnisz, to bym się tak nie spieszyła z ogarnięciem kuchni. A nawet sobie nie wyobrażasz, jaki miałyśmy chlew – Olga pocałowała mnie w policzek, wyjęła mi z ręki reklamówkę i zajrzała do środka. – Naleśniki! O, pierogi też są! – ucieszyła się.

– Kupne, ale za to ruskie – uśmiechnęłam się, ściągając szalik.

Rozpinając płaszcz rozejrzałam się po wąskim, niemiłosiernie zagraconym przedpokoju.

– Widzę, że do całego tego bajzlu przybyła wam jeszcze snowboardowa deska – rzuciłam lekkim tonem, a córka wymownie wywróciła oczami.

– Brat Kaśki miał ją tu zostawić tylko na parę dni i oczywiście zagraca nam chatę od jakiegoś miesiąca. – Dzięki za całe to żarcie, mamuś! Akurat krucho u mnie z kasą, więc będzie jak znalazł – dodała, wzięła ode mnie płaszcz i odwiesiła go na przepełniony wieszak, który wyglądał tak, jakby zaraz miał runąć.

– Jesteś sama? – zapytałam, kiedy weszliśmy do niewielkiej, utrzymanej we wszystkich odcieniach granatu kuchni, która rzeczywiście aż lśniła czystością.

– Tak. Wiolka pojechała do Kielc odwiedzić rodziców, a Kaśka jest we Włoszech. Mówiłam ci już chyba, że próbuje swoich sił jako modelka i załapała się do jakiejś sesji foto nad jeziorem Como. W każdym razie chwali się tym wyjazdem tak żenująco, że słabo się robi. Tylko dzisiaj wrzuciła na Facebooka chyba ze trzydzieści fotek z okolicy, w której mieszka, i dodatkowo parę zdjęć z backstage'u. A wczoraj poznała ponoć na imprezie jakiegoś superseksownego włoskiego aktora i chwali się, że wziął od niej numer telefonu!

– Też bez przerwy się chwaliłaś, kiedy poleciałaś na Erasmusa. Pamiętam dziesiątki póź i setki zdjęć z hiszpańskimi krajobrazami w tle – klepnęłam córkę w tyłek, a ona parsknęła śmiechem.

– No fakt, mój album z Malagi pęka w szwach – przyznała. – Zjesz coś?

– Nie, dziękuję, córciu. Przed wyjściem zjadłam naleśniki. To co? Pomóc ci z tym farbowaniem?

– Tak, i to teraz, bo na jutro muszę mieć zrobione włosy! – córka ruszyła w stronę drzwi

i ponagliła mnie. – Chodź, zaraz rozmieszam farbę!

W niewielkiej, mikroskopijnej wręcz łazience panował nieprawdopodobny bałagan. Ale czy mogło to wyglądać inaczej w ciasnym mieszkaniu dzielonym przez trzy młodziutkie kobiety? Kosmetyki były wszędzie – na pralce stał olbrzymi wiklinowy kosz pełen lakierów do włosów, tubek z samoopalaczem, balsamów, szamponów i innych drobiazgów. Na parapecie, ułożone w równym rzędzie stały płyny do kąpieli, dalej perfumy, lakiery do paznokci i odżywki do włosów. Na podwieszonym pod samym sufitem sznurze wisiało kilkanaście par koronkowych majtek i kilka staników.

– Sorry, wiem, że to żenująca wystawa, ale tutaj nie zdążyłam posprzątać – mruknęła Olga, sięgając po szklaną miskę, w której zamierzała rozmieszać farbę. – Ledwo się mieścimy. Jak widzisz, jest tu zwyczajnie zbyt ciasno. No i te poranne batalie o łazienkę...

– Może powinnaś poszukać innego mieszkania? – zasugerowałam, a córka parsknęła śmiechem.

– Mamuś, ta dziupla jest jedną z niewielu, na jakie mnie stać – skrzywiła się.

– Dołożyłabym ci trochę, przecież...

– Nie chcę! – Olga wycisnęła do miski zawartość opakowania z farbą i dodała utleniacz. – Żle bym się czuła, biorąc od ciebie kasę. Poza tym i tak stale mi coś wciskasz, a finansowo chyba ci się nie przelewa?

– Głodem też nie przymieram – odpowiedziałam nieco urażona tak ostrą odmową córki, a moja młodsza pociecha usiadła na taborecie i wyciągnęła do mnie miskę z farbą.

– Nakładaj. Masz rękawiczki?

– Nie – rozejrzałam się po łazience i zrobiłam krok w tył, trącając nogą niewielką różową miskę.

– Czekaj, powinny być tutaj. – Olga wstała, otworzyła szufladę pod umywalką i podała mi parę cieniutkich rękawiczek. – A na wypadek, gdybyś się zamartwiała, pamiętaj, że zawsze mogę jeszcze uszczknąć nieco z pękatego portfela tatusia. W końcu chyba po to całymi dniami dłubie ludziom w zębach, żeby czasem wspomóc swoją młodszą księżniczkę, prawda? – dodała żartobliwym tonem i obie się roześmiałyśmy.

– Widziałś się z nim ostatnio? – zapytałam.

– Tak, w zeszłą sobotę. Byliśmy na kręglach, później zabrał mnie na steki i wyobraź sobie, nawet zamówił mi piwo. Duże! Może w końcu do niego dotarło, że osiemnaste urodziny mam już dawno za sobą? – roześmiała się córka.

– I co u niego słychać?

– Chyba okay. Wspomniał coś o wyjeździe na jakąś konferencję, poza tym zaczął ponoć grać w tenisa i uczy się hiszpańskiego. To znaczy o kursie językowym wiem od jakiegoś czasu, ale tenisem mnie zaskoczył.

– Hiszpańskiego? Żartujesz? – Roześmiałam się, jakoś nie potrafiłam sobie wyobrazić mojego byłego męża przemawiającego językiem Cervantesa.

– Mówię poważnie. Jest już na B1 i nie zamierza rezygnować. Poza tym, jak się wyraził, w jego grupie są niezłe foczki. Foczki, mamu, czujesz?! Kto jeszcze tak mówi?! – Olga znowu się roześmiała i wreszcie zasiadła na przyniesionym z kuchni taborecie.

Zakładając rękawiczki, spojrzałam w duże łazienkowe lustro. Ja z włosami niedbale spiętymi plastikową klamrą, ze zrobionym rano makijażem, który powoli zamieniał się w maskę, i Olga – o jędrnej, młodej, rumianej buzi, z błyszczącymi oczami i przeciągniętymi błyszczącym ustami. Wygląda dokładnie tak, jak moja matka na fotografiach ze studenckich lat, pomyślałam nagle dziwnie wzruszona i w tym samym momencie nasze spojrzenia spotkały się w lustrze.

– Idę o zakład, że myślisz o czymś żenująco cikliwym – rzuciła Olga rozbawionym tonem.

– Przyłapana! – roześmiałam się. – Myślałam o twojej babci. Robisz się coraz bardziej do niej podobna. Te same ładnie zarysowane kości policzkowe, pełne usta, duże, błękitnoszare oczy. Tylko włosy masz po ojcu. Proste, ciemniejsze, mocne. Moja matka zawsze miała marne, puszące się, kapryśne. Dopiero kiedy obcięła je na krótko i codziennie układa na szczotkę, jest z nich zadowolona.

– Dzwoniła do mnie ostatnio. Pytała, czy pomogłabym jej przed świętami – powiedziała Olga, a ja sięgnęłam po niewielki pędzel, zanurzyłam go w rozrobionej farbie i delikatnie, zaczynając od czubka głowy, zaczęłam ją nakładać.

– Rozumiem, że zgodziłaś się z olbrzymim entuzjazmem? – zapytałam radośnie, choć świetnie wiedziałam, że obie moje córki raczej nie przepadają za kuchennymi zabawami.

– Raczej z zerowym entuzjazmem, ale cóż... Babci się nie odmawia, więc podstępnie zostałam wmanewrowana w pomoc przy lepieniu uszek – roześmiała się córka.

– Nie wierć się – upomniałam ją, nakładając farbę z boku głowy.

– Adrian poprosił mnie o rękę – powiedziała nagle Olga.

Zastygłam, kompletnie zaskoczona, z upačkanym farbą pędzlem w dłoni.

– Adrian, którego poznałaś podczas tego sierpniowego wypadu w Bieszczady? Chłopak, z którym jesteś dopiero kilka miesięcy? – wykrztusiłam.

– Ten sam, ale zanim dostaniesz zawału: powiedziałam „nie”. Oczywiście się obraził, wiadomo, urażone męskie ego potrzebuje teraz kilku cichych dni i hektolitrow piwa. W każdym razie nie ma takiej opcji, żebym wyszła za mąż przed trzydziestką! – zarzekła się moja młodsza córka.

– Do trzydziestki jeszcze sto razy możesz zmienić zdanie, ale ślub teraz, przed twoją obroną i szukaniem pracy...

– Mamuś, powiedziałam „nie”! Koniec, kropka, pozamiatane! Zresztą zaraz po studiach chcę sobie poszukać jakiegoś wolontariatu, a nie bawić się w dom. Ameryka Południowa, może Indie? Chciałabym pracować z bezdomnymi dziećmi. – Olga syknęła, kiedy wróciłam do nakładania farby i przypadkiem szarpnęłam ją za włosy.

Ja oczywiście od razu przypomniałam sobie tragiczną śmierć bestialsko zamordowanej w Boliwii młodziutkiej polskiej wolontariuszki. Wiedziałam jednak, że czasem trzeba pozwolić dzieciom rozwinąć skrzydła i poszybować w stronę marzeń. Moje obawy, lęki i przekonania zatrzymałam więc dla siebie, w głębi własnego serca.

– Co tak nagle zaniemówiłaś? Obmyślasz gadkę o niebezpieczeństwach zagranicznego wolontariatu, czy...

– Przecież i tak cię nie powstrzymam, jeśli zdecydujesz, że jedziesz – odparłam.

– Święta racja – roześmiała się Olga. – Na pociechę dla twojego udrećzonego matczynego serca dodam, że, jak wiesz, miewam tysiąc pomysłów na minutę, a ten wyjazd to tylko jedna z wielu możliwości.

– O, a inne?

– Nie wiem. Może staż w jakiejś warszawskiej korpo, może coś własnego? Jeśli nie pójde w stronę pracy w reklamie, Wiolka od dłuższego czasu namawia mnie na wspólne prowadzenie knajpy. Jej rodzice obiecali spory zastrzyk gotówki na dobry początek i myślimy o jakimś barze z wegetariańskim jedzeniem. Wiesz, burgery z buraków albo soczewicy, modny wystrój, ogródek na tyłach, dobra lokalizacja. Do tego chwytliwe nazwy w menu, trochę reklamy i ruszamy z przytupem. – Olga najwidoczniej była pełna wiary w planowane przedsięwzięcie, a ja nie miałam serca wstawiać jej gadek w stylu „nie tak łatwo rozkręcić własny biznes”...

– Czyli jednak Warszawa?

– Tak, chyba tak. Mamuś, mogę cię o coś zapytać? – Olga odwróciła się w moją stronę i spojrzała mi oczy.

– Pytaj, jasne – usiadłam na klapie od sedesu, zdjęłam ubrudzone farbą rękawiczki i cisnęłam je do umywalki.

– Żałowałaś kiedyś tego, że tak szybko wyszłaś za męża? Wiesz, o czym mówię, prawda? Matyldę urodziłaś w wieku dwudziestu lat, mnie trzy lata później... Studenckie małżeństwo, wszystko nagle, w pośpiechu, z pierwszym poważniejszym facetem.

– Powiem tak: na pewno było mi ciężko. Kiedy urodziłam twoją siostrę, Eryk był na trzecim roku stomatologii. Zamieszkaliśmy u jego rodziców, wszyscy uznaliśmy, że tak będzie lepiej. Mieli w końcu olbrzymią willę, a jego matka obiecywała, że pomoże mi przy dziecku.

– Babcia Halina nie chciała ci pomóc? – zdziwiła się Olga.

– Twoja babcia przez całą moją ciążę nie odezwała się do mnie słowem. Wykrzyczała mi w twarz, że zmarnowałam sobie życie i powiedziała, żebym radziła sobie sama...

– Żartujesz? – Córka aż otworzyła usta ze zdziwienia.

– Niestety, nie... Pamiętam, że bardzo długo miałam do niej o to żal. Pogodziłyśmy się dopiero, kiedy zobaczyła Matyldę, ale ja latami nosiłam w sercu zadrę.

– Przykre. Nie miałam o tym pojęcia. Jak można w takiej sytuacji odwrócić się od córki? – Olga nadal wyglądała na zszokowaną. – Wiesz co? Mam świetny plan zemsty!

Córka zerwała się z taboretu, wybiegła z łazienki i chwilę później wróciła do niej ze swoim telefonem w dłoni.

– Co ty robisz? – zapytałam, ale ona już wybierała numer.

– Babciu? Słuchaj, przepraszam, ale jednak nie wpadnę do ciebie, żeby ci pomóc przy tych uszkach... No nie, nie dam rady... Tak, widzimy się w święta – rzuciła Olga do słuchawki i przerwała połączenie.

– Jesteś niepoważna – powiedziałam i po chwili obie wybuchłyśmy głośnym śmiechem. – Wiesz, jak się to skończy? Dopadną mnie wyrzuty sumienia i sama pojadę, żeby jej pomóc – dodałam.

– Skoro musisz... – Olga wzruszyła ramionami i zerknęła na swój nowy telefon z białą

obudową. – Cholera, pobrudziłam komórkę farbą...

– Daj, wyczyszczyć zanim to zaschnie – wyciągnęłam rękę, a Olga z powrotem usiadła na taborecie i zapytała, jak mi się mieszkało w domu teściów.

– To musiało być dla ciebie trudne... Bez własnych pieniędzy, zdana na łaskę i niełaskę teściowej, z małym dzieckiem...

– Fakt, nie zawsze było miło – przyznałam, pochmurniejąc. – Matka Eryka od początku widziała we mnie kogoś, kto zmarnował jej jedynakowi życie. Kiedyś, w Wigilię, oświadczyła, że z premedytacją wrobiłam go w dziecko i nigdy mi tego nie wybaczy, a on pewnie też niedługo przejrzy na oczy i znajdzie sobie inną.

– Uroczo – skrzywiła się Olga.

– Tak, potrafiła być podła, zwłaszcza kiedy miała zły humor. Ale sporo też dla nas robiła. Pomagała finansowo, każdej niedzieli gotowała dwudaniowe obiady, żebym mogła odpocząć, zabierała Matyldę na długie spacerki, czasem nawet wstawiała do niej w nocy. Zmarła nagle, zupełnie niespodziewanie, kiedy miałaś cztery miesiące, a ja, pomimo że różnie się między nami układało, bardzo żałowałam, że tak wcześnie straciłyście babcię. To był trudny okres dla nas wszystkich, w każdym razie. Twój dziadek kompletnie się załamał, a niedługo później dostał zawału i lekarzom ledwo udało się go uratować. Ja miałam problemy z pokarmem i byłam wykończona opieką nad wami dwiema, a twój ojciec zamknął się w sobie i odgradził ode mnie jakimś dziwnym murem, zresztą niemal całe dnie i noce spędzał w pracy, biorąc wszelkie możliwe dyżury, chyba tylko po to, żeby nie siedzieć w domu ze mną i z płaczącym niemowlęciem. A twoje kolki ostro dały się nam wszystkim we znaki – posłałam córce uśmiech.

– Wow, jednak moja odpowiedź na oświadczyzny Adriana była jedyną właściwą opcją – roześmiała się Olga, ale oczy miała smutne. – Nie miałam pojęcia, że było ci aż tak ciężko...

– Przez pierwsze cztery lata małżeństwa tak, ale później jakoś się poukładało. Zaczęłam współpracować ze Stefanem, który od początku bezgranicznie mi ufał i zlecał coraz fajniejsze artykuły. Uwierzyłam w siebie, wymogłam na twoim ojcu pewne rzeczy. Skończyło się jego uciekanie z domu i wykręcanie się od codziennych obowiązków. Początkowo wydawał się zagubiony, ale z czasem zaczął spędzać z wami sporo czasu.

– Pamiętam te wysokie wieże z drewnianych klocków, które z nami budował. Czasem, tylko po to, żeby się wściekł, burzyłam je, zanim skończył, a on dosłownie wpadał w furję. Reagował jak dzieciak, to było naprawdę komiczne – przypomniała sobie Olga.

– A pamiętasz Lego? Godzinami potrafił budować zamki i miasteczka z waszych klocków – roześmiałam się.

– Dalej buduje. Chwalił się nawet niedawno, że kupił sobie remizę strażacką i komisariat – parsknęła śmiechem Olga.

– Dobra, chyba trzeba już nałożyć farbę na końcówki – zdecydowałam i ostrożnie, żeby nie ubrudzić bluzki, włożyłam upačkane farbą rękawiczki.

– Pamiętasz, jak w dzieciństwie chodziliśmy nad strumień i plotłyśmy wianki z polnych kwiatów? – przypomniała sobie moja córka. – Robiłaś mi wtedy mnóstwo zdjęć, ostatnio nawet się zastanawiałam, gdzie są...

– U mnie w garderobie, w pudełku z napisem „najpiękniejsze!” – uśmiechnęłam się.

– Czemu przestałaś robić zdjęcia? Od wieków nie widziałam cię z aparatem. Masz przecież wnuczkę, mogłabyś...

– Zacznijmy od tego, że nie mam aparatu. Lustrzanek ukradli mi jakieś trzy lata temu, a na nowy dobry sprzęt nie mam na razie kasy. Fotki robię tylko w pracy, ale to już nie to samo...

– Szkoda. Chyba kiedyś kupię ci aparat. Tylko najpierw rozkręcimy tę knajpę z burgerami z buraków. – Olga podała mi miseczkę i cierpliwie czekała, aż nałożę jej na końcówki włosów resztkę farby.

Godzinę później, kiedy wracałam już do domu, myślałam sobie, że nie brakuje mi w życiu szczęścia. Mam wspaniałe, udane córki, ukochaną wnusię, zdrową i energiczną matkę, byłego męża, z którym co jakiś czas wyskakuję na kolację, mam dobrą pracę, ładne mieszkanie. Tak, jestem rozwiedziona i czasem czułam się samotna, ale patrząc obiektywnie na wszystko, nie powinnam chyba narzekać.

Mama zadzwoniła, kiedy brnęłam w pośniegowym błocie, dochodząc do przystanku. Odwilż przysłała nagle i zmieniła miasteczko w ponurą błotnistą krainę.

– Słuchaj, nie uwierzysz! Twoja córka dziś rano zapewniła mnie, że pomoże mi w lepieniu uszek, a wieczorem zadzwoniła, że jednak nie da rady! Rozumiesz coś z tego? – usłyszałam nieco wzburzony głos mamy.

– Która? – zapytałam niewinnym tonem, chociaż strasznie chciało mi się śmiać.

– No Olga, a któraż by inna? Przecież Matyldy bym o pomoc nie prosiła, bo ona ma na głowie własne problemy! A ty gdzie się znowu szwendasz? Jesteś na ulicy? Słyszę jakiś szum. Wieczorami nie jest zbyt bezpiecznie, zwłaszcza w niektórych częściach naszego miasta!

– Jestem w tej części, w której mogę spotkać co najwyżej jakiegoś lokalnego pijaczynę – zapewniłam matkę, która, rozeźlona, gniewnie parsknęła w słuchawkę.

– Jasne, rób sobie żarty ze wszystkiego, ale kiedy wyrwą ci torebkę, jak niedawno Zośce Wilczyńskiej, to ci do śmiechu nie będzie! – rzuciła.

– Mamuś, muszę kończyć – powiedziałam. – Żeby mi telefonu z ręki nie wyrwali – dodałam rozbawionym tonem, a matka burknęła pod nosem coś, czego nie zrozumiałam, i rozłączyła się bez słowa pożegnania.

Tym razem Rafał czekał na mnie w samochodzie zaparkowanym przed moją kamienicą. Gdy podeszłam do bramy, wysiadł i ruszył w moją stronę. Drgnąłam, słysząc w ciemnościach grudniowego wieczoru trzaśnięcie samochodowych drzwiczek, jednak zauważyłam go dopiero, kiedy był kilka kroków ode mnie.

– Nie wierzę! – rzuciłam złośliwie.

Wściekłość, jaką nagle poczułam, dosłownie zapała mi dech. Nie znosiłam być w taki sposób osaczana i nie znosiłam nachalnych mężczyzn! Ale on nic sobie nie robił z malującej się na mojej twarzy złości. Wręcz przeciwnie, z rękoma w kieszeni kurtki zrobił jeszcze krok w moją stronę i spojrzął mi w oczy. Światło ulicznej latarni padało na jego twarz, opromieniając ją ciepłym bursztynowym blaskiem, zlodowaciały śnieg cicho zaskrzypiał pod jego stopami.

– Julka, proszę cię, pogadajmy! – zaczął.

Nie wyglądał na zdenerwowanego, a jednak lekko się zacinał, w jego głosie słyszałam niepewność.

– Muszę ci parę rzeczy wyjaśnić, nie znasz całej prawdy... – ciągnął.

– Nie życzę sobie, żebyś w ten sposób się tu na mnie czaił! Stalking, mówi ci coś to określenie?! Przestań mnie nachodzić, słyszysz?! – podniosłam głos.

Złapał mnie za rękę.

– Daj mi kwadrans, błagam cię, Jula! Wejdźmy na górę albo usiądźmy tam, przy herbacie. – Mój były skinął głową w stronę mieszczącego się naprzeciwko mojej kamienicy niewielkiego pubu Czarna Dalia.

Spojrzałam w stronę lokalu, nad którego wejściem rozciągnięto niedawno migające na ciemnoniebiesko świąteczne lampki. Na zewnątrz, paląc papierosa, stał wysoki postawny barman, który pracował tu od początku istnienia knajpy; ze środka dochodziła kojąca bluesowa muzyka. Lubiałam to miejsce. Urządzone w stylu retro, z czarno-białymi migawkami z dawnego Hollywood na ścianach, miało swój klimat i niekwestionowany urok, chociaż nazwa pubu wyraźnie nawiązywała do nieludzko brutalnego morderstwa Elizabeth Short, które w drugiej połowie lat czterdziestych wstrząsnęło Los Angeles i całą Ameryką.

– Julia, proszę cię. Kwadrans, nie więcej! – Rafał zacisnął palce na mojej dłoni i ponownie spojrzął mi w oczy. – Mam cię błagać, tego chcesz?

– Okay – zgodziłam się. – Kwadrans w Czarnej Dalii.

Skinął głową i puścił moją rękę. Schowałam do torebki klucze, które zdążyłam już wyjąć, zanim go dostrzegłam, i nie czekając, szybkim krokiem przebiegłam przez wąską uliczkę pomiędzy kamienicami. W Czarnej Dalii było niemal pusto. Przez oszklone drzwi widziałam samotną kobietę siedzącą przy barze i trzymającą się za ręce parę w głębi lokalu.

– Dawno pani do nas nie zaglądała. – Barman rzucił na chodnik niedopałek, który na sekundę rozbłysnął iskrami w ciemności grudniowego wieczoru, pchnął ciężkie drzwi z metalowymi okuciami i przepuścił nas przodem.

– Czego się napijesz? – zapytał Rafał, biorąc ode mnie płaszcz.

Poprosiłam najpierw o kieliszek czerwonego wina. On zamówił imbirową herbatę, której ja nigdy nie lubiłam, i usiadł naprzeciwko mnie przy stoliku dyskretnie oddzielonym od reszty sali drewnianym przepierzeniem pomalowanym czerwoną farbą.

– Więc? – zaczęłam, wymownie zerkając na zegarek.

– Nie ułatwiasz mi rozmowy, zachowując się w tak ostentacyjnie wrogi sposób – powiedział Rafał.

– Wybacz – mruknęłam, starając się nie okazywać poirytowania.

– Tamtego dnia, kiedy powiedziałem ci, że wracam do żony, stało się coś złego... Coś, o czym ciężko mi mówić. Bo czuję się tak, jakbym ją zdradzał... – zaczął.

Mówił cicho, z trudem dobierając słowa, jakby nadal bolało go samo wspomnienie.

– Jakbyś zdradzał kogo? – zdziwiłam się.

– Karolinę, moją córkę. Jakbym zdradzał jej zaufanie.

– Wino dla pani, herbata dla pana – barman podał nam zamówione napoje, posłał mi dyskretny zawodowy uśmiech i ruszył w stronę swojego kontuaru.

– A konkretniej? – zapytałam.

– Tamtego dnia wpadłem do domu po kilka dokumentów. Anity nie było, za to Karolina... – Rafałowi na moment załamał się głos. – Nakryłem ją na okaleczaniu się. Cięła się żyłką, skulona we wnęce pod schodami. Całą wewnętrzną część uda miała w brzydkich, krwistoczerwonych szramach, na widok których zrobiło mi się czarno przed oczami. Pamiętam, że stałem tam w kompletnym bezruchu, a ona, częściowo przysłonięta regałem z książkami, z żyłką w rękę i z przerażająco pustym wzrokiem, zaczęła nacinać sobie skórę. Wtedy krzyknąłem. Gdy mnie zobaczyła, zaczęła wrzeszczeć, żebym się wynosił i z trudem udało mi się ją uspokoić. Kiedy wróciła Anita, zdecydowaliśmy, że znajdziemy jej psychologa, a ja wrócę do domu. Dla dobra Karoliny, dopóki cała ta sytuacja jakoś się nie unormuje. Tyle że to niczego nie zmieniło, wręcz przeciwnie. Karolina nadal się okalecza i nie chce z nami rozmawiać, w dodatku zaczęła wagarować i popalać trawkę, a Anita nawet nie patrzy mi w oczy i zachowuje się tak, jakby z trudem znosiła przebywanie ze mną w jednym pomieszczeniu – powiedział Rafał.

– Przykro mi, naprawdę. Ale to niczego między nami nie zmienia.

– Tak po prostu? Koniec? Nic więcej nie...

– Rafał, masz rodzinę! Ty dalej ją kochasz, nie rozumiesz tego! Kochasz Anitę, zawsze ją kochałeś, nawet wyznając miłość mnie! Wracaj do domu, zadbaj o żonę i córkę, napraw to, co spieprzyłeś, a może spieprzylicie oboje...

– Nie mów mi, kogo kocham! Nie masz pojęcia, co czuję! Myślę o tobie, śnię o tobie, tęsknię tylko za tobą! Już pierwszej nocy po powrocie do domu, kiedy po raz pierwszy od miesiący spałem w naszej małżeńskiej sypialni zamiast w wynajętej kawalerce, myślałem tylko o tobie.

– Posuwając żonę? – zakpiłam.

– Nie spałem z nią od naszego rozvodu, jeśli już poruszyłaś ten temat! – rzucił ostrym tonem, rozerwał paczuszkę z cukrem i wyspał go do filiżanki z wrzątkiem.

Zauważyłam, że trzęsą mu się dłonie i lekko drga prawa powieka.

– Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć tak, żebyś zrozumiał. Jestem chyba obecnie na etapie wszystko albo nic. Zaczynając romans z tobą, liczyłam na coś więcej niż na przelotną znajomość. Potrzebuję stabilizacji, jakiegoś emocjonalnego zakotwiczenia, a ty dajesz mi jedynie strzępki prawdziwego uczucia z przejmującym rodzinnym dramatem w tle...

– Julka, poczekaj na mnie! To tylko kilka tygodni, może miesięcy. Karolina w końcu się pogodzi z naszym rozstaniem, a ja będę mógł odejść.

– Przykro mi, Rafał, ale nie jestem zainteresowana rolą sekretnej kochanki – odburknęłam.

Skrzywił się.

– Nie możesz po prostu być moją przyjaciółką? Powiernicą, najdroższą znajomą, z którą...

– Pójdiesz do łóżka wtedy, kiedy akurat będziesz miał ochotę? – dokończyłam za niego. – Otóż nie, nie mogę. Wybacz, będę się zbierać – upiłam łyk wina i sięgnęłam po swoją torebkę. – Naprawdę mi przykro z powodu twojej córki, Rafał. Mam nadzieję, że znajdziecie dla niej dobrego terapeutę i jakoś ją z tego wyciągniecie – powiedziałam.

– I tyle? Wychodzisz? – Rafał wstał i podał mi płaszcz. – Liczyłem na to, że zrozumiesz, że...

– Rafał, jak to wszystko rozumiem! Tyle że pomiędzy wszystkimi częściami tych rodzinnych puzzli nie widzę miejsca dla siebie! Dobrej nocy i proszę, nie nachodź mnie więcej! – rzuciłam.

Kiedy zakładałam płaszcz, widziałam, że młody barman zerka na mnie zza kontuaru. Skinęłam mu głową i wyszłam na mróz.

Rafał dogonił mnie, kiedy szukałam kluczy, jak zwykle nie mogłam ich zlokalizować w przepastnej zamszowej torbie.

– Julia, proszę cię... – powiedział, przytulając mnie, a później, pomimo moich oporów, pocałował mnie w usta.

Szarpnęłam się, ale z sekundy na sekundę mój sprzeciw słabł, a jego pocałunki robiły się coraz bardziej namiętne, nachalne, głębokie. Oparłam się plecami o ścianę kamienicy, on wsunął dłoń pod mój płaszcz i gładził opięte legginsami wewnątrz moich ud.

– Chodźmy na górę – wyszeptał.

Bramę otworzył on, musiał mieć w kieszeni klucz. Drzwi do mojego mieszkania otworzyłam ja. W przedpokoju, w kompletnej ciemności, przywarliśmy do siebie, całując się, w końcu on zaczął mnie rozbierać. Płaszcz, bordowa bluzka, koronkowy top na ramiączkach, stanik – fragmenty mojej garderoby opadały na podłogę z przyjemnym cichym szelestem. Zdejmując buty, zachwiałam się i oparłam o ścianę. On rzucił na fotel swój ulubiony ciemnoszary sweter i zdjął podkoszulek.

Do sypialni zaniósł mnie na rękach. Leżąc na łóżku, przyglądałam się jego majaczącej w ciemności dobrze zbudowanej sylwetce. Do pokoju wpadała jedynie mdła poświata z ulicznej latarni, ale oczy szybko przyzwyczajały się do półmroku. Kiedy rozpiął pasek, pomyślałam, że jeszcze nie jest za późno, żeby powiedzieć „stop”, jednak jakaś część mnie pragnęła jedynie zamknąć oczy i poddać się przyjemności. Kiedy się obok mnie położył i wsunął dłoń pomiędzy moje uda, uniosłam głowę i przywarłam ustami do jego warg. Opadł na mnie. Ciężar jego ciała był obcy i znajomy jednocześnie. Oplotłam go nogami i po chwili był we mnie, wniknął głęboko, stopił się ze mną w jedno ciało, ale niekoniecznie w jedną duszę... Kochaliśmy się w milczeniu, panującą w sypialni ciszę zakłócała jedynie dochodząca zza ściany mrocznie

brzmiąca muzyka. Doszliśmy jedno po drugim; zasnęłam chwilę później, lepka od potu, naga, wtulona policzkiem w jego ramię, czując pod skórą bicie jego serca i przyjemne ciepło jego ciała.

Obudziło mnie pragnienie i dochodzące zza okna wrzaski, najwyraźniej naszą cichą wąską uliczką musiała akurat wracać grupka podpitych imprezowiczów. Darli się niemiłosiernie, śpiewając stary kawałek Budki Suflera. Rafał spał. Leżał na wznak, cicho pochrapywał. Na nocnej szafce, obok jego zegarka, leżała złota obrączka i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że chociaż nie był już oficjalnie żonaty z Anitą, musiał ją mieć na palcu podczas całej naszej rozmowy w pubie, może nawet później. Jak mogłam jej nie zauważyć? Nie wiem. Zresztą, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? – pomyślałam, wstając.

Podłoga przy łóżku była lodowata, a ja pamiętałam, że moje pantofle zostały w przedpokoju. Z sypialni wyszłam na palcach, w narzuconym na ramiona szlafroku i starając się robić jak najmniej hałasu, zamknęłam za sobą drzwi.

Podgryzałam przyniesione przez córkę herbatniki, kiedy w kuchni pojawił się Rafał.

– Obudziłam cię? – zapytałam.

– Tak, ale nie przejmuj się – powiedział.

– Nie masz pizamy – uśmiechnęłam się blado, bo kiedy paradował nago po mojej kuchni w ostrym świetle zapalanej lampy, wyglądał bardziej komicznie niż seksownie.

– Nie mam tu już nawet szczoteczki do zębów – wypomniał mi, a ja nagle spochmurniałam.

– Powinieneś wracać do domu, Rafał – powiedziałam. – I żeby było jasne, to się więcej nie powtórzy!

– Wyrzucasz mnie na mróz o drugiej czterdzieści nad ranem?

– Przyjechałeś samochodem, nie powinieneś zamarznąć w drodze – rzuciłam kąśliwym tonem. – Tylko nie zapomnij obrączki – dodałam.

– No jasne, mogłem się domyślić! O to ci chodzi?! O ten głupi kawałek metalu?! Założyłem ją...

– Tak, wiem. Dla dobra córki – weszłam mu w słowo.

Drgnął i z niedowierzaniem spojrzał mi w oczy.

– To było podłe! – warknął.

Wzruszyłam ramionami.

– Idź już, proszę – powiedziałam zmęczonym głosem. – Chciałabym złapać jeszcze trochę snu. Jeśli chcesz kawy...

– Dzięki, niczego od ciebie nie chcę! – Rafał wyszedł z kuchni i w pośpiechu zaczął zbierać rozrzucone po przedpokoju rzeczy.

Kilka minut później, w kompletnej ciszy, bez słowa pożegnania wyszedł, a ja dokładnie zamknęłam za nim drzwi.

Rano, sprawdzając skrzynkę na listy przed wyjściem do pracy, znalazłam pojedynczy klucz od bramy kamienicy, który musiał tam wrzucić Rafał i chociaż w duchu dawno i na dobre pożegnałam się z byłym kochankiem, i tak zwilgotniały mi oczy...

Babciu, chooodź! – siedząca na moich kolanach Kamila zaczęła się coraz niecierpliwiej wiercić, w końcu ześlizgnęła się na podłogę i na czworakach ruszyła w stronę choinki.

– Kama, pobrudzisz się – parsknęłam śmiechem, tymczasem dziewczynka już buszowała w pudełkach z choinkowymi ozdobami.

– Co to? – zapytała, wyjmując śmiesznego łosia z filcu, którego całe lata temu zrobiłam ze swoimi córkami.

Pamiętam, że pokłóciłyśmy się wtedy strasznie o jego nos – Matylda chciała zrobić go z czerwonego guzika oberwanego od swojej starej piżamy, Olga z włóczki, a ja z bordowego kawałka flaneli, który specjalnie w tym celu wycięłam. Oczywiście to Matylda postawiła na swoim i własnoręcznie przyszyła guzik. Olga nie odzywała się do niej wtedy przez cały wieczór.

– To jest łoś, którego dawno temu zrobiłam z twoją mamusią i ciocią Olgą.

– Dziadzio mówi, że łosie mieszkają w Szwecji – powiedziała moja wnuczka, siadając na dywanie.

– W Polsce też są. Chyba nad Biebrzą, z tego co pamiętam, i może w... – nie dokończyłam, bo rozdzwoniła się moja leżąca na stole komórka. – Cześć, kochanie! Jedziesz już? – zapytałam Matyldę, która powitała mnie zachrypniętym: „Hej, mamusi!”

– Jadę, będę za jakieś dwadzieścia minut! – obiecała.

– Nie spiesz się jakoś szczególnie, właśnie zaczęłyśmy ubierać choinkę – powiedziałam.

– Myślałam, że już ją ubrałaś? – zdziwiła się moja starsza córka.

– Nie. Są tylko lampki.

– Okay, to nie będę pędzić na złamanie karku. Aha, mamusi, dałaś Kamili syrop?

– Tak, przed chwilą – powiedziałam.

– Super, to pa! – córka cmoknęła w słuchawkę, jak to miała w zwyczaju, i rozłączyła się.

– Mamusia jedzie? – zapytała Kamila, wyjmując z pudełka jeża zrobionego z korka po winie z kolcami z gwoździ. Olga nabiła na nie w dzieciństwie radosne różnobarwne korale.

– Daj mi to, Kamilko – wyjęłam jej z rączki jeża i powiesiłam na choince. – A ty zawieś tę bombkę, dobrze? Poczekaj, babcia ci pomoże.

Wstała z dywanu, podeszła do drzewka i złapała za jedną z najniższych gałęzi.

– Kłuje jak broda tatusia – powiedziała ze śmiechem, a ja przez chwilę zastanawiałam się, czy mówiąc „tatusia”, miała na myśli swojego biologicznego ojca, którego widywała od wielkiego dzwonu, czy może Briana?

Córka dotarła do mojego mieszkania dopiero po półgodzinie. Przemarznięta na kość, zdyszana i wyraźnie zmęczona.

– Siadaj, odgrzeję ci pomidorówkę – powiedziałam.

– Nie, mamusi, musimy lecieć, bo Brian czeka na nas u znajomych – powiedziała Matylda.

– Chcę zostać z babcią! – zaprotestowała moja wnuczka.

– Zostaniesz z babcią kiedy indziej – usiłowałam załagodzić sytuację i pocałowałam Kameę w pachnącą rumiankowym szamponem główkę.

– Słuchaj, mamó, a w kwestii Wigilii... Tylko się nie wściekaj, okay? – zaczęła niepewnie Matylda.

– Nie stój w kurtce. Zanim ubiorę małą, trochę czasu minie – powiedziałam, a córka posłusznie rozpięła swoją puchówkę i oparła się ramieniem o ścianę.

– No więc w Wigilię nas nie będzie – wyrzuciła z siebie.

– Ale jak to, nie będzie was? – zdziwiłam się. – Przecież umawialiśmy się, że wszyscy wpadniecie do mojej matki. Ty, Brian, jego rodzice, Kama...

– No umawialiśmy się, ale rodzice Briana mają jakichś dobrych przyjaciół w Pradze i nagle się okazało, że koniecznie chcą ich odwiedzić.

– W Pradze? – zdziwiłam się.

– Tak. Pojechalibyśmy razem wynajętym samochodem i wrócilibyśmy przed Nowym Rokiem. Mamuś, ale nie gniewasz się? Wiem, że liczyłaś na wspólne święta, poza tym miałam wam pomóc w kuchni, ale...

– Jedźcie, skoro macie taką możliwość. Praga jest magiczna. Pozwiedzacie, odpoczniecie – powiedziałam. – My z twoim ojcem byliśmy tam aż pięć razy i za każdym razem odkrywaliśmy coś nowego. Chociaż podczas ostatniego pobytu różowo nie było... Pamiętam, że spacerowaliśmy Żółtą Uliczką na Hradczanach, kiedy Eryk zapytał, czy poleciałabym z nim do Nowej Zelandii. Zrobiłam oczy jak spodki i zapytałam, skąd nagle taki pomysł, a on powiedział, że od dawna marzy, żeby zobaczyć park narodowy Tongariro. Najsmutniejsze było to, że w ogóle nie miałam o tym pojęcia i wtedy, pośród tych urokliwych domków z kolorowymi fasadami zdałam sobie sprawę, jak bardzo się od siebie oddaliliśmy. Pół roku później byliśmy po rozwodzie, a on poleciał do Nowej Zelandii z tą rudą dentystką. Zresztą nie wiem, po co ci to wszystko mówię. – Wzruszyłam ramionami i sięgnęłam po różowy sweter wnuczki. – Chodź, kochanie. Babcia cię ubierze. – Wyciągnęłam rękę do małej, która niechętnie odłożyła obsypaną brokatem bombkę i ruszyła w moją stronę.

– Ale nie gniewasz się? – zapytała Matylda.

– Nie gniewam się, córciu.

– To dobrze. Za to babcia pewnie będzie mi to wypominać przez najbliższy rok.

– Twoja babcia musi w końcu zrozumieć, że świat nie kręci się tylko i wyłącznie wokół niej – powiedziałam, a moja córka zaśmiała się nerwowo.

– Ojej! Czyżbyście się pokłócili?

– Nie, stwierdzam jedynie fakt. Ostatnio nawet lepiej się dogadujemy.

– A Olga? Będzie z wami na wigilii, czy znowu sobie wymyśliła jakiś wyjazd? – zainteresowała się Matylda.

– Będzie. To znaczy z nią nigdy nic nie wiadomo, ale o ile wiem, niczego szalonego w tym roku nie planuje – powiedziałam, wkładając Kamili sweter.

– Babciu, siku! – wnuczka pognała w stronę łazienki.

– Pójdę z nią – córka rzuciła swoją bordową puchówkę na krzesło i poszła za małą.

Schyliłam się i pozbierałam z ziemi porozrzucane przez wnuczkę bombki, uważając, żeby na którąś nie nadepnąć, tymczasem z łazienki doszedł przeraźliwy pisk małej i coś jakby uderzenie.

– Mamo, to nic! Weszliśmy prosto na wielkiego pająka! Zatłukłam go twoim klapkiem! – usłyszałam dochodzący zza uchylonych łazienkowych drzwi głos córki. Uśmiechnęłam się pod nosem na wspomnienie byłego męża, który bez problemu mógł usunąć pacjentowi ząb i robić rzeczy, o których wolałam nawet nie myśleć, ale wpadał w panikę na widok pajączka.

Olga również nigdy za nimi nie przepadała, natomiast Matylda bez namysłu brała je do ręki i wyrzucała przez okno albo po prostu zabijała.

– Babciu, w łazience był pająk! – poskarżyła mi się wnuczka, która radośnie podskakując, wróciła do salonu. – I mamusia go zabiła!

– Bo z mamusi jest superwoman! – stwierdziła Matylda, pakując do różowego plecaczka małej kredki, kolorowanek i ulubioną książeczkę. – Dobra, mamus! Zbieramy się! – Córka cmoknęła mnie w policzek, znacznie sprawniej, niż usiłowałam to zrobić ja, włożyła Kamili sweter i zaczęła jej zakładać kozaczki.

– Chcę przytulić babcię! – Kamila podbiegła do mnie i wtuliła się buzią w moje udo.

– Babcia niedługo cię odwiedzi – obiecałam, głaszcząc dziewczynkę po głowie. – Uważajcie w tej Pradze na siebie i napiszcie mi esemesa, jak tylko dotrzecie – powiedziałam do Matyldy, która wywróciła oczami dokładnie tak, jak robiła to, będąc nastolatką.

– Nic nam nie będzie, mamo. Nie zaczynaj – powiedziała i w wyraźnym pośpiechu włożyła córce kurtkę. – Pomachaj babci i idziemy.

– Pa, dziewczyny! – powiedziałam, otwierając frontowe drzwi.

Kiedy wyszły, samotnie skończyłam ubierać choinkę i dopiłam resztkę znalezionej w spizarce wina. Smakowało nieco cierpko, ale złe nie było. Dopijałam drugi kieliszek, kiedy odezwał się sygnał esemesa.

Któregoś dnia zrozumiesz, że było między nami coś wyjątkowego! – przeczytałam. Nie podpisał się, ale przecież nie musiał – na wyświetlaczu widniał jego numer. Rafał... Skrzywiłam się i wyłączyłam telefon, a później wróciłam na fotel pod okno i zasłuchana w dochodzące zza ściany dźwięki muzyki, z wełnianym pledem na kolanach, spędziłam prawie godzinę zapatrzona w migającą świetelkami choinkę. Kiedy dla kobiety zaczyna się starość? – pomyślałam nagle, przyglądając się swoim szczupłym dłoniom i obutym w śmieszne, różowe pantofle stopom. Po pięćdziesiątce? Sześćdziesiątce? Czerdziesiątce?

– Co za bzdury! – mruknęłam do siebie i strąciłam z nóg kraciasty pled.

Moja matka miała skończoną siedemdziesiątkę, a chwilami zachowywała się jak podłotek. Nie mogę poddawać się wszystkim tym ponurym myślom, zdecydowałam. Nie teraz, nie przed świętami. A to, że Eryk od niedawna spotykał się z dwudziestosześcioletką, nie ma nic do rzeczy! To najwyraźniej on przechodził silny kryzys wieku średniego i nie miało to nic wspólnego ze mną, ani z moim wiekiem! Sięgnęłam po pilota. W telewizji nie leciało nic szczególnie ciekawego, ale udało mi się znaleźć jakiś niezły kryminał o kobiecie prześladowanej przez sąsiada mającego na jej punkcie obsesję. Dochodziła dwudziesta druga, kiedy przysnęłam przed telewizorem.

Obudził mnie jakiś łomot. Zerwałam się z fotela pewna, że ktoś dobija się pięściami do moich

frontowych drzwi i dopiero po chwili dotarło do mnie, że hałas dochodzi z ulicy. Gasząc światła w mieszkaniu, pomyślałam, że jest jednak zbyt duże dla mnie samej. Kupiliśmy je z Erykiem, będąc małżeństwem z dwójką dzieci, i wtedy sprawdzało się idealnie. Teraz czułam się dziwnie samotna w czterech olbrzymich pokojach, ale wiedziałam, że nigdy nie zdobędę się na wyprowadzkę. Kochałam to miejsce, było dla mnie szczególne.

Jak prawie każda matka zaznaczałam ołówkiem na kuchennej framudze wzrost córek i nigdy nie pozwoliłam pomalować tej jednej jedynej listwy. Z każdym kątem wiązało się jakieś wspomnienie, każda podłogowa klepka miała swoją historię. To nie były tylko cztery ściany, to był dom. Nawet jeśli chwilowo, bądź na stałe, rodzinne gniazdo opustoszało i zostałam w nim sama...

Zbierałam się właśnie do pracy, kiedy ktoś zadzwonił do moich drzwi. Krótki, urywany dźwięk dzwonka brutalnie wdarł się w niczym niezmaconą ciszę poranka. Odłożyłam trzymaną w dłoni kredkę, którą w pośpiechu podkreślałam oczy, i ruszyłam w stronę przedpokoju. Zerkając przez wizjer, spodziewałam się widoku przygnębionej twarzy Rafała, ale przed frontowymi drzwiami stał mój młody sąsiad z naprzeciwka – chłopak, który przez ostatnie dwa lata niemal nie wychodził ze swojego mieszkania. W ciemnej koszulce polo, z lekko wilgotnymi włosami, jakby przed chwilą wyszedł spod prysznicy, wyglądał chłopięco i wyjątkowo ujmująco. Duże piwne oczy, opadająca na czoło ciemnoblonde grzywka i ledwie widoczny cień zarostu na policzkach – na moje oko mógł mieć nie więcej niż dwadzieścia kilka lat i samym wyglądem wzbudzał zaufanie, chociaż pozory mogły mylić. Jako dziennikarka świetnie to przecież wiedziałam. Otworzyłam drzwi i wysłałam na klatkę. Słońce oświetlało akurat niewielkie witrażowe okienko na półpiętrze, rzucając na ścianę fantazyjne kolorowe plamy.

– Cześć. Przepraszam za tę dziką porę, ale bałam się, że mi uciekniesz... Jestem Błażej, mieszkam naprzeciwko – zaczął.

– Jasne, kocham – uśmiechnęłam się.

Spodobało mi się, że zwrócił się do mnie na „ty”. Poczułam się młodziej i bardziej bez trosko.

– Kurczę, nie wiem nawet od czego zacząć... – Sąsiad zrobił niepewną minę i na dłuższą chwilę umilkł, jakby zbierał myśli.

– Może wejdiesz? – zapytałam. – Mam świeżo zaparzoną kawę.

Zawahał się, ale po chwili wszedł za mną do mojego mieszkania.

– Co to za muzyka, którą słyszę czasem wieczorami przez ścianę? – zapytałam, kiedy weszliśmy do kuchni.

– Przeszkadza ci? Zazwyczaj komponuję w słuchawkach, ale...

– Komponujesz? – zdziwiłam się. – Naprawdę niesamowite!

– Od paru lat komponuję muzykę do gier komputerowych, głównie tych mocniejszych, z pogranicza science fiction i horroru.

– To dlatego czasem ciarki mnie przechodzą, kiedy słyszę te kawałki – roześmiałam się. – Ale muzyka jest naprawdę fantastyczna! Mroczna, hipnotyzująca, cudowna!

– Mówisz, że za ścianą mam fankę? – roześmiał się Błażej. – Dzięki wielkie, miło to słyszeć – dodał, siadając na krześle.

Wyjęłam z kredensu filiżankę i nalałam mu kawę.

– Masz olbrzymią kuchnię. Dwa okna, balkon.

– Postanowiliśmy zburzyć ściankę działową i dodać nieco przestrzeni. Kiedy się tu wprowadzaliśmy, było pięć pokoi. Uznaliśmy, że aż tyle nie potrzebujemy, i zrobiliśmy większą kuchnię. Dzięki temu mam miejsce na przestronny kącik jadalny i ten olbrzymi stół – powiedziałam.

– Fantastycznie to wygląda! Moja kuchnia jest o ponad połowę mniejsza, ale ja ogólnie mam

znacznie mniejsze mieszkanie.

– Tak, te po drugiej stronie korytarza są mniejsze – uśmiechnęłam się. – Słodzisz?

– Pewnie! – Błażej sięgnął po cukiernicę, którą przesunęłam w jego stronę i posłodził kawę.

Wyjęłam z szafki oblane czekoladą zbożowe ciastka i wysypałam je na talerzyk.

– Więc z czym do mnie przychodzisz? – zapytałam, siadając naprzeciwko niego.

Po barierce niewielkiego balkonu, na który wychodziło się z mojej kuchni, spacerował gołąb; śnieg prószył przez całą noc, lukrując świat nieskazitelnym białym puchem.

– No właśnie... Strasznie mi głupio, bo w zasadzie nawet się nie znamy... Wiem tylko, że masz na imię Julia, pracujesz w gazecie i masz dwie córki. Piękne córki, jeśli już rozmawiamy szczerze. – Mrugnął do mnie.

– Ale chyba nie przyszedłeś prosić mnie o rękę którejś z nich? – zażartowałam.

Roześmiał się, wyraźnie ubawiony, i upił kilka łyków kawy.

– Nie. Obawiam się, że nie – powiedział po chwili. – Miałbym prośbę. Chodzi o mojego kota. Ma mięsaka poszczepiennego, długo by o tym mówić... W każdym razie dzisiaj po południu ma się nim zająć moja znajoma, która jest weterynarzem. Problem w tym, że nie ma go kto dostarczyć do kliniki. Zazwyczaj transportuje go tam Olek, mój najlepszy kumpel, ale rozłożyła go naprawdę wredna grypa – dodał mój sąsiad, a ja w tym samym momencie skojarzyłam, skąd znam chłopaka, na którego kilka dni wcześniej wpadłam, taszcząc do domu choinkę.

– Puchówka w trupie czaszki, podgolone włosy i koczek na czubku głowy, jak u samuraja? Widywałam go czasem na klatce, kiedy od ciebie wracał – powiedziałam.

Błażej wyszczerzył się w uśmiechu, ukazując rząd równych imponująco białych zębów.

– Wypisz wymaluj Olo! Do tego nieodłączny smartfon i kawa w styropianowym kubku. Pije ją hektolitrami, w życiu nie spotkałem kogoś, kto wlewa w siebie tyle kofeiny. A wracając do kota...

– Jeśli prosisz o to, żebym dostarczyła go po południu do kliniki, to nie ma żadnego problemu. Dziś wpadam do redakcji tylko na chwilę, później mam jeden krótki wywiad i jestem do twojej dyspozycji – powiedziałam.

– Serio? Dzięki, Julia! Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy! Dziś rano byłem już tak zdesperowany, że myślałem nawet o wyjściu z domu, chociaż, jak już pewnie zauważyłaś, nie robię tego zbyt często... Wiem, chcesz pewnie zapytać, czemu, ale to nie jest na szybką rozmowę... – uśmiechnął się.

– Aż tak wścibska nie jestem – powiedziałam.

– W takim razie jesteś w zdecydowanej mniejszości. – Błażej dopił kawę, zjadł ciasteczko i wstał. – Jeszcze raz wybac to najście. A co do tej wizyty, gdybyś wpadła po Geraltu koło siedemnastej, byłoby idealnie. Klinika jest na Rajskiej, dwie przecznice stąd. Zapowiadali na dziś solidną zadymkę, więc tym bardziej mi głupio, ale...

– Powiedziałam już, nie ma sprawy – uspokoiliam chłopaka i obiecałam, że będę u niego przed siedemnastą. – Pożyczę auto od szefa albo wezmę taryfę.

– Właśnie, taryfa! Ja oczywiście zapłacę, ale...

– Błażej, poradzimy sobie – roześmiałam się, rozbawiona rozmiarem stresu, jakiego

najwyraźniej przysporzyło mu poproszenie mnie o drobną sąsiedzką przysługę. – A tymczasem wybaczyć, ale muszę się zbierać. Jeśli jeszcze się nie zorientowałeś, mam jedno oko pomalowane, a drugie...

– Zauważyłem. – Uśmiechnął się i wymieniliśmy rozbawione spojrzenia. – Jeszcze raz dzięki – powiedział.

Byliśmy w przedpokoju, kiedy zapytałam, skąd wie, że pracuję w gazecie.

– Czytam czasem twoje artykuły. Znajomy taksówkarz dwa razy w tygodniu podrzuca mi zakupy spożywcze i trochę prasy – powiedział.

– Nie brakuje ci świata? – zapytałam. – To znaczy, nie mam pojęcia, co ci się przytrafiło i nie zamierzam być wścibska, ale...

– Ale nagle jesteś – roześmiał się. – A tak serio, tak, chyba tak. Wiesz, najbardziej tęsknię za drobnymi przyjemnościami, z których istnienia człowiek ledwo zdaje sobie sprawę. Zaczyna mu ich brakować dopiero, kiedy je utraci. Nocna przejażdżka na rolkach po pustym mieście, smak malinowych lodów jedzonych nad rzeką, zapach zwilżonej deszczem ziemi, podmuchy wiatru na twarzy, uliczny hałas... Czasem na oścież otwieram okno i wychylam się, chłonąc dźwięki, ale później słyszę coś, co... Mniejsza z tym, nie chcę o tym mówić tutaj, teraz, na stojąco. Ale kiedyś na pewno wszystko ci opowiem. Nie dlatego, że zapytałaś. Dlatego, że cię polubiłem – mrugnął do mnie. – Właśnie, a może wpadniesz do mnie jutro wieczorem? Wiem, że jest tuż przed świętami i pewnie jesteś zagoniona, ale może...

– Chętnie – powiedziałam. – Nie mam planów na jutro.

– Czyli jesteśmy umówieni! Dziewiętnasta?

– Bardziej koło dwudziestej, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Jak dla mnie, brzmi idealnie! To cześć, do jutra! To znaczy do dzisiaj, do siedemnastej. – Błażej skinął mi głową na pożegnanie i wyszedł.

Po chwili trzasnęły drzwi od jego mieszkania i zapadła cisza. Kończąc pospieszny poranny makijaż, zerknęłam na swoją komórkę, ale nie licząc esemesa od nękającej mnie tygodniami natrętnej wróżki, na szczęście nikt niczego ode mnie nie chciał.

Przed Tobą niezwykle trudny czas i niebezpieczeństwo, którego możesz uniknąć dzięki pomocy moich magicznych rytuałów! Odpisz niezwłocznie, w przeciwnym wypadku stracisz coś, na czym bardzo ci zależy! – straszyla wróżka Eulalia.

– A twój kot wpadnie dziś pod tramwaj razem z twoją babką – mruknęłam, wykasowując esemesa.

Olga zadzwoniła, kiedy wychodziłam z mieszkania.

– Mamuś, możesz rozmawiać? – zapytała, kiedy odebrałam.

– Jasne, mów.

– No bo widzisz, głupia sprawa, ale wyskoczył mi totalny kryzys finansowy i tak sobie pomyślałam...

– Ile? – przeszłam do konkretów.

– Tak z tysiąc? – rzuciła moja młodsza córka niepewnym tonem.

– Musiałabym skoczyć do bankomatu, ale...

– Mamuś, ale ja potrzebuję tej kasy dosłownie na teraz – jęknęła Olga. – Nie poupychałaś przypadkiem paru setek do jakichś słoików w spiżarni, jak to kiedyś miałaś w zwyczaju?

– Obawiam się, że nie. A po co ci nagle ten tysiąc? – zdziwiłam się.

– No bo jest taki kurs... Tylko się nie wściekaj, mamuś... Zwolniło się miejsce w takiej teatralnej grupie i mogłabym z nimi jechać do Olsztyna na warsztaty sztuki scenicznej. Z tym że to już teraz, zaraz, jutro!

– Jutro? Nie będzie cię na święta? Kto organizuje takie zabawy w Boże Narodzenie? – zdziwiłam się.

– No oni właśnie, bo to jest połączone z ich świątecznymi występami, ale... Mamuś, błagam! Chcę tam jechać!

– A co na to twój chłopak? Przepraszam, niedoszły narzeczony? – zapytałam, wychodząc z bramy na ulicę.

– A co jemu do tego? Wczoraj zabrał z naszego mieszkania swoje płyty i wygląda na to, że właśnie ze sobą zerwaliśmy – rzuciła Olga zaskakująco lekkim tonem.

– Nie wiem jeszcze, czy mi się to podoba... Matylda jedzie do Pragi, ty nagle chcesz...

– Aha, czyli ona jedzie, ale ja nie mogę?! – naskoczyła na mnie córka.

– Możesz, jasne, że możesz – poddałam się.

– Czyli dasz mi tę kasę?! To znaczy pożyczysz, bo na pewno ci oddam, ale dopiero jakoś w lutym...

– Wpadnij do mnie do redakcji, wyskoczmy do bankomatu – weszłam jej w słowo. – Teraz muszę kończyć, bo chcę jeszcze zadzwonić do naczelnego.

– Okay, to będę za jakieś czterdzieści minut! Dzięki, mamuś, jesteś super! – Olga na koniec mocno mi posłodziła i przerwała połączenie.

No to mogę zapomnieć o nowych kozakach, uśmiechnęłam się pod nosem, przypominając sobie, jak w dzieciństwie młodsza córka lubiła organizować domowy teatrzyk. Sadzała w jednym rzędzie wszystkie lalki i miśki, a bywało, że i zmęczonego po kilkugodzinnym przyjmowaniu pacjentów Eryka, i śpiewała, tańczyła, podskakiwała, plotła trzy po trzy, na koniec zawsze wdrapując się ojcu na kolana i pytając, czy była boska. „Byłam boska, tatusiu, prawda?!” – pytała, a Eryk wstawał i podrzucał ją pod sufit, co kończyło się przeraźliwym piskiem radości i głośnym śmiechem. Wstyd mi się do tego przyznać, ale czasem bywałam zazdrosna o tę ich bliskość i dobre relacje, które były między nimi od zawsze. Mnie obie córki traktowały w tamtym okresie z większym dystansem, znacznie chłodniej. To ich ojciec był tym, który rozdaje cukierki, tuli, chwali i zabiera na karuzelę. Ja pełniłam niewdzięczną rolę tej, która wymaga, beszta i krytykuje. Wszystko zmieniło się dopiero, kiedy nasze dziewczyny zaczęły dorastać. Wtedy to nagle ja stałam się przyjaciółką i autorytetem, a Eryk został nieco z tyłu, odcięty od intymnych kobiecych problemów i dziewczyńskich sekretów, które nastoletnie córki zdecydowanie wolały dzielić ze mną... A jak jest między nami teraz? – zastanawiałam się, idąc przez świątecznie udekorowany plac przy ratuszu. Czy dziewczyny mówią mi o sobie wszystko, czy tylko tak mi się wydaje? I czy Eryk nadal jest ich ukochanym tatusiem, czy może patrzą na niego chłodniej, widząc nie tylko swojego ojca, ale i fatalnego męża, jakim przez ostatnie lata naszego małżeństwa był dla mnie?

Do redakcji dotarłam mocno spóźniona i z zaparzoną kawą w dłoni wślizgnęłam się za swoje biurko. W torebce moja komórka pisnęła sygnałem przychodzącego esemesa. Upiłam kilka łyków przesłodzonej lury i sięgnęłam po telefon.

Więc teraz po prostu przestałaś się do mnie odzywać?! Po tym, co razem przeżyliśmy, po wszystkich tych wspólnych miesiącach?! Nic?! Milczenie?! Martwa cisza?! – pytał Rafał.

Odpisałam, że nie mam mu nic do powiedzenia, a moje myśli poszybowały do tamtego spotkania w delikatesach. Było coś, co nie pasowało mi do jego dramatycznej opowieści o samookaleczającej się córce. Dziewczyna, którą widziałam w markecie, nie wyglądała na zaszczutą, przygnębianą nastolatkę. Bardziej na kapryśną, rozpieszczoną do granic możliwości tatusiową księżniczkę, która tylko pstryknie palcami, a ojciec już spełnia wszystkie jej zachcianki. Wiedziałam jednak, jak bardzo mogą mylić pozory. Może rzeczywiście pod tą maską makijażu, rzuconym na powieki brokatem i kusą kiecką kryła się poharatana dusza kobiety dziecka, która wkroczyła już w zawiły świat dorosłych, ale też chciałaby jeszcze przez jakiś czas pozostać w bajkowej krainie dzieciństwa, myślałam sobie, wykasowując wiadomość od Rafała.

Zresztą Rafał nie był typem faceta, który szukając pretekstu do rozmowy, wcisnąłby mi tak grube kłamstwo tylko po to, żeby spróbować mnie wziąć na litość. Chociaż... Pewności przecież mieć nie mogłam.

– Cześć, Julia! – Naczelnny pojawił się przy mnie kilka minut później, kiedy przeglądałam materiały do tekstu o nowo otwartym domu kultury.

– Hej, Stef. Wysłałam ci dziś rano ten artykuł o Konarskiej. Myślę, że będziesz zadowolony, bo udało mi się go napisać tak, że...

– To ty jeszcze nie wiesz? – Stefan przysiadł na moim biurku i z niedowierzaniem pokiwał głową. – Wejdź sobie do internetu i przejrzyj doniesienia dnia.

Posłałam mu pytające spojrzenie, ale niczego więcej nie powiedział. Włączyłam więc komputer i czekając, aż się uruchomi, dopiłam kawę.

– Artykuł ukaże się, tak czy inaczej. Będziesz tylko musiała dopisać okoliczności jej śmierci – powiedział cicho mój naczelnny i dopiero wtedy zrozumiałam.

– Konarska nie żyje? Stefek, powiedz, że to jakiś ponury żart – wykrztusiłam zszokowana.

– Chciałbym – redaktor Król ruszył w stronę korytarza. – Zanim zapomnę, napiszesz krótki tekst o nauczycielu, który porzucił psa na mrozie? Skurwiel miał pecha, bo nagrali go smartfonami kręcący się w tamtym parku chłopacy z jego gimnazjum. W każdym razie facet nieźle sobie nagrabił. Nie dość, że wywalił trzymiesięcznego szczeniaka z auta, to jeszcze przywiązał go do drzewa z zamiarem porzucenia na pastwę losu! Przy takiej temperaturze, wyobrażasz sobie?

– Ścierwo! – rzuciłam przez zęby, wpatrując się w ekran swojego komputera.

– Gdyby ci się udało z nim pogadać, byłoby idealnie. Chcę usłyszeć również jego wersję. Koleś uczy niemieckiego i pracuje w gimnazjum na Zielnej. To znaczy jeszcze tam pracuje, bo oburzeni rodzice piszą już ponoć w tej sprawie do kuratorium i dyrekcji szkoły – dodał Stefan.

– Można wyrzucić nauczyciela z pracy za coś takiego? To znaczy, patrząc na jego postępek z moralnego punktu widzenia, jak najbardziej, ale...

– Julka, nie wiem – rzucił Stefan zmęczonym głosem. – Z tym że to nie jest priorytet. Ten temat puścimy dopiero po Nowym Roku – dodał, zanim zostawił mnie samą.

Otworzyłam pierwszy z brzegu serwis informacyjny i wyjęłam z szuflady okulary do czytania w ciemnoszafirowych oprawkach. Doniesienia o śmierci Izabeli Konarskiej były w czołówce krajowych wiadomości.

Tuż przed Wigilią popularna aktorka popełnia samobójstwo, osierocając czteroletniego syna!
– krzyczał nagłówek.

Przebiegłam wzrokiem artykuł, starając się powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

Urodzona w Krakowie, a od lat mieszkająca w stolicy, Izabela Konarska podcięła sobie żyły po gwałtownej publicznej kłótni z mężem, który dzień przed tym, jak targnęła się na swoje życie, wrócił z Bostonu. Policja nadal nie wie, skąd ofiara wzięła ostry odłamek szła i czy do jej śmierci nie przyczyniły się osoby trzecie. Aktorka, która niedawno była sprawczynią poważnego drogowego incydentu, osierociła czteroletniego syna Gabriela – przeczytałam.

– Już wiesz? – Konrad, który od niedawna pracował w sąsiednim boksie, stanął przy moim biurku i zerknął mi przez ramię. – Piękna kobieta! Uwielbiałem ją w *Szakałach*! Przykre jest to, że nigdy później nie dostała aż tak dobrej roli. Wszystkie te późniejsze serialowe gnioty o bogatych paniusiach z przedmieść...

– Konrad, masz mi coś konkretnego do powiedzenia? – weszłam mu w słowo.

– Okay, rozumiem, masz zły dzień i ogólnie bez kija nie podchodź?

– Nie mam złego dnia! Po prostu kilka dni temu tę kobietę poznałam, a teraz nie żyje! Żal mi jej, mimo wszystko! – wybuchłam.

– Wybacz, nie chciałem cię zdenerwować. – Redakcyjny kolega dyplomatycznie się wycofał, a ja przejrzałam jeszcze kilka informacyjnych i plotkarskich portali.

Znaleziona w toalecie jednej z najmodniejszych warszawskich restauracji... W zalanej krwią beżowej sukience... Koszmarne odkrycie dokonała jedna z kelnerek zaniepokojona reakcją Dominika K., który nie mógł się doczekać powrotu żony z restauracyjnej łazienki... – dziennikarskie spekulacje migały mi przed zmęczonymi oczami. Na portalach z plotkami było jeszcze gorzej. Pisano o domniemanych romansach drugiego męża Konarskiej, bogatego dewelopera Dominika K., pisano też o rzekomych problemach z alkoholem jej pierwszego męża, doktora B., oraz o jej aroganckich odzywkach na planie, kłótni ze stewardessą podczas zeszłorocznego lotu do Dubaju i bijatyce w jednym z nocnych klubów, kiedy to rzekomo miała się rzucić na bawiącą się tam koleżankę z planu serialu *Desperatki*.

Telefon rozdzwonił się, kiedy czytałam o rzekomych groźbach Dominika K. pod adresem żony, którą ponoć kilkakrotnie wyzywał w towarzystwie zaprzyjaźnionych sąsiadów.

– Mamuś, zejdziesz na dół? – usłyszałam głos Olgi.

– Daj mi chwilę – poprosiłam.

– Okay – rzuciła do słuchawki córka.

Rozłączyłam się, wrzuciłam telefon do torebki i wyjęłam płaszcz z niewielkiej wspólnej szafy na korytarzu.

– Jula, kupiłabyś mi apap? Dawno mnie tak nie bolała głowa – poprosiła Gośka, nasza najmłodsza stażem reporterka.

– Łap – wyjęłam z torebki opakowanie popularnego proszku od bólu głowy i rzuciłam na jej biurko.

– Tego nie znam – zawahała się.

– Nie zabije cię – zapewniłam ją, zakładając płaszcz.

Kiedy wyszłam przed budynek, Olga stała oparta o niewysoki kamienny murek i pisała esemesa.

– Chodźmy, nie mam zbyt wiele czasu – ponagliłam ją.

I założę czapkę, jest minus sześć, miałam ochotę dodać, jednak ugryzłam się w język. Ja marnie znosiłam wszelkie tego typu uwagi ze strony mojej matki, tak samo nie lubiły ich moje córki.

– Wyszedł nam ładny odcień – pogłaskałam Olę po głowie.

– Nie rób obciachu! Czułości w domowym zaciszu – zachnęła się, ale posłała mi rozbawione spojrzenie.

– Potrzebujesz jeszcze czegoś na ten wyjazd? I kiedy ty w ogóle się tam wybierasz? – zapytałam.

– No jutro, nie wspominałam ci? Miałam niesamowity fart, bo nie dość, że niespodziewanie zwolniło się miejsce na warsztatach, to jeszcze załapię się do samochodu znajomych i nie będę się musiała tłuc pociągiem.

– A ci znajomi to...

– Nie znasz. – Olga wzruszyła ramionami i zatrzymała się przed przejściem dla pieszych.

– Trochę mi przykro, że nie będzie cię na wigilii, wiesz? Jeszcze kilka lat temu siadaliśmy przy świątecznym stole w takim dużym gronie, a później ja rozstałam się z twoim ojcem, mój ojciec oszalał i puścił kantem matkę...

– No, to było dość niespodziewane. Ale trzeba przyznać, że się z Karen dobrali. Są fajną parą, lubię na nich patrzeć – powiedziała Olga. – To znaczy żal mi babci, ale sama też sobie nieźle nagrabiła. W ostatnich latach małżeństwa kłócili się niemal bez przerwy...

– Oboje nie mają łatwych charakterów – przyznałam.

– Chodź, zielone! – Córka pociągnęła mnie za rękaw płaszcza.

Dochodziłyśmy do bankomatu, kiedy zaczepił nas przebrany za Mikołaja młody facet.

– Witam, piękne panie! Dacie dyszkę na łiskacza? – zapytał, mierząc moją córkę wzrokiem.

– I może jeszcze na fajki, co?! Spadaj! – odpyskowała mu Olga, ale mnie zrobiło się chłopaka żal i dałam mu wyjętą z portmonetki dwudziestkę.

– Ty chyba żartujesz?! Powodzi ci się ostatnio?! – naskoczyła na mnie córka.

– Uspokój się! – uciszyłam ją. – Moje pieniądze, moja sprawa.

– To był jakiś męt, który...

– Olga, mów ciszej! – syknęłam, bo chłopak stał dosłownie pięć metrów od nas. – Nie masz pojęcia, kim jest i co go w życiu spotkało, więc nie oceniał!

– Powiem ci, kim jest! Bezrobotnym, leniwym trutniem, który żeruje pewnie na rentach matki, babki bądź siostry, a dzięki ładnej buźce sypia kątem u poznanych w sieci, naiwnych bab i jeszcze wyłudza kasę od przypadkowo spotkanych frajerek, żeby co wieczór móc się solidnie nachlać!

– To tylko jedna z możliwości – przyznałam. – I wybacz, ale kiedy zrobiłaś się aż tak cyniczna?

Córka nie odpowiedziała. Odprowadziła tylko wzrokiem fałszywego Mikołaja i wyjęła z torebki truskawkową gumę do żucia.

– Chcesz? – zapytała, kiedy podeszliśmy do bankomatu.

– Nie chcę – mruknęłam, wkładając kartę.

– On tu idzie i się gapi! Więc nie zdziw się, jeśli nabierze ochoty na więcej – szepnęła Olga.

– Jest biały dzień, jedna z głównych ulic. Nie sądzisz chyba, że nas napadnie?

– Nie no, jasne! Bo napady zdarzają się tylko nocami, w szemranych dzielnicach! I to mówi ktoś, kto latami opisuje wszystkie ludzkie grzeszki! – roześmiała się Olga.

– Trzymaj – podałam jej wypluty przez bankomat tysiąc w setkach i pięćdziesiątkach, a ona pospiesznie schowała pieniądze do starej torebki z włóczki, którą lata temu kupiliśmy razem w Budapeszcie.

– Nie miałam pojęcia, że jeszcze ją masz – uśmiechnęłam się.

– Mam. Lubię ją, chociaż wygląda już mało wyjściowo – powiedziała córka. – Mamuś, wypiłabym z tobą kawę, ale nie mam czasu! Muszę podrzucić kasę Zimorodkowi, a...

– Komu?

– Taka ksywa – mruknęła Olga. – Dzięki, naprawdę! Oddam ci całość, tylko...

– Nie musisz – machnęłam ręką, a córka od razu się rozpromieniła.

– Serio?! Super! – rzuciła, po czym pocałowała mnie w oba policzki, przesłała jeszcze całusa w powietrzu i pognała w stronę pobliskiego przystanku.

Śledziłam ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła mi z oczu, w końcu zawróciłam w stronę redakcji i starając się nie myśleć o Izabeli Konarskiej w samotności podcinającej sobie żyły kawałkiem szkła, ruszyłam wzdłuż świątecznie przystrojonej ulicy, mijając roześmianych, objuczonych świątecznymi prezentami ludzi.

Julka, masz teraz w planie coś pilnego?! Może byś się ze mną zabrała? – Wchodząc do budynku, w którym nasza redakcja wynajmowała całe ostatnie piętro, niemal zderzyłam się z wybiegającym Konradem. – Gośka rzyga w łazience jak kot i z całą pewnością ze mną nie pojedzie, a ja absolutnie potrzebuję psychicznego wsparcia. Jeśli istnieje gatunek człowieka, na który mam alergię, bez wątpienia jest nim polityk – skrzywił się Konrad.

– A dokąd jedziesz? – zapytałam.

– Mam machnąć reportaż z rozdania świątecznych prezentów wychowankom domu dziecka. Ważniacy z urzędu miasta kupili trochę żarcia i nieco zabawek, a my mamy napisać jakiś pean na ich cześć. Stefan ci nie wspominał? – Konrad włożył czerwoną puchową kurtkę i wyjął z kieszeni czapkę.

– Nic mi nie mówił – mruknęłam. – A co do peanu, skoro kupili prezenty dzieciakom, chętnie go napiszę.

– Taaaa, bo niby sami na to wpadli? Mają dobrych speców od PR.

– Nieważne. Liczy się efekt końcowy – powiedziałam.

– Gdzie łąziłaś? – zainteresował się kolega, zmieniając temat.

– Wskoczyłam do bankomatu. Młodsza córka wyłudziła ode mnie właśnie okrągły tysiąc polskich złotych – zażartowałam.

– Nieźle. Dostałaś ostatnio podwyżkę? – Konrad szturchnął mnie łokciem i podszedł do swojej zdezelowanej skody, którą jeździł, odkąd go znałam, czyli grubo ponad dekadę. A już wtedy swoje lata miała...

– Właż – otworzył mi drzwi od strony pasażera i zdjął z fotela stos katalogów z morzem i palmami w tle. – Sorry. Mojej pani zamarzył się zimowy wypad w ciepłe strony.

Wsiadając, zapytałam, czy jego synek wykaraskał się już z zapalenia oskrzeli.

– Tak, już wszystko okay – powiedział Konrad zanim ruszyliśmy.

Pomyślałam, że to właściwie smutne. Pracowaliśmy razem ponad dziesięć lat, a tak niewiele o nim wiedziałam. Na karku czterdziestka, w domu atrakcyjna żona, dwóch synów i pies, którego imienia nie pamiętałam. Dyplom z socjologii zrobiony na jednej z wrocławskich uczelni, przebyta niedawno operacja wycięcia wyrostka. Ale co z resztą? Jakim jest człowiekiem? O czym marzy, w co wierzy, co myśli o świecie? – zastanawiałam się, zdając sobie sprawę, że wszystkie nasze rozmowy są zazwyczaj płytkie i krótkie. Ślizgamy się po banalnych tematach, nie poruszając tych trudniejszych, mijamy się w korytarzach redakcji z przyklejonymi do twarzy uśmiezkami, nie mając pojęcia, kim naprawdę jesteśmy, myślałam. Szybko jednak dałam sobie spokój z tego typu rozważaniami. W końcu to normalne, że nie o wszystkich wiemy tyle, ile byśmy chcieli...

– Co z Gosią? – zapytałam, kiedy stanęliśmy na światłach przy Kołłątaja.

– No mówiłem ci, rzyga.

– Od migreny?

– Lekarzem nie jestem, Julka! – zachnął się Konrad. – Może się spodziewa? Moja Aneta w czasie obu ciąż rzygała jak kot. – Konrad wzruszył ramionami, zerknął w lusterko i gwałtownie zmienił pas.

– Nie wiem, czy ona teraz kogoś ma. Z Łukaszem się przecież rozeszli – palnęłam, zbyt późno gryząc się w język.

W końcu zdradzanie prywatno-łóżkowych sekretów redakcyjnej koleżanki nie było zbyt eleganckie.

– A nie wrócili do siebie? Irek mówił, że widział ich w Campari. Tańczyli dość mocno objęci, on z rękami na jej tyłku, ona wyraźnie pijana.

– Jaki ty jesteś dobrze poinformowany! – roześmiałam się, a Konrad zarechotał.

– Dobry dziennikarz wie wszystko, droga koleżanko – mruknął.

– Wielką mi aferę odkryliście!

– Z najdrobniejszego incydentu można zrobić gigantyczną medialną burzę. Trzeba tylko wiedzieć jak. – Konrad ponownie zmienił pas i pogwizdując, zjechał w stronę nadzecznych bulwarów. Przypomniałam sobie krążące swego czasu po redakcji plotki, że Gośka się w nim kocha.

Ile było w tym prawdy, nie miałam pojęcia, chociaż trzeba przyznać, że czasem, kiedy zbyt dużo wypija na jakiejś firmowej imprezie, wodziła za nim maślanym wzrokiem.

Do miejscowego domu dziecka dotarliśmy kilka minut później. Kiedy Konrad parkował, przyjrzałam się zaniedbanemu dwupiętrowemu budynkowi z cegły. Gołym okiem było widać, że aż się prosił o remont, w dodatku sprawiał ponure, wręcz przygnębiające wrażenie. Miał w sobie coś, co kojarzyło się z kręconymi w tego typu miejscach filmami grozy. Pozbawione liści, przysypane śniegiem drzewa nachylały się nad oknami, drapiąc gałęziami o parapety. Okna były stare, wypaczone i zabezpieczone mocnymi metalowymi kratami. Chyba właśnie te paskudne, pomalowane na czarno kraty nadawały budynkowi tak posępnego charakteru. Placówka, w której wychowują się dzieci, nie powinna wyglądać tak ponuro, pomyślałam, kiedy wysiadaliśmy z samochodu.

– Chcesz? – Konrad wyjął z kieszeni miętową gumę i wyciągnął do mnie rękę.

– Nie, dzięki – powiedziałam, wchodząc na pierwszy stopień ukruszonych schodów.

– Mrocznie tu. – Kolega również zauważył posępny klimat tego miejsca, bo na moment przystanął i zadarł głowę w górę. – Fasada aż się prosi o odnowienie...

Pchnęłam drzwi i weszliśmy do środka.

Kręcący się po korytarzu wysoki mężczyzna w ciemnym uniformie skinął nam głową i zapytał, czy jesteśmy z ratusza.

– Prasa – powiedziałam i facet od razu spochmurniał.

– Dziennikarze, jasne – mruknął. – Gala jest na piętrze – dodał mało sympatycznym tonem.

– Gdybyśmy byli z ratusza, posmarowałyby nam pewnie dupy miodem, ale skoro dziennikarze, to już nie – burknął Konrad na tyle głośno, że facet w ciemnym uniformie na pewno go usłyszał.

– Cicho, oszalałeś? – syknęłam.

– Wiem, wiem. W dzisiejszych czasach szczerść nie jest w cenie. – Konrad zdjął kurtkę,

wsunął czapkę do jej kieszeni i wszedł na półpiętro. – Patrz, jak farba ze ścian odłazi. Płatami... Rok temu robiłem reportaż o domu dziecka, ale to była zupełnie inna placówka. Wszystko zadbane, czyste, pastelowe. Dyrektorka nie miała jeszcze czterdziestki, a stworzyła tym dzieciakom naprawdę świetne miejsce.

– A co to ma wspólnego z jej wiekiem? – zdziwiłam się.

– To chyba tutaj. – Konrad przystanął przed otwartymi dwuskrzydłowymi drzwiami, zza których dochodził szum głosów, kobiecy śmiech i czyjś gwałtowny kaszel.

Weszliśmy do środka. Młoda ładna dziewczyna w oficjalnym czarnym kostiumie wzięła od nas wierzchnie okrycia i zaniósła je do niewielkiego pomieszczenia obok, które najwyraźniej służyło w tym momencie za szatnię dla gości. Urzędnicy z podarkami już się zjawili – pachnący drogimi wodami kolońskimi, wbici w równie drogie garnitury brzuchaci faceci, robili sobie zdjęcia z nieco zawstydzonymi, zdezorientowanymi niespodziewanym zamieszaniem dziećmi.

– Polityczne małpy w komplecie, cyrk się kręci – szepnął mi na ucho Konrad.

Uśmiechnęłam się krzywo i rozejrzałam po pełnej ludzi sali. Dzieciaków było kilkadziesiąt. W przeróżnym wieku, od kilkulatków po te starsze, nastoletnie. Większość z nich mimo wszystko chyba nieźle się bawiła, tylko jedna z dziewczynek, jasnowłosa, szczuplutka, na oko pięcioletnia, stała przy oknie, wyraźnie trzymając się z daleka od otaczającego ją zgiełku. W rękę miała szmacianą lalkę, na sobie grzeczną, niemodną granatową sukienkę z białym kołnierzykiem.

– Dostałaś jakiś prezent? – zapytałam, kiedy do niej podeszłam.

Skinęła głową na „tak” i włożyła do buzi kciuk. Wyglądała jednocześnie na speszoną faktem, że ją zagadnęłam, i spragnioną bliższego kontaktu z kimś życzliwym.

– Tę lalkę?

Znowu skinienie głową i niepewny krok w moją stronę.

Posłałam jej zachęcający uśmiech.

– Podoba ci się?

– Tak – szepnęła dziewczynka.

Kucnęłam obok niej i zapytałam jak ma na imię.

– Tosia, a ty?

– Julia.

– Chciałabym, żeby przyszła mama – powiedziała mała cicho, ledwie słyszalnie. – Ale ona nie przyjdzie – dodała, a ja poczułam wzbierające pod powiekami łzy.

– Ale za to są tu inni fajni ludzie – rzuciłam zupełnie idiotyczny tekst, chcąc ją jakoś pocieszyć.

– To nie to samo – powiedziała, a jej dojrzały komentarz sprawił, że niemal się rozkleiłam.

– Lubisz cukierki? – zapytałam, chcąc jakoś odciągnąć jej uwagę od myśli o nieobecnej matce. – Na stole widziałam dużo słodczy!

– Nie lubię. – Mała nie dała się skusić na łakocie i tuląc do siebie lalkę, zerknęła w stronę drzwi.

Spojrzałam na Konrada, który robiąc zdjęcia aparatem naczelnego, kręcił się po sali, szukając miejsc do najlepszych ujęć. Nie zwracał na mnie uwagi, a ja nagle poczułam chęć, żeby wyjść z tego olbrzymiego pokoju pełnego smutnych dziecięcych twarzy i uciec gdzieś daleko, gdzie święta nie są jedynie szopką.

– Masz w domu choinkę? – zapytała mnie Tosia.

– Mam – uśmiechnęłam się na wspomnienie drzewka, które ubrałam z pomocą wnuczki.

– Tutaj jest brzydka i nie pachnie! – poskarżyła się dziewczynka, a ja zerknęłam na stojące w kącie, sztuczne i dziwnie wyliniałe drzewko, na którym wisiało kilkanaście różnokolorowych bombek i odrobina anielskich włosów. – A w domu nigdy nie mieliśmy choinki. Mama nie lubiła – poskarżyło się dziecko, nie dodając, czy jej matka nie lubiła choinek, czy Bożego Narodzenia.

– Jak będziesz duża, kupisz sobie wielką choinkę – powiedziałam, a dziewczynce roziskrzyły się oczy.

– Taką? – podskoczyła z uniesionymi do góry rękoma.

– Taką – uśmiechnęłam się.

– Chodź, zbieramy się! Mam wszystko, czego chciałem. – Konrad zjawił się przy mnie i posłał uśmiech Tosi. – Fajna lalka. Twoja?

– Tak – szepnęła mała.

– Ma jakieś imię?

– Nie.

– To może Julia? Moja koleżanka tak ma na imię – mrugnął do dziewczynki mój kolega.

– Może – powiedziało dziecko, zerkając w stronę rozbawionego prezydenta miasta, pozującego do zdjęć w towarzystwie kilku nastoletnich chłopców. – Dlaczego ten pan dał nam prezenty? – zapytała nagle.

– Bo to dobry pan i bardzo lubi dzieci – odpowiedział Konrad kpiarskim tonem.

– Bo idą święta, a w święta wszystkie dzieciaki dostają prezenty – dodałam.

– Jula, chodź! Mam dziś jeszcze parę rzeczy do zrobienia. – Konrad wyraźnie zaczął się spieszyć.

– Już idziesz? – zapytała Tosia, łapiąc mnie za rękaw.

– Muszę iść, kochanie – powiedziałam.

– Szkoda – szepnęła mała, a ja przez chwilę miałam ochotę przyciągnąć ją do siebie i przytulić.

Podaliśmy jej jednak tylko rękę i starając się nie okazywać emocji, pomachałam dziewczynce na pożegnanie.

– Fajna mała, rezolutna – mruknął Konrad, podając mi płaszcz.

– Masz wszystko? Myślałam, że będziesz chciał z kimś pogadać.

– I pogadałem. Prezydent miasta skomentował całą imprezę jednym zdaniem. Ponoć czuje się zaszczycony, mogąc wywołać uśmiechy na twarzach najmłodszych mieszkańców. Koń by się uśmieł, nie? – westchnął Konrad, kiedy schodziliśmy po schodach.

– Może rzeczywiście go to cieszy? – zastanawiałam się głośno, zapinając płaszcz.

– Jasne! Prezenty za cudzą kasę to ja też umiem rozdawać. Niech kupi za swoje, a nie z budżetu miasta!

– Konrad, gadasz, jakbyś urodził się wczoraj! – obruszyłam się. – Tak to już wygląda. Politycy udają dobrych wujaszków, pieniądze przekazują tam, gdzie podąży uwaga opinii publicznej, a opuszczone albo jeszcze lepiej chore dzieciaki robią za medialne maskotki. W takim paskudnym świecie żyjemy, nie zmienimy tego ani ty, ani ja! Ale prawda jest taka, że lepiej robić cokolwiek niż nic. Więc wrócisz do redakcji, zapomnisz na moment o swoim wrodzonym cynizmie i napiszesz ciepły, pełen dobrych emocji artykuł utrzymany w bożonarodzeniowym duchu miłości bliźniego.

– Pewnie tak – mruknął mój redakcyjny kolega. – Stefan wyraźnie sobie zażyczył tego typu klimatów.

– Bo Stefan dobrze wie, że czasem trzeba robić dobrą minę do złej gry.

Stojący nadal przy drzwiach facet w ciemnym uniformie skinął nam głową na pożegnanie, ale nie odezwał się nawet słowem. Minęliśmy go w kompletnej ciszy i wyszliśmy na mróz.

– Nie mają nawet choinki – powiedziałam.

– Przecież mieli – zdziwił się kolega.

– Ten sztuczny wyliniały kikut?! Bez zapachu, bez wyglądu, ohydny! – zachnęłam się.

– Lepszy taki niż żaden.

– Jedźmy przez Słowiańską – poprosiłam.

– Bo? – zdziwił się Konrad.

– Bo gdzieś mnie zawieszysz!

– Jula, spiesz się! Mam dziś jeszcze pstryknąć kilka fotek stulatce, która wczoraj świętowała okrągłe urodziny i miejmy nadzieję, że jubilatka nie odwali kity, zanim tam dojadę, a później...

– Jedź przez Słowiańską albo pożegnajmy się teraz i wezmę taryfę! – zdecydowałam.

– Kurwa, ależ ty potrafisz być namolna! – zaklął Konrad, jednak kiedy wsiedliśmy do auta, poddał się i zawrócił.

– Zatrzymaj się i chodź – mruknęłam, kiedy dotarliśmy w okolice targowiska.

– Nie, ty chyba żartujesz?! Drzewko?! – Konrad nie wyglądał na zachwyconego pomysłem.

– Zgadłeś – powiedziałam.

– Posłuchaj, ja świetnie rozumiem, że te dzieciaki...

– Konrad, zamknij się i chodź! Ja zapłacę, ale ty je tam dotaszczysz! W kwestii targania choinek wyrobiłam już w tym roku normę! – weszłam mu w słowo.

Kiedy wysiedliśmy, wyglądał na wściekłego.

– Mówię ci, że wyjątkowo mi się spieszy, a tobie się nagle zachciewa zabaw w dobrą wróżkę?! – fuknął na mnie, kiedy przedzieraliśmy się przez zatłoczone targowisko.

Jednak jakieś dwadzieścia minut później, gdy wtaszczyliśmy olbrzymie drzewko do pełnej dzieciaków sali, a dookoła rozległy się piski radości, przyuważyłam, że kolega wygląda na szczerze wzruszonego. Oczywiście, chyba by mnie zabił, gdybym mu to powiedziała...

– Patrz, jak się ujebałem żywicą! Co, jak co, ale za tę akcję wisisz mi duże piwo! – psioczył

w drodze do samochodu.

– No już nie zgrywaj takiego nieczułego macho, co? – Szturchnęłam go łokciem. – Miło było zobaczyć radość w oczach dzieciaków.

– Miło, jasne, że miło. Tyle że teraz nie zjem nawet obiadu, bo muszę pędzić do tej stulatki – marudził Konrad.

– Dobra, to miłego dnia! A u babci na pewno cię nakarmią.

– Nie jedziesz ze mną? – zdziwił się.

– Po co? Ze stulatką chyba sobie poradzisz?

– Dla towarzystwa – powiedział, wyjmując z kieszeni kluczyki.

– Wybacz, mam inne plany. Muszę pogadać z miejscową aptekarką, przeredagować artykuł o kobiecie, która wolała się zabić, niż znosić medialną nagonkę na siebie, zrobić wielkie zakupy, później jechać do matki i pomóc jej przy lepieniu uszek, a na koniec dostarczyć kota sąsiada do weterynarza.

– O cholera, nie zazdroszczę – zaśmiał się Konrad. – Ja robię wszystko, żeby ominął mnie ten przedświąteczny chaos...

– Typowy facet – stwierdziłam, zanim kolega wszedł do samochodu, a on posłał mi szeroki uśmiech.

– Sorry, ale pieprzonych uszek lepić nie będę! – rzucił lekkim tonem.

– Pieprzone uszka – powtórzyłam półgłosem i parsknęłam śmiechem, wyobrażając sobie reakcję mojej matki na takie określenie jej ulubionej świątecznej potrawy.

Do matki dotarłam mocno spóźniona, tym razem jednak, ku mojemu zaskoczeniu, ta niepunktualność nie została mi wypomniana. Wręcz przeciwnie – mama zdawała się być w nie najgorszym humorze. Opasana ładnym fartuszkim z falbanką kręciła się po kuchni, podśpiewując do wtóru z Al Bano i Rominą Power. Ich stare włoskie przeboje słycać było w tle. Na mój widok ściszyła muzykę i z nożem w ręku, niczym dyrygent z batutą, wskazała metalowy kubek z cebulą.

– Obierz, ile dasz radę! – rozkazała nieznoszącym sprzeciwu tonem, którego używała, kiedy komenderowała nami w kuchni.

Podwinęłam więc rękawy i zabrałam się do cebuli.

– Gdybyś była głodna, mam pierogi.

– Nie, dziękuję. Po drodze zjadłam hot doga – palnęłam, nim ugryzłam się w język.

Jednak tym razem kazania o śmieciowym jedzeniu nie usłyszałam. Mamę wyraźnie absorbowało coś innego. Wyglądała na zamyśloną, a jej czoło przecinała poprzeczna zmarszczka, która pojawiała się tam wtedy, kiedy intensywnie o czymś myślała.

I faktycznie...

– Myślałam dzisiaj o Ilonie – mama włożyła do maszynki kolejną porcję rosółowego mięsa i zaczęła kręcić korbą. – Słuchaj, a może ona potrzebuje pomocy?

– W jakim sensie? – zapytałam, ocierając wierzchem dłoni płynące po policzkach łzy.

Na olbrzymiej drewnianej desce czekało jeszcze kilka dużych cebul, a ja już teraz miałam serdecznie dość świąt, całej tej bieganiny i kuchennego chaosu, który z wielkim trudem pomagałam ogarnąć. Co prawda mama już wiedziała, że i Olga, i Matylda spędzą Boże Narodzenie poza domem, ale i tak się uparła, żeby zrobić rekordową liczbę uszek z grzybami do wigilijnego barszczu, oraz z mięsem, na pierwszy i drugi dzień świąt. „Najwyżej się zamrozi, a dziewczynki zjedzą po powrocie” – zdecydowała, więc utknęłam z nią pośrodku jej przestronnej, nieskazitelnie białej kuchni, potulnie wykonywałam wszystkie rozkazy i robiłam za podkuchenną.

– No wiesz, pomocy psychologa.

Matka mocniej upchnęła mięso w maszynce i z jeszcze większą energią zabrała się do kręcenia korbką.

– Nie mogłaś tego najpierw jakoś nożem posiekać? – zapytałam.

Posłała mi gniewne spojrzenie, jakbym powiedziała coś naprawdę szokującego.

– Już ty mnie nie ucz, jak mam to robić! – fuknęła. – A co do Ilony...

– Mamo, nie chcę teraz o tym rozmawiać! – przerwałam jej. – Wiesz, że za każdym razem, kiedy wypływa ten temat, zaczynamy się kłócić.

– Ale ty nigdy nie chcesz o tym rozmawiać! A rozmowa pomaga, mogłybyście...

– Mamuś, ja nigdy nie miałam do niej żalu po tym, co się stało! Nigdy, nawet przez chwilę, w tych najgorszych momentach! To ona się w sobie zamknęła, odcięła od rodziny, unika nas.

Myślisz, że mnie nie jest przykro?! Przecież dawniej byliśmy sobie tak bliskie, a teraz nagle... – urwałam w pół zdania, bo w mojej torebce rozdzwoniła się komórka.

Pognałam w stronę zlewu, przemyłam ręce zimną wodą i w pośpiechu wytarłam je w kraciatą ściereczkę.

– Mówiłam ci tyle razy, żebyś nie kładła torby na podłodze – przypomniała matka, kiedy podnosiłam z ziemi mój przepastny zamiszowy worek.

Dzwonił Rafał, a widok jego imienia na wyświetlaczu komórki momentalnie podniósł mi ciśnienie. Byłam zmęczona emocjonalną szarpaniną pomiędzy nami, a już z całą pewnością nie zamierzałam z nim rozmawiać przy swojej matce!

– Nie mam ci nic do powiedzenia! – rzuciłam więc do słuchawki, nie bawiąc się w dyplomację.

Rafał zaczął coś mówić, ale się rozłączyłam.

– Kto to był? – zdziwiła się matka. – Byłaś zwyczajnie niegrzeczna!

– Ojejku, naprawdę?! – parsknęłam rozeźlona. – Zrobię farsz do tych z grzybami – dodałam łagodniejszym tonem.

– Ja zrobię, ty skrój do reszty cebulę i wyjmij wszystkie przyprawy – rozkazała matka. – A co u Eryka? – zapytała nagle, kiedy zalewając się łzami, kroiliśmy kolejną cebulę.

– A co ma być? Żyje – mruknęłam.

– Zdjął mi ostatnio kamień z zębów. Za darmo, wyobraź sobie! – pochwaliła się mama.

– Trudno, żebyś płaciła w gabinecie byłego zięcia – zachnęłam się.

– No wiesz, różni są ludzie. Ale on zawsze proponuje, żebym wpadła i grosza ode mnie nie bierze! Słuchaj, a może byś go do nas zaprosiła? No wiesz, na wigilię. Skoro mamy być tylko we trzy, może by przyszedł? Przecież jego rodzice od dawna nie żyją, rodzeństwa nie ma, żal chłopaka... – matka, która zawsze uwielbiała Eryka, ale nigdy tak do końca nie wybaczyła mi rozvodu z nim, wyraźnie zapaliła się do swojego pomysłu, ale szybko ją zgasiłam.

– Mamuś, sprawa jest prosta: w tej samej chwili, w której zobaczę go przekraczającego twój próg, wkładam płaszcz i idę do domu!

– Dziecko, ale czemu reagujesz tak alergicznie?! Spędziliście w końcu razem taki szmat czasu, macie dwie córki! Powinnaś przynajmniej...

– Mamo! – krzyknęłam i moja rodzicielka w końcu zamilkła.

Owszem, widywałam się czasem z Erykiem na mieście i zdarzało nam się zjeść wspólną kolację lub wyskoczyć na drinka, ale wspólna wigilia w towarzystwie matki zdecydowanie nie wchodziła w grę! Szłam o zakład, że zaczęłyby rzucać jakieś żenujące uwagi, a ja przy stole płonęłabym ze wstydu.

Następne dwie godziny były dla mnie prawdziwą katogą. Kroiliśmy, siekałam, mieszałam, podsmażałam, soliłam i pieprzyłam, a kiedy w końcu wymówiłam się spotkaniem z sąsiadem i uciekłam z matczynej kuchni, bolała mnie głowa i było mi niedobrze.

W drodze do domu, taszcząc wielkie siaty z zakupami i co chwilę zerkając na zegarek, znowu poślizgnęłam się na oblodzonym chodniku, tym razem jednak obeszło się bez wywinięcia orła. Do bramy wpadłam za osiem siedemnasta i zasapana zadzwoniłam do drzwi młodego sąsiada.

– Błażej, daj mi pięć minut, okay? Umyję ręce, napiję się wody i pędzę z twoim kotem na Rajska – powiedziałam, kiedy chłopak stanął w uchylonych drzwiach.

– Super, wielkie dzięki! – uśmiechnął się. – Zadzwoń ci po taryfę? – zapytał, kiedy otwierałam frontowe drzwi.

– Nie, przejdę się. Ostatnie trzy godziny spędziłam w oparach smażonej cebuli, z matczynym akompaniamentem w tle – mruknęłam, a Błażej parsknął śmiechem.

– Rozumiem, faktycznie powinnaś przewietrzyć umysł – zgodził się ze mną sąsiad.

Kilka minut później, z Gerałtem w czarno-białej podróźnej klatce, wyszłam przed bramę i ruszyłam wzdłuż ulicy. Kot, który początkowo siedział cicho, zaczął przeraźliwie miauczeć, kiedy zbliżyłam się do skrzyżowania.

– Jak nie choinka, to kot? – usłyszałam dziwnie znajomy męski głos.

Michał Wolski, facet, który kilka dni wcześniej pomógł mi dotaszczyć do domu świąteczne drzewko, stał tuż obok mnie przy przejściu dla pieszych i czekał na zielone światło w gęstniejącym wokół nas popołudniowym tłumie.

– Dzień dobry! – uśmiechnęłam się, starając się nie myśleć o moich namoczonych w umywalce stanikach, na które tamtego dnia się napatoczył.

– Pani kot? – zagaił Wolski, zerkając na trzymaną przeze mnie klatkę.

– Sąsiada – wyjaśniłam i w tym momencie zmieniło się światło.

– To miłego wieczoru – Wolski skinął mi głową i znacznie szybszym krokiem ruszył przez zebkę.

– Miłego – mruknęłam, chociaż już tego nie słyszał.

U weterynarza było dość tłoczno. Kiedy jednak weszłam i zaczęłam coś mówić o umówionej wizycie Gerałta, młoda recepcjonistka z aparatem na zębach zawołała jedną z lekarek.

– Witam! Od Błażeja, prawda? – upewniła się dziewczyna, wyciągając do mnie rękę. – Ala Marciszewska.

– Julia Sosin.

– Mogę? – Marciszewska wzięła ode mnie klatkę z kotem i posłała mi uśmiech. – Proszę Błażewi przekazać, że co piątek czekamy na niego w Żółtym Bażancie! I niech mnie diabli, jeśli któregoś dnia nie będzie musiał postawić nam wszystkim kolejki – dodała półgłosem.

– Przekażę – obiecałam.

– Koniecznie! A o kota proszę się nie martwić. Jutro sama podrzucę go Błażewi – zapewniła mnie młoda lekarka.

– Dziękuję i wesołych świąt – powiedziałam więc, ruszając w stronę wyjścia.

Na zewnątrz znowu sypało. Prognozy od rana ostrzegały o nadciągającej zadymce i faktycznie z każdą minutą śnieg padał coraz gęstszy, oblepiał mój płaszcz, osiadał mi na twarzy i rękach. Mijając róg Skarbowej i Kieleckiej, zauważyłam nowo otwartą kawiarnię z wielkimi oknami, w których kusząco migały świąteczne lampki. Wchodząc do środka, usiłowałam sobie przypomnieć, co znajdowało się w tym miejscu wcześniej, ale w głowie miałam pustkę. W lokalu było zaskakująco tłoczno, a w kłębiącym się przy barowym kontuarze tłumie przeważali faceci. Kobiety tkwią teraz w kuchni i z obłędem w oczach przygotowują święta,

pomyślałam, zerkając na zawieszony nad barem menu.

Zastanawiałam się właśnie, czy się nie skusić na naleśniki z bitą śmietaną i karmelem, kiedy podeszła do mnie wysoka kobieta z burzą miedzianych włosów.

– Julka?! Cześć, piękna!

– Ruda?! – krzyknęłam i ku uciesze stojących obok młodych facetów obie wydałyśmy z siebie infantylny pisk radości.

– Jezus Maria, ile to już lat?! – Beata zwana Rudą wyciągnęła mnie w oba policzki i zapytała, co u mnie. – Dalej jesteś z Erykiem?

– Nie, rozwiedliśmy się. A ty? Nadal *dolce vita* we włoskim wydaniu?

– A coś ty! Rzym zostawiłam jakieś dwa lata temu, teraz mieszkam w Holandii. Niedawno zabrałam do siebie mamę, jest zachwycona Rotterdamem. – Ruda przesunęła się w kolejce i zapytała, co u moich dziewczyn.

– Dobrze – uśmiechnęłam się.

– Masz jakieś zdjęcia?

– Jasne. Pokażę ci, jak usiądziemy. Co bierzesz? Mam ochotę na coś z dużą ilością bitej śmietany – powiedziałam, jeszcze raz lustrując wzrokiem zapisane na dużej tablicy menu.

– Nie wiem, chyba się skuszę na szarlotkę z lodami – powiedziała Beata.

Kiedy zamówiłyśmy i usiadłyśmy przy malutkim stoliku obok olbrzymiej choinki, Beata zapytała, co właściwie u mnie.

– Wiele razy żałowałam, że urwał się nam kontakt, wiesz? – powiedziała.

– Ja też – uśmiechnęłam się. – Podam ci swój numer i maila do mnie, zapisz sobie. Ile my się właściwie nie widziałyśmy? – zapytałam.

– Chyba z siedem lat. Byłam jeszcze żoną Mauro, kiedy wpadłyśmy na siebie w Warszawie, pamiętasz?

– Pamiętam, pamiętam. Miałś wtedy najbardziej marchewkowy odcień rudych włosów, jaki kiedykolwiek widziałam i...

– Dupę jak gdańska szafa – weszła mi w słowo Beata.

Uśmiechnęłam się. Nie do końca to miałam na myśli, chociaż faktycznie, tych kilka lat wcześniej Beata była znacznie okrąglejsza.

– A co u twojej siostry? – zapytałam. Momentalnie posmutniała.

– Rozwodzi się, straszna między nimi szarpanina, a w tle nastoletnie dzieciaki... Przykro na to wszystko patrzeć, w dodatku Tomasz okazał się straszliwym palantem! Ale ogólnie Marta nieźle sobie radzi. Rozkręciła własne SPA, chyba od niedawna z kimś się spotyka.

– To nie ma na co narzekać – stwierdziłam.

– A ty? – zainteresowała się Ruda.

– Mnie trafił się ostatnio bardzo niezdecydowany amant, którego niedawno ostatecznie pogoniłam... – Wzruszyłam ramionami.

– Niezdecydowany na co? – zdziwiła się Ruda.

– Powiedzmy, że marzyłby mu się harem. A ja nie miałam zamiaru tkwić w chorym trójkącie

pomiędzy nim a jego byłą żoną.

– Nieźle! – Beata parsknęła śmiechem i wyjęła z torebki komórkę. – Pokażę ci mojego najnowszego faceta – dodała i po chwili pomachała mi przed nosem wyświetloną na ekranie jej nokii fotką czarnego królika. – Nazywa się Rudolf, ma niecały rok, uwielbia ze mną spać i przegryzać wszystkie kable.

– Piękny – zachwyciłam się.

– Fakt, pocieszny. Moja matka oszalała na jego punkcie i gotuje mu jak dziecku – roześmiała się Beata.

Rozmawialiśmy jeszcze jakieś pół godziny, w końcu Beata zaczęła się zbierać.

– Zadzwoń! – obiecała, wkładając płaszcz. – A, zapomniałabym! Słyszałaś już o Olce Iwańskiej?

– Nie, a co u niej? – zdziwiłam się, przypominając sobie ładną wysoką blondynkę, która dołączyła do nas dopiero w klasie maturalnej.

– Zrobiła sobie cycki – Beata parsknęła śmiechem i puściła do mnie oczko. – Słyszałam od Danki Bajdy, że jeździła aż do Warszawy, do tego doktora celebryty! – dodała. – To trzymaj się, piękna! Jesteśmy w kontakcie! – Posłała mi w powietrzu całusa, owinęła szyję bordowym szalikiem i stukając obcasami, ruszyła w stronę wyjścia.

Patrząc w ślad za nią, pomyślałam, że to w sumie smutne. Kiedyś, w liceum, Beata należała do mojej paczki. Spędzaliśmy razem mnóstwo czasu i nie mogliśmy się nagadać. Teraz, po tylu latach milczenia, nasze spotkanie ograniczyło się do wymiany informacji o rozwodach, przeprowadzkach i zasłyszanych na mieście plotkach. Ale czy po tak długim czasie mogłam się spodziewać czegoś innego?

Z kawiarni wyszłam chwilę później i w sypiącym gęsto śniegu ruszyłam w stronę mojej ulicy. Zanim weszłam do mieszkania, zadzwoniłam do drzwi Błażeja.

– Kot dostarczony na miejsce, a tobie mam przekazać, że jesteś dłużny znajomym kilka kolejek – powiedziałam.

– Dzięki wielkie! I pamiętaj o jutrzejszej kolacji. Mam nadzieję, że nie jesteś wegetarianką?

– W żadnym wypadku – zapewniłam go.

– To do jutra – powiedział.

– Do jutra. – Uśmiechnęłam się.

Zdałam sobie sprawę, że bardzo mnie cieszy ta nowa sąsiedzka znajomość.

Odrzewałam sobie zupę, kiedy przyszedł kolejny esemes od wróżki Eulalii.

Unikaj dalekich podróży, a ominie Cię wielkie niebezpieczeństwo! Gwiazdy mówią o poważnym zagrożeniu w powietrzu! Zadzwoń, a powiem Ci, jak uniknąć złego losu! – przeczytałam.

– A ty lepiej nie wchodź dzisiaj do kuchni, bo ci młynek do pieprzu na łeb spadnie – mruknęłam pod nosem, bo złośliwe komentowanie każdego kolejnego esemesa od czarnowidzącej wróżki pomagało mi się uporać z narastającym poirytowaniem.

Co za nachalna, kłamliwa, irytująca kobieta! – cisnęłam telefon na stół i zebrałam sięgające ramion włosy znalezione w kuchni różową frotką, którą musiała zostawić u mnie wnuczka.

Wyciągając z kredensu jeden samotny głęboki talerz, zerknęłam na stół. Jeszcze kilka lat temu siadaliśmy w tej kuchni we czwórkę – nasze dziewczyny, Eryk i ja. Potem, niemal lawinowo, wyniosła się stąd cała moja rodzina... Rozwód z Erykiem, rok później ślub starszej córki i niedługo potem wyprowadzka młodszej, której nagle zachciało się dorosłości i dzielenia mieszkania z dwiema koleżankami – dom pustoszał na moich oczach, a ja mogłam się tylko beczynn timer przyglądać.

Cztery olbrzymie pokoje, w których nagle zostałam sama, z pojedynczym głębokim talerzem na zupę w ręku, pomyślałam i pod powiekami zapiekły mnie łzy. Nie miałam w zwyczaju użalać się nad sobą, rzadko też czułam się jakoś szczególnie samotna, ale tego wieczoru, stojąc obok pustego stołu z tym nieszczęsnym talerzem w ręku poczułam się tak, jakbym nagle została sama na całym bożym świecie, opuszczona przez wszystkich, zapomniana, nieszczęśliwa...

Czytałam ostatnio o syndromie pustego gniazda i zdałam sobie sprawę, że pomimo zaangażowania w pracę i dość częstych kontaktów z rodziną miałam kilka tego syndromu objawów. Jednak nie działa się chyba nic aż tak niepokojącego, żebym miała się czym przejmować. Po prostu czasem docierało do mnie, że to, co było, nie wróci, ale czy to znaczy, że już nigdy nie będzie dobrze?

– Nie, na pewno nie! – powiedziałam głośno do siebie, wlewając do talerza rosół, który na siłę wcisnęła mi mama, zanim od niej wyszłam. Smakował świetnie i szybko odzyskałam dobry nastrój. Może i zostałam sama, ale przynajmniej nikt nie będzie mi się dobijał do łazienkowych drzwi, kiedy zalegnę w wannie z najnowszą powieścią Joyce Carol Oates w ręku, pocieszałam się w duchu, odnosząc do zlewu samotny talerz po zupie – przyczynę mojego chwilowego załamania.

Położyłam się koło północy, ale mimo zmęczenia nie mogłam zasnąć. Łóżko z pikowanym zagłówkiem, które kupiłam po rozwodzie, wydało mi się nagle przerażająco szerokie – leżałam w satynowej pościeli, mając wrażenie, że dryfuję po ciemnych wodach oceanu samotności. W końcu zapaliłam nocną lampkę, wstałam i sięgnęłam do szuflady niewielkiej drewnianej komódki, w której trzymałam część biżuterii, zdjęcia i najprzeróżniejsze pamiątki. Ozdobne pudełko z rodzinnymi fotografiami było w najniższej szufladzie. Zabrałam je do łóżka i usiadłam w skotłowanej bladobłękitnej pościeli, którą dostałam od matki na ostatnie urodziny.

Tyle wspomnień zamkniętych w jednym niewielkim pudełku przewiązanym czerwoną wstążką, pomyślałam, wyjmując plik zdjęć.

Olga w marynarskim ubranku na kucyku, roześmiana, szczerbata, ze splecionymi w dwa warkocze włosami. Musiała mieć jakieś sześć lat... Uśmiechnęłam się. Obok siostry, nadąsana i pochmurna niczym gradowa chmura, stała trzy lata starsza Matylda. Pamiętam, że dziewczynki strasznie się tego dnia pokłóciły, psując nam wszystkim wakacyjne przedpołudnie.

Kolejne zdjęcie przedstawiało moją siostrę Ilonę. Umościła się na ławce przed domem naszej babci z książką w rękę i miską pełną truskawek na kolanach. Nie patrzyła w obiektyw, jednak musiała wiedzieć, że robię jej zdjęcie, bo siedziała wyprostowana jak struna, chociaż zazwyczaj się garbiła.

Moja mama z wózkiem, w którym spała Olga, ośmioletnia Matylda z łopatką i wiaderkiem, chyba w Kołobrzegu, tato obok swojego ukochanego wartburga, lata temu, w dzinsowych spodniach o śmiesznym kroju i kraciastej koszuli niedbale i nierówno wepchniętej za pasek. Znacznie szczuplejszy, niż go z tamtych lat zapamiętałam, z gęstą wtedy jeszcze czupryną i modnym w tamtych czasach wąsem, pochylał się nad otwartą maską wozu. Obok kręciła się moja siostra. W sukience w słoneczniki i białych podkolanówkach wyglądała jak ktoś z zupełnie innej epoki.

Zdjęcia z cywilnego ślubu Matyldy i Piotra znalazłam na samym dnie pudełka, w dużej beżowej kopercie. Córka przyniosła mi je zaraz po swoim rozstaniu z mężem. „Schowaj to na pamiątkę dla Kamili, bo ja jestem tak na niego wściekła, że na pewno podrę je na kawałki i wyrzucę!” – powiedziała wtedy. Wyjęłam z koperty pierwsze zdjęcie i uśmiechnęłam się na widok Matyldy w przepięknej blad różowej ślubnej kreacji, po którą pojechałyśmy aż do Warszawy. Wszywany sztucznymi perełkami gorset i rozkloszowany dół z lekkiego jak mgiełka materiału, a na głowie tiara, na którą się wtedy córka uparła, i upięte w misterny kok włosy. Buty kupiła z Iloną – przez pół dnia biegały po mieście, aż upolowały śliczne złote sandałki. Powiedziałam wtedy córce, że na ślub lepiej zakładać buty z zakrytymi palcami i Matylda strasznie się na mnie wściekła – przypominałam sobie, przeglądając kolejne zdjęcia.

Ja, w szafirowej szyfonowej kiece, ze złotą kopertówką w dłoni. Ilona obok naszego taty, uwieszona na jego ramieniu i wyraźnie skwaszona mama, stojąca gdzieś z boku, na skraju kadru. Tamtej soboty był niemiłosierny upał i zanosilo się na burzę, która na szczęście obeszała nasze miasteczko bokiem. Mama fatalnie się jednak czuła i miała migrenę, a mnie obtarły buty i ledwo dokuśtykałam z urzędu do pobliskiego domu weselnego. Za to Matylda przetańczyła na swoim weselu całą noc; jeszcze o piątej trzydzieści rano szalała ponoć na parkiecie, czego już nie

widziałam, bo poszłam spać.

Chowając zdjęcia z powrotem do koperty, przyjrzałam się byłemu zięciowi. Córka często mi zarzucała, że zawsze stoję po jego stronie, co było nieprawdą, chociaż przyznaję, że zawsze miałam do niego słabość. Nie był ideałem, ale nie był też złym chłopakiem. Niestety, po ich rozwodzie, rozżalona i pełna pretensji Matylda zaczęła na nim wieszać psy. Dopiero kiedy poznała Briana, odpuściła nieco Piotrowi, jednak nadal żyją ze sobą źle, co, jak przypuszczam, niezbyt korzystnie odbija się na trzypółletniej Kamili... Owszem, mój były zięć też zachowuje się nie fair, zwłaszcza nie płacąc na czas alimentów. Byłoby jednak znacznie lepiej, gdyby w końcu zaczęli ze sobą rozmawiać jak cywilizowani ludzie, tym bardziej że przecież on nie robi tego wszystkiego złośliwie. Nie płaci, kiedy nie ma. Później, kiedy już wpadnie mu jakaś gotówka, przynosi Matyldzie zaległe pieniądze. Tak przynajmniej twierdził, kiedy ostatnio wpadłam na niego na mieście...

Zanim się położyłam, wypiałam w kuchni herbatę i zjadłam mały truskawkowy jogurt. Zegar na nocnej szafce pokazywał pierwszą czterdzieści nad ranem, wróciłam więc do łóżka i wtulona w poduszkę, usiłowałam zasnąć. Sen przyszedł jakąś godzinę później, ale na grubo przed siódmą obudziły mnie dochodzące zza okna odgłosy kłótni. Wyjrzałam przez okno. Wyzwiskami obrzucało się dwóch wyglądających na lokalnych meneli facetów. Wyższy, znacznie potężniejszy, pchnął kumpla tak mocno, że tamten upadł na zaśnieżony chodnik, i cisnął w niego butelką. Na szczęście nie trafił i w ciszę poranka wdarł się brzęk tłuczonego szkła.

– Szlag by to trafił! – zakląłam, wracając do łóżka.

Niestety nie udało mi się już zasnąć, zresztą przed południem miałam się zjawić na rozmowie w domu samotnej matki, więc i tak muszę się zbierać. Kawę wypiałam, zastanawiając się, czy powinnam zadzwonić do siostry. Ilona obiecała co prawda, że przyjedzie na wigilię, ale może miło byłoby, gdybym się do niej odezwała. Ale ona też od dawna nie robiła nic, żeby ocieplić nasze relacje, a ja byłam już zmęczona tym, że ciągle pierwsza do niej dzwonię.

Na kłatkę wysłałam w narzuconej na piżamę kurtce, chcąc tylko sprawdzić skrzynkę na listy. Tuż za drzwiami napatoczyłam się na Błażeja. Siedział na schodach, ze słuchawkami w uszach i jakimś kolorowym magazynem w dłoni. Na mój widok wyjął słuchawkę z lewego ucha, odłożył na stopień gazetę i wstał.

– Cześć, sąsiadko. Mam nadzieję, że cię nie wystraszyłem? Lubię tu czasem siedzieć – powiedział.

– Co najwyżej zaskoczyłeś – uśmiechnęłam się. – Czego słuchasz?

– Bookovsky. Znasz?

– Nie, a powinnam?

– Muzyka elektroniczna, pewnie nie twoje klimaty?

– Zabrzmię przedpotopowo, jeśli przyznam, że wolę bluesa? – roześmiałam się.

– Spoko, o gustach się nie dyskutuje, jak wiadomo. – Mrugnął do mnie.

– Mam coś dzisiaj przynieść? Oprócz wina, oczywiście. Jaką sałatkę albo...

– Wszystkim się zajmę, bez obaw – zapewnił mnie Błażej.

– Będę jakoś przed dwudziestą – obiecałam.

– To do miłego! Zamówiłem już zakupy, więc będą nawet świeże bagietki. Żebyś sobie nie

pomyślała, że skoro od dłuższego czasu nie wychodzę z domu, podam ci mrożonki.

– Lody waniliowe pozeram w każdej ilości – zażartowałam i zbiegłam na dół, w stronę skrzynek.

Kiedy z plikiem rachunków i świąteczną pocztówką od dawno niewidzianej kuzynki wróciłam na górę, Błażej musiał już pójść do siebie, bo drzwi od jego mieszkania były zamknięte, a schody puste.

Półtorej godziny później wsiadałam do pociągu. Tym razem naczelnny nie dał mi kluczyków do swojego wozu, bo musiał jechać z żoną do lekarza. Dom samotnej matki, o którym miałam zrobić krótki reportaż, znajdował się niecałe trzydzieści kilometrów od naszego miasteczka. Kończąc jeść drożdżówkę, którą kupiłam w dworcowym barze, przyjrzałam się siedzącej naprzeciwko mnie starszej kobiecie.

– Jadę odwiedzić córkę – uśmiechnęła się do mnie, kiedy zorientowała się, że się jej przyglądam. – Niedawno urodziła trzecie dziecko.

– Gratuluję – powiedziałam i nasza przypadkowa, nieco niezręczna rozmowa, urwała się tak szybko, jak się rozpoczęła.

Słoneczna Przystań, ośrodek dla kobiet na życiowym zakręcie okazał się pomalowanym na radosną żółć parterowym budynkiem, który sprawiał wyjątkowo miłe dla oka wrażenie. W środku, oprowadzana przez młodsiutką siostrę zakonną, zajrzałam do kilku niewielkich odświeżonych niedawno sypialni i weszłam do olbrzymiej, pełnej młodych kobiet kuchni.

– Mamy tutaj grafik dyżurów, dziewczyny przygotowują posiłki dla siebie i dzieci – powiedziała młoda zakonnica.

– Chciałabym z nimi porozmawiać. Czy to możliwe?

– Wszystko jest możliwe. – Młodsiutka siostra lekko się uśmiechnęła i wyszła, zostawiając mnie samą z kilkoma obecnymi w środku kobietami.

– Długo tutaj jesteś? – zapytałam ładną brunetkę w zaawansowanej ciąży, która wyglądała na nie więcej niż szesnaście lat.

– Cztery tygodnie – powiedziała cicho.

– Czemu tu trafiłaś? – zapytałam.

Roześmiała się.

– Chyba przez przypadek. Przez kilka dni kręciłam się po dworcu, zaczepiałam ludzi, nocowałam kątem u znajomych, aż zaczepił mnie taki młody księżulo i powiedział o tym miejscu.

– Mówiłaś, że był przystojny – wtrąciła obierająca marchewkę ruda dziewczyna i wszystkie młode kobiety wybuchły śmiechem.

– No był – zachichotała brunetka.

– Kiedy rodzisz? – zapytałam.

– Bo ja wiem? – wrzuciła ramionami. – Wyglądam jak wieloryb, więc pewnie na dniach... Najbardziej chciałabym urodzić w sylwestra. Byłoby fajnie, nie?

– A ojciec dziecka? Masz z nim kontakt?

– A po chuj? – dziewczyna wrzuciła do olbrzymiego garnka obrane przed chwilą ziemniaki. –

Pobił mnie, jak się o dzieciaku dowiedział, to niech spierdala! – zaklęła.

– Nie bluzgaj, bo ci siostra Bernadetta język szarym mydłem wyszoruje – rzuciła jedna z obecnych w kuchni dziewczyn i nerwowo zerknęła w stronę drzwi.

Mam nadzieję, że to tylko przenośnia, pomyślałam.

– Masz dzieci? – zapytała brunetka w ciąży, a ja uśmiechnęłam się na myśl o córkach.

– Dwie dziewczyny. Starsza ma dwadzieścia sześć, młodsza dwadzieścia trzy – powiedziałam.

– Ty weź nie pierdol! To ile ty masz lat?! Dawałam ci jakąś czterdziestkę, ale...

– Czterdzieści sześć – przyznałam.

– Nie wyglądasz. Za cholere nie – roześmiała się brunetka i zerknęła w stronę drzwi. – Kurwa, muszę zajarać! Gdyby co, poszłam do kibla! – zwróciła się do rudej.

– Palisz w ciąży? – zapytałam.

– No jasne. A bo to ja jedna? Moja matka też paliła i jakoś z braćmi żyjemy – dziewczyna dokończyła obierać trzymany w dłoni ziemniak, wrzuciła go do garnka pełnego obranych kartofli i w pośpiechu wymknęła się z kuchni.

– A ty? – zapytałam tę rudą. – Długo tu jesteś?

– Jakies cztery miesiące. Trzy tygodnie temu urodziłam syna i...

– Jest tutaj?

– Jasne, teraz śpi. Mamy tu coś w rodzaju żłobka.

– Boisz się przyszłości? Masz do kogo wracać?

– Nie wiem, staram się o tym nie myśleć. – Dziewczyna sięgnęła po kolejną marchewkę i pochyliła głowę, skrobiąc nożem po jej powierzchni. – Siostry zazwyczaj są miłe i niczego nam tu nie brakuje, ale wcześniej czy później będę musiała zrobić miejsce innym. Nie wiem, dokąd pójdę, i okropnie się boję – dodała.

– Zazwyczaj są miłe? – powtórzyłam, a ona tylko lekko wzruszyła ramionami.

– Tylko się nie rozpłacz – zaśmiała się siedząca dotąd cicho jasnowłosa dziewczyna o okrągłej nalanej twarzy.

– Zamknij się, Werka! Twoi starzy nie chleją, masz jakieś możliwości, a ja?!

– Myślałyście o oddaniu dzieci do adopcji? – zapytałam.

– Siostry namawiają nas, żebyśmy tego nie robiły – rzuciła ruda z wyraźnie wyczuwalnym przekąsem. – Ale co one tam wiedzą, nie? Ja się jeszcze zastanawiam...

– Oddałabyś synka teraz, po tych trzech tygodniach?

– Czy ja wiem? Pewnie trochę bym sobie popłakała, ale co go przy mnie czeka? Kasy nie mam, zawodówki nie skończyłam, ojciec dzieciaka powiedział, żebym się od niego odpiardoliła, zresztą ma żonę, więc nie ma o czym gadać. Może i oddam? U innych będzie mu lepiej – powiedziała cicho dziewczyna.

– Pozwolicie, żebym zrobiła wam zdjęcia? Jestem reporterką...

– Za chuja nie! – Ta, którą ruda nazwała Werką, zerwała się z krzesła i ruszyła w stronę drzwi. – Sorry, idę na przerwę – powiedziała i nie czekając na niczyją odpowiedź, wyszła

z kuchni.

– Fajnie by było trafić do gazety, ale nie tak. Nie tutaj, nie z tym niechcianym dzieciakiem na ręku, przegrana... – powiedziała cicho matka trzytygodniowego chłopca.

– Nie planowałaś tej ciąży? – zapytałam.

– Kurwa, chyba jasne, że nie! – zakłęła. – Nie miałam kasy na tabletki, a Wojtek akurat stale się koło mnie kręcił i stało się.

– Ja to bym chciała, żeby mnie kiedyś tak zajebicie pomalowali i zrobili mi taką wypasioną sesję foto na egzotycznej plaży – rozmarzyła się siedząca przy oknie dziewczyna. – Wiecie, słońce, rozgrzany piasek pod stopami, palmy, faceci z nagimi torsami – dodała, a jej koleżanki wybuchły śmiechem.

– Musi być fajnie, jak się jest modelką – powiedziała jedna z milczących dotąd młodych kobiet i nagle wszystkie się ożywiły.

– Albo taką celebrytką, jak Kim Kardashian. Kosisz grubą kasę tylko za to, że cię bozia stworzyła piękną, a jak wrzucisz fotę na Instagrama, to od razu masz setki tysięcy polubień!

– O tym marzycie? O sławie? – zapytałam.

– Ja to bym nawet nie musiała być sławna, tylko żeby kasa była, nie? – matka trzytygodniowego chłopca wstała, przeciągnęła się i zerknęła w stronę okna, za którym właśnie zaczęło sypać. – Żeby nie musiała się tułać po takich miejscach i spać w pokoju z trzema obcymi laskami.

– Trafisz do noclegowni, to jeszcze zatęsknisz za tym, co masz tutaj – wtrąciła ta, która marzyła o byciu modelką.

– Spałaś już kiedyś w takim miejscu? – zapytałam ją. – Ile masz lat?

– Dwadzieścia trzy – powiedziała.

W wieku mojej Olgi, pomyślałam ze smutkiem. Dziewczyna chciała chyba jeszcze coś dodać, ale do kuchni wróciła młoda zakonnica w towarzystwie znacznie starszej w ciemnym habicie.

– Przepraszam, ale kim pani jest? – zwróciła się do mnie.

Miała ściągniętą ponurą twarz i zaciśnięte wąskie usta, których pewnie przez całe jej pełne wyrzeczeń życie nawet nie musnęła szminką.

– Julia Sosin, pracuję dla dziennika...

– Nie przypominam sobie, żebyś dawała pani pozwolenie na jakiegokolwiek artykuły!

– Ale przecież dzwoniliśmy, wszystko zostało dogadane...

– Nie wiem, do kogo pani dzwoniła, ale na pewno nie do mnie! – weszła mi w słowo zakonnica.

– Chcę napisać artykuł o dziewczynach, które...

– Nie interesuje mnie, o czym chce pani pisać! Media zrobiły nam już dość krzywdy, kiedy wybuchła afera z dietetyczką!

– Przepraszam, ale chyba nie jestem zorientowana, o co chodzi – powiedziałam.

– Jakaś dziennikarka obsmarowała to miejsce w prasie, twierdząc, że jesteśmy tu źle karmione – powiedziała mama trzytygodniowego chłopca, a starsza z zakonnice posłała jej

wściekle spojrzenie.

– Wracaj do pracy i nie rozsiewaj plotek! – ofuknęła ją.

– Ale ja przecież... – dziewczyna umilkła, uciszona jednym gestem dłoni starszej zakonnicy.

– Rozumiem, nic tu po mnie. Przykro mi, że zaszło nieporozumienie – powiedziałam. – Dbajcie o siebie, dziewczyny – dodałam, kierując się w stronę drzwi.

– Wesołych świąt – rzuciła w ślad za mną któraś z młodych matek, ale nie potrafiłam rozpoznać jej po głosie.

– Wesołych świąt – powtórzyłam.

Na korytarzu, odprowadzana przez obie zakonnice, które dosłownie deptały mi po piętach, dotarłam do frontowych drzwi.

– Jeśli zrobiła pani jakieś zdjęcia, nie życzymy sobie ich publikacji – powiedziała starsza z nich.

– Nie zrobiłam żadnych zdjęć, ale...

– W takim razie do widzenia! – pożegnała mnie mało sympatycznie i bezpardonowo.

W drodze na stację zadzwoniłam do naczelnego.

– Stefek, mówiłeś, że wszystko ustalone i mogę wejść na teren tego ośrodka, tymczasem...

– Jakiego ośrodka? – Król, jak zawsze zavalony tysiącem spraw, kompletnie nie kojarzył, o czym mówię.

– Na teren domu samotnej matki!

– Ale przecież to miało dopiero zostać dogadane – zdziwił się Stefan. – Pojechałeś tam?

– Tak i właśnie odprawiono mnie z kwitkiem! Następnym razem...

– Julka, nie mogę teraz rozmawiać. Nie przejmuj się tym, to nie jest priorytet. A następnym razem wyślę tam Konrada.

– I tyle?! Zmarnowałam pół dnia, żeby się tu dostać i zrobić ten materiał, a zostałam niemal wyproszona za drzwi! – podniosłam głos.

– No rozumiem, Jula, ale co mogę zrobić? Napisać zażalenie do arcybiskupa?! Coś się komuś pokiełbało, bywa. Wracaj do miasta, zrób sobie wolne, odpocznij.

– Puścisz jutro ten artykuł o Konarskiej? – zapytałam.

– Tak, przecież ci mówiłem. Przykre, że ukaże się w tak dramatycznych okolicznościach, w dodatku w Wigilię, ale jest świetny.

– Cieszę się – powiedziałam. – Dobra, muszę coś zjeść i złapać powrotny pociąg. Trzymaj się!

– No cześć, do jutra – Stefan szybko się ze mną pożegnał i zostałam sama na zaśnieżonej szosie.

Byłam mniej więcej w połowie drogi na stację, kiedy zatrzymał się przy mnie mijający mnie samochód i urywanie zatrąbił.

– Na dworzec? Mogę podrzucić! – młody kierowca w czarnym swetrze uchylił okienko od strony pasażera i posłał mi szeroki uśmiech. – Widziałem panią w domu samotnej matki, zajmuję się tam drobnymi naprawami! – dodał.

– Dziękuję, przejdę się! – powiedziałam, świetnie pamiętając szeroko swego czasu nagłaśnianą w mediach historię młodej mężatki, która nieopatrznie wsiadła do samochodu nieznajomego mężczyzny i na osiem długich lat wpadła w łapy szaleńca.

– Jak pani woli! – chłopak podniósł szybę i odjechał, wyraźnie urażony moją odmową.

Na dworcu wpadłam na niego jeszcze raz – kupował colę w kiosku przy peronach i oczywiście od razu mnie zauważył. A może zaczął się tam na mnie specjalnie?

– Gdyby pani chciała, mogę pani co nieco opowiedzieć na temat zakonnic prowadzących ośrodek dla tych dziewczyn. Siostrzyczki nie są takie święte, za jakie chcą uchodzić – zagadnął mnie, kiedy go mijałam. – Za dwie, czy trzy stówki mogę pani podzucić kilka naprawdę ciekawych historii – dodał.

– Przykro mi, już się tym nie zajmuję – zgasiłam go.

– Szybko się pani poddaje – mruknął.

– Czasem trzeba odpuścić – powiedziałam.

– Jasne, w sumie kogo obchodzą te dziewczyny, nie? – rzucił mało przyjaznym tonem.

– A pan, jak rozumiem, jest bardzo przejęty ich losem? Za dwie albo trzy stówki, tak? – zachnęłam się.

– Z czegoś trzeba żyć. – Uśmiechnął się krzywo i położył na ladzie wyświechtane dziesięć złotych. – Spokojnej podróży! – dodał jeszcze.

Wyminęłam go bez słowa i ruszyłam w stronę kas. Twarze młodocianych matek prześladowały mnie przez całą drogę powrotną do domu, w końcu jednak udało mi się odegnąć wspomnienie ich smutnych oczu.

Po szybkim obiedzie zabrałam się za robienie sałatki z czerwonej kapusty. Dawniej, będąc młodszą stażem reporterką, nigdy nie porzuciłabym ciekawej sprawy w taki sposób, ale od jakiegoś czasu potrafiłam sobie powiedzieć „stop”. Skoro Stefek chce tam wysłać Konrada, to tym lepiej dla mnie. Minęły już chyba te czasy, kiedy nie spałam po nocach, przeżywając każdą trudniejszą reporterską historię. Dziś wiem, że sama świata nie zmienię. Cynizm? Wypalenie zawodowe? Zwykłe zmęczenie? Nie mam pojęcia, ale nie zamierzałam się nad tym zastanawiać, postanowiłam, obsmażając na patelni cebulę do sałatki. Jedno, co mogłam zrobić, to wspomnieć Konradowi o rozmowie z chłopakiem od napraw. Resztą niech się zajmuje kolega, zdecydowałam.

Mama zadzwoniła, kiedy wybierałam się do Błażeja. Początkowo chciałam zignorować natarczywie dzwoniący stacjonarny aparat, ale sygnał nie cichł i w końcu odebrałam.

– Co tak długo? Myślałby kto, że pół kilometra szłaś do telefonu – usłyszałam jej poirytowany głos. Najwyraźniej była w jednym ze swoich marnych nastrojów.

– Mamuś, przepraszam cię, ale nie bardzo mogę teraz rozmawiać – zaczęłam.

Jednak niełatwo było ją zniechęcić.

– Co to znaczy, nie możesz rozmawiać? Przecież odebrałaś! Zrobiłaś już sałatkę? Wiesz, że mnie bolą stawy, więc nie mogę sama skroić tyle czerwonej kapusty – rzuciła, nie komentując mojej uwagi.

– Zrobiłam – powiedziałam, odkładając na komodę szminkę, którą właśnie przeciągnęłam usta.

– Czemu nagle nie możesz rozmawiać? Idziesz gdzieś? – zainteresowała się.

– Tak, na kolację do sąsiada – przyznałam.

– Do którego sąsiada? – zdziwiła się. – Przecież tych dwóch par z dołu w ogóle nie znasz, a...

– Z naprzeciwka – weszłam jej w słowo, wpinając w ucho niewielki srebrny kolczyk w kształcie łabędzia.

– Ale jak z naprzeciwka? Do tego dziwaka, co z mieszkania nie wychodzi? Kto wie, co to za jeden? Przecież to może być jakiś...

– To miły chłopak i ma na imię Błażej – weszłam w słowo matce, która parsknęła w słuchawkę i zapytała, ile on właściwie ma lat.

– Nie wiem, mamuś. Dwadzieścia pięć? Sześć? – mruknęłam, zakładając drugi kolczyk.

– Dwadzieścia pięć?! To o czym ty w ogóle będziesz z nim rozmawiać? Przecież to jest zupełnie inne pokolenie! Oni to teraz tylko o komputerach czy jakichś grach, książek nie czytają, skaranie boże...

– Coś się znajdzie – rzuciłam. – Zresztą mam przecież córki w tym wieku.

– Słuchaj, a tak z innej beczki. Te krople do oczu, które mi kupiłaś, w ogóle mi nie pomagają. W dodatku...

– Mamo, przepraszam cię, ale muszę się jeszcze umalować, a już jestem lekko spóźniona. Zadzwonię jutro przed południem, okay? – po raz kolejny weszłam jej w słowo, bo wyglądało na to, że rozmowa może się znacznie przedłużyć.

Matka oczywiście zareagowała przesadnie. Jak zawsze, kiedy coś szło nie po jej myśli, wpadła w nieukrywaną wściekłość.

– Nie, no pewnie, zadzwon jutro! Na wszystko masz czas, tylko nie masz czasu dla matki! Mam nadzieję, że kiedyś znajdziesz chwilę, żeby mnie pochować! – rzuciła cierpkim tonem.

– Jezu Chryste, mamo! Czy ty zawsze musisz uderzać w takie patetyczne tony?! – wybuchłam. – Czemu mówisz takie okropieństwa?!

– Bo tak to wszystko widzę! – krzyknęła, zanim się rozłączyła.

– Ja pierdołę! – zaklęłam szpetnie, kiedy już odłożyłam słuchawkę.

Czemu ona zawsze robiła wszystko, żebym poczuła się złą córką? Od paru dni biegałam jak kot z pęcherzem, żeby pomóc jej przygotować święta, a i tak słyszałam głównie gorzkie słowa. Zrobiło mi się jednak żal matki i wysłałam jej krótkiego esemesa. *Przecież wiesz, że Cię Kocham!* – napisałam. Nie odpisała, ale chyba nawet nie spodziewałam się odpowiedzi. Znałam ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że matczyne foch potrwa przynajmniej kilka godzin. Wyciszyłam więc telefon, wyjęłam z lodówki ciasto, które kupiłam, wracając z dworca, zapakowałam je do reklamówki i z winem w dłoni wyszłam z mieszkania.

Błażej otworzył mi w eleganckich ciemnych spodniach i oliwkowej koszuli z podwiniętymi rękawami. Na ramię zarzucił kraciatą kuchenną ścierkę, która wyjątkowo nie współgrała z jego eleganckim wyglądem, a jednak prezentował się z nią niemal rozczulająco.

– Cześć, Giulietto, wchodź! Wkładam właśnie do piekarnika łososia, a gdybyś była bardzo głodna, mamy coś na ząb – powiedział, biorąc ode mnie torbę z ciastem.

– Ładnie tu – powiedziałam, kiedy weszliśmy do niewielkiego, połączonego z kuchnią salonu. – Regał z książkami na całą ścianę! Zawsze o takim marzyłam! – zachwyciłam się sięgającymi sufitu półkami, które dosłownie ugięły się od książek i płyt.

– Kolekcjonuję powieści polskich pisarzy grozy. Cała tamta półka to książki z autografami. Rozejrzyj się na spokojnie, zaraz do ciebie przyjdę – powiedział mój gospodarz, zмирzając w stronę kuchni oddzielonej od salonu niewysokim przepierzeniem z marmurowym blatem, na którym stało kilka książek kucharskich i spory stojak na wino.

Podeszłam do regału, przyglądając się grzbietom książek. Nazwiska autorów nic mi nie mówiły, ale przecież nigdy nie czytywałam horrorów. Przeglądałam zbiorek o wszystkich białych damach, kiedy podszedł do mnie Błażej z kieliszkiem czerwonego wina w ręku.

– Cieszę się, że przyjęłaś moje zaproszenie – powiedział. – Nie znam nikogo z mieszkańców, co jest dość niezręczne. Tym bardziej że w budynku mam opinię ekscentryka, żeby nie powiedzieć świra – roześmiał się.

Usiadłam na ciemnoszarej sofie i upiłam kilka łyków wina.

– Dobrze.

– Gruzińskie. Kumpel mi przywiózł. – Błażej zasiadł na jednym z pufów i zerknął na zegarek. – Wedle moich obliczeń łośoś potrzebuje jeszcze trochę czasu.

– Nie jestem jakoś szczególnie głodna – uspokoiłam go.

– Jak to jest znać życie miasteczka niemal od podszewki? Piszesz o wszystkim, czy macie jakieś podziały na dziennikarzy kryminalnych, zajmujących się kulturą i innymi rzeczami?

– Żadnych podziałów. Jesteśmy zgraną ekipą, znamy się od lat i po prostu rozdzielamy między sobą tematy. – Lekko wzruszyłam ramionami i uśmiechnęłam się pod nosem na wspomnienie Konrada piszącego relację z otwarcia nowego SPA.

Początkowo to ja miałam wziąć ten temat, bo kumpel dość niepewnie czuł się w tego typu klimatach, jednak Stefan zdecydował, że wyśle jego i, z tego, co wiem, Konrad miał dość ciężkie przedpołudnie.

– Czym się ostatnio zajmowałaś? – zainteresował się Błażej, a ja przypominałam sobie

smutne oczy Izabeli Konarskiej.

– Pisałam o aktorce, która wsiadła za kierownicę po kilku głębszych...

– I wjechała w kawiarnianą witrynę? – Błażej krzywo się uśmiechnął i nalał sobie wina. –
Lubiłem ostatni serial, w którym zagrała. Ten o bogatych paniusiach uzależnionych od zakupów, przypadkowego seksu i operacji plastycznych. Konarska grała tam żonę gwiazdora telewizji uzależnioną od chirurgicznych poprawek.

– Obiło mi się o uszy, ale serialu nie znam – wzruszyłam ramionami. – A widziałeś ją w *Szkalach*?

– Nie, no coś ty. Staroci nie oglądam – parsknął śmiechem mój sąsiad.

– Moja rada: zacznij – powiedziałam.

– Skoro polecasz, obejrzę. Żal mi jej w każdym razie. Ładna laska... Może i sobie nagrabiła, ale samobójstwo? W jakim musiała być stanie, żeby zrobić coś takiego?

– Też się nad tym zastanawiałam – przyznałam, zaskoczona, że oto siedzę w salonie dwudziestokilkuletniego sąsiada i gawędzę z nim o smutnym końcu Konarskiej.

– Moja mama się zabiła – powiedział cicho Błażej. – Miałem wtedy pięć lat i ledwo ją pamiętam. To znaczy pałętają mi się po głowie jakieś fragmenty wspomnień, ale nie potrafię z nich ułożyć całego obrazu jej osoby. Dawniej, kiedy jeszcze wychodziłem z domu, wydawało mi się czasem, że jakaś obca kobieta w sklepie bądź autobusie pachnie podobnie jak ona. Pamiętam jej włosy. Farbowała się na platynę, przynajmniej dopóki była w lepszej kondycji psychicznej. Bo bywało i tak, że całe miesiące snuła się po domu i ogrodzie z ciemnym odrostem we włosach, w ulubionym szlafroku w różę. To ja ją wtedy znalazłem. Leżała koło sadzawki, na tyłach ogrodu. Obok niej przewrócona butelka z resztką wina, które rozlane na trawie wyglądało niczym szkarłatna poranna rosa. Nie miałem pojęcia, co się stało, myślałem, że śpi. Skąd, do cholery, mogłem wiedzieć, że zażyła całe opakowanie tabletek i popiła je alkoholem? Siedziałem przy niej, dopóki nie wrócił z pracy mój ojciec. Wiesz, co jest najgorsze? Myślę, że on w pewnym sensie o coś mnie obwiniął.

– Obwiniął cię? Mówiłeś, że miałeś pięć lat – zdziwiłam się.

– Tak. Jednak jego zdaniem byłem na tyle duży, żeby móc się rozeznąć w sytuacji i sprowadzić pomoc. Miał do mnie żal, że nie wezwałem karetki. Chyba myślał, że mógłbym coś jeszcze zrobić. Wierzył, że kiedy ją znalazłem, żyła i dopiero... Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Tak, chyba tak – powiedziałam.

– Kilka dni po jej pogrzebie zjawiała się u nas pani Irena, zatrudniona przez ojca opiekunka. Nienawidziłem tej baby od pierwszej chwili, w której ją zobaczyłem. Miała w sobie coś z ropuchy, od stóp do głów ubierała się na czarno i ciągle kazała mi myć ręce. Na okrągło, obsesyjnie wręcz. Samo wspomnienie o niej do dziś przyprawia mnie o mdłości.

– Chryste... – szepnęłam.

– Chrystusa tam wtedy nie było. Sorry, nie zamierzam teraz uderzać w jakieś smętne tony. To stare dzieje, dawno już chyba poukładałem to sobie w głowie.

– Twoja mama miała depresję? – zapytałam.

– Chorobę dwubiegunową.

– A twój ojciec?

– Nadal żyje i ma się całkiem nieźle. – Obojętność w głosie chłopaka zrodziła podejrzenie, że nie są ze sobą blisko.

– Widujecie się? – zapytałam.

– Kiedy tylko jest w Polsce, tak. Obecnie pracuje w RPA, więc kontakt mamy raczej sporadyczny. – Błażej wzruszył ramionami i zapatrzył się w okno. – Dawniej, kiedy jeszcze wszystko było u mnie okay, sprawiał wrażenie nieco mniej rozczarowanego moją osobą. Teraz, podobnie jak większość ludzi, uważa, że mam nierówno pod sufitem. Swego czasu bardzo naciskał, żebyśmy chodzili na terapię, ale ja po kilku spotkaniach z psychiatrą dałem sobie spokój. Więc się wycofał i konsekwentnie mnie olewa. Kupił mi to mieszkanie i umył ręce. Może nawet mu się nie dziwię. Jestem dorosły. To znaczy chyba powinienem już być, prawda? – Błażej parsknął urywanym śmiechem i zerknął na mój kieliszek. – Dolać ci?

– Za chwilę. Poczuję się pewniej z żołądkiem pełnym łososia – zażartowałam.

– Słusznie. – Błażej sięgnął po stojący na niskiej komodzie talerz z małąkanapkami. – Często się.

Sięgnęłam po jedną, a on zapytał, czy facet, który tkwił ostatnio na klatce, to ktoś dla mnie ważny.

– Kiedyś myślałam, że tak, ale okazało się, że właściwie nic nas nie łączy – powiedziałam.

– Czyli nie będzie już pokutował pod naszymi drzwiami? Kiedyś siedział na schodach chyba ze trzy godziny...

– Zerkaś przez wizjer? – rzuciłam rozbawionym tonem.

– Zdarza mi się. – Błażej parsknął śmiechem i dodał, że czasem stoi przy drzwiach w przedpokoju, usiłując się zmobilizować do wyjścia na zewnątrz, ale zazwyczaj się wycofuje.

– Przez te ostatnie dwa lata w ogóle nie wychodziłeś z mieszkania?

– Często wychodzę na klatkę, a czasem, nocami, na dach.

– Na dach? – zdziwiłam się. – Skąd masz klucz? Te metalowe drzwi wyglądają na takie nie do sforsowania.

– Dostałem klucz od poprzedniego właściciela mieszkania. Powiedział, że nocami, w tajemnicy przed żoną, pił tam wino i palił trawę. Skąd on miał klucz, nie mam pojęcia.

– Mieszkam tu tyle lat, a nigdy nie byłam na dachu – uśmiechnęłam się. – Byłam pewna, że dostęp w tamte rejony ma tylko nasz ponury dozorca.

– Na niego trzeba uważać. To upierdliwy służbista bez krzty wyobraźni. Ale też leniwy ramol, który po dwudziestej nie rusza się z mieszkania. Więc nocami, hulaj dusza!

– Musisz mnie tam zabrać.

– Gdzie? Na dach? – Błażej roześmiał się głośno i dodał, że to jedno na pewno może dla mnie zrobić. – Mogę ci zadać osobiste pytanie? – zmienił temat mój sąsiad.

– Jasne, pytaj – powiedziałam, zsuwając z nóg niewygodne buty na zbyt wysokich obcasach.

– Czy jako matka dwóch córek możesz z ręką na sercu i czystym sumieniem powiedzieć, że kochasz je obie po równo?

– Wow, rozmowa z tobą jest jak przechadzka po polu minowym!

– Wybacz. Nie musisz odpowiadać. Tylko że ja mam takie nieprzyjemne wrażenie, że mój ojciec zawsze bardziej kochał moją siostrę niż mnie.

– Masz siostrę?

– Tak. Jest już znacznie po trzydziestce i mieszka w Hiszpanii. Wyszła tam za mąż za jakiegoś poznanego w barze koleśka, z którym dorobiła się właśnie bliźniaków. Poza tym niewiele o niej wiem, prawdę mówiąc.

– Smutne. Mam nadzieję, że moje dziewczyny nigdy nie stracą ze sobą kontaktu.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie – Błażej pochylił się w moją stronę i spojrzał mi w oczy. – Kochasz którąś z nich bardziej?

– Nie, jasne, że nie! – odpowiedziałam bez zastanowienia, ale czy byłam tego w stu procentach pewna?

Czasem miałam wrażenie, że to młodsza, Olga, zajmuje szczególne miejsce w moim sercu. Jest cieplejsza, bardziej skłonna do zwierzeń, urocza i zawsze żywiołowo okazywała mi swoją miłość. Matylda bywa zamknięta w sobie, cicha, wycofana. Kiedy ma problemy, nie szuka ich rozwiązania u mnie, nie prosi mnie o rady. Dopiero kiedy urodziła Kamilę, nasze relacje się polepszyły, jednak czasem mam wrażenie, że dzieli nas jakiś mur. Z Olgą wszystko jest proste. Wydzwania do mnie z każdą błahostką, oczekuje wsparcia, liczy na mnie i zawsze jest wdzięczna za pomoc. Matylda często się ode mnie opęda, jakby chciała zachować własne terytorium, mieć swoje życie, do którego broni mi wstępu. Ale czy to ma cokolwiek wspólnego z moją matczyną miłością do nich? Przecież obie nosiłam pod sercem, obu oddałabym ostatni grosz, za każdą skoczyłabym w ogień. Więc tak, chyba tak. Kocham obie tak samo, są przecież moje, na zawsze, pomyślałam.

– Twój błogi uśmiech sprawia, że chyba ci wierzę. – Błażej odstawił trzymany w ręku kieliszek i ruszył w stronę kuchni. – Zajrzę do łososia.

– Pomóc ci w czymś? – zapytałam.

– Tak, w osuszeniu tej butelki – powiedział.

Zjedliśmy kilka minut później. Łosoś okazał się bardzo dobry, a sałatka z granatów dosłownie mnie zachwycała.

– Oglądam sporo programów kulinarnych – powiedział mój sąsiad, kiedy komplementowałam podaną przez niego kolację. – Podać ciasto?

– Błagam, nie teraz. Zaraz pękne!

– Okay, rozumiem, masz dość. W takim razie otworzymy drugą butelkę wina i wyjdziemy na dach.

– Jestem za! Daj mi tylko chwilę, skoczę po kurtkę i zmienię buty. Te szpilki to jest jakieś grube nieporozumienie.

– Wyglądają nieźle. – Błażej uśmiechnął się na widok moich leżących obok sofy butów i dodał, żebym grubo się ubrała, bo na górze mocno wieje.

Na dachu rzeczywiście wiało. Wyszliśmy przez odrapane, przeraźliwie skrzypiące drzwi i Błażej poprowadził mnie w kierunku niewysokiego murku tuż obok komina.

– To moje sekretne królestwo! – uśmiechnął się, stawiając na ziemi butelkę z czerwonym winem.

– Cicho tu – powiedziałam.

– Zależy kiedy. Ostatnio wysłuchałem całego koncertu, a wierz mi, w Czarnej Dalii nieźle czasem grają – rzucił, opierając się o murek. – Mogłem zabrać koc, żebyś go sobie zarzuciła na ramiona...

– Nie przejmuj się, pewnie i tak długo tu nie posiedzimy. Straszny mróz! – powiedziałam, a on sięgnął po stojącą przy naszych nogach butelkę i rozlał wino do identycznych białych kubków.

– Za co chciałabyś wypić? – zapytał.

– Nie wiem... – zawahałam się. – Za coś nowego. Za przełamanie rutyny. Czasem mam takie upiorne wrażenie, że nic ciekawego mnie już w życiu nie spotka, wiesz? Praca ta sama od lat, dom, moje dziewczyny. Niby jest błogo i bezpiecznie, ale...

– Ale chciałoby się fajerwerków – wszedł mi w słowo Błażej i leciutko stuknął brzegiem swojego kubka o mój. – Wypijmy za wolność.

– Za wolność – powtórzyłam.

Chwilę później rozejrzałam się, starając się dostrzec kontury sąsiednich budynków w gęstej ciemności grudniowego wieczoru. W dole, trzy piętra niżej, toczyło się zwykłe życie, tutaj, pod gołym niebem, z wirującym wokół naszych twarzy śniegiem, czułam się odrobinę jak na dachu świata.

– Dwa lata temu wyszedłem tutaj, żeby skoczyć – powiedział nagle Błażej.

Znieruchomiałam, zaszokowana szczerością i zarazem prostotą jego wyznania.

– Był piękny słoneczny poranek, parę dni po Nowym Roku. Wszedłem na tamten murek i spojrzałem w dół. Na drzewach był szron, ulicą szedł jakiś bezdomny, ciągnąc za sobą wypełniony szpejami wózek. Stałem tam i wyobrażałem sobie, że skaczę, a chwilę później, trzy piętra niżej, niczego już nie czuję. Znikają wszystkie złe wspomnienia, cały ten syf, ból, który czasem budzi mnie w nocy... I wtedy napatoczył się ten gołąb... Nie znoszę gołębi, nazywam je latającymi szczurami, a jednak ten był inny. Tamtego ranka, w ciszy i bieli, wdychając mroźne powietrze, spojrzałem na niego, a on zdawał się nade mną czuwać, niczym niemy strażnik mojej duszy. Sterczałem na tym zaśnieżonym murku, jedną nogą na drugim świecie, i nie znajdowałem w sobie odwagi, żeby skoczyć, a on przechadzał się obok, nieprzestraszony moim wtargnięciem na dach. Odwracałem wciąż głowę, żeby na niego spojrzeć, w końcu zszedłem z murku i wróciłem do mieszkania. Idiotycznie to brzmi, prawda? – Błażej wzruszył ramionami i ruszył w kierunku krawędzi dachu i zanim w ogóle zdążyłam zareagować, wszedł na niewysoki murek tuż nad trzypiętrową przepaścią.

– Błażej, zejść – szepnęłam.

- Daj mi chwilę. Chcę poczuć, że żyję – powiedział.
- Trochę wypiliśmy, a ty...
- Nie martw się, nie zamierzałem skakać – mój sąsiad zwinnie zeskoczył z murku i wrócił na środek dachu, tam, gdzie zostawiliśmy napoczętą butelkę.
- Przestraszyłeś mnie! – powiedziałam ostrym tonem.
- Wybacz – burknął. – Wina?
- Nie, chyba mam dość...
- Daj spokój, nic się przecież nie stało! Obiecuję, że więcej tam nie wlezę! – mrugnął do mnie.
- Mogłeś spaść! Masz na nogach adidasy, a na murku jest śnieg! Mogłeś się poślizgnąć i runąć w dół, a ja...
- Ty nigdy nie chciałeś skoczyć? Odważyć się na ten jeden szalony krok i skończyć z tym wszystkim...
- Nigdy – skłamałam, chociaż przecież świetnie pamiętałam ponury ciąg ciemnych jesiennych wieczorów tamtego roku, kiedy zostawił mnie mąż.
- Leżałam wtedy skulona w kłębek w naszej małżeńskiej sypialni, a córki dyżurowały przy mnie, karmiąc mnie, czytając mi i trzymając mnie za rękę. Tak, wtedy o tym myślałam, ale czy zdobyłabym się na krok w przepaść? Czy zostawiłabym mamę? Dziewczynki? Całe moje życie? Nie, chyba nie...
- Myślałaś o tym, przecież widzę – powiedział.
- Okay, myślałam o tym! Ale nie łąziłam po dachu! – podniosłam głos.
- Wyszłaś na ten dach w wyobraźni, a to niemal to samo!
- Wyobraźnia nie mogła mnie zabić! Mogłeś spaść, Błazej – powiedziałam łagodniejszym tonem i poczułam, że mam ochotę przytulić tego samotnego, porzuconego przez wszystkich chłopaka, który balansował gdzieś nad skrajem przepaści.
- Nie odważyłam się jednak na to, żeby go dotknąć, a on zmienił temat i zapytał, czy byłam kiedyś w Paryżu.
- Nie, jakoś nie miałam okazji. Zawsze kochałam Hiszpanię i Włochy, a Paryż nadal czeka. Czemu pytasz? Lubisz Paryż?
- Kiedyś kochałem – powiedział.
- I co się z tą miłością stało?
- Któregoś dnia ci opowiem – wzruszył ramionami. – Nie jest ci zimno?
- Trochę – przyznałam, nakładając na głowę obszyty futrem kaptur.
- Jeśli chcesz wracać do mieszkania...
- Jeszcze chwilę – poprosiłam. – Tylko nie włącz na ten cholerny murek!
- Spoko, skoczę, kiedy się odwrócisz – zażartował.
- Mało śmieszne – mruknęłam.
- Czy ja wiem? Zależy, jak na to spojrzeć... Czasem tak się zastanawiam, co powiedziałaby

ojciec, gdybym nagle się zabił? Pewnie w duchu pogratulowałyby sobie intuicji. Oto jego nadwrażliwy, zdziwaczały syn jednak okazał się pierdolnięty, tak jak zawsze przypuszczał.

– Jestem pewna, że twój ojciec na swój sposób cię kocha.

– Jasne – parsknął Błażej. – Wybacz, nie wiem, co mnie dzisiaj naszło. Nie znoszę się nad sobą użalać, a tu nagle opowiadam ci wszystkie moje traumy, robiąc z siebie kompletnego cieniasa.

– Nie odbieram tego w ten sposób. Jesteś ciekawym człowiekiem. Wrażliwym, ciepłym, zdolnym. Twoja muzyka...

– Muzyka to jedyne, co mam. Mama też była muzykalna, pięknie grała na pianinie. Może dlatego ojciec nie znosił, kiedy komponowałem. Chciał, żebym został architektem, jak on, a kiedy przerwałem studia, wpadł w szał. Do dziś nienawidzi muzyki, bo kojarzy mu się z jego małżeństwem. Kochał moją mamę, ale nie potrafił się pogodzić z jej chorobą, a później, przez długie lata, przyglądał mi się takim specyficznym wzrokiem, jakby zastanawiał się, czy jej szaleństwo zawładnęło też moją duszą.

– Czytałam niedawno o ChAD. Pisali, że nawet jeśli choroba dwubiegunowa występuje u dwojga rodziców, dziecko nie musi zachorować – powiedziałam.

– Nie mówię, że jestem chory. Mówię, że ojciec od zawsze widział jej szaleństwo we mnie. Może dlatego, że zawsze byłem do niej taki podobny... Czasem wydaje mi się, że go nienawidzę, ale później czuję, że właściwie mi go żal. Stracił żonę, nie potrafi się dogadać z własnym synem, a córka, którą tak uwielbia, odzywa się do niego tylko wtedy, kiedy kończy jej się kasa na wygodne życie w Walencji. Kurwa, jaki ziąb! Idziemy? Czy masz ochotę nadal kontemplować niebo nad nami?

– Chodźmy – powiedziałam.

Wchodziliśmy na klatkę, kiedy gdzieś piętro niżej trzasnęły drzwi.

– Ćśśś! – syknął Błażej, nieruchomiejąc. – Nie chcę, żeby ktoś wiedział, że mam klucz. Dozorca i tak przestał już tu wychodzić, odkąd zlikwidował gołębnik, a ja nie chcę stracić mojej samotni – szepnął mi na ucho.

Skinęłam głową i wymieniliśmy rozbawione uśmiechy.

– Chyba za dużo wypiął – powiedziałam chwilę później, kiedy już weszliśmy do jego mieszkania. – Jutro Wigilia, a ja będę miała gigantycznego kaca. W dodatku szykuje się impreza w towarzystwie matki i siostry, więc może być ciekawie. Właśnie, z kim spędzasz święta? – zapytałam.

– Jutro cieszę się ciszą i spokojem, a w pierwszy dzień pewnie zajrzy do mnie Olek.

– Może chciałbyś...

– Uwierz mi, nie – wszedł mi w słowo Błażej. – I nie martw się, nie będę jutro spacerował po krawędzi dachu – dodał lekkim tonem.

– Bawi cię to, prawda? Igranie z ogniem, ryzyko... Jesteś jeszcze na tyle młody, żeby nie zdawać sobie sprawy z własnej śmiertelności, czy może...

– Wybacz, ale ten tekst rzucony pod moim adresem jest kompletnie nietrafiony! Kiedy ktoś bliski umiera niemal na twoich rękach, kurewsko dobrze zdajesz sobie sprawę z nieuchronnej obecności śmierci! I nie mówię teraz o mamie!

- Przepraszam, ja...
- Nie przejmuj się, nie wiedziałaś.
- Kto...
- Pogadamy innym razem – przerwał mi.
- Nie chciałam cię urazić. Ja tylko...
- Wiem, Julka, wyluzuj.
- Pójdę już – powiedziałam.
- Jest jeszcze ciasto.
- Poradzisz sobie z nim – uśmiechnęłam się.
- Julka, naprawdę nic się nie stało. – Błażej posłał mi krzepiący uśmiech i wziął ode mnie kubki, które cały czas trzymałam.
- Gdybyś chciał pogadać, to wpadaj. Dzwoni do drzwi albo...
- Wiem, gdzie cię szukać – powiedział.
- Dziękuję za dzisiaj. Pomimo trudnych tematów, dobrze mi się z tobą rozmawiało.
- Bo to jednak prawda, że najlepiej zwierzać się nieznajomym. Chociaż w twoim wypadku mam wrażenie, że znamy się od lat.
- Miło, że tak mówisz – uśmiechnęłam się.

Pożegnaliśmy się w drzwiach. On obiecał, że niebawem do mnie zajrzy, ja, otwierając mieszkanie, już analizowałam w myślach całą naszą rozmowę. Czy potrafię ocenić, jak duże są jego problemy? Czy beztroski spacer po ośnieżonym murku na krawędzi dachu był swoistym wołaniem o pomoc, czy tylko młodzieńczą brawurą i chęcią popisania się przede mną? – zastanawiałam się, nie potrafiłam sobie jednak na to pytanie odpowiedzieć. Jedno było pewne – polubiłam tego chłopaka i poczułam swoistą odpowiedzialność za jego życie. Jego starsza siostra mieszkała daleko, a ojciec wyraźnie nie interesował się losem syna. Nie łudziłam się, że zostanę dla niego opoką, powiernicą i kimś w rodzaju zastępczej matki, ale obiecałam sobie, że będę miała na niego oko.

W Wigilię, tak jak przypuszczałam, obudził mnie tępy ból głowy – po żadnym alkoholu nie miałam takiego kaca, jak po czerwonym winie. Wstałam przed siódmą i tylko po to, żeby móc zażyć aspirynę, wmusiłam w siebie dwie kromki znalezionego w chlebaku podeschniętego razowca. Czekaając, aż zaparzy się herbata, otulona puchatym różowym szlafrokiem, który dostałam od Matyldy, zeszałam na dół sprawdzić skrzynkę i znalazłam w niej włożoną do koperty płytę CD. *Spodoba Ci się!* – przeczytałam zapisaną odręcznie notkę i chociaż nie znałam jego charakteru pisma, domyśliłam się, że to Błażej podrzucił mi kilka skomponowanych przez siebie kawałków. W mieszkaniu, popijając gorącą herbatę, wsłuchałam się w melodię. Była jedną z tych mrocznych, przenikających do szpiku kości. Piękna, tajemnicza, hipnotyzująca. Chłopak niewątpliwie ma talent, pomyślałam.

Domofon odezwał się przed ósmą, kiedy z nasączoną cytrynowym cifem gąbką w dłoni usiłowałam ogarnąć kuchnię. Co prawda wigilijny wieczór miałam spędzić u matki, ale brudne płytki i plamy z tłuszczu na blacie nijak mi nie pasowały do bożonarodzeniowego klimatu. Odłożyłam gąbkę, opłukałam ręce i ruszyłam w stronę drzwi.

– Pewnie mi nie otworzysz, ale postanowiłem spróbować. Mam dla ciebie choinkę – usłyszałam głos Rafała.

– Mam już drzewko – powiedziałam, wcisnęłam jednak guzik domofonu i pozwoliłam mu wejść.

Chwilę później, kiedy zdyszany, z płatkami śniegu w ciemnych włosach i zarumienionymi od mrozu policzkami dotarł na górę, cofnęłam się w głąb przedpokoju i pozwoliłam mu wejść.

– Nie byłem pewny, czy cię zastanę... Zazwyczaj o tej porze jesteś już w drodze do redakcji.

– Wzięłam dziś wolne – wyjaśniłam, starając się nie myśleć o tym, że w kioskach pojawiła się tego ranka gazeta z moim artykułem o tragicznie zmarłej Izabeli Konarskiej, której śmierć wstrząsnęła mną o wiele bardziej, niż mogłabym przypuszczać.

– Dla ciebie. Niewielka, ale zawsze – powiedział, podając mi maleńką, przybraną kolorowymi lampkami choinkę w czerwonej dekoracyjnej donicy przewiązanej złotą wstążką.

– Piękna, dziękuję – powiedziałam. – Napijesz się kawy?

– Nie, nie. Zaraz będę leciał. Wpadłem, żeby życzyć ci wesołych świąt i przeprosić – powiedział.

– Rafał, ja...

– Daj mi skończyć, proszę.

– W takim razie zdejmij płaszcz i wejdź – powiedziałam.

Skinął głową, zawiesił swój płaszcz na wieszaku i rozsznurował eleganckie czarne półbuty.

– Cholerny śnieg! Przez całą noc sypało – narzekał.

W kuchni, kiedy już ustawiłam doniczkę z choinką na świeżo przetartym blacie i oboje usiedliśmy za moim olbrzymim stołem, Rafał spojrział mi w oczy i powiedział, że był ostatnim idiotą.

– Jechałem dziś do pracy i nagle zrozumiałem, o co tak właściwie cię prosiłem. To, w jaki cię chciałem władować układ... Julka, wiem, że bywałem natarczywy i nie potrafiłem się pogodzić z naszym rozstaniem, ale w końcu zrozumiałem, że w tej układance nie ma miejsca dla ciebie.

– Cieszę się, że w końcu to dostrzegłeś – powiedziałam cicho.

– Tak, chyba tak... Tkwiłem w korku, czekając na zmianę świateł. Na Zielnej była jakaś stłuczka i wszystko stało... Pomyślałem o tobie. O świętach, twojej rodzinie, wigilii. I nagle zrozumiałem, że możesz mieć tego wszystkiego dość. Mojego niezdecydowania, telefonów od mojej byłej żony, wszystkich tych historii...

– Rafał, dajmy już temu spokój. Cieszę się, że zrozumiałeś mój punkt widzenia – powiedziałam.

– Tak, w końcu tak – mój były wstał i zrobił niepewny krok w moją stronę. – To jeszcze raz wesołych świąt, Juleczko.

– Dziękuję i wzajemnie!

Nie odpowiedział. Skinął mi głową na pożegnanie i ruszył w stronę drzwi.

– A, zapomniałbym – zatrzymał się w progu, już w płaszczu, gotowy do wyjścia. – Wywołałem w końcu te zdjęcia, które ci kiedyś zrobiłem – powiedział. – Pięknie wyszły.

– Dziękuję. – Wzięłam od niego plik fotografii, które wyjął z podniszczonej skórzanej torby i przejrzałam kilka z wierzchu. – Faktycznie ładne – powiedziałam, zaskoczona malującym się na mojej twarzy spokojem.

Rafał zrobił mi te zdjęcia, kiedy spałam – z policzkiem wtulonym w poduszkę, z rozrzuconymi wokół głowy włosami, wyglądałam na znacznie młodszą, pogrążoną w błogim spokoju.

– Nie będę ci się więcej narzucać – powiedział jeszcze.

Objęłam go pod wpływem chwili.

– Trzymaj się – powiedziałam, czując na twarzy szorstkość jego wełnianego płaszcza.

– Ty też – rzucił i lekko mnie odsunął. – Muszę lecieć.

– Cześć – szepnęłam.

Kiedy wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi, jakaś część mnie chciała za nim pobiec, ale po chwili ta myśl wydała mi się niemal żalosa. Większość kobiet, które znałam, panicznie bała się samotności. Nie rozumiałam tego, co przeraża je aż tak, że są skłonne godzić się na każdy układ, tkwić w związkach bez przyszłości i sypiać u boku mężczyzn, którzy nie są tymi właściwymi. Po co być z kimś, skoro to nie to? Jakie to okrutne robić komuś złudną nadzieję, traktować go jak coś przejściowego, na chwilę. To musi być koszmarnie uczucie zdać sobie sprawę z tego, że ktoś jest przy nas, bo nie trafiło mu się nic innego... Zresztą to nawet nie tak, że Rafał nie był tym właściwym. W pewnym momencie byłam niemal pewna, że go kocham. Jednak jego decyzja o powrocie do byłej żony i cała ta zagmatwana sytuacja sprawiły, że zobaczyłam go w zupełnie innym świetle. Już nie był filarem, na którym mogłam się oprzeć w chwilach emocjonalnego załamania. Był pyłkiem na wietrze, bańką mydlaną, ułudą. Był kimś, kto nigdy tak do końca nie należał do mnie, pomyślałam, zakładając na drzwi łańcuch.

Zdjęcia, które nadal leżały na komodzie, upchnęłam do szuflady pełnej apaszek i zamszowych rękawiczek, a później wróciłam do szorowania kuchennych płytek, starając się nie

myśleć o unoszącym się w powietrzu zapachu Rafała, jego ciemnych oczach, dotyku jego dłoni i obietnicach, które składał mi w ciemne wietrzne noce, leżąc tuż obok, z głową na mojej poduszce.

Esemes od Ilony przyszedł koło dziewiątej czterdzieści, kiedy spocona i padnięta po myciu podłóg zamierzałam wejść pod prysznic.

Niedługo wsiądę do pociągu! Może spotkamy się w centrum? – pisała moja siostra.

Odpisałam, że jasne i pognałam do łazienki z nadzieją, że w końcu doprowadzę się do porządku.

Mama zadzwoniła, kiedy układałam włosy.

– Słuchaj, a ty wiesz, o której przyjedzie Ilona? – zapytała. – I czemu znowu nie odbierasz telefonu?! A gdybym się źle czuła?! Gdyby nagle coś mi się stało... Przecież powinnaś już sobie zdawać sprawę, że...

– Mamo, nie słyszałam komórki, bo suszyłam włosy!

– Ale ty zawsze masz jakąś wymówkę, żeby mnie unikać! – ofuknęła mnie matka.

– Nie unikam cię. Po prostu...

– Mniejsza z tym! Kup po drodze miód, będzie do opłata. Myślałam, że mam jeszcze cały słoik, ale nie...

– A gdzie ja teraz dostanę miód?!

– W supermarkecie!

– W markecie? Mówię o prawdziwym miodzie, prosto z...

– Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma! Zresztą wiesz, jak mawiała moja matka. Opłatek z miodem nie umorzy głodem! A jaki ten miód, to już pal licho. – Mama rzuciła jednym ze swoich ulubionych powiedzeń i zapytała, o której się u niej zjawię.

– No nie wiem, pewnie koło piętnastej trzydzieści, może...

– Dziecko, ale przecież to jest za późno! Trzeba mi pomóc w kuchni, ogarnąć to wszystko...

– Mamo, wszystko jest gotowe! Są uszka, sałatki, barszcz i kutia, a Ilona wiezie rybę i makowiec – powiedziałam zmęczonym głosem.

– No tak, pewnie. Wy jak zwykle jesteście bezproblemowe, a później wszystko spada na mnie! – Matka, która najwyraźniej była nie w sosie, znowu na mnie naskoczyła.

– Czemu krzyczysz? Dzwonisz i zaczynasz na mnie wrzeszczeć!

– Bo usiłuję jakoś zorganizować cały ten cyrk, a od rana wszystko leci mi z rąk! – rzuciła mama kąśliwym tonem.

– To usiądź, mamuś, odpocznij. Wypij dobrą kawę, poczytaj ten kryminał, który ci kupiłam. Nogi do góry, książka w ręku, pełen relaks – poradziłam.

– Jasne, może jeszcze masaż mam sobie zamówić?! A choinka nie jest jeszcze ubrana, stół nienakryty, nic nie jest gotowe... Dwie dorosłe córki, dwie dorosłe wnuczki, a wszystko na mojej głowie!

– Mamuś, w takim razie będę u ciebie o czternastej, dobrze? – poddałam się.

– No, trochę lepiej – westchnęła mama, zanim się rozłączyła.

– Boże, dopomóż – poprosiłam, nawijając włosy na wałki.

Godzinę później, kiedy w pośpiechu wychodziłam z mieszkania, zerknęłam na drzwi Błażeja i wróciłam się po notes.

Na wypadek, gdybyśmy już dziś na siebie nie wpadli – Wesołych Świąt, Sąsiedzie! I pamiętaj, że krawędź dachu to miejsce dla gołębi, nie dla ludzi! – napisałam na różowej kartce i wsunęłam ją pod jego drzwi.

Schodząc na dół, minęłam jedną z sąsiadek, która objuczona siatkami usiłowała znaleźć w torebce klucze.

– Przytrzymać coś? – zapytałam.

Spojrzała na mnie jak na wariatkę, bąknęła krótkie „nie, dziękuję” i dzierżąc w dłoni wydobyty z torebki klucz, zabrała się do otwierania drzwi. Czemu wszyscy jesteśmy dla siebie tacy nieuprzejmi? – pomyślałam, wychodząc z bramy.

Byłam na rogu ulicy, kiedy zadzwoniła Ilona.

– Już jestem! Właśnie wysiadłam. Gdzie się widzimy?

– Usiądź w Dworcowej, będę za jakiś kwadrans – poprosiłam.

– Super! – ucieszyła się.

Tęskniłam za nią. Od dłuższego czasu nie byłyśmy ze sobą jakoś wyjątkowo blisko i chociaż nieczęsto o tym ostatnio myślałam, teraz, idąc wzdłuż zaśnieżonej ulicy w to słoneczne wigilijne przedpołudnie, zdałam sobie sprawę, że jest mi z tym źle...

W Dworcowej było niemal pusto. Niegdyś, za czasów młodości mojej matki, lokal był ponoć bardzo modny i oblegany. W Peerelu urządzano tutaj dansingi i wieczory z muzyką na żywo, bawili się tu partyjni oficjele i ich żony, a częściej kochanki. Później wszystko podupadło. Dawny blichtr przygasł, a Dworcowa z roku na rok obumierała, zamieniając się w przeciętną i bardzo zaniedbaną knajpę z kiepską obsługą i równie marnym jedzeniem. Dziś z kanapek leżących za szkłem olbrzymiej lodówki wystawały liście przywędłej sałaty, a niewielki wybór dań nie zachęcał do kupienia tu czegokolwiek poza herbatą. Zresztą herbata też była przeciętna w smaku, a wysłużone, porysowane i poobijane filiżanki dopełniały obrazu nędzy i rozpacz. Dlatego wchodząc do środka, pożałowałam, że zaproponowałam spotkanie właśnie tutaj. Ale Ilona już na mnie czekała. Siedziała przy oknie, a na jej stoliku, w wąskim wazonie z przezroczystego szkła, tkwił pojedynczy i samotny czerwony goździk – jakże symboliczny w tym miejscu relikwini minionej epoki. Podeszłam bliżej i pomachałam jej ręką, chociaż – wstyd się przyznać – w pierwszej chwili jej nie poznałam... Znacznie schudła i obcięła długie kasztanowe włosy, które miały teraz odważny, rdzawopomarańczowy odcień i sięgały jej tylko do ramion. Zmieniła też okulary, miała teraz modne oprawki o wyrazistej barwie czerwonego wina, które świetnie współgrały z nowym kolorem jej włosów.

– Cześć. – Uśmiechnęła się do mnie, ukazując urocze dołki w policzkach, których w dzieciństwie zawsze jej zazdrościłam.

– Wyglądasz rewelacyjnie! – zachwyciłam się.

– Potrzebowałam jakiejś zmiany.

Ilona na mój widok wstała i przez dłuższą chwilę się do siebie tuliłyśmy. Przewiesiłam torebkę przez poręcz krzesła i rozpięłam płaszcz.

– Zamówiłaś już coś? – zapytałam.

– Jeszcze nie.

– Słuchaj, mam lepszy pomysł. Chodźmy stąd – zaproponowałam. – Ta knajpa pamięta jeszcze głęboki Peerel i chyba w tamtej epoce utknęła. Kiedy ostatnio tu byłam, podano mi śledzia z długim czarnym włosiem na talerzu – dodałam szeptem, a moja siostra aż się wzdrygnęła. – Ubieraj się! – ponagliłam ją, a ona w pośpiechu założyła płaszcz i pociągnęła za sobą niewielką kolorową walizkę.

– Baba zza kontuaru zaraz zamorduje nas wzrokiem – szepnęła mi na ucho i parsknęłyśmy zduszonym śmiechem.

– Pewnie liczyła na to, że zjemy trochę golonki – zażartowałam, przepuszczając Ilonę w drzwiach.

Na zewnątrz sypało, a lodowaty północny wiatr wyciskał z oczu łzy. Śnieg był drobny, ale gęsty, zamienił otaczający nas świat w przytulną krainę bieli.

– Straszny ziąb, ale nie ma co narzekać. Po serii szaroburych świąt mamy w końcu białe Boże Narodzenie. – Ilona nasunęła na głowę obszyty sztucznym futrem kaptur, szarpnęła za rączkę walizki, której kółka zaklinowały się na nierównym chodniku i ruszyłyśmy w dół ulicy. –

Słuchaj, nie mam jeszcze prezentu dla mamy i prawdę mówiąc, nie wiem, co jej kupić – dodała moja siostra, kiedy mijaliśmy jeden z niewielkich pasażów handlowych. – Poszukasz ze mną czegoś?

– No raczej nie mam wyjścia. Gdybyś zjawiła się bez prezentu... – wymownie urwałam w pół zdania, a Ilona przewróciła oczyma.

– Czasem nie wiadomo, czy lepiej się zjawić bez prezentu, czy z niewłaściwym podarunkiem. Pamiętasz tamten krem pod oczy, który kupiłam jej rok temu? Fuknęła na mnie, że nie jest zgrzybiałą staruchą, żeby używać kosmetyków z oznaczeniem siedemdziesiąt plus – roześmiała się Ilona.

– Używa tych czterdzieści plus – parsknęłam śmiechem. – Widziałam w jej łazience kilka kremów dla czterdziestolatek. Kupuje je w sąsiednim mieście i ponoć zawsze mówi, że to dla córki.

– Bez sensu! Przecież to jest zupełnie inny skład, nie do potrzeb jej skóry. Powinna pogonić tego wewnętrznego narcyza i pogodzić się ze swoim wiekiem – fuknęła moja siostra. – Chodź, sklep z galanterią skórzaną. Może kupię jej rękawiczki?

– Wspominała niedawno, że ma ochotę na czerwoną torebkę – przypomniałam sobie.

– Czerwoną? – zdziwiła się Ilona.

– Dokładnie tak, w kolorze nowej szminki, którą kupiła specjalnie, żeby czarować swojego kardiologa – uśmiechnęłam się nieco krzywo na wspomnienie matki robiącej słodkie oczy do doktora Dębskiego.

– Wiesz, czasem nawet jej zazdrozczę tego bezkrytycznego spojrzenia na siebie. Ale tylko czasem – powiedziała Ilona, kiedy weszliśmy do niewielkiego sklepu. – Czyli torebka, nie rękawiczki?

– Nie wiem, zobaczymy. Byle nie apaszka. Ma ich dosłownie setki – powiedziałam. – Pamiętasz, jak tato całymi kartonami przywoził je z Turcji? Zawsze płakałam, że dostałam lalkę, zamiast cudownie chłodnego jedwabiu w kwiatowe wzory. Lubiłam ten czas, kiedy prowadził butik. Któregoś dnia, chyba na moje dwunaste urodziny, ubłagałam go, żeby przywiózł do domu dwa manekiny. Jeździł wtedy tym ohydny zielonym polonezem i jakoś upchnął te plastikowe lale do środka, a później, ku uciesze rozmawiających z listonoszem sąsiadów, z manekinami pod pachą przeparał przez nasz zaśnieżony ogród. Pamiętasz to? – roześmiałam się.

– Pamiętam. Usadziłaś je przy stole i chwaliłaś się, że przyszły do ciebie na imprezę.

– Mama była wtedy wściekła i tacie strasznie się dostało... Powiedziała, że jestem za duża na takie maskarady, że robi ze mnie idiotkę i miesza mi w głowie. A później rozpętało się piekło o to, że ukradkiem wyjęłam z szafy jej futro i przypadkiem upačkałam je tortem.

– Ta? – Ilona zdjęła z haczyka dużą bordową torbę z zamszu i nie komentując tego, co powiedziałam, dodała, że coś takiego mogłoby się matce spodobać.

– Więcej czerwieni – mruknęłam.

– Jest chyba taki kryminał – roześmiała się moja siostra i wymieniliśmy rozbawione spojrzenia. – Słuchaj, a może ta? – sięgnęła po inną, ale szybko ją odłożyła. – Chociaż nie, chyba zbyt krzykliwa nawet jak dla naszej matki...

– Dzwonił dziś do ciebie tato? – zapytałam, zmieniając temat.

– Nie, a do ciebie? – siostra sięgnęła po tandetne kolczyki z kolorowych koralików, przyłożyła je do uszu i przez dłuższą chwilę przyglądała się sobie w dużym sklepowym lustrze. – Nie, nie mój styl – rzuciła i dodała, że ojciec nie odzywał się do niej chyba ze trzy miesiące.

– Do mnie też nie – przyznałam. – Pewnie zadzwoni jutro, jak to ma w zwyczaju.

– Tęsknię za nim. – Ilona obejrzała wąski ciemnoczerwony pasek ze sztucznej skóry, skrzywiła się na widok jego ceny i odłożyła go na miejsce. – Słuchaj, a może perfumy?

– No nie wiem... Jest raczej marna szansa, że trafisz z zapachem.

– Cholera – zaklęła cicho Ilona.

– Chodźmy, na piętrze jest fajny sklep z biżuterią – pociągnęłam ją w stronę wyjścia.

– Nie powinnam była tego odkładać na ostatni moment – powiedziała Ilona. – Tobie śliczne kolczyki kupiłam już we wrześniu, ale dla mamy zazwyczaj trudno coś wybrać...

– Zaraz coś znajdziemy – pocieszyłam siostrę. – I dzięki. Kolczyków nigdy za wiele.

– Julia, a co u twoich dziewczyn? Jakies dwa miesiące temu Matylda wysłała mi fotkę Kamilki, ale później zamilkła...

– Do mnie też nieczęsto się odzywa, jeśli w jakiś sposób cię to pocieszy... Ostatnio miała chyba przedświąteczny kryzys, więc wezwała mnie na pomoc, ale zazwyczaj to ja dzwonię do niej pierwsza – przyznałam szczerze.

– A Olga? Wszystko u niej okay? Ona to już w ogóle się do mnie nie odzywa. Czasem coś mi polubi na Facebooku i tyle mam z nią kontaktu – wyzaliła mi się Ilona.

– Olga odrzuciła właśnie pierwsze w życiu oświadczenia i czmychnęła na warsztaty teatralne do Olsztyna. – Uśmiechnęłam się na wspomnienie młodszej córki.

– Nie będzie jej na wigilii? – zdziwiła się moja siostra. – Nasza mama będzie jej to pewnie wypominać jeszcze ze trzy lata...

– Uwierz mi, moje córki mają to w naprawdę głębokim poważaniu. Babcię kochają, ale traktują z lekkim przymrużeniem oka, zwłaszcza wtedy, kiedy zaczyna gderać.

Ilona gwałtownie się zatrzymała.

– Czekaj. Nie znoszę ruchomych schodów! – Zanim na nie weszła, przez moment się zawahała, w końcu jednak podniosła walizkę i zrobiła pierwszy krok.

– Od kiedy? – zdziwiłam się.

– Odkąd przeczytałam o wypadku w chińskiej galerii handlowej.

Parsknęłam śmiechem.

– Nie ma się co śmiać. Oglądałam filmik i wyglądało to naprawdę strasznie. Pełne ludzi schody nagle ruszyły w tył i wszyscy zaczęli spadać.

– Ilona, jakie jest prawdopodobieństwo, że coś podobnego zdarzy się właśnie tu i teraz? – zapytałam, a moja siostra bezradnie się uśmiechnęła.

– Nie wiem. Mówię tylko, że ich nie lubię.

Na górze, u jubilera, wspólnymi siłami wybrałyśmy piękny wisiołek w kształcie motyla i cieniutki srebrny łańcuszek.

– Mama powinna być zadowolona, jak sądzisz? – zapytała moja siostra, kiedy młoda

ekspedientka pakowała biżuterię na prezent.

– Tak, zawsze lubiła motyle – uśmiechnęłam się.

– Zobacz, idealne! – siostra zachwyciła się kolczykami w kształcie kwiatów.

– Podobno oszczędzasz na większe mieszkanie – przypomniałam jej.

– A dajże spokój – zachnęła się i poprosiła sprzedawczynię o pokazanie kolczyków.

Zdecydowała się na zakup w naprawdę rekordowym tempie, ledwie na nie zerknęła i już powiedziała, że kupuje. Płaciła, kiedy w jej torebce rozdzwoniła się komórka.

– Idziemy o zakład, że dzwoni mamusia? – szepnęła Ilona i wymieniliśmy rozbawione spojrzenia.

– Nie odbierzesz?

– Oddzwonię. Pewnie chce zapytać, czy jestem już w drodze.

– Albo wyrazić niezadowolenie, że jeszcze do niej nie dotarłaś.

– Wiesz, dawniej, kiedy byłam jeszcze nastoletnią smarkulą, wierzyłam, że z czasem jej to przejdzie, ale ona nadal jest tak samo nadopiekuńcza, jak kiedyś...

– Ja się już chyba przyzwyczałam. Zresztą to nawet nie jest nadopiekuńczość. Ona chyba lubi, kiedy wokół niej panuje ruch i zamieszanie. Nawet do kardiologa muszę z nią ostatnio jeździć, bo nie przepuściłaby okazji, żeby zawrócić mi głowę – powiedziałam.

– Pewnie tak... Co nie zmienia faktu, że bywa irytująca. – Ilona wyjęła z torebki komórkę i zabrała się do pisania esemesa, zapewne do naszej matki. – Głodna jestem – powiedziała, nie odrywając wzroku od wyświetlacza swojego telefonu.

– Ja też – przyznałam, bo pomijając dwie podeschnięte kromki razowca, niczego tego dnia nie jadłam. – Usiądźmy tutaj – pociągnęłam siostrę w stronę pobliskiego baru, w którym podawali najlepsze omlety w miasteczku. – A co u ciebie? Oprócz tego, że zrobiłaś sobie totalną rewolucję na głowie. Coś nowego? – zapytałam, kiedy już obie powiesiłyśmy płaszcze na przepełnionym wieszaku w kącie lokalu i usiadłyśmy w jednej z wnek.

– Co u mnie? Strasznie to zabrzmiało, ale niewiele – powiedziała cicho Ilona. – Byłam ostatnio na cytologii, bo zdałam sobie sprawę, że chyba ze cztery lata nie odwiedzałam mojego lekarza, poza tym mam totalny zajob w pracy i chyba szykują się redukcje etatów, a mnie coś odbiło i przespałam się z firmowym kolegą... To tak w skrócie...

– Żartujesz?! I dopiero teraz się tym chwalisz? – kopnęłam siostrę pod stołem, a ona zrobiła śmiesznie zażenowaną minę.

– W sumie to chyba nie ma się czym chwalić...

– Bo? – zdziwiłam się, podając siostrze kartę.

– Bo to od początku nie miało szans na powodzenie. On mieszka z matką, ma czterdzieści osiem lat i chyba nigdy nie był w poważniejszym związku, a ja... Wiesz, jak mnie poharatał emocjonalnie rozwód z Grzegorzem, prawda? Nie chcę zaczynać czegoś nowego, a on...

– Czy on ma jakieś imię?

– Roman – powiedziała Ilona, a ja parsknęłam śmiechem.

– Pamiętasz tego kolesia, który mieszkał naprzeciwko nas? Tego z olbrzymim brzuchem

i łatami na łokciach swetra.

– Tego zdziwaczałego fizyka? Skąd on ci się nagle przypomniał? Miał chyba z siedem kotów...

– Osiem. I miał na imię Roman!

– Imię, jak każde inne. – Ilona lekko się naburmuszyła i dodała, że facet chce czegoś więcej niż weekendowych spotkań w jej mieszkaniu, a ona nie jest na to gotowa. – Poza tym on naprawdę strasznie chrapie! Spał u mnie sześć razy i za każdym razem do bladego świtu nie zmrużyłam oka. Koszmar!

– Okay, rozumiem. Nie zaiskrzyło. I co teraz? Wcisnęłaś mu jakiś tekst o pozostaniu w przyjacielskich relacjach? – zapytałam.

– Owszem. I oczywiście się obraził. Co gorsza, stale na niego wpadam. W firmowym barku, przy windach, na zebraniach... Dawniej ledwo sobie zdawałam sprawę z jego istnienia, a nagle widzę go wszędzie – powiedziała Ilona, wertując menu.

– No dobra, ale nie do końca rozumiem. Bo co tak naprawdę mu zarzucasz? Mieszka z matką, trudno. Chrapie, bywa...

– Mieszka z matką, chrapie i wrzuca pod poduszkę zrolowane skarpety. Pierwszej nocy obudziłam się z nimi przy twarzy! – powiedziała Ilona grobowym głosem.

– Okay, teraz mam jasny obraz sytuacji. Zdecydowanie zapomnij o Romanie – rzuciłam rozbawionym tonem.

Ilona chciała coś dodać, kiedy ponownie odezwała się jej komórka.

– Mama – powiedziała, zanim sięgnęła po telefon.

– Daj, odbiorę – zdecydowałam i nie czekając na odpowiedź siostry, odebrałam jej komórkę.

– Ilonko, no, ale jak to jedziesz dopiero? Przecież ja tu od rana czekam, Julia mi w niczym pomóc nie zamierza, a ty...

– To ja, mamó. I dzięki za miłe słowa – powiedziałam

– Jak to ty? Myślałam, że dzwonię do Ilonki...

– Dzwonisz, ale ja odebrałam.

– Cudzą komórkę?! Przecież to...

– Będziemy za jakąś godzinę, mamuś – weszłam jej w słowo.

– Dopiero?! Przecież już prawie trzynasta, a ja...

– Za godzinę – powtórzyłam i nie czekając, aż matka odpowie, przerwałam połączenie.

– Ostro, niemal brutalnie – roześmiała się Ilona, biorąc ode mnie swój telefon.

– Czasem nie da się inaczej – westchnęłam. – A wracając do tego całego Romana, jesteś pewna, że to nie wypali? Kiedy widziałyśmy się ostatnio, narzekałaś na samotność...

– Cóż, samotność przynajmniej nie chrapie – filozoficznie stwierdziła Ilona, definitywnie ucinając dyskusję. – Co zamawiasz?

– Omlet z brokułami.

– Ja wezmę z duszonymi pomidorami. Jadłaś?

– Tak, jest świetny. Wpadam tu przynajmniej raz w tygodniu, bo przecież za rogiem mam redakcję.

– Właśnie, a co u Króla? – zainteresowała się moja siostra.

– Dobrze. Niedługo zostanie dziadkiem – uśmiechnęłam się na wspomnienie naczelnego, który dowiedział się o ciąży córki z Facebooka.

– Czas leci przerażająco szybko... Pamiętam czasy, kiedy jego najstarsza córka przystępowała do matury – powiedziała Ilona. – Boję się czasem o rodziców, wiesz? Powoli zaczynam do siebie dopuszczać myśl, że nie będą żyć wiecznie. Tato niby zawsze miał świetne zdrowie, ale przecież niedługo skończy siedemdziesiąt pięć lat, a mama...

– Mama przeżyje nas obie i tego się trzymajmy.

Chwilę później zamówiliśmy omlety i zapatrzyliśmy się w okno, obserwując sypiący za szybą śnieg.

– Boisz się czasem przyszłości? – zapytała nagle Ilona.

Bawiła się solniczką i zauważyłam, że lekko drżą jej dłonie.

– Wiesz, czegoś takiego, co spadnie na ciebie nagle, znienacka. Jakiegoś nieodwracalnego zdarzenia, które zwali cię z nóg i wywróci twoje życie do góry nogami.

– Boję się, jasne. Głównie boję się o moje dziewczyny, ale nie tylko – przyznałam. – Staram się jakoś te lęki oswajać, ale to nie takie proste.

– Wybacz, smęczę... – Ilona roześmiała się nerwowo i odstawiła na bok solniczkę.

– Owszem, i to dość intensywnie. Lonka, co jest? Dzieje się coś, o czym nie wiem, czy po prostu masz gorszy dzień? – zapytałam cicho.

– Nie, skąd, nic złego się nie dzieje – moja siostra tak gwałtownie potrząsnęła głową, że wyglądało to prawie komicznie. – Po prostu... Cholera, idiotycznie to zabrzmiało, ale chyba nie służy mi ta czterdziestka.

– Czterdziestka jedyńka – mrugnęłam do niej.

– Jasne, dobij mnie! – zachnęła się. – Wydaje mi się, że wszystko, co najlepsze, już za mną. To takie cholernie niesprawiedliwe, że faceci w naszym wieku są uważani niemal za niedojrzałych chłoptasiów, a my za stare baby! Tak się cieszyłam tymi rudymi włosami, ale chyba będę się musiała przefarbować na grzeczny popielaty blond, bo mi skronie siwieją – skrzywiła się Ilona.

– Czyli poza kryzysem wieku nie gnębi cię nic poważnego? – upewniłam się.

– Jeśli siwizna na skroniach wydaje ci się mało poważna, to... – siostra nie dokończyła, bo pojawiła się przy nas kelnerka.

Zjadliśmy z apetytem i zaczęliśmy się zbierać. Dochodziła trzynasta czterdzieści, a ostatnią rzeczą, na jaką miałyśmy ochotę, było rozsierzenie mamy w wigilijne popołudnie.

Na ulicy, przy której stał kupiony kiedyś przez tatę dom rodziców, Ilona przyuważyła wyraźnie zziębniętą staruszkę sprzedającą jemiołę. Kobięcina okutana w zbyt dużą puchową kurtkę siedziała za rozłożonym na chodniku turystycznym stołem i z nadzieją w jasnych oczach wypatrywała potencjalnych kupców.

– Mamy jemiołę? – zapytała siostra. – Kupić?

– Kupuj – zgodziłam się, bardziej ze względu na przemarzniętą kobietę, niż z chęci posiadania spryskanego złotym sprayem wiechcia o kruchych gałązkach.

Ilona płaciła, kiedy znowu zadzwoniła mama. Tym razem na moją komórkę...

– Nie odbierzesz? – zapytała moja siostra nieco złośliwym tonem.

– Nie – ucięłam dyskusję.

Pięć minut później wcisnęłam dzwonek przy pomalowanej na ciemnobordowo furtce, a w oknie na parterze poruszyła się firanka.

– Zawsze czujna – mruknęła Ilona. – Spóźniłyśmy się?

– Nie.

– Masz coś zielonego między zębami. To chyba brokuł – zauważyła moja siostra.

– Cholera, zapomniałam o miodzie – skrzywiłam się.

Chwilę później na werandzie pojawiła się mama. Opatulona futrem z norek, które lata temu kupił jej nasz ojciec, ze starannie ułożonymi włosami i uszmiłkowanymi na krwistą czerwień ustami, w swoich ulubionych, kwiecistych kapciach.

– Najwyższy czas! – rzuciła na nasz widok i skupiła całą swoją uwagę na Ilonie. – Co ty nagle ruda jesteś? – zdziwiła się.

– Na to wygląda. – Moja siostra pociągnęła za rączkę walizki i wymijając matkę w bramce, weszła do przysypanego świeżym śniegiem ogrodu.

Nie przytuliły się, nigdy tego nie robiły. W naszej rodzinie byliśmy ze sobą raczej na dystans, co zawsze mnie bolało. My z siostrą bywałyśmy znacznie bardziej wylewne, nawet jeśli miałyśmy ze sobą sporadyczny kontakt, ale mama nieczęsto okazywała nam czułość. Taka już była zawsze i chyba nie miało sensu mieć jej tego za złe.

– Sama musiałam odśnieżać, bo na was nigdy nie można liczyć – utyskiwała, zamykając za nami furtkę.

– Przecież mówiłaś, że pomaga ci sąsiad – zdziwiłam się.

– Pomagał, dopóki nie pokłóciłam się z jego żoną – skrzywiła się.

– Za cięty język się płaci! – rzuciła idąca przed nami Ilona i nie czekając na nas, weszła do domu.

– Chyba z pół roku matki nie widziała i już pyskuje! – nasza rodzicielka burknęła pod nosem coś o niewdzięczności dzieci i w ślad za moją siostrą weszła do domu, a ja wiedziałam już, że to będzie bardzo długi dzień...

Daj mi to – powiedziała mama, kiedy weszliśmy do przestronnej, tonącej w szarościach i bielach kuchni, wzięła od Ilony jemiotę i zaczęła się rozglądać za odpowiednim wazonem. – Wasz ojciec też zawsze mi ją kupował. Rok w rok w wigilijne przedpołudnie szedł na targ i przynosił z niego jemiotę i marcepanowe czekoladki – wspominała mama, wyciągając z kredensu ceramiczny wazon, który dawno temu kupiłam w Chorwacji.

– Bez jemioty roczek goły – popisała się Ilona. – Napiłabym się kawy... Dobrze?

– Pewnie. Druga szafka od okna – powiedziała mama.

– Mnie też zaparz – poprosiłam i siostra wyjęła z kredensu jeszcze jedną filiżankę.

– Otwórzcie sobie nowe mleko. To w lodówce ma już chyba z tydzień – dodała matka.

Chwilę później wyszła z kuchni i zostałyśmy same.

– Cholera, naprawdę tęsknię za tatą. Zwłaszcza dzisiaj – powiedziała cicho Ilona.

– Ja też – przyznałam. – Dzwoniłam do niego co prawda na urodziny, ale długo nie pogadaliśmy. Zresztą telefon to nie to samo, co spotkanie...

– Ja myślałam nawet, żeby polecieć na święta do Sztokholmu, ale mama nigdy by mi tego nie wybaczyła – dodała moja siostra.

– No, to by była ewidentna zdrada. Zasiąść przy wigilijnym stole z kelnerką? Zapomnij – roześmiałam się.

– Wszystko słyszę! – krzyknęła z przedpokoju mama, zapewne musiała się kręcić przy kuchennych drzwiach.

– Wybacz! Myślałam, że jesteś w salonie! – odkrzyknęła Ilona, zalewając kawę wrzątkiem.

– Mogłaś do niego lecieć, skoro tak tęsknisz – powiedziała matka, zjawiając się z powrotem w kuchni.

– Nie mogłam, bo chciałam być tutaj, z wami.

– No to jesteśmy. Trzy samotne kobiety przy świątecznym stole – westchnęła nasza rodzicielka. – Swoją drogą, czasem tak się zastanawiam, czy to nie jakiś upiorny, regularnie się powtarzający schemat? Wszystkie jesteśmy same, w naszej rodzinie od pokoleń brakowało obecności mężczyzn – powiedziała nagle. – Moja matka straciła męża sześć lat po ślubie, moja siostra dwa razy owdowiała, mnie rzucił Kazimierz, wy obie się rozwiodłyście... Klątwa jakaś?

– Życie. Nie ma co dramatyzować, chociaż z wami to zawsze... Teatr miliona westchnień – wzruszyła ramionami Ilona i dosypała do mojej kawy dwie łyżeczki cukru.

– Za dużo – skrzywiłam się.

– Za późno – siostra posłała mi krzywy uśmiech i podsunęła filiżankę. – Jakoś wypijesz.

– Eryk już rano zadzwonił do mnie z życzeniami, natomiast Grzegorz nawet esemesa nie wysłał. – Mama również usiadła za stołem i urwała kawałek drożdżowej chałki.

– Dziwi cię to? Nigdy go nie lubiłaś i świetnie o tym wiedział – przypomniałam jej.

Ilona milczała.

Wiedziałam, że każda wzmianka o byłym mężu jest dla niej bolesna, dlatego miałam nadzieję, że nie będziemy drążyć tego tematu.

– Smutno tu jakoś, cicho... – mama wyraźnie zmarkotniała. – Matyldę jeszcze rozumiem, w końcu pojechała do tej Pragi z rodziną Briana, ale Olga? Po co jej to wszystko było i kto organizuje teatralne warsztaty w święta?

– Mamo, daj jej spokój, okay? Jest młoda, ma prawo do własnego życia – wzięłam w obronę młodszą córkę.

– No dobrze, ale w Wigilię?! Przecież mnie za rok może już nie być, na miłość boską! – zachnęła się mama.

– Mnie też za rok może już nie być – wtrąciła Ilona znad kawy.

– O Boże! Chora jesteś? – przeraziła się mama.

– Mamuś, nie. Po prostu mówię, że nikt z nas pewności nie ma. Przestań mówić takie rzeczy, bo chce mi się płakać. Ty i babcia w każdą Wigilię uderzałyście w jakieś patetyczne tony. Nie znosiłam tego! – powiedziała moja siostra.

– Dożyjesz mojego wieku to zobaczysz, w jakie tony będziesz uderzać... – Mama sięgnęła po swoją komórkę. – Ktoś mi wysłał esemesa – zauważyła i włożyła okulary. – Matylda! Przesłała nawet zdjęcie! – ucieszyła się.

– Pokaż – poprosiłam.

Córka faktycznie przesłała mojej matce fotkę z Pragi i odrobinę mnie to ubodło, bo mnie nie wysłała nawet życzeń... Ale może jeszcze się odezwie? – pocieszyłam się.

– Mamuś, ubrałaś już choinkę? – zdziwiła się Ilona.

– Tak, czekając na was. Bo tak się dziś obie guzdrałyście, że jeszcze trochę i usiadłybyśmy do Wigilii przy nieubranym drzewku. – W głosie matki znowu dało się słyszeć wyrzut.

– Mam już powoli rozmrażać uszka? – zmieniłam temat.

– Możesz – zdecydowała mama. – Wiesz, jak je później odgrzać? Na sicie, nad garnkiem z wrzątkiem. Tylko przykryj pokrywką.

– Wiem, mamuś. Nie robię tego pierwszy raz.

Ilona posłała mi udęczone spojrzenie, jakby chciała powiedzieć „łączę się z tobą w bólu”.

Do wigilii usiadłyśmy niecałą godzinę później. W przeciwieństwie do nas, mama zawsze lubiła siadać do stołu tak wcześnie, jak tylko się dało.

– Pamiętacie, jak babcia wylała na tatę talerz barszczu? – przypomniała sobie Ilona, a mama głośno się roześmiała.

– Nie doprałam już jego koszuli, a tak ją lubił – powiedziała. – Czasem podejrzewam, że zrobiła to celowo. Żarli się jak pies z kotem...

– Eryk też się kiedyś oblał barszczem. Później mi powiedział, że przynajmniej nie będzie musiał zakładać tego krawata ode mnie, nie cierpiał go – przypomniałam sobie, a przed oczami mignęły mi znajome twarze.

Eryk, Matylda, Olga, mój tata, babcia, siostra mamy, Grzegorz... Kiedyś siadaliśmy przy wigilijnym stole w naprawdę licznym składzie. A później wszystko zaczęło się rozpadać. Moja rodzina, małżeństwo mamy i siostry.

Nie, nie będę teraz myśleć o przeszłości! – powiedziałam sobie i zerknęłam w stronę choinki, pod którą leżało kilka niewielkich, ładnie zapakowanych paczuszek. Dziś jesteśmy tu we trzy i też jest dobrze, pomyślałam.

– Podaj mi półmisek ze śledziem – poprosiła mama, wrywając mnie z zadumy. – W tym roku zrobiłam te w buraczkach, z przepisu mojej teściowej, świeć panie nad jej jędzowatą duszą – dodała kąśliwym tonem.

– Mamo! Przy wigilii? Obrażasz dusze przodków! – zachichotała Ilona i wszystkie trzy parsknęłyśmy śmiechem.

– A pamiętacie, jak babcia mawiała, żeby ostrożnie chodzić po domu i nie rozdrażniać dusz, które przyszły w odwiedziny? – przypomniałam sobie.

– Moja matka była skarbnicą wszelkiego rodzaju przesądów – pokiwała głową mamą. – Kiedy byłyśmy z Zośką pannami, kazała nam po wigilijnej wieczerzy wychodzić przed dom i słuchać, z której strony psy szczekają...

– Co? – zawołała Ilona.

– Tak, bo ponoć od tej strony, od której pies zaszczeka, nadejdzie pisany ci mężczyzna – powiedziała mama.

– I od której strony zjawił się tato?

– Od złej widać, skoro po długich latach puścił mnie kantem – stwierdziła mama.

– Myślałam, że już przebolełaś ten rozwód – powiedziała Ilona. – Miałaś już przecież przyjaciela, zaczęłaś...

– Przyjaciela?! – parsknęła mama. – Przecież ten Ziutek to była fajtłapa nie facet!

– Rozumiem, że przyjaźń zakończona?

– A jaka to była przyjaźń?! Wpadał czasem na obiad, bo odkąd mu żona zmarła, domowej zupy nie miał w ustach, ale jak chciałam iść do teatru czy do kina, to nigdy nie miał czasu! Tak mi się tłumaczył, ale podejrzewałam, że żał mu było kasy na bilety! Skąpiradło z niego, a skąpstwo to u faceta najgorsza przywara. Już bym chyba wołała, żeby się za innymi babami oglądał, niż miał węża w kieszeni! – mama aż się wzdrygnęła.

– A ten emerytowany inżynier, którego poznałaś w swoim biurze? – zapytałam.

– No, ten to dopiero nawywijał! – skrzywiła się mama. – Ze dwa miesiące mi głowę zawracał, a później zniknął... Z dnia na dzień, nagle, zupełnie niespodziewanie... Jak kamień w wodę!

– Może nie żyje? – zapytała Ilona z właściwym sobie czarnym humorem.

– Żyje, żyje! Wpadłam kiedyś na niego na Kieleckiej! Szedł pod rękę z jakąś dobrze zrobioną sześćdziesiątką i udawał, że mnie nie widzi!

– Czyli dupek bez klasy, szkoda zachodu – skwitowała moja siostra.

– Może i dupek, ale czas leci, a ja wciąż jestem sama – skonstatowała mama, podsuwając w stronę Ilony półmisek ze śledziem. – Jedz, bo przy wigilii wszystkiego trzeba spróbować!

– Przecież wiesz, że nie znoszę śledzi – jęknęła moja siostra, ale mama już go nakładała na jej talerz.

– Smacznego – mrugnęłam do niej.

– A dla was miałabym niejednego kandydata, no ale ty się zastrzegłaś, że nie chcesz widzieć żadnego faceta, a Julka nigdy mnie nie słuchała – powiedziała mama po chwili, wracając do damsko-męskich tematów.

– Nie zaczynaj, błagam cię! – poprosiłam, ale mama już się nakręciła.

– Nie no, nic przecież nie mówię. Chcesz być sama, to bądź! Tylko że ja kiedyś umrę, dziewczyny ci w świat wyfruną i do ściany będziesz gadać!

– Dzięki, mamuś. Kocham twój optymizm.

– Może Julia kupi sobie kota – wtrąciła moja siostra.

– Święte słowa – poparłam Ilonę.

Mama z politowaniem pokiwała głową, ale nie dodała już nic.

Dyskretnie zerknęłam na zegarek i stłumiłam ziewanie. Siostra, która dłubała w swoim talerzu, bez większego apetytu kończąc nieszczęsnego śledzia w buraczkach, też wyglądała na pozbawioną energii. Obie jednak świetnie wiedziałyśmy, że od stołu wstawać nie można; w naszym domu kończyło się wigilię kompotem z suszu i dopiero wtedy można było otworzyć prezenty.

– Co mi kupiłyście? – zainteresowała się nagle mama.

– Zobaczysz – powiedziałam.

– Pójdziemy dziś na pasterkę? – zapytała Ilona.

– Chętnie – powiedziała mama.

– Nie – rzuciłam dokładnie w tym samym momencie.

– Nie podoba mi się to, że przestałaś chodzić do kościoła – zmartwiła się matka.

– Przestałam chodzić do kościoła jakieś piętnaście lat temu. Koniecznie chcesz teraz o tym rozmawiać? – zapytałam nieco zbyt ostro.

– Niekoniecznie – westchnęła mama. – Pójdę po kompot.

– Pomóc ci w czymś? – zapytała Ilona.

– Nie, zostań z siostrą. Wieki się nie widziałyście.

– Parę miesięcy, nie przesadzaj – rzuciłam, ale mama już wyszła z pokoju.

– Muszę zapalić – szepnęła Ilona, kiedy zostałyśmy same.

– Kiedy wróciłaś do fajek? – zdziwiłam się.

– Nie wróciłam. Palę góra paczkę miesięcznie, w skrajnie stresujących sytuacjach i wierz mi, to jest właśnie jedna z nich. Idę na zewnątrz. Gdyby co, jestem na górze!

– Idź, ale... – nie dokończyłam, bo do salonu, nadspodziewanie szybko, wróciła mama z dzbankiem pełnym kompotu.

– Cholera – powiedziała bezgłośnie Ilona i tłumiąc śmiech, wbiłyśmy wzrok w swoje talerze.

Siostra zapukała do mojego pokoju tuż przed północą.

– Nie śpisz? – zapytała, wkładając głowę przez uchylone drzwi. – Wydawało mi się przed chwilą, że słyszę suszarkę...

– Tak, suszyłam włosy. Właż – zachęciłam ją i odrzuciłam na bok kołdrę po pustej stronie łóżka.

– Jak tu inaczej! – siostra wślizgnęła się do mojego dawnego królestwa i omiotła wzrokiem świeżo odnowione ściany.

– Kilka miesięcy temu mama wpadła w remontowy szal – wyjaśniłam.

– Wygląda super! – zachwyciła się Ilona.

Nie mogłam nie przyznać jej racji, bo faktycznie mój dawny panieński pokój z tapetą w drobne kwiatki i podniszczoną wykładziną na podłodze zamienił się w modnie urządzone sypialnię, której stylistyka przypominała nieco eleganckie hotelowe apartamenty. Mama wymieniła część mebli – zamiast mojej starej wersalki pokój ozdobiło olbrzymie łóżko z metalową ramą, kupiła też nowe zasłony i piękny fotel w barokowym stylu, który ozdobił obecnie pusty przez lata kąt pokoju pod oknem, a ściany przemaalowała na ciemny beż w odcieniu cafe latte.

– Niemiłosiernie zmarzłam i mam lodowate stopy! – Ilona, ubrana we flanelową piżamę, wskoczyła na łóżko i okryła się kołdrą.

– Chcesz skarpety? – zapytałam, odkładając na bok komórkę.

– A masz? – ucieszyła się moja siostra.

– Mam.

Wyjęłam z komody grube ciemnoszare skarpetki, które mama kupiła mi zeszłej zimy i wyciągnęłam z torebki likier Baileys.

– To pozwoliłam sobie przemycić na czarną godzinę – powiedziałam.

– Hazelnut, bejbi! Uwielbiam go! – Ilona aż klasnęła w dłonie. – Dawaj te skarpety, bo chyba zaraz odmrozę sobie palce. W tym domu zawsze było zimno, ale chyba już zapomniałam, jak bardzo można tu zmarznąć...

– Stare ogrzewanie – stwierdziłam, rzucając siostrze skarpetki. – Nie mam kieliszków...

– Przynieść? Albo nie, zapomnij! W tym momencie żadna siła nie wyciągnie mnie spod kołdry! – zarzekła się Ilona.

– Ja pójdę, przy okazji napiję się wody – powiedziałam, zarzucając na ramiona stary pikowany szlafrok matki, który znalazłam w łazience.

– Tylko, błagam, nie obudź mamy – szepnęła Ilona, kiedy uchyliłam drzwi.

Uśmiechnęłam się pod nosem i powoli, opierając się o ścianę, doszłam do krawędzi schodów.

Na dole, w pustej, chłodnej i cichej kuchni, nalałam sobie wody i wyjrzałam przez okno. U sąsiadów mamy paliło się jeszcze światło, a stojący na ich zaśnieżonym trawniku olbrzymi renifer z setek migoczących na szafirowo ledowych diod rytmicznie pulsował, rozświetlając

ciemność wokół siebie.

Dopijałam wodę, kiedy z ciemności grudniowej nocy wynurzył się postawny, ubrany na czarno mężczyzna. Wszedł w krąg światła z ulicznej latarni w momencie, w którym odstawiałam na parapet pustą szklankę i spojrzał prosto w nasze kuchenne okna. Cofnęłam się odruchowo i przywarłam do ściany, ale on szybko stracił zainteresowanie naszym domem, gwizdnął na psa i ruszył w dół ulicy.

– Kiedy zrobiłam się aż takim cykorem? – mruknęłam do siebie.

Kieliszki znalazłam w kredensie. Odkryłam tam też ślubne zdjęcie rodziców, które mama ustawiła pomiędzy rzadko używanymi kubkami. Jacy młodzi, pomyślałam dziwnie wzruszona i schowałam fotografię na miejsce.

Kiedy wróciłam na górę, siostra okazywała już pierwsze oznaki zniecierpliwienia.

– Co tak długo? Ciebie to tylko po śmierć posłać, jak mawiała babcia.

– Nie pyskuj, smarkulo, bo nie dostaniesz alkoholu – zażartowałam i nalałam nam do kieliszków solidną porcję baileysa.

– Jezuuuuu, jaki dobry! – Ilona upiła pierwszy łyk, oblizwała się i ponownie zanurzyła usta w likierze. – O tym, ile to ma kalorii, wolę w tym momencie nie myśleć.

– Chrzanić kalorie! Też go bardzo lubię! – Postawiłam swój kieliszek na nocnej szafce i wskoczyłam pod kołdrę. – Faktycznie zimno tu – wzdrygnęłam się.

– Bo łazisz boso! Ale w żadnym razie skarpet ci nie oddam! – Ilona wystawiła stopy spod kołdry i radośnie poruszała palcami. – Teraz mi dobrze! Myślisz, że mama obudzi nas jutro o ósmej? Zawsze lubiła zrywać się bladym świtem...

– Znając ją, będzie się już pewnie tłukła po parterze parę minut po siódmej. Szuranie zasłonami, jeżdżenie odkurzaczem pod naszymi drzwiami, pamiętasz te odgłosy, prawda? – uśmiechnęłam się krzywo.

– Chryste, ale chyba nie w święta? – jęknęła siostra. – Pamiętasz Mrówkojada? – zmieniała temat.

– No jasne. Nasz pierwszy pies!

– Cudny był! – Ilona poprawiła sobie poduszkę pod głową i przysunęła się bliżej mnie. – Śnił mi się ostatnio i to był totalnie porąbany sen. Śniłam o wypadku, tyle że w moim śnie było lato, nie jesień. Mrówkojad jechał z nami, a kiedy uderzyliśmy w tę furgonetkę, wyleciał przez przednią szybę, cały czas szczekając. A później biegał dookoła naszego samochodu i ujadł jak wściekły, a jego futro połyskiwało od krwi...

– Też czasem mi się to wszystko śni – powiedziałam cicho. – Tyle że w moim śnie to zazwyczaj ja prowadzę. Ciekawe, jak można by to zinterpretować...

– Może chcesz zdjąć odpowiedzialność ze mnie? – zasugerowała siostra. – Prawie cię tamtej nocy zabiłam... Miałas zapadnięte płuco, a ja...

– Ilona, to był wypadek – powiedziałam łagodnie i pogłaskałam siostrę po włosach. – A zapadnięte płuco to jedna z najczęstszych konsekwencji czołowego zderzenia.

– Proszę, jaka czytana. – Siostra cicho się zaśmiała i sięgnęła po swój kieliszek. – W tym momencie przydałoby się chyba coś mocniejszego niż baileys...

– Wiesz, co mnie najbardziej boli, Ilona? To, że jakieś twoje głupie poczucie winy kazało ci się od nas odsunąć. Ode mnie, od mamy, od moich dziewczynek. Wycofałaś się, unikasz nas, nie dzwonisz... Wiesz, że nigdy nie miałam do ciebie żalu o to, co się stało. Było ślisko, straciłaś panowanie nad kierownicą, zdarza się. Wyobrażam sobie, jak się czułaś. Wyszłaś z tego niemal bez szwanku, ja spędziłam szmat czasu w szpitalu i mam za sobą kilkumiesięczną rehabilitację nogi. Ale to nie była twoja wina, do cholery!

– Wiem. Wiem to wszystko, a jednak...

– To nie była twoja wina, Ilona – powiedziałam z naciskiem. – I zmienmy temat, bo w końcu są święta!

– Okay. W takim układzie proponuję toast. Za kolejne wspólne Wigilie!

– Za kolejne Wigilie – powtórzyłam.

– Zrobiłam sobie tatuaż – powiedziała nagle moja siostra.

– Co?! – parsknęłam, niemal oblewając się likierem. – Chyba żartujesz?! Ty?

– No ja, a co?

– No nic, tylko nigdy nie wspominałaś, że ci się to marzy...

– To była spontaniczna decyzja. Byłam w Warszawie, w delegacji. Padało, a ja, przemarznięta i w przemoczonych zamszowych butach, wracałam z bardzo nudnego spotkania. I nagle zobaczyłam salon tatuażu. Drzwi pchnęłam pod wpływem jakiegoś impulsu, myślę, że przyciągnęło mnie ciepłe, rzęsiście oświetlone wnętrze. Chłopak, który tam pracował, od razu zauważył, że się waham, ale nie naciskał. Wręcz przeciwnie. Powiedział, że w każdej chwili mogę wrócić, nie muszę decydować się od razu. I wtedy zobaczyłam tego węża na jego ramieniu...

– Nie! Nie mów mi, że dałaś sobie wytatuować węża! – roześmiałam się.

– Owszem i to gdzie! Na dole brzucha, tuż nad...

– Pokazuj!

– Proszę bardzo! – siostra odrzuciła na bok kołdrę, odciągnęła gumkę od flanelowych spodni i moim oczom ukazał się całkiem spory, kolorowy wąż sięgający od jej pępka do kasztanowej kępki włosów na wzgórku łonowym.

– Ja pierdołę, naprawdę to zrobiłaś! Ładny!

– Też mi się podoba – powiedziała Ilona, okrywając się kołdrą.

– Czemu akurat wąż?

– Żebym pamiętała, że nadal jestem kobietą. Wiesz, że kiedy odszedł Grzesiek, czułam się fatalnie, prawda? Może gdyby zostawił mnie dla jakieś superlaski, byłoby mi łatwiej, ale on zakochał się w cztery lata od siebie starszej babie! Całymi dniami zastanawiałam się, co jest ze mną nie tak. Czułam się przegrana, mało seksowna, nijaka. Może dlatego ten wąż? Kojarzy mi się z Ewą, naszą pramatką. Silną, kobiecą, kuszącą... Bredzę, co? Ale dobrze się poczułam, jak tylko go sobie zafundowałam, a Romek prawie padł, kiedy go zobaczył! Konserwatysta taki jak on wytatuowane kobiety widuje co najwyżej w telewizji – roześmiała się moja siostra.

– Chrupiący Roman i wąż – palnęłam, a Ilona zaśmiała się serdecznie.

– Wariatka! – rzuciła, chichocząc.

– A swoją drogą, to takie smutne. Zobacz, jak my, kobiety, w siebie nie wierzymy. Myślisz, że którykolwiek facet ma wątpliwości co do swojej męskości, kiedy rzuci go żona? Nie! Oni się zawsze czują zajębiście! Nam wystarczy rozwód i już cały świat się wali... – powiedziałam zasmucona.

– Myślę, że facet też czuje się fatalnie, kiedy rzuci go żona. I z całą pewnością nie jest wtedy zajębiście – powiedziała moja siostra i dołała nam likieru.

Rozmawialiśmy prawie do trzeciej nad ranem, w końcu zmorzył nas sen. Zasypiałam z leżącą obok siostrą, której nie chciało się wracać do swojego pokoju. Gdzieś na granicy jawy i snu pomyślałam jeszcze, że cudownie znowu mieć ją obok siebie. Z tą myślą odpłynęłam w niebyt.

Matylda odezwała się do mnie w pierwszy dzień świąt.

– Mamuś, przepraszam, że dopiero teraz... Kamila przez całą drogę rzygała i kiedy w końcu dotarliśmy na miejsce, padłam na łóżko i zasnęłam. Na szczęście mama Briana ma do niej dobrą rękę i świetnie się nią opiekuje.

– Ty też zawsze rzygałaś w samochodzie. Pamiętam, jak raz wracaliście znad morza... Miałaś osiem, może dziewięć lat i wymiotowałaś tak, że po waszym powrocie skrajnie odwodniona trafiłaś do szpitala. Pamiętam, że strasznie się wtedy pokłóciłam z waszym ojcem... Ma w końcu jakieś pojęcie o medycynie, do cholery, a nie potrafił ci podać więcej płynów? Ja jechałam tamtego dnia pociągiem, bo chciałam wracać z przyjaciółką, a Eryk zabrał was obie i tak to się skończyło...

– Nie pamiętam – mruknęła Matylda. – Kamila, połóż to! – wrzasnęła na córkę. – Wybacz – to znowu do mnie...

– Jak Praga? – zapytałam. – Mama pochwaliła mi się ememesem od ciebie i było mi trochę przykro, że o mnie nie pamiętałaś...

– Obejrzysz zdjęcia, jak wrócę. W każdym razie dzwonię, żeby wam życzyć wspaniałych świąt i powiedzieć, że u nas wszystko okay. Znajomi rodziców Briana mają olbrzymi dom, mieszkamy komfortowo i prawdę mówiąc, jestem w euforii, bo nie muszę gotować.

– No tak, ty i garnki – uśmiechnęłam się pod nosem, a córka powiedziała, że musi kończyć, bo zaraz wychodzą.

– Chcę dziś porobić zdjęcia na Josefovie i wyciągnąć Briana na romantyczny spacer we dwoje. Małą podrzucę jego rodzicom, trzeba korzystać z faktu, że są nią zachwyceni – roześmiała się Matylda.

– Kukułko ty moja – mruknęłam.

– Czemu kukułko? – zdziwiła się córka.

– Bo kukułka podrzuca jaja innym ptakom, nie wiedziałaś? – zdziwiłam się.

– Czy Kamila wygląda ci na jajo? – Matylda tradycyjnie cmoknęła w słuchawkę i obiecała, że wieczorem wyśle mi esemesa.

– Pa, córciu! Uściskaj ode mnie wszystkich – poprosiłam.

– Jasne! Aha, mamuś, zapomniałabym o najważniejszym. Rodzice Briana zmienili plany, więc na pewno nie zjemy u ciebie kolacji, bo... Zresztą, długo by mówić. W każdym razie poznamie się następnym razem, może nawet uda się nam wyciągnąć cię do Londynu. Nigdy nie byłaś, a my chętnie pokazalibyśmy ci nasze ulubione miejsca.

– Byłoby miło – powiedziałam.

– Bardzo miło. Dobra, pa! Brian ubrał już Kamilę na spacer i zaczyna pochrząkiwać, co oznacza, że muszę kończyć – roześmiała się Matylda.

– Pa – powiedziałam.

Tato zadzwonił chwilę później, komórka rozdzwoniła mi się w rękę, zanim odłożyłam ją na

komodę.

– Cześć, Kluseczko – usłyszałam i coś złapało mnie za gardło.

Czasem tęskniłam za nim tak bardzo, że miałam ochotę wsiąść w pierwszy samolot i lecieć do Sztokholmu. Problem polegał na tym, że w domu Karen nigdy tak do końca nie czułam się komfortowo. To nawet nie to, że druga żona ojca mnie nie lubiła, wręcz przeciwnie. Po prostu czułam, że tam nie przynależę...

– Cześć, tatusiu – uśmiechnęłam się i usiadłam w fotelu pod oknem.

– Chyba cię nie obudziłem?

– Nie żartuj, jest prawie dziewiąta.

– To dobrze. Jak dziewczynki? Co u Ilony? Dzwoniłem, ale nie odebrała.

– Kąpie się. Niedawno wstałyśmy i wyobraź sobie, że mama wyjątkowo nie obudziła nas bladym świtem – powiedziałam. – A u moich dziewczyn wszystko dobrze.

– W lutym będę w Polsce, pomyślałem, że już teraz dam ci znać.

– Przyjeżdżasz?! Super! – ucieszyłam się.

– Tak, chcę się spotkać ze znajomymi i spędzić trochę czasu z wami.

– A co u Karen? – zapytałam bardziej z grzeczności niż z ciekawości.

– Świetnie, pomijając oczywiście fakt, że ma teraz grypę. W każdym razie wszystko jest okay. Otwieramy niebawem kolejną restaurację, poza tym szukamy mieszkania dla Tiffi, bo szkoda kasy na czynsz.

Na wzmiankę o Tiffany, dwudziestoczteroletniej jedynaczce Karen, poczułam lekkie ukłucie zazdrości. Wiedziałam, że tato pokochał tę dziewczynę tak, jakby była jego rodzoną córką i czasem zazdrościłam jej tego, że ma go przy sobie. Wiem, że to idiotyczne. Jestem dorosłą i ponoć niegłupią kobietą, a jednak czasem zachowuję się jak dziecko. Ale gdzieś tam w środku pod wieloma względami człowiek pozostaje dzieckiem, a rodziców chce mieć zawsze na wyłączność, nawet jeśli na co dzień nie poświęca im zbyt wiele czasu.

– Jesteś? Coś przerywa... Halo?

– Jestem.

– Podeślij mi jakieś zdjęcia Kamilki, dobrze? Prosiłem o to Matyldę, ale ona nie ma głowy do takich rzeczy.

– Podeślę – powiedziałam, a tato powiedział coś po szwedzku.

– Wybacz, Tiffany pytała, czy podrzucę ją do centrum.

– To ona nie ma auta? – zdziwiłam się.

– Miała i to całkiem niezłe. Sam jej je kupiłem, niestety brawura ma zawsze opłakane skutki. Rozwaliła tę corvette niecałe dwa tygodnie od dnia, w którym wręczyłem jej kluczyki. Na szczęście nic jej się nie stało. No, ale twoja siostra też sporo potrafi na drodze – stwierdził tato z przekąsem.

– To było podłe!

– Może odrobinę. Muszę kończyć, Kluseczko. Pogadamy po Nowym Roku, okay? Tymczasem odpoczywaj i pozdrów ode mnie waszą matkę.

– Żartujesz? Żeby straciła humor na resztę dnia? Godzinami musiałabym wysłuchiwać, jakim jesteś draniem – szepnęłam do słuchawki, oglądając się przez ramię.

– Nigdy nie chciałem was skrzywdzić, przecież wiesz. Ale to, co niemal w pierwszej sekundzie poczułem do Karen...

– Tato, znam tę historię. Cieszę się, że jesteście szczęśliwi – powiedziałam.

– Dziękuję. Trzymaj się, Juleczko. – Tata szybko się ze mną pożegnał, a sekundę później rozdzwoniła się leżąca na stole komórka Ilony.

– Mówiłam ci, że jest pod prysznicem – powiedziałam, kiedy odebrałam telefon siostry.

– Tyle czasu? – zdziwił się ojciec.

– Zadzwoń za jakiś kwadrans, nie bądź namolny! – rzuciłam lekkim tonem.

– Okay – tato westchnął do słuchawki, po raz trzeci tego dnia nazwał mnie Kluseczką i przerwał połączenie.

– Z kim rozmawiałaś? – zainteresowała się mama, która zjawiała się w salonie z kubkiem herbaty w ręku.

– Z kolegą z redakcji – skłamałam.

– A przypadkiem nie z twoim zdradzieckim ojcem? Z tym wyliniąłym amantem, który...

– Mamo!

– Mnie nie oszukasz! Zresztą tylko do niego szczebioczesz takim dziecinnyim przesłodzonym tonem! – Mama zasiadła za stołem i upiła kilka łyków herbaty. – Co mówił? – zainteresowała się. – Tylko nie kłam!

– Karen kupiła tacie ferrari – rzuciłam pierwszy lepszy idiotyzm, który przyszedł mi do głowy, ale mama nawet się nie zorientowała, że blefuję.

– Ferrari?! Jej błąd! Poderwie pewnie na tę furę jakąś młodszą kelnerkę! – rzuciła triumfalnym tonem.

– Mamuś, żartowałam – powiedziałam, a matka posłała mi złe spojrzenie.

– Jasne, nabijaj się ze mnie do woli!

– Po prostu nie chcę z tobą rozmawiać o tacie. Przynajmniej dopóki nie przestaniesz wieszać na nim psów.

– Ja wiem na nim psy?! – matka prawie oblała się herbatą. – To on nas porzucił, nie ja!

– Zakochał się – powiedziałam. – Ludzie mają prawo do...

– Niech zgadnę, dzwonił ojciec? – Ilona z ręcznikiem na głowie zjawiała się w kuchni w szlafroku mamy i moich skarpetach. – Musicie od rana na siebie wrzeszczeć?

– Nikt nie wrzeszczy! Mówię tylko, że Julia powinna w końcu pewne rzeczy zrozumieć, a nie stawać po stronie waszego ojca, który...

– Przepraszam, ale nie mam ochoty na kolejną słowną przepychankę. Wychodzę! – złapałam swoją komórkę i wyszłam z salonu, zostawiając w nim wyraźnie poirytowaną matkę i pachnącą kokosowym płynem do kąpieli siostrę.

Na zewnątrz wyszłam w dresie, z narzuconą na ramiona kurtką i w maminej czapce, którą znalazłam przy drzwiach. Kozaki, które miałam na nogach, kupiłam kiedyś w Zakopanem

i zostawiłam w domu rodziców. Mama zawsze psioczyła, że powinnam w końcu zabrać resztę moich książek i betów, ale nigdy niczego nie wyrzuciła.

Łopata do odśnieżania stała na tyłach domu oparta o ścianę niewielkiej szopy, którą własnymi rękami zbudował tato. Założyłam kurtkę i podnosząc wysoko nogi, przedarłam się przez śnieg, który po nocnej zadymce sięgał mi niemal do kolan. Chwilę później zabrałam się za odśnieżanie ścieżki przed domem. Odśnieżyłam też podjazd i wróciłam za dom, gdzie, chcąc zająć czymś ręce, zaczęłam lepić bałwana. Po chwili utoczyłam już pierwszą, największą kulę i utwardziłam śnieg gołymi rękami.

– Co ty wyprawiasz, szalona dziewojo?! Masz! – Siostra, nadal z ręcznikiem na głowie, otworzyła na oścież okno od salonu, rzuciła mi rękawiczki i owiana mroźnym powiewem lodowatego powietrza, cofnęła się w głąb pokoju.

– Wyszusz łeb i chodź tutaj! Tylko załóż czapkę i przynieś z kredensu jakąś flaszkę, bo na trzeźwo tego dnia nie przeżyjemy! – krzyknęłam i podniosłam rzucone w śnieg stare skórzane rękawiczki, które musiały należeć do taty i były na mnie zbyt duże.

– Zaraz przyjdę! – obiecała Ilona, zanim zatrasnęła okno.

Kwadrans później, wspólnymi siłami, powołałyśmy do życia olbrzymiego bałwana, którego Ilona nazwała Władcą Zaśnieżonego Trawnika.

– Jezusie, zaraz padnę! Idę po komórkę, muszę mu zrobić zdjęcie! – Kiedy dorabialiśmy bałwanowi wielkie spiczaste uszy, moja siostra dostała napadu śmiechu.

– Wygląda jak elf, nie jak bałwan – parsknęłam i obie dosłownie kwiczałyśmy z rozbawienia.
– Przynieś jakąś marchew na nos, skoro już idziesz do domu! – rzuciłam w ślad za nią.

– Okay! – odkrzyknęła.

Wróciła może z pięć minut później z dwoma kapslami po coli, drewnianą łyżką i kraciastym kaszkietem.

– To chyba taty. Jak na kogoś, kto nie chce nawet o ojcu rozmawiać, mama wciąż trzyma zaskakująco dużo tych rzeczy...

– Czekaaj, zniszczysz mu uszy! – zaprotestowałam, nie komentując jej uwagi o pozostawionym przez ojca majdanie. – Głowę niech ma odkrytą, zrób mu tylko nos i oczy.

– A usta? Kiedy byliśmy małe, tata robił bałwanom wielką paszczę z węgielków i strasznie się jej bałam, pamiętasz? – przypomniała sobie Ilona.

– Nie, ale ty zawsze byłaś strachliwa.

– I kto to mówi?! To nie ja zmoczyłam materac po obejrzeniu *Akademii pana Kleksa*! – wypomniała mi siostra.

– Przypuszczam, że nie ja jedna zlałam się do łóżka po obejrzeniu *Marszu wilków* – odpowiedziałam, a Ilona rzuciła we mnie śnieżką.

– No dobra, przyznaję, ja też się wtedy cholernie bałam, ale ty byłaś starsza! – parsknęła śmiechem.

– Co wy tu wyprawiacie?! Dorosłe kobity, a bawią się jak dzieci! – Mama zjawiała się za domem z dwoma kubkami parującej herbaty i chociaż oczywiście od razu na nas naskoczyła, w jej oczach zauważyłam rozbawienie.

– Dzięki, mamuś. – Wzięłam od niej kubek i podałam go siostrze. – I nie gniewaj się – dodałam.

Podawała mi drugi kubek i machnęła ręką.

– Nie gniewam się, bo nie ma o co – rzuciła lekkim tonem. – Kończcie te zabawy i chodźcie do domu. Bóg jeden wie, co pomyślą sąsiedzi na widok tej szkarady! Czemu on ma takie spiczaste uszy?

– Nie wiem, mamu. Takie nam wyszły – powiedziałam, a Ilona, krztusząc się ze śmiechu, dodała, że to jest bałwan opętany przez demona i na pewno przyjdzie do nas w nocy.

– I Julka znowu dziś zsika się do łóżka – dodała moja siostra.

Rzuciłam w nią śnieżką i po chwili rozpętała się między nami prawdziwa bitwa.

– Jak dzieci... Zupełnie jak dzieci – powiedziała mama, zanim zostawiła nas same.

Kwadrans później, kiedy spocone i roześmiane, z zaczerwienionymi od mrozu policzkami, wróciliśmy do domu, mama czekała na nas z barszczem.

– Barszcz z uszkami na śniadanie? – zdziwiła się Ilona. – Przecież nie ma jeszcze jedenastej.

– A istnieją jakieś regulacje prawne w tej kwestii? – rzuciła mama i wszystkie trzy w najlepszej zgodzie usiadłyśmy za stołem.

Myłam talerze po barszczu, kiedy odezwał się dzwonek do drzwi. Drgnęłam, wyrwana z zamyślenia, bo zabrzmiał niczym donośny gong i mocno zakłócił ciszę leniwego świątecznego przedpołudnia.

– Otworzę. – Ilona odłożyła trzymaną w rękę książkę i wstała zza masywnego kuchennego stołu, ale mama była szybsza.

– Siedź, to pewnie Ryszard z naprzeciwka – powiedziała i całkiem żwawo jak na swój wiek pognęła w stronę przedpokoju.

Po chwili w korytarzu rozległ się głośny stukot jej obcasów i szcęk otwieranych zamków.

– Słyszałaś? Ryszard z naprzeciwka – szepnęła moja siostra i obie zachichotałyśmy.

– Pewnie znowu jakiś pachnący naftaliną, dobiegający dziewięćdziesiątki absztyfikant, który zaraz będzie całował nas po rękach – dodałam szeptem.

– Pal licha ręce, byle tylko nie zajeżdżał czosnkiem, jak pan Gienio. Pamiętasz, jak on cuchnął? – Ilona wzięła ode mnie ociekający wodą talerz i odłożyła na suszarke. – Chryste! Niekończący się stos garów! Mama powinna w końcu zainwestować w zmywarkę...

– Żartujesz? Kiedy ostatnio jej to zasugerowałam, strzeliła mi gadkę o zasiedlających zmywarki grzybach i niebezpiecznych dla zdrowia mikroorganizmach – powiedziałam, podając siostrze kolejny mokry talerz.

Tymczasem z korytarza dobiegł radosny szczebiot mamy – okazało się, że to nie maminy sąsiad złożył nam niespodziewaną wizytę. Wycierałam ręce w kuchenną ścierkę, kiedy usłyszałam znajomy męski głos.

– To chyba Eryk. – Ilona wytarła wilgotne dłonie o dżinsy, poprawiła wściekle rude włosy i ruszyła w stronę drzwi.

Zawsze się lubili, pomyślałam. Czasem, kiedy jeszcze byliśmy małżeństwem, bywałam nieco zazdrosna o tę ich zażyłość. Kiedy siostra zostawała u nas na noc po jakiejś imprezie to właśnie oni siedzieli w salonie do późna – nad pustą butelką wina, w przytłumionym świetle bocznej lampki, w nieskończoność rozmawiali o książkach, filmach i życiu.

– Cześć, Eryk! To dopiero niespodzianka! – usłyszałam radosny głos siostry. Wyszłam na korytarz, żeby się przywitać z byłym mężem.

– Julia? Nie miałem pojęcia, że cię tu zastanę! Myślałem, że wyjechałaś – powiedział, wyraźnie zaskoczony moim widokiem.

– W przeciwnym wypadku pewnie byś nie wpadł – rzuciłam nieco kąśliwym tonem.

– Julia! – syknęła matka, ale Eryk nie wyglądał na urażonego.

Podszedł, pochylił się i zamknął mnie w swoim niedźwiedzim uścisku.

– Miło was widzieć – powiedział.

Trzymał mnie w objęciach przez dłuższą chwilę. Wdychałam znajomy zapach jego wody kolońskiej, której używał niezmiennie od lat, i tuliłam policzek do szorstkiej wełny jego swetra. Nagle poczułam się niezręcznie.

– Wybacz – odsunęłam się i oparłam o ścianę z założonymi na piersiach rękami, jakbym nagle chciała się odgrodzić od wszystkich kłębiących się we mnie emocji.

– Wchodź, zaraz cię nakarmimy! – Ilona pociągnęła go za rękaw, a mama zaczęła mówić o barszczu, który mu odgrzeje.

Weszłam za nimi do salonu i usiadłam naprzeciwko Eryka. Siwieje na skroniach, pomyślałam zaskoczona, bo jeszcze niedawno w jego gęstych kasztanowych włosach nie było nawet jednej srebrnej nitki.

– Co u was? – zapytał.

– Nic nowego – powiedziała Ilona.

Spojrzał na mnie, lekko przy tym mrużąc duże szaroniebieskie oczy, jak zawsze, kiedy chciał wyciągnąć mnie na spytki. Przeszło mi przez myśl, że czasem Olga patrzy na mnie niemal w taki sam sposób, z lekko zmrużonymi oczami i zaciśniętymi ustami...

– U mnie też nic nowego – rzuciłam, wruszając ramionami. – Praca, dom, czasem jakaś kolacja ze znajomymi... Sporo czytam, zbyt mało się ruszam, standard...

– A nasze dziewczyny? – zainteresował się. – Dzwoniłem dziś rano do Matyldy, ale nie raczyła odebrać, a Olga...

– Matylda jest w Pradze, a Olga na jakichś warsztatach teatralnych – wyjaśniła mu Ilona.

– Szkoda, liczyłem na to, że się dziś spotkamy. Za trzy dni lecę na konferencję, a później dziesięciodniowe szaleństwo na stoku. Tym razem Val Thorens. Konrad namówił mnie na wspólny wyjazd i wybieramy się w dwa samochody z jego starą znajomą i jej młodszą siostrą.

– Dawno się nie połamaleś, co? – mruknęłam, czując ukłucie palącej zazdrości na wzmiankę o kobietach, z którymi mój były mąż wybierał się do Francji.

Było to o tyle dziwne, że przecież od dawna go nie kochałam. A jednak gdzieś w głębi serca pozostał jakiś sentyment. Był w końcu ojcem naszych dziewczynek i pierwszym mężczyzną, z którym pozwoiliłam sobie na coś więcej, niż pospieszne nerwowe macanki w zdezelowanych samochodach, jak to było w przypadku moich licealnych sympatii.

– Od razu myślisz o najgorszym! Czemu, do cholery, miałbym się połamać? Zresztą tym razem to nie będzie twój problem – stwierdził Eryk mało sympatycznym tonem i atmosfera w salonie mocno się zagęściła.

Nie zdążyliśmy sobie jednak skoczyć do gardeł, bo w pokoju pojawiła się mama z porcelanową paterą pełną jabłek, orzechów, kruchych ciastek i czekoladek.

– Częstuj się, synku, a ja już ci grzeję barszcz! – powiedziała.

To „synku” w jej ustach zabrzmiało mi jakoś dziwne sztucznie... Byliśmy przecież z Erykiem ładnych parę lat po rozwodzie, on od dawna nie był jej zięciem, a jednak wciąż zwracała się do niego w ten sposób. Ale może to i ładnie o niej świadczyło? Zawsze go lubiła, a to, że się z nim rozwiodłam, nie zmieniało faktu, że od początku traktowała go jak syna, którego chyba zawsze chciała mieć.

– Wolisz uszka z grzybami czy z mięsem? – zapytała mama.

– Wszystko jedno – odparł Eryk i zasiadł w ulubionym niegdyś fotelu taty, w którym nasz ojciec spędzał długie godziny, czytając powieści szpiegowskie bądź rozwiązując krzyżówki. –

Dobrze wyglądasz. – Były mąż obrzucił mnie uważnym spojrzeniem i zabębnił palcami o poręcz fotela. – Nie mam zbyt wiele czasu, ale chciałbym z tobą pogadać, skoro już na siebie wpadliśmy – dodał.

– Coś się stało? – zapytałam lekko zaniepokojona, bo zazwyczaj taki wstęp do rozmowy nie wróżył niczego dobrego.

– Tak, ale... Wolałbym z tobą pomówić na osobności – Eryk ściszył głos i wymownie zerknął w stronę kuchni, po której kręciły się mama z Iloną.

– Jak chcesz – powiedziałam, siląc się na obojętny ton, jednak niepokój na dobre zagnieździł się w mojej głowie.

O co może chodzić? – zastanawiałam się.

Mama zjawiała się w salonie z wazą pełną barszczu.

– Ilonko, przynieśże ten talerz z uszkami, zanim wystygną! – ponagliła moją siostrę. – A ty też mogłabyś pomóc! – syknęła, posyłając mi gniewne spojrzenie.

– Nie wiedziałam, że trzeba aż trzech kobiet, żeby podać facetowi porcję zupy – odparłam złośliwie.

Chwilę później Eryk zasiadł przy stole, a Ilona przycupnęła na sofie obok mnie.

– Pamiętasz, jak twoja Matylda dała uszka psu? Ile mogła mieć lat? – zapytała.

– Nie wiem, jakieś dwanaście? – uśmiechnęłam się na wspomnienie córki, która nakarmiła naszego owczarka porcją uszek. – Wyjęła je z zamrażarki, odgrzała na parze i podała mu w porcelanowej misce po babci.

– Strasznie się wtedy na nią wściekłaś, a przecież chciała dobrze. Była wigilia i wymyśliła sobie, że pies powinien zjeść to, co my – powiedziała Ilona.

– No i zjadł, a nam zabrakło uszek – przypomniałam sobie.

– Bo zawsze robiłaś ich za mało – wtrąciła się w rozmowę mama, a my z Iloną wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia.

– Twoja komórka dzwoni – wtrącił Eryk znad talerza.

– Cholera, kto to i czego znowu chce? – skrzywiłam się, rozglądając się za telefonem.

– Na komodzie w przedpokoju. – Mama, której nigdy nie umknął najdrobniejszy nawet szczegół, podpowiedziała mi, gdzie szukać, i dołała Erykowi barszczu. – Jedz, synku, bo kto cię lepiej nakarmi?

Wyszłam z pokoju i sięgnęłam po telefon w momencie, w którym przestał dzwonić.

– To Matylda?! – zainteresowała się moja matka.

– Olga – powiedziałam.

Chwilę później wybrałam numer młodszej córki i czekając, aż odbierze, usiadłam w fotelu.

– Cześć, córciu. Co się dzieje? – zapytałam, kiedy w słuchawce usłyszałam krótkie „halo”.

– Nic wesołego – powiedziała moja młodsza latorośl mało radosnym tonem. – Mamuś, mogłabyś po mnie przyjechać?

– Teraz? Dziś? – zdziwiłam się.

– Tak, dziś.

– Ale co się...

– Wolałabym o tym nie gadać przez telefon – weszła mi w słowo córka.

– Olga, ale co się stało? Źle się czujesz? – zaniepokoiłam się, a mama od razu zaczęła się przysłuchiwać rozmowie.

– Dobrze się czuję, tylko... Maminko, wiem, że to kawał drogi, ale chyba nie jestem w stanie zostać tutaj dłużej.

– Pokłóciłaś się z kimś? Ktoś źle cię potraktował? Olga, powiedz, co się dzieje, bo...

– Mamo, po prostu przyjedź po mnie! – krzyknęła moja córka obcym, histerycznym tonem. – I nie martw się, nic mi nie jest – dodała nieco spokojniej.

– Dobrze, zaraz jadę. Przy niewielkim ruchu powinnam być za jakieś trzy godziny – obiecałam.

– Okay, dzięki. I nie wydzwaniał do mnie z drogi, bo mi pada komórka. Będę czekać w pensjonacie, adres wyślę ci esemesem. I pospiesz się, bo... Nieważne – Olga urwała w pół słowa i rozłączyła się, mówiąc szybko: – To pa!

– Co się dzieje? – zainteresowała się moja matka.

– Jadę po Olgę – powiedziałam, a zaskoczony Eryk podniósł głowę znad talerza.

– Teraz? – zdziwił się.

– Tak, teraz! Mamo, pożyczylabyś mi auto? – zapytałam.

– Pożyczyć mogę, nie rozumiem tylko, czemu nagle masz się telepać taki kawał drogi? Najpierw smarkuła wyjeżdża z domu na święta, teraz nagle wszczyna jakiś alarm! Powiedziała chociaż, co się stało? Musisz od razu gnać jej na ratunek? Może czas dorosnąć? Rozpuściłaś ją przeokropnie, biegnie do ciebie z każdym problemem...

– Chyba od tego ma się matkę?! – rzuciłam mało sympatycznym tonem, a Ilona zagryzła wargi, jakby z trudem powstrzymywała jakąś złośliwą uwagę pod adresem naszej rodzicielki.

– Kluczyki są tam, gdzie zawsze. Tylko ciepło się ubierz, to pewnie ze trzy godziny drogi w jedną stronę – powiedziała mama.

– Pojadę z tobą. – Eryk odsunął talerz i wstał zza stołu.

– Nie wspomniałaś przypadkiem, że gdzieś się spieszysz? – zapytałam.

– Jula, w tej sytuacji to już nie ma znaczenia. Ubieraj się, jedziemy – zdecydował mój były mąż.

– Dzięki – powiedziałam, zaskoczona ulgą, jaką odczułam, kiedy zaproponował wspólną podróż.

Cokolwiek się działo, nie będę musiała stawić temu czoła w pojedynkę. A przecież ostatnio każdy rodzinny problem spadał tylko na moje barki.

– Przebiorę się. Daj mi dziesięć minut – poprosiłam.

– Chyba się nie pali? – wtrąciła moja matka wyjątkowo kąśliwym tonem.

Przystanęłam w progu, chcąc jakoś jej się odciąć, ale po chwili namysłu zdecydowałam, że szkoda mi czasu na kolejną słowną utarczkę z nią. Wiedziałam, że ma żal do moich córek za ich nieobecność na wigilii, ale mogłaby sobie darować te ataki na Olgę, pomyślałam, wchodząc do

sypialni.

Kilka minut później, w dżinsach i nowej bluzie, zesłam na dół. Eryk tłumaczył komuś przez telefon, że jednak nie dotrze na obiad.

– Jechać z wami? – zapytała Ilona, kiedy zakładałam kozaki.

– Nie, zostań z mamą. Już i tak jest wściekła, że tyle osób się ewakuowało, zamiast siedzieć z nią przy świątecznym stole – szepnęłam.

– Chryste... Dałabym wszystko, żeby móc przenieść się w czasie – odpowiedziała siostra równie konspiracyjnym szeptem i zerknęła w stronę salonu. – Mama od rana wygląda na rozdrażnioną.

– Jej problem – mruknęłam, zapinając prawy but.

– Jedziemy? – zapytał Eryk i przez pomyłkę podał mi płaszcz Ilony, a ja zdałam sobie sprawę, jak niewiele nas już łączy.

Nie miał nawet pojęcia, w czym na co dzień chodzę...

– To Ilony – powiedziałam.

– Wybacz – mruknął, odwieszając go z powrotem.

Sięgnęłam po swój płaszcz i owinęłam szyję szalikiem.

– Zadzwoń do niej jeszcze raz i spróbuj wyciągnąć, co się stało! Może się okazać, że nic poważnego, a wy zmarnujecie święta na... – wtrąciła się mama.

– Mamo, skoro Olga dzwoniła i prosiła, żebym po nią przyjechała, to jadę! Aż tak ciężko ci zrozumieć, że się o nią martwię?! – wybuchłam, a Eryk otworzył frontowe drzwi i wyszedł na zewnątrz.

– Dziękuję za barszcz – rzucił jeszcze, po czym ruszył w stronę furtki.

– Słyszałeś to?! Rozpuściłam Olgę i jestem złą matką! – dogoniłam go, w biegu zapinając płaszcz.

– Tego nie powiedziała.

– Nie musiała! Można to było wyraźnie wyczytać pomiędzy wierszami! Przysięgam, że czasem mam ochotę zadusić ją gołymi rękami! – syknęłam, idąc za nim przez odśnieżony chodnik.

– Wybacz, tematu twojej szarpaniny z matką ciągnąć nie zamierzam. Wysłuchiwałem tego latami – burknął Eryk. – Ale faktycznie, mogłaby chociaż udawać, że rozumie – przyznał mi rację były mąż.

– Zmieniłeś samochód – powiedziałam, zaskoczona widokiem eleganckiej terenowej mazdy.

– Trafiła się niezła okazja, znajoma sprzedawała po całkiem niezłej cenie, to skorzystałam – Eryk wzruszył ramionami i otworzył mi drzwiczki od strony pasażera. – Wsiadaj.

– Jak myślisz, co się stało? – zapytałam, kiedy już oboje byliśmy w aucie.

– Nie mam pojęcia – powiedział Eryk, wkładając kluczyk do stacyjki.

– Myślisz, że...

– Jula, nie nakręcaj się. Mówi, że wszystko z nią okay, więc pewnie pożarła się z którąś przyjaciółką i nagle zdecydowała, że chce wracać.

- Myślisz, że to takie proste?
- Nic nie myślę. Nie znoszę gdybać! Dotrzemy na miejsce, to się przekonamy.
- Może powinnam jeszcze do niej zadzwonić? Wspomniała, że pada jej telefon, ale...
- Julka, nie panikuj! Cokolwiek się dzieje, Olga sobie poradzi! To mądra dziewczyna – pocieszył mnie były mąż.
- Skoro tak mówisz – westchnęłam ciężko.

O czym chciałeś ze mną porozmawiać? – zapytałam, kiedy wyjechaliśmy z miasteczka.

– Nie wiem, czy to jest dobry moment. – Eryk wyraźnie się zawahał, ale nie zamierzałam ustąpić.

Skoro wspomniał, że chce pogadać, niech mówi! – pomyślałam, tymczasem mój były ściszył radio i na moment oderwał wzrok od szosy.

– Spotykam się z kimś od jakiegoś czasu – zaczął.

– Też mi nowość – parsknęłam. – Odkąd się rozwiędliście, stale masz jakieś panienki. Niech zgadnę – ma dwadzieścia kilka lat, tlenione włosy i opaleniznę rodem z osiedlowego solarium?

– Ma trzydzieści cztery lata, jest brunetką i tak się składa, że jest w ciąży – powiedział Eryk.

– Co? – wykrztusiłam, bo wiadomość o kobiecie, która jest w ciąży z moim byłym mężem kompletnie mnie zaskoczyła. – O czym ty mówisz, do cholery?! Jeszcze niedawno twierdziłeś, że jesteś sam, a teraz...

– Uwierz mi, jestem równie zaskoczony. Nie ukrywam, że nie planowaliśmy dziecka, ale skoro się stało...

– Co to za kobieta? – zapytałam cicho.

– Nie znasz jej.

– A coś więcej? – drążyłam.

– Julka, zdajesz sobie sprawę, że dosłownie na mnie warczysz?! Rozumiem, że możesz być zaskoczona, ale...

– Żebyś wiedział, że jestem kurewsko zaskoczona! Wszystkiego bym się spodziewała, ale nie tego! – krzyknęłam.

– Czemu?! To tylko dziecko, do cholery! Nie napadłem na bank! Gdybyś widziała swój wyraz twarzy! Rozumiem, że możesz mieć żal, w końcu niewiele ci ostatnio o sobie mówiłem, ale nie rób z tego aż takiej afery! Nie jesteśmy ze sobą od lat, a moje dziecko niczego w twoim życiu nie zmieni! To ja będę ojcem, nie ty matką! – rzucił Eryk przez zęby i w samochodzie zapadła cisza.

– Nasze dziewczyny już wiedzą? – zapytałam po dłuższej chwili niezręcznego milczenia pomiędzy nami.

– Nie – burknął.

– Zamierzasz im powiedzieć?

– Oczywiście, że zamierzam im powiedzieć! W końcu będą miały rodzeństwo!

– Masz prawie pięćdziesiątkę. Uważasz, że...

– Jesteś zazdrosna, prawda? Że zaczynam od nowa, podczas gdy ty...

– Co ja?! No powiedz! – krzyknęłam.

– Podczas gdy ty zostałeś sama w naszym dawnym domu i nie wiesz, co ze sobą zrobić – szcęknięła Eryk.

– Nie wiem, co ze sobą zrobić?! Naprawdę masz mnie za jakąś desperatkę, która nie ma już przed sobą żadnych perspektyw?! – wybuchałam.

– Tak właśnie się zachowujesz. Przypuszczałem, że nie będziesz piała z zachwytu, kiedy powiem ci o Jagodzie, ale twoja zazdrość jest porażająca.

– O Jagodzie? – wykrztusiłam, zdając sobie sprawę, że tak ma na imię pracującą w klinice Eryka recepcjonistka.

Nie znałam jej osobiście, ale wiedziałam, jak ma na imię. A teraz dowiedziałam się, że zaszła w ciążę z szefem...

– Co tak patrzysz, Jula? Dodasz pewnie, że to takie banalne?

– Niczego takiego nie powiedziałam!

– Nie musiałaś. Widzę, jak bardzo jesteś zdegustowana. – Eryk znacznie przyspieszył i z zaciśniętymi na kierownicy rękami wpatrywał się w pustą szosę przed nami.

Milczałam, połykając łzy upokorzenia. Wieść o ciąży pracującej dla niego panienci, z którą przespał się pewnie w chwili słabości, była dla mnie trudniejsza do zniesienia niż mogłabym przypuszczać. Ale najgorsza była świadomość tego, że Eryk miał rację – tak, byłam zazdrosna o to, że on, zbliżając się do pięćdziesiątki, mógł zacząć od nowa, podczas gdy ja nie mogłam się odnaleźć w roli kobiety samotnej. I jeszcze ta upiorna myśl, że jakaś znacznie młodsza ode mnie dziewczyna zajmie moje miejsce u jego boku... Tak, po naszym rozwodzie on miewał romanse, ale to zawsze były przelotne, mało znaczące związki. Teraz jednak pojawił się ktoś, kto zostanie matką jego dziecka. Wiedziałam, że nie powinnam tak myśleć. Czułam, że to co najmniej głupie. Byliśmy już kilka lat po rozwodzie, a jednak niechęć, jaką czułam na myśl o Jagodzie, była niemal paląca.

– Muszę się napić kawy – powiedział Eryk, zwalnając przed przydrożnym barem.

Knajpa była rzęsiście oświetlona, nad wejściem migąły kolorowe lampki, jednak na drzwiach wisiała kartka „nieczynne”.

– Kurwa, zamknięte! Kto wymyślił całe te cholerne święta? – zaklął mój były, kiedy zajechaliśmy na pusty parking. – Muszę się przewietrzyć! Boli mnie żołądek – dodał, odpinając pasy.

Kiedy wysiadł, oparłam głowę o zagłówek i rozmasowałam skronie, które pulsowały, jakby zbliżała się migrena. Moje córki będą miały brata lub siostrę, pomyślałam. Ale czy przy takiej kolosalnej różnicy wieku kiedykolwiek uda im się nawiązać bliski kontakt? I czy akurat teraz miało to jakiegokolwiek znaczenie? – zastanawiałam się, obserwując spacerującego nieopodal samochodu Eryka. Chwilę później złapałam za klamkę, wysiadłam, założyłam kurtkę i podeszłam do byłego męża.

– Przepraszam cię, naprawdę fatalnie zareagowałam – powiedziałam cicho.

– Bywa.

– Dziewczyny na pewno się ucieszą – zapewniłam go.

– Dziewczyny są dorosłe i mają swoje własne życie – odburknął.

– Co nie znaczy, że nie potrzebują ojca!

– A czy zamierzam przestać nim być?! Jeśli boisz się o finanse, to bez obaw! Nadal stać mnie

na to, żeby od czasu do czasu kupić coś ładnego obu naszym córkom.

– Nie o tym mówię, Eryk!

– Nie? Bo zabrzmiało to tak, jakbyś obawiała się o swoją jedyną słuszną pozycję matki moich dzieci! Tyle że nasze córki są już dobrze po dwudziestce, gdybyś nie pamiętała!

– Jakie to ma znacznie?! – zachnęłam się.

– Posłuchaj, zmęczyła mnie ta rozmowa!

– I dobrze, bo nie mam ci nic więcej do powiedzenia!

– Akurat – roześmiał się.

– Jedźmy już – poprosiłam.

– Jasne – mruknął i nie czekając na mnie, szybkim krokiem ruszył w stronę terenówki.

Kolejne kilometry pokonywaliśmy w milczeniu. Eryk prowadził całkowicie skupiony na drodze, z zaciśniętymi na kierownicy palcami, ja przyglądałam się zaśnieżonym polom, które migały za oknem rozpędzonego samochodu. Kochasz ją, czy to tylko przelotna znajomość zakończona klasyczną wpadką? – miałam ochotę zapytać, ale nie odważyłam się. Nie moja sprawa, co do niej czuje.

– Sprawdź adres, który ci podała. Nie mam ochoty przez pół dnia krążyć po Olsztynie – odezwał się w końcu.

– To gdzieś na obrzeżach – powiedziałam, wyjmując z torebki komórkę.

Godzinę później zajechaliśmy przed niewielki świeżo otynkowany pensjonat, w którym zatrzymała się nasza córka.

– Mam iść z tobą czy lepiej, żebym został w aucie? – zawahał się Eryk.

– Chodź, Olga na pewno się ucieszy, kiedy cię zobaczy – powiedziałam.

Zanim wysiedliśmy, wybrałam jej numer.

– Mysza, zejdz na dół, już jesteście – poprosiłam, kiedy odebrała.

Na zewnątrz było przenikliwie zimno. Założyłam kaptur i podeszłam do furki. Była lekko uchylona, zachęcała do wejścia. Pchnęłam ją i po chwili byłam na werandzie. Eryk szedł tuż za mną, był wyjątkowo małomówny. Olga uchyliła frontowe drzwi pensjonatu i pomachała mi lewą ręką. Prawą miała w gipsie...

– Tylko nie lamentuj, maminko! – rzuciła, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. – Po prostu stąd jedźmy. Musisz mi pomóc zapiąć tę cholerną walizkę i możemy się wynosić.

– Olga, ale co się...

– Mamo, jedźmy stąd! Później ci powiem – weszła mi w słowo córka. – Cześć, tato – dodała znacznie cieplejszym tonem i chociaż ze mną się nie przywitała, do Eryka się przytuliła, może dlatego, że widywała go ostatnio znacznie rzadziej niż mnie?

– Jak to się stało? Poślizgnęłaś się? – zapytałam na piętrze, kiedy w pośpiechu omiatałam wzrokiem dwuosobowy pokój. – Z kim tu mieszkasz? – zapytałam, przyglądając się wąskiemu łóżku, na którym leżał stos kolorowych dziewczęcych ciuchów.

– Z Kingą – mruknęła moja córka. – Cholera, nie mogę nawet włożyć swetra!

– Zaraz ci pomogę, czekaj.

- Nie dasz rady, rękaw jest za wąski.
- To narzuć na siebie kurtkę, opatul się szalem i jedziemy. Pokój masz opłacony?
- Owszem i to słono – skrzywiła się moja córka.
- Ta dziewczyna, Kinga... Pokłóciłyście się?
- Można tak powiedzieć – mruknęła Olga. – Założysz mi buty?
- Jasne – przykucnęłam obok siedzącej na łóżku córki i założyłam jej kozaki. – Co ci powiedzieli na pogotowiu? – zapytałam, zerkając na jej prawą rękę.
- Złamanie kości nadgarstka, wygoi się. Lekarz był naprawdę cholernie przystojny, a pielęgniarka kazała mi jeść dużo galaretki – rzuciła Olga zaskakująco lekkim tonem.
- Czytałam ostatnio, że to wcale nie jest aż takie korzystne. Żelatyna może znacznie upośledzać wchłanianie wapnia – powiedziałam.
- Mamo, serio?! Teraz chcę tylko stąd wyjść i wrócić do domu! Co upośledza żelatyna, nie bardzo mnie w tym momencie obchodzi! – zdenerwowała się moja córka.
- Zakładałam jej drugi but, kiedy do pokoju weszła niska jasnowłosa dziewczyna w getrach i kolorowej tunice.
- Sorry, myślałam, że już wyjechałaś – rzuciła mało sympatycznym tonem, po czym, kompletnie mnie ignorując, wyslizgnęła się na zewnątrz.
- Rozumiem, że współlokatorka nie jest zachwycona twoim widokiem?
- Olga nie odpowiedziała.
- Zacisnęła usta i wbiła wzrok w pomalowaną na jasną zieleń ścianę.
- Masz wszystko? Mam zajrzeć do łazienki? – zapytałam, narzucając jej na ramiona puchową kurtkę. – Czekaj, jeszcze szalik.
- Walizkę zapięłam chwilę później i obie wyszłyśmy z pokoju.
- Co tak długo? – Eryk, który wolał poczekać na zewnątrz, kręcił się przy samochodzie ze swoją komórką w ręku.
- Już jesteśmy – mruknęłam. – Wolisz jechać z przodu? Może będzie ci wygodniej? – zapytałam córkę.
- Z tyłu – zdecydowała. – Przepraszam, że do ciebie zadzwoniłam, maminko. Nie miałam kasy, żeby wziąć taryfę na dworzec, poza tym i tak niemal nic dzisiaj nie kursuje... No i w dodatku zapomniałam cholernej ładowarki, więc porażka do kwadratu...
- Nic się nie stało – mruknął Eryk, przekręcając kluczyk w stacyjce.
- Poradziłaś sobie z zapięciem pasów? – upewniłam się.
- Tak – powiedziała Olga i na dobre zamilkła.
- Przez całą drogę powrotną do domu zamieniłam może kilka zdań z byłym mężem, za to nasza córka uparcie milczała.
- Gdzie was podrzucić? Do ciebie? Czy wolisz jechać do matki? – zapytał Eryk, kiedy wjeżdżaliśmy do naszego miasteczka.
- Chcesz dziś spać u babci? Przyjechała Ilona, może...

– Jedźmy do mnie – zdecydowała Olga.

– Chyba żartujesz?! A kto się tobą zajmie?! Masz prawą rękę w gipsie, a twoje koleżanki wyjechały na święta. Nie sądzisz chyba, że...

– Dobrze, okay! Jedźmy do ciebie! Na spanie u babci nie mam najmniejszej ochoty. Wyobrażasz sobie te jej lamenty na widok mojego gipsu? – złościła się Olga.

– Powiedziała ci, co się stało? – zapytał Eryk, kiedy dotarliśmy przed moją kamienicę, a córka, nie czekając na nas, wysiadła z samochodu i poszła w stronę bramy.

– Nie. Zadzwoń do ciebie – obiecałam.

– Ja zadzwonię – Eryk rozpiął mi pasy i zerknął w stronę bramy do mojej kamienicy. – Idź, zanim zmarznie.

– Dzięki. Doceniam, że dziś ze mną pojechałeś. I jeszcze raz cię przeproszam. Wiesz za co – rzuciłam z ręką na klamce.

Eryk skinął głową i pomachał naszej stojącej przy bramie córce. Wysiadłam na mróz i nie oglądając się za siebie, ruszyłam w stronę Olgi.

– Pomóc ci z czymś? – zapytałam, kiedy już weszliśmy do mieszkania.

– Nie. Chcę się przespać, bo pół nocy spędziłam w izbie przyjęć.

– Pościelę ci. – Pchnęłam drzwi od dawnego pokoju córek i zapaliłam górne światło.

– Dzięki, mamuś... – Olga oparła się framugę i obserwowała, jak rozściełam wyjęte z komody prześcieradło. – Przypomniałam sobie właśnie, jak bardzo nie znosiłam mieszkać w jednym pokoju z Matyldą. Grzebała w moich rzeczach i stale nie miała humoru. – Skrzywiła się.

– Z tego, co pamiętam, miewałyście również lepsze momenty. – Uśmiechnęłam się pod nosem.

– Pewnie tak. – Olga lekko wzruszyła ramionami i nie dodała już niczego więcej.

– Zjesz coś? – zapytałam.

– Nie. Chcę się przespać.

– To może chociaż...

– Mamo, chcę się przespać! – powtórzyła moja córka z naciskiem, a ja nagle poczułam się dokładnie tak nachalna, jak moja matka...

– Okay, odpocznij – powiedziałam i zostawiłam ją samą.

W kuchni, siedząc nad zaparzoną herbatą, myślałam o Eryku. Jeszcze jakieś dwa, trzy lata temu miałam nadzieję, że kiedyś się zejdziemy, ale nagle jasno i wyraźnie zrozumiałam, że to się już nigdy nie stanie. Będzie miał dziecko z inną, nie ma odwrotu. Co gorsza, myśl, że odciął się ode mnie na dobre, sprawiła, że zachciało mi się płakać. Kilka godzin wcześniej byłam pewna, że już go nie kocham, teraz nagle zaczęłam myśleć o naszych wspólnych dobrych latach pod tym dachem. Co się z nami stało? Czemu właściwie runęło to, co wspólnymi siłami wznosiliśmy? I dlaczego tak bardzo boli mnie myśl o ciąży jego dziewczyny? Czuję się stara? Niepotrzebna? Upokorzona? – zastanawiałam się.

Moja komórka odezwała się, kiedy dopijałam herbatę.

– Mogłabyś chociaż zadzwonić i powiedzieć, czy wszystko w porządku! – usłyszałam poirytowany głos matki.

– Przepraszam, nie pomyślałam...

– Nie pomyślałaś, a ja odchodzę od zmysłów! Co się właściwie stało?! Czemu Olga...

– Mamo, nie wiem!

– Jak to nie wiesz? Przecież powinnaś...

– Nie wiem, co się stało – powtórzyłam zmęczonym głosem, a matka przeciągle westchnęła w słuchawkę.

– W innych rodzinach ludzie ze sobą rozmawiają, a u nas...

– Zadzwonię do ciebie jutro, okay? Może nawet wpadniemy na obiad – obiecałam.

– Oczywiście że wpadniecie na obiad! Przecież same z Iloną tego wszystkiego nie zjemy! – ofuknęła mnie. – Bądźcie koło czternastej – dodała nieznoszącym sprzeciwu tonem i zanim zdążyłam coś odpowiedzieć, przerwała połączenie.

Odstawiłam kubek do zlewu i zaszyłam się w sypialni, bo nagle poczułam się śmiertelnie wręcz zmęczona. Na łóżko padłam w ubraniu, wtuliłam policzek w poduszkę i niemal od razu zasnęłam.

Obudziła mnie córka.

– Mamuś, wstawaj. Ciocia Ilona przyszła.

Usiadłam i strząsając z siebie resztkę snu, zapytałam, która godzina.

– Parę minut przed dwudziestą pierwszą – powiedziała Olga.

– Już do was idę – obiecałam.

Kiedy weszłam do dużego pokoju, moja siostra przeglądała jakiś skandynawski kryminał, który leżał na wierzchu.

– Wybacz najście. Pokłóciłam się z matką – rzuciła na mój widok.

– Rozumiem, że śpiesz dzisiaj u mnie? – uśmiechnęłam się.

– Jeśli mogę.

– Fajnie! – Olga zapaliła choinkowe światełka i usiadła na sofie.

– Zrobię jakąś kolację – zdecydowałam.

– Pomogę ci – powiedziała moja siostra.

– Mamuś, podaj mi pilota! – poprosiła córka.

– O co wam poszło? – zapytałam siostrę, kiedy już we dwie zamknęłyśmy się w mojej kuchni.

– O to, co zawsze. Matka zaczęła głądzić, że obie jak najszybciej powinnyśmy sobie kogoś znaleźć, ja wpałam w szal i od słowa do słowa zaczęłyśmy na siebie wrzeszczeć. Wydarłam się na nią tak, że aż mi głupio, ale czy ona nie potrafi zrozumieć, że obie od dawna jesteśmy dorosłe? I jeszcze te jej ciągle teksty: „Poszukaj sobie kogoś, nie możesz ciągle być sama!”. Jakby fajnych facetów znajdowało się na ulicy! – skrzywiła się Ilona.

– Na mnie ten temat nie robi już chyba większego wrażenia – powiedziałam, wzruszając

ramionami. – Może dlatego, że wysłuchuję tego wszystkiego niemal na co dzień...

– Podziwiam cię, Jula. Ja bym chyba zwariowała, gdybym miała ją tak blisko – wzdrygnęła się Ilona. – Kocham ją, wiadomo, ale zawsze wolałam mieszkać gdzieś indziej, daleko od niej.

– Nie zawsze jest aż tak męcząca. Ostatnio nawet lepiej się dogadujemy – powiedziałam, wyjmując z kredensu salaterkę. – Podasz mi słój z sałatką? Wolisz pizzę, czy szybkie spaghetti? Nie mam zbyt wiele do jedzenia, wszystko zabrałam do mamy.

– No, a jutro jeszcze ten obiad u niej... – moja siostra nie wyglądała na zachwyconą wizją świątecznego posiłku w babskim gronie.

– Przeżyjemy. Zresztą idę o zakład, że jutro nasza ukochana matka całą swoją uwagę skupi na nieszczęsnej Oldze. Zdezerterowała w końcu z wigilii, w dodatku wróciła w gipsie, więc pewnie jej się dostanie – szepnęłam i obie parsknęłyśmy śmiechem.

– Już jej współczuję – powiedziała Ilona. – Chcesz trochę wina?

– Chcę dużo wina i chrzanić wizję kolejnego kaca. Kieliszki są w kredensie.

– Wiem. Nie pierwszy raz u ciebie piję. – Siostra stanęła na palcach i sięgnęła na najwyższą półkę.

– Hej, ja też chcę wina! – Olga zajrzała do kuchni chwilę później i wyjęła z kredensu trzeci kieliszek.

– Nie, nie, kochanie. Po pierwsze, masz rękę w gipsie, a po drugie przynajmniej jedna z nas nie powinna mieć kaca podczas jutrzejszego starcia – stwierdziłam filozoficznie, ale Olga złapała już za butelkę.

– Otwórz – poprosiła Ilonę. – Parę łyków mnie nie zabije.

– No więc, nasze zdrowie, dziewczęta. I niech już będzie po świętach – wzniosła toast moja siostra, która imponująco szybko uporała się z korkiem i rozlała wino do kieliszków.

– Jak myślicie, bardzo mi się jutro dostanie od babci? – zapytała Olga, przysiadając na kuchennym taborecie.

– Podejrzewamy, że bardzo – rzuciłam rozbawionym tonem.

– Podejrzewamy nawet, że to będą pierwsze od lat święta, podczas których nasza matka skupi się na kimś innym, a nie na nas – zażartowała moja siostra, a ja wymownie się skrzywiłam.

– Nie przesadzaj z tym optymizmem. Swoje zdążyliśmy już przecież usłyszeć.

– Babcia zawsze była taka despotyczna, czy zmieniła się na starość? – zapytała Olga.

– Uwierz mi, zawsze! – Ilona lekko stuknęła kieliszkiem o brzeg kieliszka mojej córki i dodała, że to, co przeżyliśmy jako nastolatki, nadaje się na scenariusz mocnego thrillera. – Pamiętasz, jak poszła do domu mojego pierwszego chłopaka i powiedziała mu, że nie jest dla mnie odpowiedni? – przypomniała sobie moja siostra. – Wygarnęła mu to prosto w twarz, przy jego rodzicach! Byłam w nim po uszy zakochana, ale po tym incydencie Tomasz nie chciał mnie już znać...

– Zagrywka typowa dla niej. Mnie też zawsze usiłowała dobierać znajomych wedle własnego widzimisię.

– Ale przypał – skrzywiła się Olga.

– Przypał to mało powiedziane. Całuj matkę po rękach, bo jak widzisz, mogłaś trafić gorzej. –

Ilona pocałowała moją siedzącą na taborecie córkę w czubek głowy i zapytała, czy mogłybyśmy później coś obejrzeć.

– Jasne! Zaraz znajdę jakiś dobry film! – ożywiła się. – Maminko, włączysz laptop?

– Włączę. Tylko daj nam jakiś kwadrans, okay? Zrobimy coś do jedzenia i do ciebie dołączymy – obiecałam.

– Dobra. Z tym że kwadrans i ani minuty dłużej. – Córka dopiła swoje wino i zostawiła nas same.

– Popatrz, popatrz, jaka precyzyjna – powiedziałam zadziwiona.

– Może ma to po Eryku? U niego zawsze wszystko musiało być co do minuty – zastanawiała się moja siostra.

– Może. Szkoda tylko, że nie odziedziczyła po nim zamiłowania do prasowania. – To co? Pizza czy spaghetti?

– Zróbmy jakiś szybki makaron. – Siostra wyjęła z lodówki słoik z resztką przecieru i podała mi kawałek pora. – Pokroić?

– Pokrój. Ja utrę ser.

– Olga z nami zje?

– Pewnie tak – powiedziałam. – Czekaj, włączę jej ten laptop, zanim zacznie mnie wołać – dodałam.

– Kurwa, jak ja nie mam ochoty na tę jutrzejszą wizytę u matki – zaklęła Ilona, kiedy wróciłam do kuchni.

– Ja też nie, ale co zrobisz? Przecież nie wyłączymy telefonów i nie zaszyjemy się w mieszkaniu...

– Musiałybyśmy chyba siedzieć tutaj po ciemku, bo znając mamę, przyjechałaby nas szukać – powiedziała Ilona rozbawionym głosem.

– Znając ją, waliłaby w drzwi dopóty, dopóki bym jej nie wpuściła – parsknęłam śmiechem. – Masz, napij się jeszcze – dolałam siostrze wina, a i sama pociągnęłam kilka solidnych łyków.

Widać w te święta jest mi pisany nieustanny kac, pomyślałam, zabierając się za tarcie ostatniego kawałka podeschniętego żółtego sera.

– Mamo, babcia dzwoni! – krzyknęła Olga zza kuchennych drzwi. – Na twoją komórkę! – dodała.

– Odbierz i powiedz, że porwało nas UFO! – krzyknęła Ilona.

– No nie! Chyba tylko wy dwie potraficie się upić kilkoma łykami byle wina – zawołała moja córka, zjawiając się w kuchni. – Babcia dzwoniła już trzy razy – dodała, kładąc na stole moją komórkę, którą chwilę później wyłączyłam.

– Dobranoc, mamusiu – powiedziałam, a Ilona rozlała nam do kieliszków resztkę wina i zabrała się za krojenie pora.

– A w kwestii tego wspólnego seansu, potrzebujemy co najmniej dwudziestu pięciu minut – rzuciłam w ślad za wychodzącą z kuchni córką.

– Tak podejrzewałam – powiedziała Olga, zanim zamknęła za sobą drzwi.

- Tak podejrzewała – powtórzyła Ilona i obie dosłownie zarżałyśmy.
- Ty, my chyba naprawdę jesteście pijane – powiedziałam, otwierając przecier.
- Nie jesteście pijane! Jesteście lekko znieczulone – oceniła sytuację Ilona.
- Alkoholiczki! – rzuciła zza drzwi Olga, a my parsknęłyśmy śmiechem.
- Słyszałaś smarkulę? Dziękuj Bogu na kolanach, że nie masz dzieci. – Wymieniłyśmy rozbawione spojrzenia. – Słuchaj, może jednak powinnam do niej oddzwonić? A jeśli coś się stało? – zapytałam, zerkając na wyłączoną komórkę, a Ilona bez słowa złapała za mój telefon i zamknęła go w kuchennej szufladzie. – Okay, zrozumiałam. Nie dzwonię – dodałam i zabrałyśmy się za przygotowanie spaghetti ze znalezionych w lodówce resztek.

Powinłam jeszcze raz przeprosić Eryka, pomyślałam rano, myjąc zęby przed lustrem w łazience. Wieść o ciąży jego dziewczyny była dla mnie sporym zaskoczeniem, jednak moja reakcja okazała się mocno przesadzona i zwyczajnie niemiła. Teraz, dzień po moim zbyt emocjonalnym wybuchu, czułam się z tym wszystkim naprawdę paskudnie. Zadzwońię do niego, zdecydowałam, przepłukując usta płynem. Kiedy wychodziłam z łazienki, stwierdziłam, że Olga musiała już wstać – drzwi od jej pokoju były uchylone, a w kuchni szumiał czajnik.

– Cześć, mysza! Nie możesz spać? – zapytałam.

Podniosła głowę znad laptopa i lekko się skrzywiła.

– Sorry, że włączyłam twój komputer, ale przynajmniej dziś sama sobie z nim poradziłam. Czytam o złamaniach. Piszą, że spod gipsu będzie cuchnąć i mam tego cholerstwa nie moczyć.

– Oczywiście, że nie możesz moczyć. Nie powiedzieli ci tego w szpitalu? – zdziwiłam się.

– Coś tam wspomnieli – mruknęła Olga. – Cholera, nie mogę nawet klikać!

– Córciu, rozumiem, że to nie jest komfortowa sytuacja, ale jakoś to przeżyjesz – powiedziałam, siadając naprzeciwko niej za kuchennym stołem. – Twój ojciec będzie miał dziecko – dodałam, zanim w ogóle zastanowiłam się, co mówię.

– Serio? – Olga zrobiła okrągłe ze zdziwienia oczy i oderwała wzrok od monitora. – A z kim, jeśli można wiedzieć? Bo ostatnio nie raczył mi nawet wspomnieć, że kogoś ma...

– To jest bardzo dobre pytanie – parsknęłam.

– Jesteś na niego wściekła? – zainteresowała się Olga.

– Powiedzmy, że jestem zaskoczona.

– Wściekła też, przecież widziałam! To dlatego wczoraj w aucie było między wami niemal lodowato

– Nie wiem, czy „wściekła” to odpowiednie słowo. Ale przyznaję, że mam wyjątkowo mieszane uczucia. Z jednej strony życzę mu wszystkiego dobrego. Z drugiej czuję się zepchnięta na boczny tor, co jest o tyle idiotyczne, że przecież rozstaliśmy się ładnych kilka lat temu – rzuciłam z zaskakującą szczerością.

– Moim zdaniem powinnaś się od tego wszystkiego odciąć. Wiesz, tak emocjonalnie. Zająć się sobą, patrzeć tylko w przyszłość. Teraz jest twój czas, maminko! Odchowaaś dwa naprawdę upiorne bachory, więc zacznij cieszyć się życiem – rzuciła moja córka żartobliwym tonem.

– Dobrze, upiorny bachorze. Co zjesz na śniadanie? – zapytałam.

– Płatki z mlekiem – zażyczyła sobie.

– Obawiam się, że nie mam mleka.

– To poproszę o herbatniki. Ale zrobisz mi kisiel – zarządziła Olga.

– Zrobię – uśmiechnęłam się do niej.

– Ciotka Ilona strasznie chrapie – szepnęła moja córka, kiedy szukałam w szafce malinowego kisielu, który upchnęłam pod kilkoma opakowaniami budyniu. – Wstałam w nocy, żeby się

napić, a ona rzeziła jak zarzynana...

– Olga! – syknęłam, jednak mina córki sprawiła, że wybuchłam śmiechem. – A narzekała, że jej facet chrapie – dodałam szeptem.

– Od kiedy ciocia Ilona ma faceta? – zdziwiła się młoda.

– Miała – sprecyzowałam. – Ale tego ode mnie nie słyszałaś!

Kilka minut później, stawiając przed córką kubek z gorącym kisielem, zapytałam, co się właściwie stało w Olsztynie.

– Wiesz, że wcześniej czy później to z ciebie wyciągnę, prawda? – powiedziałam, podsuwając w stronę córki talerz pełen zbożowych herbatników.

– No jasne. Twoje metody śledcze są mi już dobrze znane – westchnęła córka z pełnymi ustami.

– Więc?

– Powiedzmy, że się z kimś pobiłam. Jak bardzo byłabyś zszokowana? – Olga spojrzała mi prosto w oczy. – Powiedzmy, że stanęłam w czyjejs obronie.

– A konkretnie? Co się stało? – zapytałam, zaciskając palce na jej wolnej od gipsu dłoni.

– Konkretnie obie byłyśmy dość mocno napite...

– Ty i ta dziewczyna, którą widziałam w Olsztynie?

– Nie. Ona też tam była, ale pobiłam się z Agatą – powiedziała moja córka.

– Chryste, jak to brzmi... Nigdy w szkole nie było z tobą żadnych problemów, a teraz wdajesz się w bójkę? – pokręciłam głową z niedowierzaniem.

– Obraziła mnie, mamó! Powiedziała coś tak ohydneho, że chce mi się rzygać na samo wspomnienie! Zresztą nie chciałam jej uderzyć. Pchnęłam ją tylko, ale ona wpadła w szal i rzuciła się na mnie z pazurami, a zanim rozdzielił nas jej facet, ja rozwaliłam jej nos, a ona popchnęła mnie tak, że upadłam i złamałam rękę.

– Zanim rozdzielił was jej facet? O niego poszło? Kto to jest?

– Zimorodek, wspomniałam ci o nim. Ma na imię Krzysztof i to on organizował te warsztaty. Swoją drogą ma mi ponoć oddać parę stówek, co jest miłe z jego strony.

– Dobrze, ale o co wam poszło? Ty pchnęłaś ją, ona ciebie? Co takiego powiedziała, że...

– Piliśmy, okay? Sporo. Zimorodek tkwił w kącie pokoju i brzdąkał na gitarze, my gadałyśmy o facetach. I nagle Agata zapytała, czy podoba mi się Marcin, nasz wspólny znajomy. Powiedziałam, że to fajny koleś, ale kompletnie nie mój typ. Wtedy zaczęła nawijać o Adamie. Że jest niezły i takie tam. No to przyznałam, że też nie mój typ, a ona krzywo się uśmiechnęła i zapytała, czy w takim razie lecę może na czarnuchów, jak moja siostra. Tak po prostu, z uśmiezkiem przyklejonym do ust rzuciła, że pewnie lubię wielkie murzyńskie pytongi, a wszyscy parsknęli śmiechem. Wtedy ją pchnęłam i wzięłyśmy się za łby. Gdyby obraziła tylko mnie, może jakoś bym to przełknęła, ale przecież w pewnym sensie zaatakowała też Matyldę! Wyobrażasz sobie, mamó?! Jak można mówić takie rzeczy?! W dodatku nikt nie stanął po mojej stronie! Nikt! Najpierw wszyscy uważali, że to takie cholernie śmieszne, a później, kiedy już się pobiliśmy, Kinga pognała z Agatą do łazienki, żeby pomóc jej zatamować krew z nosa, a Zimorodek powiedział, że zachowałam się jak pieprznietta. Wyłam z bólu, ale mieli to gdzieś!

Do szpitala zawiózł mnie mąż właścicielki pensjonatu, bo moi drodzy znajomi zamknęli się w drugim z wynajętych przez nas pokoi i totalnie mnie olali. A w nocy, kiedy emocje już przecież opadły, nikt nawet do mnie nie zajrzał, żeby zapytać, czy czegoś mi nie trzeba, chociaż miałam rękę w gipsie i byłam zdana tylko na siebie! No, ale przynajmniej wiem, czego się mogę po nich spodziewać... Mamo, powiedz, ale tak szczerze, czy zareagowałam przesadnie? – zapytała Olga cicho.

– Nie wiem... Trudno mi ocenić, skoro mnie tam nie było. Na pewno obu wam puściły nerwy. Jej uwaga była zenująca, ty straciłaś nad sobą panowanie... Rozkwaśliłaś jej nos, ona złamała ci rękę...

– Babcia zawsze powtarza, że Matylda nie powinna się wiązać z Brianem.

– Ale chyba nie uważasz, że ma rację? – zdziwiłam się. – Wiesz, że twoja babcia ma dość dyskusyjne poglądy, prawda?

– Nie. Jasne, że nie ma racji. Kochają się, dobrze im razem. A czy on jest czarny, fioletowy, czy łaciaty, nikomu nic do tego! Mamuś, ale nie mów nikomu o tym, dobrze? Gdyby Matylda się dowiedziała... Powiemy, że spadłam ze schodów, okay?

– Nie powiem nikomu – obiecałam.

– Tacie też!

– Tacie też – powtórzyłam.

– To z kim on będzie miał to dziecko? – zapytała Olga.

– Ze swoją recepcjonistką – mruknęłam, a moja córka parsknęła śmiechem.

– Z tą, co to sobie co chwila zęby wybiela?

– Znasz ją? – zdziwiłam się.

– Z widzenia. W końcu siedzi tam niemal zawsze, kiedy wpadam do jego gabinetu. Kurczę, będę dwadzieścia kilka lat starsza od mojej siostry lub brata! Chyba potrzebuję terapii, bo zafundowaliście mi niezłą traumę – zażartowała. – Ja skończę czterdzieści parę lat, a to smarkate będzie dopiero na uczelni...

– To akurat najmniejszy problem – powiedziałam.

– A największy to?

– Moja reakcja, szczerze mówiąc. Zareagowałam naprawdę histerycznie – przyznałam. – Eryk wpadł do mojej matki, zjadł barszcz, opowiedział o swoich narciarskich planach, ale nic nie wskazywało na to, że wyjedzie z czymś takim. Wręcz przeciwnie, na narty wybiera się ponoć bez niej i słowem nie wspomniął, że kogoś ma...

– Trudno, żeby ona szusowała, będąc w pierwszych miesiącach ciąży – uśmiechnęła się krzywo Olga.

– Tak, ale może powinien sobie ten wyjazd darować w takim razie?

– Mamo, ale co nam do tego? Chce, niech jedzie.

– Nie o to chodzi! Mówię tylko... – urwałam w pół zdania, bo z pokoju, szumnie niegdyś nazywanego przez Eryka gabinetem, wyszła moja zaspana siostra.

– Chryste, jak się nie wyspałam – rzuciła, kiedy weszła do kuchni.

- Kawy? I od razu mówię, że nie mam już mleka.
 - Sama sobie zrobię. – Ilona sięgnęła po kubek i nastawiła czajnik. – O czym gadacie?
 - O czarnoskórych kochankach – palnęła moja córka, a Ilona parsknęła śmiechem.
 - No proszę. A ja, głupia, wyleguję się do późna – rzuciła rozbawionym tonem.
 - Jedziemy dziś do babci? – zapytała Olga.
 - Tak – powiedziałam.
 - Nie – mruknęła Ilona.
 - Zaprosiła nas na obiad, powinniśmy...
 - Julka, ja nie jadę! – zarzekła się moja siostra. – Zmieniłam zdanie, chrzanię to!
 - Rób, co chcesz. My z Olgą...
 - Chwila, moment! Ja jestem ranna i nie mam ochoty wychodzić z domu! – zaprotestowała moja córka.
 - Dziewczyny, nie pojedę do niej sama! – zachnęłam się.
 - A czemuż to? – zdziwiła się Ilona. – Mamusia cię nakarmi, utuli, wyswata!
 - Tylko ładnie się ubierz, bo u babci może czekać jakaś testosteronowa pułapka – dorzuciła moja córka.
 - Świnie z was! – roześmiałam się, a córka przesłała mi w powietrzu całusa.
 - Też cię kocham – szepnęła.
 - Sama nie jadę! – powtórzyłam.
- Przez cztery kolejne godziny obie upierały się, że nie mają ochoty na wyjście z domu, ale kiedy włożyłam płaszcz, także zaczęły się zabierać do wyjścia.
- Przeżyłaś w te święta zbyt wiele traum, żebym miała sumienie wpuścić cię samą w sieć pajęczycy – powiedziała Olga, ściągając z wieszaka swoją kurtkę.
 - Dzięki, córeńko. Doceniam gest. – Uśmiechnęłam się do niej, a Ilona przykucnęła i zaczęła zakładać mojej córce buty.
 - Słuchaj, Lonka, jeśli aż tak nie masz ochoty na ten obiad, to zostań. Włączę ci jakiś film albo...
 - Pojadę – weszła mi w słowo siostra. – Pojadę, zjem ten obiad, wysłucham kolejnych złotych porad mamusi, a jutro wsiądę w pociąg i wrócę do siebie.
 - Babcia ostatnio narzekała, że mieszkasz za daleko – palnęła Olga, usiłując założyć szal. – Cholera, czemu wszystko jest takie trudne z tym przeklętym gipsem?!
 - O, twoja babcia lubi mieć nas wszystkie blisko. Wiadomo. Komu ma udzielać cennych życiowych rad, skoro nie ma widowni? – zażartowałam, sięgając po klucze. – Jedziemy?
- Czekałyśmy na taksówkę, kiedy w torebce rozdzwoniła się moja komórka. Pewna, że to matka, nie zamierzałam odbierać. Byłyśmy w końcu w drodze, a jej ponaglenia niczego nie ułatwią.
- Okazało się jednak, że dzwoni Eryk.
- Słuchaj, tak sobie pomyślałem, że jakoś trzeba tę sytuację rozwiązać... Może byśmy się

spotkali? Ty, ja, nasze dziewczynki, Jagoda. Jakoś w Nowym Roku, po moim powrocie z nart. Zjedlibyśmy dobrą kolację, mógłbym...

– Jasne, chętnie – weszłam mu w słowo. – Powiedziałam już Oldze – dodałam.

– O, już? – Erykowi najwyraźniej nie było to do końca w smak, ale nic nie powiedział.

– Słuchaj, muszę kończyć. Jedziemy do mojej matki.

– Okay, trzymajcie się w takim razie – mój były mąż, konkretny jak zawsze, szybko się ze mną pożegnał. Schowałam telefon do torebki.

W taksówce Olga zapytała, czy powinna zadzwonić do ojca z gratulacjami.

– Chyba że oficjalnie jeszcze o niczym nie wiem?

– Oficjalnie już o wszystkim wiesz – powiedziałam.

– Aha, okay. To wyjmij z mojej torebki mój telefon i przytrzymaj mi przy uchu, dobrze? – poprosiła mnie córka. – W sumie to chyba nawet się cieszę, wiesz? Znowu będę miała kogo wozić w wózku – uśmiechnęła się.

Nie sądzę, żeby Jagoda pozwoliła ci na opiekę nad swoim dzieckiem, pomyślałam, jednak zachowałam tę myśl dla siebie. Kto wie, może Olga ma rację? Może za kilka miesięcy wszyscy będziemy jedną wielką szczęśliwą rodziną?

Kilka dni po sylwestrze, którego samotnie spędziłam w domowym zaciszu, naczelny przydzielił mi napisanie reportażu o nękanii miejscowej bizneswoman.

– Babka regularnie znajduje w skrzynce pogroźki, ktoś nęka ją telefonami, przebija jej opony – powiedział Stefan.

– Wiadomo, z kim zadarła? – zapytałam. – Chodzi o haracz? Ma jakieś długi?

– Nie, sprawa jest... – Król przerwał i wyjął z kieszeni dzwoniącą komórkę. – Tu masz jej adres – dodał jeszcze, zanim odebrał.

Zerknęłam na kartkę, którą położył na biurku, dopiłam kawę i wyłączyłam komputer. Najlepiej będzie, jeśli podjadę tam od razu, zdecydowałam.

Na zewnątrz było chłodno i wietrznie. Śnieg stopił się zaraz po Nowym Roku i świat przybrał barwę nieprzeniknionej szarości. Z kluczykami od samochodu naczelnego w dłoni przebiegłam przez ulicę, kiedy ktoś zawołał mnie po imieniu.

– Julia!

Przystanęłam tuż obok wejścia do lokalu z kebabem, a postawny mężczyzna w ciemnym płaszczu zrobił kilka kroków w moją stronę i wyciągnął do mnie rękę.

– Waldek Witkowski, nie pamiętasz mnie? Chodziliśmy razem do podstawówki – powiedział.

– Waldek, jasne! Wybacz, zmieniłeś się.

– Za to ty nic a nic! – skomplementował mnie. – Słuchaj, znajdziesz chwilę na kawę?

– Teraz? Przykro mi, ale nie.

– To może kiedy indziej? Dasz mi swój numer? Miałbym sprawę...

– Mów, mam parę minut – zachęciłam go.

– No wiesz, ale tak na ulicy...

– Waldek, mów!

– Dobra, okay. Chodzi o mój salon samochodowy. Słyszałem, że pracujesz w gazecie i tak sobie pomyślałem, że może wpadniesz z fotografem, zrobicie parę zdjęć, napiszecie coś fajnego. Odwdzięczyłbym się oczywiście, podaj tylko kwotę...

– Posłuchaj, piszę reportaże kryminalne, opisuję wszelkie lokalne afery i wydarzenia, ale nie robię kryptoreklamy – powiedziałam.

– Nie, no jasne, pomyślałem tylko...

– Nie jestem zainteresowana. Ale zawsze możesz oficjalnie wykupić u nas powierzchnię reklamową – uśmiechnęłam się krzywo.

– Tyle to sam wiem – burknął mój dawny szkolny kolega i nie trudząc się, żeby się ze mną pożegnać, odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę swojego samochodu.

– Też miło było na ciebie wpaść – warknęłam pod nosem, poirytowana jego chamskim, roszczeniowym zachowaniem.

Do restauracji, której adres podał mi naczelny, dotarłam kwadrans później, głodna

i przemarznięta. Łucja Lisowska, właścicielka lokalu, wysłała mi naprzeciw w samej sukience i dopalając papierosa, czekała, aż wysiądę z samochodu.

– Dzień dobry! Pani Julia? Stefan wspomniał, że jest pani w drodze – powiedziała, a ja zdałam sobie sprawę, że mój naczelny i drobna rudowłosa właścicielka restauracji muszą się znać znacznie lepiej, niż sądziłam.

– Zaziębi się pani – powiedziałam, zatraskując drzwiczki od strony kierowcy.

– Wejźmy więc do środka. – Kobieta przepuściła mnie w oszklonych drzwiach i weszłyśmy do elegancko urządzonego lokalu. – Cieszę się, że będę miała okazję porozmawiać z kobietą. Mężczyzna mógłby... Zresztą, zanim zaczniemy, usiądźmy i napijmy się czegoś. A może jest pani głodna? – zapytała Lisowska.

– Właściwie...

– Proszę przejrzeć menu, ja muszę jeszcze zadzwonić. – Usiadłam przy stoliku, a ona podsunęła mi kartę i z telefonem w dłoni ruszyła w stronę zaplecza.

Przejrzałam listę dań, zdecydowałam, że poproszę o makaron z sosem pesto i rozejrzałam się po przestronnym, utrzymanym w ciepłych beżach wnętrzu. Duże lustra na ścianach, kryształowe żyrandole, obite jasną tkaniną złożone krzesła w barokowym stylu, kwiaty na każdym stoliku. Stonowany odcień wnętrza ożywiało kilka szafirowych elementów i ciężkie ciemnogrnatowe zasłony misternie przez kogoś udrapowane po bokach sięgających podłogi okien. Czuło się tu spore pieniądze i jednocześnie dobry gust właścicielki, która przemyślała każdy najdrobniejszy szczegół wystroju.

– Już jestem, przepraszam! – Łucja Lisowska wróciła do stolika i usiadła naprzeciwko mnie, chwilę po niej zjawił się przystojny ciemnowłosy kelner o śniadej karnacji i dużych ciemnych oczach.

Poprosiłam o makaron z pesto i cafe latte. Chłopak skinął głową, posłał mi profesjonalny uśmiech i zostawił nas same.

– To jest właśnie Sławek – powiedziała kobieta cicho, zerkając na siedzących przy ścianie klientów, których znacznie bardziej interesowały własne talerze niż nasza rozmowa. – To jego rodzina... Widzi pani, ja wiem, że sytuacja jest niezręczna, ale...

– Pani Łucjo, po kolei. Rozumiem, że to dla pani trudna, osobista rozmowa, ale kompletnie nie jestem zorientowana...

– Stefek o niczym pani nie wspomniał? – zapytała.

– Nie. Wiem tylko, że ktoś panią nęka.

– Owszem, i nawet zaraz pani powiem kto! – Kobieta lekko się skrzywiła i poprawiła długie ciemnorude włosy.

Wygląda trochę jak Julianne Moore, pomyślałam, tymczasem ona sięgnęła po leżącą na stole paczkę marlboro i kilka razy obróciła ją w palcach.

– Po Nowym Roku miałam rzucić, a nadal kopcę jak smok – powiedziała, a ja posłałam jej pełen zrozumienia uśmiech.

– O zarzuconych już w połowie stycznia noworocznych postanowieniach można by książkę napisać – powiedziałam.

– Pewnie tak – zgodziła się ze mną Lisowska, po czym odłożyła na bok papierosy i spojrzała mi prosto w oczy. – Mówią, że tego nie widać, ale mam pięćdziesiąt jeden lat. Sławek niedawno skończył dwadzieścia sześć. Zaczyna pani świtać, o czym będziemy rozmawiać? – zapytała.

– Mówimy o chłopaku, który przyjął ode mnie zamówienie? – upewniłam się.

– Tak. Sławek od półtora roku pracuje u mnie jako kelner, zresztą to tutaj się poznaliśmy – powiedziała. – Razem jesteśmy dziesięć miesięcy. Początkowo wszystko ukrywaliśmy, nie chcieliśmy plotek i skandalu. Wiadomo, szokująca różnica wieku, te sprawy. Dzieli nas okrągłe dwadzieścia pięć lat... Czasem sama nie mogę w to uwierzyć. – Lisowska parsknęła nerwowym śmiechem i wysupłała z paczki papierosa. – Przepraszam, jednak muszę zapalić – powiedziała.

Kiedy dopaliła, zdusiła papierosa w kryształowym kieliszku i zerknęła w stronę klientów.

– Nie powinnam tu kopcić, ale tych dwoje ma to chyba gdzieś. Zresztą są tu przejazdem, a ja mam dziś jeden z tych dni, kiedy jest mi dokładnie wszystko jedno – rzuciła z przekąsem. –

A wracając do mnie i do Sławka. Ukrywaliśmy się jakieś trzy miesiące, w końcu jednak zrozumieliśmy, że nie chcemy dłużej chować się po kątach. Dla obojga z nas było jasne, że to coś więcej niż przelotny romans i nie chcieliśmy dłużej wstydzić się tego, co nas łączy. Wtedy zaczęło się piekło. Najpierw przyszła tu jego matka, która dowiedziała się od kogoś, że sypiam z jej synem. Stała tam, pod tamtym oknem, i w obecności klientów darła się, że jestem starą kurwą, która podstępnie uwiodła młodego niewinnego chłopaka. Myślałby kto, że zbałamuciłam czternastolatka – skrzywiła się.

– Czy pani chłopak był świadkiem tej sceny? – zapytałam.

– Nie. Miał wtedy wolny dzień. Przypuszczam, że ta kobieta celowo zjawiała się tu podczas jego nieobecności. – Łucja ponownie sięgnęła po paczkę fajek i zaczęła obracać ją w palcach, chcąc zająć czymś ręce. – Później zaczęły się pogrózki. Najpierw tylko pełne wulgarnych treści liściki, później nocne telefony. W końcu ktoś oturł mi psa i dwukrotnie poprzebijał opony... Sławek wielokrotnie błagał matkę, żeby przestała nas nękać, ale ta kobieta jest dosłownie chora z nienawiści. Nie może zrozumieć tego, że łączy nas coś pięknego, widzi tylko układ stara baba z kasą i młody niewinny chłopak... Widzi pani, ja sama mam syna. Skończył niedawno dwadzieścia trzy lata, studiuje w Krakowie. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym się dowiedziała, że sypia z pięćdziesięciolatką, ale na pewno starałabym się zrozumieć. Posuwanie się do tego typu zachowań jest zwyczajnie obrzydliwe!

– Zgłaszała to pani policji? – zapytałam.

– Policja ma to gdzieś! – powiedziała Lisowska ostro. – Śmieją się ze mnie za moimi plecami, nazywają nimfomanką.

– Ta kobieta działa sama?

– Nie. Jej konkubent nęka mnie z taką samą zaciekłością.

– Rozmawiała pani z nim?

– Żartuje pani?! – zachnęła się Lisowska. – To wiecznie zapity obszarpany alkoholik, który w chwilach słabości przychodzi tutaj żebrać o flaszkę. Ostatnio nabazgrał na jakimś kartonie, że przestanie mnie nękać, jeśli dam mu trzydzieści tysięcy. Wsunął mi ten kawałek tektury za wycieraczkę, wyobraża sobie pani?

– Ma go pani jeszcze?

– Oczywiście, że mam! To jeden z dowodów! Widzi pani, ja naprawdę długo się wahałam, czy opowiedzieć o tym Stefkowi i angażować w to wszystko lokalną prasę. Tyle że z dnia na dzień sytuacja robi się coraz poważniejsza. Ostatnio ktoś rzucił cegłą w moją werandę i stłukł donicę z oleandrem. Nękają mnie w domu, nękają w pracy. Personel plotkuje, Sławek musi znosić niewybredne uwagi ze strony kolegów, ja boję się samotnie wychodzić z domu, zwłaszcza teraz, kiedy tak szybko zapada zmrok. Jeszcze niedawno myślałam, że to wstyd wywlekać takie rzeczy na forum publicznym, ale dziś dotarło do mnie, że to oni powinni się wstydić. Moim jedynym grzechem jest to, że mając pięćdziesiątkę sypiam z młodym chłopakiem. Nikogo nie zabiłam, nikomu nie ukrađłam męża, nie rozbiłam niczyjej rodziny. Ale ludzie myślą, że mają prawo mnie opluwać, bo złamałam odwieczną niepisana zasadę, że to facet powinien być starszy od kobiety – powiedziała Lisowska i zapatrzyła się w okno. – Napisze pani o tym? – zapytała po dłuższej chwili. – Całą prawdę, jak to wygląda z mojej perspektywy. O tym, jak znalazłam martwego Bruna na podjeździe przed garażem, o obrzydliwych wulgaryzmach, które znajdują w skrzynce, o...

– Ma pani te liściki? – zapytałam.

– Nie chce ich pani oglądać, niech mi pani wierzy. – Lisowska lekko się zgarbiła, jakby na myśl, że i to będzie musiała wywlec na światło dzienne.

– Pani Łucjo, nie szukam taniej sensacji. Chcę jedynie...

– Przyniosę je – weszła mi w słowo i wstała od stołu.

Minutę później pojawił się mój makaron z pesto i inny, znacznie starszy od Sławka kelner, który zapytał, czy będę jeszcze miała ochotę na deser. Za słodkości podziękowałam i zabrałam się do dania głównego, które smakowało nie gorzej niż w słonecznej Italii.

Lisowska wróciła, kiedy kończyłam jeść.

– Proszę bardzo – położyła na stole wypchaną białą kopertę, z której wystawało kilka nierówno przyciętych kartek. – Wszystkie znalazłam w skrzynce w ciągu ostatnich miesięcy. Przypuszczam, że Sławek znalazł drugie tyle i po prostu to przede mną ukrył. Chce mnie chronić...

– A jak obecnie wyglądają jego relacje z matką? – zapytałam.

– Nie rozmawiają ze sobą. On zamieszkał u mnie i nie odbiera od niej telefonów – wyjaśniła Łucja.

Odsunęłam na bok talerz i wyjęłam z koperty kilka niewielkich, zapisanych niestarannym pismem karteczek. „Cuchniesz starą piczą i on to w końcu poczuje!” – przeczytałam pierwszą z nich, a siedząca naprzeciwko Lisowska przygryzła wargi i odwróciła głowę, nie chcąc patrzeć mi w oczy.

– Przepraszam, nie powinnam była... Zresztą i tak mam już jasność – włożyłam obelżywą karteczkę z powrotem do koperty i przesunęłam ją w jej stronę. – To są chorzy ludzie, zaburzeni. Napiszę o tym tak, żeby miejscowi bezdyskusyjnie opowiedzieli się po pani stronie, ale myślę, że bez względu na wszystko, powinna to pani zgłosić prokuraturze.

– Tak chyba w końcu zrobię – powiedziała cicho Lisowska. – Po prostu zbieram siły na całą tę sądową batalię... Widzi pani, tu nawet nie chodzi o interesy, bo te od jakiegoś czasu kwitną. Ludzie przychodzą do nas zjeść, żeby na własne oczy zobaczyć mnie i Sławka. Czuję się czasem we własnym lokalu jak małpa w cyrku, ale okay, przywykłam. Jednak do tego, żeby mnie

opluwano w tak ohydny sposób, chyba nie potrafię się przyzwyczaić. Tyle nienawiści... Gdyby tylko mogli, chętnie by mnie ukamienowali! Ta pogarda w oczach, te uśmieszki, wymiana spojrzeń. W ostatnią niedzielę jadła u nas rodzina z dwójką nastoletnich dzieciaków. Kobieta była mniej więcej w moim wieku, może parę lat młodsza. On jadł z apetytem, nie zwracając uwagi na otoczenie, ale ona... Kręciłam się akurat po sali, bo jedna z naszych kelnerek była chora i pomagałam personelowi, a ta baba nie spuszczała ze mnie oczu! Wodziła za mną wzrokiem, dosłownie przewiercała mnie spojrzeniem! A kiedy wpadłam na nią w korytarzyku przy toaletach, mijając mnie, syknęła „stara zdzira”. Wyobraża sobie pani coś takiego? W mojej restauracji, pod nosem swojego męża i nastoletnich dzieci nazwała mnie starą zdzirą! I to za co?! Przepłakałam wtedy cały wieczór, kompletnie nie mogłam się pozbierać. Skąd w ludziach aż taka chęć do oceniania innych? Jakim prawem to właśnie ona może mi ubliżyć? Kim jest, żeby czuć się lepszą ode mnie? I czemu kobiety nie mogą tak beztrąsko używać życia jak mężczyźni? – zapytała Łucja, a ja pomyślałam o Eryku, który po naszym rozwodzie spotykał się z kilkanaście lat od siebie młodszymi dziewczynami i nie widział w tym nic złego.

Jak jednak widać, odwrotna sytuacja nadal stanowiła problem...

– Przepraszam, planowałam przeprowadzić tę rozmowę w znacznie mniej emocjonalny sposób. – Lisowska uśmiechnęła się blado i posłała mi przepaszające spojrzenie. – Tyle że wszystko to kompletnie mnie wykończyło. Czuję się tak, jakbym grała w jakimś koszmarnym filmie. Przyglądam się sobie z boku i nie mogę uwierzyć w to, co widzę. Jeszcze kilka miesięcy temu byłam szanowaną bizneswoman, teraz ludzie dosłownie plują mi pod nogi... Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, a zachowujemy się jak dzicz!

– Przykro mi, pani Łucjo, naprawdę. Wyobrażam sobie, jak musi się pani czuć.

– Nie wyobraża pani sobie, ale dziękuję. Gdyby miała pani jakieś pytania, proszę dzwonić.

– Oczywiście – powiedziałam, wstając. – Dziękuję za obiad, był wyśmienity.

– Przynajmniej tego nikt mi jeszcze nie odmówił, że jestem dobrą kucharką. Wszystkie przepisy testuję w mojej kuchni przed wrzuceniem ich do menu – powiedziała Lisowska. – Aha. Jest jeszcze coś. Wczoraj ktoś włożył mi do buta martwą mysz. Niby drobiazg, kolejna żenująca zagrywka, a jednak poczułam się tak, jakby podchodzili coraz bliżej...

– Bo podchodzą. I będą działać dopóty, dopóki będą się czuć bezkarni. Dlatego proszę się dłużej nie wahać i zawiadomić prokuraturę! – powiedziałam.

– Zawiadomię – obiecała Lisowska, podając mi mój płaszcz. – Jeszcze raz bardzo pani dziękuję!

Pozegnałyśmy się przy drzwiach. Idąc do samochodu pomyślałam, że podłość ludzka nie ma jednak granic. Będąc lokalną reporterką, widziałam naprawdę niejedno, ale żeby szykanować kobietę z takiego powodu?! Nie mieściło mi się to w głowie, po prostu nie potrafiłam ogarnąć tego umysłem...

Cześć, kobieto ze śniegiem we włosach! – Wracałam z pracy, kiedy zaczepił mnie siedzący na schodach Błażej. – Bardzo sypie?

– Wyjdź na zewnątrz i sam się przekonaj – rzuciłam lekkim tonem.

– Może kiedyś – mruknął. – Co u ciebie?

– Jestem wykończona – powiedziałam, przegrzebując torebkę w poszukiwaniu kluczy.

– To może wpadniesz? Mam kuskus z kurczakiem i z całą pewnością nie powinienem jeść tego wszystkiego sam. – Błażej wstał, otrząpął spodnie i zapraszająco uchylił drzwi od swojego mieszkania.

– Biorąc pod uwagę, że w mojej lodówce jest tylko światełko, z radością dam się skusić. Planowałam dziś większe zakupy, ale zamknęli sklepy, zanim wyszłam z redakcji. Na szczęście Olga zamówiła sobie pizzę, bo miałabym wyrzuty...

– Czemu tkwiłaś za biurkiem do późna? Trafiałaś na jakąś grubszą aferę? – mruknął do mnie Błażej, kiedy wchodziliśmy do jego mieszkania.

– Tak, międzynarodową... Banda wyrostków regularnie demoluje pobliski park – rzuciłam kąśliwym tonem, a mój sąsiad parsknął śmiechem. – Daj mi to. – Wziął ode mnie płaszcz i poczekał, aż zdejmę buty.

Chwilę później weszliśmy do salonu.

– Wybacz ten bajzel, nie spodziewałem się dziś gości. – Błażej zdjął z sofy swoją bluzę i rzucił na podłogę stos informatycznych magazynów.

– Daj spokój. Mam dwie bałaganiarskie córki, wnuczkę, matkę i byłego męża. Możesz wierzyć lub nie, ale w tej kwestii widziałam już wszystko – uśmiechnęłam się, siadając na sofie.

– Kamień z serca. Napijesz się czegoś? – Błażej podszedł do stojaka z winami. – Gruzińskie? Chorwackie? Włoskie?

– Mocne – mruknęłam, rozmasowując skronie.

– To lubię! – powiedział, sięgając po dwa kieliszki. – Jedzenie powinno być jeszcze ciepłe, sprawdzę – dodał.

Kuskus był wyśmienity. Ponieważ ten dzień przeżyłam o jednej kanapce, zjadłam gigantyczną porcję i popiłam ją równie imponującą ilością wina. Błażej, który umościł się na jednym z pufów, zjadł niewiele mniej i równie ochoczo dolewał sobie alkoholu.

– Co u ciebie? – zapytałam. – Jakies noworoczne postanowienia?

– Pijesz do mojego wyjścia z domu? – mruknął.

– To nie byłaby taka zła rzecz – uśmiechnęłam się.

– To może ja cię o coś zapytam. Kiedy ostatnio byłaś na wakacjach? – zmienił temat.

– Skąd to pytanie? – zdziwiłam się.

– Odpowiedz.

Wzruszyłam ramionami.

- Weekendowy wypad do SPA też się liczy? Bo w zeszłym roku byliśmy z córką w...
- Wakacje. Co najmniej tydzień nad morzem. Słońce, plaża, palce lepkie od skapującego z gofrów czekoladowego sosu i tłumy spacerujących promenadą turystów. Pamiętasz jeszcze te klimaty?
- Nie wiem, czy jestem fanką...
- Kiedy, Jula?
- Okay, szczerze? Ostatnio jeszcze z mężem, w Chorwacji. Było już wtedy między nami różnie, ale wyjazd w miarę się udał, nie licząc pewnej grubej kłótni... Później, po naszym rozwodzie, wypuszczałam się co prawda samotnie w góry i jeździłam nad morze, ale to były zwykle ze cztery dni odpoczynku. Aha, no i odwiedzałam tatę w Szwecji, ale to były zazwyczaj krótkie jesienne wizyty.
- Czyli wpadłaś w jakiś pracoholizm, sąsiadko? – Błażej przysunął się bliżej mnie razem ze swoim pufem i dodał, że ma dla mnie propozycję. – Założymy się o coś? – zapytał.
- Nie zakładam się, kiedy jestem pijana – roześmiałam się i dopiłam resztkę wina, a on dołączył mi następną kolejkę.
- Twój błąd. Wtedy jest najlepsza zabawa. Więc? Odważysz się?
- Zależy...
- Tak czy nie?
- Błażej, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa? – zapytałam.
- W śmiesznym. – Mój sąsiad odstawił na bok swój kieliszek, wstał i podszedł do bibliotecznego regału. – Wybiorę dziesięć miejscowości, zapiszę je, a ty wylosujesz jedną z nich i wybierzesz się tam na w pełni zasłużone wakacje.
- Chyba żartujesz?! Chcesz powiedzieć, że jeśli wybierzesz stolicę Kolumbii, będę musiała...
- Postaram się być rozsądny. Geograficznie rozsądny. – Błażej sięgnął po atlas i zaczął go kartkować. – Zapomniałbym o najważniejszym. Jeśli wybierzesz się w końcu w dłuższą podróż, ja wyjdę z domu.
- Bo uwierzę! – parsknęłam.
- Mówię poważnie! – zapewnił mnie.
- Błażej, to nie jest...
- Jutro, Jula! Jeśli obiecasz, że zapomnisz na moment o całym świecie i wybierzesz się na wakacje, jutro widzimy się w zakolu rzeki. Osiemnasta, pasuje ci? Będę czekał pod pomnikiem, na skwerku za parkiem.
- Chcesz powiedzieć, że jeśli teraz zgodzę się na dłuższe wakacje, ty wyjdiesz jutro z domu? O osiemnastej będzie już ciemno... Jesteś pewny, że...
- Tak czy nie? – wszedł mi w słowo mój sąsiad.
- Dobra! Niech ci będzie! – zgodziłam się, a on wydarł kartkę z notesu, podarł ją na dziesięć części i zaczął wypisywać nazwy miast na nierówno podartych karteczkach.
- To największy idiotyzm, w jakim brałam udział!
- W pełni się z tobą zgadzam, bo, prawdę mówiąc, czuję średnią potrzebę wyjścia z tego

mieszkania. Ale świat zaczął nalegać, nawet mój najlepszy kumpel coraz częściej mi przynudza.
– Błażej wrzucił zapisane karteczki do niewielkiej ceramicznej miski i podsunął ją w moją stronę. – Losuj!

– Módl się, żebym się tam nie musiała telepać przez pół świata – mruknęłam.

– Bez obaw. Mówiłem ci, byłem w miarę rozsądny. – Błażej wyszczerzył się w szerokim uśmiechu i potrząsnął miską. – No już, wybieraj!

Wyjęłam jedną z karteczek i rozwinęłam ją, starając się opanować drżenie rąk. Naprawdę dałam się wmanewrować w taką dziecinadę? – przeszło mi przez myśl.

– I? – Błażej pochylił się w moją stronę i posłał mi wyczekujące spojrzenie.

– Corralejo – przeczytałam. – Gdzie to jest, do cholery?

– Fuerteventura, Wyspy Kanaryjskie. – Błażej wyglądał na szczerze ubawionego.

– Jak długo się tam leci? Bo ja nie przepadam za długimi lotami i unikam ich, jak mogę, a...

– A ja nie bardzo lubię wychodzić z domu. A odpowiadając na twoje pytanie: pięć i pół godziny.

– Tak długo?! Zdajesz sobie sprawę, że w tym momencie niemal cię nienawidzę? – krzyknęłam.

– Okay, podziękujesz później. Chodź, zarezerwuję ci pobyt!

– Błażej, to się dzieje naprawdę? Bo jeśli...

– Owszem. A w kwestii finansów, jeśli akurat jesteś bez kasy mogę ci pożyczyć.

– Nie chodzi o kasę. Nie mogę tak po prostu wyjechać! Oldze nie zdjęli jeszcze gipsu, moja matka stale czegoś chce, a Matylda...

– Olga, matka, Matylda, twoja święta trójca, co? A ty? Odkąd cię znam, robisz wszystko dla innych i niezbyt wiele dla siebie – powiedział cicho Błażej. – Nie zrozum mnie źle, nie miałbym odwagi czegokolwiek krytykować. Jesteś dobrą córką i dobrą matką, ale jesteś też kimś, kto zdecydowanie zasłużył na odrobinę luzu.

– Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę – powtórzyłam, a Błażej włączył komputer. – I nie wierzę, że wciskasz mi tu gadki, jakie mogłabym usłyszeć co najwyżej od przyjaciółki. Jesteś aż tak dobrym psychologiem, czy to moje życie wygląda aż tak beznadziejnie?

– Nie jestem psychologiem. Wolisz hotel, czy mieszkanie? Mogę ci zaklepać jakąś wycieczkę z biura albo coś wynająć – powiedział, nie komentując mojej uwagi.

– Wszystko mi jedno – stwierdziłam.

Roześmiał się.

– Jesteś naprawdę prosta w obsłudze, dziewczyno – oświadczył, nie odrywając wzroku od monitora.

Pół godziny i kolejny kieliszek wina później miałam wykupiony tygodniowy pobyt w Corralejo. Błażej opłacił wszystko ze swojego konta, a ja obiecałam, że następnego dnia oddam mu pieniądze.

Kiedy wróciłam do siebie, zadzwoniła Matylda.

– Piłaś coś? Masz dziwny głos. – Córka od razu wyczuła, że wlałam w siebie cztery kieliszki

wina.

– No może i piłam – przyznałam, zasiadając w fotelu.

– Z kim? Chyba nie do lustra? – zainteresowała się moja latorośl.

– Z młodym mężczyzną, wyobraź sobie.

– No, no. Zazdroszczę, bo ja od rana tkwię przy zakatarzonej Kamili, ogarniam mieszkanie i prasuję stosy prania.

– A jak było w Pradze? Obiecywałaś, że do mnie wpadniesz...

– Wpadnę, ale na pewno nie w tym tygodniu. A Praga oszałamiająca. Szkoda tylko, że pokłóciłam się z Brianem.

– A o co poszło? – zdziwiłam się, bo Matylda rzadko wspominała o jakichkolwiek zatargach pomiędzy nimi.

– O Pragę nam poszło właśnie. Bo widzisz, Brian, dzięki pomocy przyjaciół swoich rodziców, dostał tam pracę lektora w jednej z prywatnych szkół językowych i przyjął ją, zanim o czymkolwiek mi powiedział. Zaczyna od nowego semestru i oczywiście oczekuje, że po prostu się tam z nim przeniosę. „Przecież i tak nie masz stałego etatu” – tak mi powiedział! Czujesz?! Możesz sobie wyobrazić, w jaki wpadłam sza! Przecież takie decyzje powinno się podejmować we dwoje, cholera!

– Fakt, zachował się nie fair – przyznałam.

– Zachował się jak ostatni dupek! – Córka ujęła to dość dosadnie. – No, ale wiesz... Z drugiej strony ta oferta pracy jest świetna, a cała nasza trójka jest zauroczona miastem, więc chyba stulę uszy po sobie i po prostu z nim pojedę.

– Czyli już postanowiłaś? – zapytałam.

– Tak, chyba tak. Zresztą, jakie mam wyjście? Kocham go, mamuś. Nie wyobrażam sobie, że ze sobą zrywamy. Okay, zachował się jak palant, ale pomijając to, może być fajnie. Młoda jest mała, szybko się zaaklimatyzuje, a my...

– Będę tęsknić – powiedziałam.

– Mamo, my też. Ale czasem człowiek chce...

– Wiem, córciu. Jedź. Jeśli masz taką okazję, to jedź. Kochacie się, dobrze wam razem. Podejrzewam, że jesteś na niego wściekła, ale czasem warto ustąpić. W dobrym związku trzeba iść na kompromisy, chociaż akurat ja nigdy za nimi nie przepadałam.

– To prawda. Tato zazwyczaj musiał ci we wszystkim ustępować.

– We wszystkim to może lekka przesada, ale...

– Mniejsza z tym, mamuś. Wpadniesz do nas na dniach? Kamila stale o ciebie pyta.

– Wpadnę – powiedziałam i zachciało mi się płakać na myśl o rozłące z wnuczką.

Praga nie była przecież na końcu świata, a ja dawno temu zrozumiałam, że obie moje córki zaczęły żyć swoim własnym życiem. Może Błażej miał rację? Może faktycznie nazbyt poświęcałam się rodzinie, nie myśląc o sobie? – pomyślałam.

Chwilę później zajrzałam do Olgi, która ze słuchawkami w uszach siedziała na łóżku w swoim dawnym pokoju.

Wzięłam szybki prysznic i włączyłam laptop. Corralejo – wpisałam do wyszukiwarki, popijając herbatę. Na monitorze pojawiło się kilkanaście obrazów z morzem, palmami i wydmami w tle. Powiększyłam kilka z nich i zachwyciłam się widoczkami, po czym podeszłam do szafy i znalazłam dwa kostiumy kąpielowe, w które jeszcze wchodziłam. Wakacje... Wychodząc z mieszkania Błażeja, byłam mocno zaniepokojona pochopną decyzją, w którą dałam się wmanewrować, ale teraz, mierząc turkusowy strój kąpielowy, poczułam podekscytowanie na myśl, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, za niecałe dwa tygodnie będę się wygrzewać na kanaryjskiej plaży. Z wzięciem urlopu nie powinno być problemu, miałam sporo zaległego. Dziewczyny na pewno jakoś sobie poradzą, tym bardziej że Oldze zdążą do tego czasu ściągnąć gips, a matka... Cóż... Tym, jak zareaguje matka, nie zamierzałam się na razie przejmować.

Była za kwadrans osiemnasta, kiedy wyszłam z budynku redakcji i wolno ruszyłam w stronę zakola rzeki. Ulica, którą szłam, była niemal pusta – na jej rogu stał młody chłopak w futrzanej czapce z uszami, poza tym żywego ducha. Dopiero na placu Słowiańskim zaroilo się od przechodniów, jednak widoczna do niedawna świąteczno-noworoczna aura na dobre zniknęła. Teraz, dziesięć dni po sylwestrze, przepadła ta wyraźnie wyczuwalna atmosfera radosnego wyczekiwania na Boże Narodzenie, a ludzie snuli się ulicami przygnębieni i przemarznięci. Wsunęłam dłonie do kieszeni, bo znowu zapomniałam rękawiczek, i przyspieszyłam kroku. Park, który przecięłam, chcąc sobie skrócić drogę, był cichy i pusty. Szłam pokrytymi nienaruszonym śniegiem alejkami, a wokół mojej twarzy unosił się biały obłok mojego oddechu. Wieczór był mroźny i wilgotny. Idąc w stronę nadrzecznych bulwarów, zastanawiałam się, czy Błażejowi uda się dotrzeć na nasze umówione spotkanie. Przez tyle czasu nie wychylił nosa z mieszkania, a teraz ma samotnie przejść przez puste, ciemne zaułki? Stchórzy czy się zjawi? – myślałam. Byłam na skraju parku, kiedy zauważyłam grupkę starszych mężczyzn – siedzieli w altanie, chyba pili. Mijałam ich, kiedy rzucili w ślad za mną obraźliwy, wulgarny tekst, ale żaden nie ruszył w moją stronę. Naciągnęłam niżej kaptur i odetchnęłam z ulgą. Nadrzeczny park nigdy nie cieszył się dobrą opinią. Nie powinnam do niego wchodzić samotnie, zwłaszcza po zmroku. Sama przecież całkiem niedawno pisałam artykuł o zgwałconej tutaj młodej dziewczynie. Jednak rozsądek często przegrywał z lenistwem – idąc naokoło, znacznie nadłożyłabym drogi...

Dochodziła osiemnasta, kiedy weszłam na skwerek przy pomniku i zerknęłam w stronę rzeki. Pusto. Chuchnęłam w przemarznięte dłonie i podeszłam bliżej latarni, stając w kręgu jej światła. Betonowe schody prowadzące nad samą wodę również były puste. Wyjęłam z torebki komórkę i zerknęłam na wyświetlacz w momencie, w którym zegar na pobliskiej kościelnej wieży zaczął wybijać osiemnastą.

– Myślałaś, że nie przyjdę?! – usłyszałam znajomy głos.

Błażej. Nadszedł od strony, od której bym się go nie spodziewała. Dłonie w kieszeniach, na grzbiecie puchowa kurtka, na głowie czerwona czapka.

– Jesteś – uśmiechnęłam się.

– Jestem – powiedział. – Miałem niezłego cykora, wychodząc z domu, ale jestem. Cztery razy podchodziłem do bramy i wracałem na piętro, w końcu wyszedłem na ulicę.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę! – powiedziałam.

– Radość jest obopólna, sąsiadko. To co? Oblejemy to jakoś? – zapytał.

– Właśnie zdałam sobie sprawę, że za każdym razem, kiedy się widzimy, obalamy jakąś flaszkę.

– Bo dobrze się pije w twoim towarzystwie. – Błażej wzruszył ramionami i skinął głową w stronę rzeki. – Jeśli masz ochotę na coś do jedzenia, możemy skoczyć do Chińczyka – zaproponował.

– Nie ma już tej knajpy – powiedziałam, bo faktycznie Psa w Sosie Własnym zamknięto jakiś rok temu.

– Żartujesz? No to kiepsko. W takim razie może Frankfurterka? U nich zawsze mieli dobre piwo i kiełbaski.

– Nie przepadam za tym lokalem, ale mimo wszystko brzmi lepiej niż sterczenie na tym mrozie. Chodź! – powiedziałam.

– Czekaj! – Błażej przystanął tuż obok pomnika i spojrzał w niebo. – Zamknij oczy i słuchaj. Brakowało mi tego wszystkiego. Szumu pobliskiej ulicy, klaksonów, płatków śniegu na twarzy. Słyszysz?

– Co? – zapytałam szeptem.

– Życie – mruknął.

Stałam przy nim przez dłuższą chwilę, w końcu z zimna zaczęłam szczerkać zębami.

– Chodźmy już – pociągnęłam go za rękaw.

Frankfurterka była niedaleko; jedna z tych mocno podupadłych nadrzecznych knajp, która funkcjonowała jeszcze chyba dzięki kilku miejscowym amatorom niemieckiego piwa. Usiedliśmy w kącie sali, niedaleko żeliwnej „kozy”, od której biło przyjemne ciepło.

– Bałam się, że nie przyjdiesz – powiedziałam.

– Też się bałam, że nie zdołam wyjść z mieszkania. Marnie dziś spałem i miałem koszmary – przyznał Błażej. – Ale strach zaczął przegrywać z tęsknotą za wolnością. To nie tak, że wczoraj namówiłaś mnie na to wyjście, a ja się zgodziłem. Psychicznie szykowałem się od dawna.

– Cieszę się, że ci się udało.

– Też się cieszę.

– Co zjesz? Ja stawiam – podsunęłam mu menu.

– Tutaj? Rolmopsy i pilzner. Jeśli lubisz śledzia, skuś się. Lepszego w tym mieście nie dostaniesz. – Błażej zamknął menu i spojrzał w stronę okna. – Znowu sypie. Styczeń to taki przekłety miesiąc, w którym wydaje mi się, że zima nigdy się nie skończy...

– Ja największy kryzys mam zazwyczaj w lutym – uśmiechnęłam się pod nosem. – Skoczę do łazienki. Zamów mi to, co sam bierzesz – poprosiłam.

W toalecie było pusto i schludnie. Myjąc ręce, spojrzałam w lustro nad umywalką i skrzywiłam się na widok swojego odbicia. Rano w pośpiechu wychodziłam z domu, więc nie zdążyłam zrobić starannego makijażu i teraz, w ostrym świetle umieszczonej nad lustrem lampy, zauważyłam głębokie cienie pod oczami i zmęczoną szarą cerę. Jezu Chryste, ja naprawdę potrzebuję wakacji, pomyślałam.

Kiedy wróciłam na salę, Błażej rozmawiał z pulchną rudą kelnerką, która zaśmiewała się z czegoś, co powiedział. Usiadłam przy naszym stoliku.

– Syn już zamówił – oświeciła mnie ruda.

– Ja nie... – zaczęłam, ale ona już nie słuchała.

Przetarła sąsiedni stolik, złapała dwa kufle zostawione przez gości i zniknęła na zapleczu.

– Wyglądam aż tak staro? – jęknęłam.

– Nie, nie. To ja wyglądam młodo. – Błażej wyszczerzył się w uśmiechu i podsunął w moją stronę miskę z orzeszkami. – Jedz, mamó – rzucił rozbawionym tonem.

– Spadaj! – parsknęłam śmiechem. – A skoro o tym mówimy, ile ty właściwie masz lat? – zapytałam.

– Latem skończę dwadzieścia osiem. Osiemnastego sierpnia, skoro już musisz wiedzieć.

– Wyglądam na matkę dwudziestosiedmiolatka? – jęknęłam znowu i dopiero po chwili dotarło do mnie, że przecież moja Matylda ma dwadzieścia sześć. – Jezu...

– Wyglądasz okay, Jula. Gdybym był nieco starszy... – Błażej lekko, samym czubkiem buta, trącił mnie pod stołem w łydkę i dodał, że wiek to kwestia wewnętrznego samopoczucia. – Ja na przykład czuję się na jakieś pięćdziesiąt. Po tym wszystkim, co przeżyłem...

– Daj spokój. Na pięćdziesiąt to nawet ja się nie czuję – roześmiałam się. – Słuchaj, co się właściwie stało, że postanowiłeś przestać wychodzić z domu? – zapytałam chwilę później. – To znaczy, jeśli nie chcesz o tym mówić, to...

– Chodzi o moją dziewczynę – powiedział Błażej cicho. – Byliśmy w Paryżu, kiedy... Przepraszam, po prostu dziwnie o tym gadać tu i teraz, nad piwem i śledziem...

– To ja przepraszam. Nie chciałam być wścibska.

– Nie jesteś wścibska. To trudny temat. Paulina nie chciała tam jechać, wiesz? Namawiałem ją tak nachalnie, egoistycznie, naciskałem... Jej babcia była wtedy po operacji i Paula chciała być przy niej. Ale ja się uparłem. Bo Paryż, bo okazja, bo mieszkanie za friko. Znajomy mojego ojca zaprosił nas do swojego apartamentu, a ja tak cholernie chciałem jej zaimponować. W końcu ustąpiła. To tylko sześć dni, powtarzałem jej. Ale to nie było sześć dni... Zginęła trzeciego dnia, tuż przed południem. Był chłodny słoneczny ranek. Pamiętam wszystko, każdy szczegół, jakby to było wczoraj. Na chodniku leżały wilgotne liście, ona miała na sobie szarą spódnicę w kratę, czerwone rajstopy i krótki czerwony płaszcz. Kilka dni wcześniej obcięła włosy. Wściekłem się i zrobiłem jej aferę. Gdybym wiedział... Chciała mi zrobić zdjęcie i odeszła kilka kroków w bok. Wtedy... Kurwa, za każdym razem, kiedy o tym myślę, nie mogę uwierzyć, że to się przydarzyło właśnie nam, właśnie mnie, właśnie jej... Bo jakie było prawdopodobieństwo, że runie na nią to przeklęte rusztowanie? Jeden na milion? Na dziesięć milionów? To były sekundy, przypuszczam, że nie zdążyła się nawet przestraszyć. Razem z całym tym metalowym ustrojstwem spadł z czwartego piętra fragment gzymsu, a ona...

– Błażej, przepraszam cię. Nie chciałam tego z ciebie wyciągać.

Nie odpowiedział.

Sięgnął po piwo, które przed momentem postawiła przed nami kelnerka, i duszkiem wypił niemal połowę.

– Gdybym wtedy tak nie naciskał, Paula wciąż by żyła, rozumiesz?! – powiedział w końcu.

– Tego nie wiesz.

– Wiem! Zresztą jej rodzice też mnie za to wszystko obwiniali! Na pogrzebie nie potrafili mi nawet spojrzeć w oczy. Kilka dni później, po tym, jak już ją pochowaliśmy, niemal potracił mnie samochód. Pisk hamulców i ten moment, kiedy dosłownie czujesz na karku oddech śmierci, kurewsko straszne to było... Tamtego dnia wróciłem do domu i przez dwa tygodnie nie wystawiłem nogi za próg. A później uznałem, że zwyczajnie nie mam ochoty na dalszy kontakt ze światem. Zamknąłem się w sobie, żyłem tylko dla pracy, odciąłem się niemal od wszystkich. A wiesz, co jest najgorsze? Pomimo że to Paula zginęła w Paryżu, śmiertelnie bałem się o siebie.

Wmówiłem sobie, że kostucha na mnie czyha, że jestem przeklęty. Najpierw na moich oczach zmarła mama, później moja dziewczyna. Myślisz, że istnieje coś takiego, jak przeznaczenie? Że gdzieś tam w górze jakiś szalony sadystyczny bóg zapisał mi taki właśnie los? Jestem tchórzem i czasem dosłownie się siebie brzydzę! – powiedział Błażej, po czym dopił swoje piwo i zamilkł.

– To nie była twoja wina. Ani w jednym, ani w drugim wypadku.

– A może była?! – podniósł głos.

– Nie!

– Gdybym to jedną z twoich córek wyciągnął do Paryża, też byłabyś taka wyrozumiała? Paula nie chciała tam jechać, a ja...

– Pielęgnowanie poczucia winy niczego nie zmieni – powiedziałam. – Moja siostra spowodowała kiedyś wypadek. Było ślisko, straciła panowanie nad samochodem, bywa. Wyszła z tego bez szwanku, ja spędziłam sporo czasu w szpitalach... Obwinia się o to wszystko do dziś, chociaż ja nigdy nie miałam do niej żalu. I wiesz co? Ja też nie chciałam wtedy z nią jechać. Byłam podziębiona i nie powinnam wychodzić z domu, ale Ilona naprawdę nalegała. Ustąpiłam i stało się. Co nie znaczy, że to była jej wina, Błażej. Tragedie chodzą po ludziach, a twoja mama była chora i jeśli już musisz kogoś obwiniać, obwiniaj ojca. To on powinien się nią zająć, nie ty! On powinien zdawać sobie sprawę z tego, w jak marnym jest stanie psychicznym i zapewnić jej opiekę!

– Nikt nie przypuszczał, że mama się zabije. – Pomimo trudnych relacji, jakie ponoć ich łączyły, Błażej wziął w obronę ojca.

– Tak samo jak ty nie mogłeś przypuszczać, co się stanie w Paryżu! Chciałeś zabrać dziewczynę na romantyczną wyprawę, pokazać jej kawałek świata. Nie mogłeś przewidzieć tego, że runie rusztowanie! – powiedziałam z naciskiem, a on w milczeniu pokiwał głową. – Nie mogłeś tego przewidzieć, Błażej! – powtórzyłam.

– Pewnie nie – mruknął.

– Zajrzyj do mnie dzisiaj. Olga ma gips na rękę i strasznie się nudzi. Przez ten mróz nigdzie nie wychodzi, bo nie może zapiąć kurtki.

– Nie wiem, czy...

– Błażej, przyjdź. Izolowanie się od świata ci nie pomoże. W niczym nie zawiniłeś, a i tak odpokutowałeś wszystko, co was spotkało. Chciałabym, żeby dziś nastąpił przełom. Żeby to wyjście było dopiero początkiem. Zrobisz to dla mnie? Jesteś młody, musisz wrócić do życia!

– Chciałbym, żeby to było takie proste – rzucił, ale godzinę później, kiedy razem weszliśmy do bramy naszej kamienicy, obiecał, że skoczy do domu po jakąś planszową grę i zajrzy do mojej córki.

Koło dwudziestej pierwszej, ogarniając kuchnię, usłyszałam dochodzący z salonu głośny śmiech Olgi. Polubili się – pomyślałam. Ucieszyło mnie to i podniosło na duchu. Błażej potrzebował wokół siebie przyjaznych twarzy, żeby znowu się w sobie nie zamknąć, nie zaszyć w mieszkaniu sam na sam ze swoim bólem. Po części rozumiałam ten tok rozumowania, każdy na jego miejscu miałby takie myśli. Jednak nadszedł czas, żeby ruszyć do przodu, czas nowego początku. Dorastał z piętnem poczucia winy, a los dorzucił mu kolejne brzemienie, ale i tak nie wierzyłam w coś, co nazywał klątwą czy ponurym przeznaczeniem. Nie można uciec od życia,

trzeba je przeżyć. Nawet jeśli gramy kartami, których nigdy nie chcielibyśmy wyciągnąć, pomyślałam i pod wpływem jakiegoś impulsu wybrałam numer byłego męża.

Eryk odebrał pod dwóch dzwonek, pewnie, swoim zwyczajem, miał telefon pod ręką.

– Cześć. Nie przeszkadzam? – zapytałam.

– Nie, mów.

– Słuchaj, kiedy ty jedziesz na te narty?

– W niedzielę. Czemu pytasz? – zdziwił się, a ja zdałam sobie sprawę, że pomijając jakieś przypadkowe spotkania i rozmowy, od dawna nie zwierzałyśmy się sobie ze swoich planów.

I pewnie gdybyśmy nie wpadli na siebie u mojej matki, nadal nie wiedziałabym zarówno o jego wyjeździe do Francji, jak i o ciąży jego dziewczyny. Nawet wtedy, kiedy byliśmy jeszcze małżeństwem, omawiał ze mną trudne sprawy dopiero przyparty do muru, kiedy już nie było wyjścia i musiałam się o czymś dowiedzieć. Ta jego strategia chowania głowy w piasek zawsze mocno mnie irytowała.

– Halo! Coś się chyba dzieje z zasięgiem – nieco poirytowanym głosem powiedział były mąż.

– Ja cię dobrze słyszę. A może wpadniesz do mnie w ten piątek? Razem z Jagodą, oczywiście. Będą dziewczynki, mama też pewnie zajrzy, zjemy coś dobrego... Spotkajmy się już teraz, po co czekać? – zaproponowałam.

– Julka, biorąc pod uwagę twoją reakcję na ciążę Jagody, nie wiem, czy to jest dobry pomysł... Halo? Jesteś?

– Jestem. I już cię chyba przepraszałam, prawda? Wiem, że zareagowałam histerycznie, ale...

– Okay, będziemy. – Eryk zmiękł, jakby zdał sobie sprawę, że jego odmowa może mi sprawić przykrość. – Dziewiętnasta ci pasuje?

– Jasne – powiedziałam. – Aha, może się zdarzyć, że wpadnie też mój sąsiad.

– Spotykasz się z kimś? – zainteresował się.

– Nie. Mówię o dwudziestokilkuletnim muzyku z naprzeciwka, z którym niedawno się zaprzyjaźniłam – wyjaśniłam.

– Muzyk, powiadasz? Olga zawsze miała słabość do facetów z gitarą. – W głosie Eryka usłyszałam rozbawienie.

– W chwili obecnej Olga całą swoją uwagę poświęca na drapanie się pod gipsem – parsknęłam śmiechem. – Całe szczęście, że niedługo jej to ściągną, bo obie mamy dość...

– Wyobrażam sobie. Słuchaj, muszę kończyć, bo stale coś przerywa, a Jagoda woła mnie z kuchni. – Eryk w pośpiechu się ze mną pożegnał i przerwał połączenie, zaszyłam się więc w sypialni i z książką w ręku zasiadłam w fotelu pod oknem.

Córka zapukała do mnie jakiś kwadrans później.

– Mamuś? Słuchaj, idę do Błażeja, będę pewnie koło północy. Nie czekaj na mnie i nie rób mi kolacji, bo pożarłam paczkę chipsów – powiedziała.

– Weź klucz – poprosiłam tylko, a kiedy wyszła, uśmiechnęłam się pod nosem.

Dobrze było mieć ją w domu, nawet jeśli niebawem wróci do swojej wynajętej dziupli, pomyślałam i wróciłam do książki.

To chyba tutaj, zastanawiałam się, parkując przed otynkowanym na ciemnożółto piętrowym domem. Brzozowa osiem, sprawdziłam numer na frontowej ścianie willi, wyjęłam ze schowka dyktafon i wysiadłam z samochodu Stefana. Furtka była zamknięta. Wcisnęłam dzwonek i zerknęłam w stronę wejściowych drzwi. Za eleganckim płótnem z metalowymi sztchetami, głośno ujadając, biegał duży czarny pies. Miałam zadzwonić ponownie, kiedy z domu wyszła atrakcyjna jasnowłosa kobieta po trzydziestce.

– Proszę chwilę poczekać, zamknę psa! – krzyknęła. – Demon, chodź tu! – wrzasnęła, a posłuszny rottweiler ruszył w jej stronę.

Jakieś trzy minuty później blondynka przebiegła przez ogród i trzymanym w rękę kluczem otworzyła mi furtkę.

– Proszę wybaczyć te procedury bezpieczeństwa. Boimy się – powiedziała. – Kinga Kletner – dodała i wyciągnęła do mnie rękę.

– Julia Sosin – przedstawiłam się.

– Wejdzmy, zimno dziś – dziewczyna ruszyła w stronę domu, z którego dochodziło zaciekle ujadanie psa. – Zaraz się uspokoi, po prostu nie lubi obcych. Zamknęłam go w garażu, więc bez obaw.

– Nie boję się psów – zapewniłam ją, chociaż przed rottweilerami miałam jednak pewien respekt.

– Proszę, niech pani wejdzie – dziewczyna wprowadziła mnie do olbrzymiego, pełnego bibelotów salonu i zapytała, czego się napiję.

Poprosiłam o kawę.

– Czarną, bez mleka i cukru.

– Mamuś? Zaparzyłabyś nam dwie kawy?! – krzyknęła. – Chyba nie słyszy... – dodała po chwili.

– Pani Kingo, nieważne. Napiję się w redakcji. Zaczniemy już, szkoda czasu – powiedziałam. – Będę chciała nagrać naszą rozmowę, czy to jakiś problem?

– Nie, skąd – młoda kobieta usiadła w fotelu naprzeciwko mnie i położyła dłonie na kolanach. Włączyłam dyktafon i postawiłam go na niskiej ławie.

– Nie wiem od czego zacząć – zawahała się.

– Od czego pani chce. Mamy sporo czasu, proszę się nie stresować.

Uśmiechnęła się blado i skinęła głową. Chciałam coś dodać, kiedy w pokoju pojawiła się drobna, na oko siedmioletnia blondyneczka.

– Babcia pyta, czy podać ciasto? – zapytała mała.

– Tak, poprosimy. I uciekaj już, mamusia musi porozmawiać z panią dziennikarką.

– Z telewizji? – zainteresowała się dziewczynka.

– Z prasy – uśmiechnęłam się do niej.

– Z czego? – zdziwiło się dziecko.

– Przepraszam – Kinga Kletner wstała i wyprowadziła małą z pokoju. – Idź pomóż babci, dobrze? – poprosiła córkę, zanim wróciła do naszej rozmowy.

– Rozumiem, że w ostatnim czasie nie dostała pani żadnych nowych wieści? Policja nadal milczy? – zapytałam.

– Pani Julio, ja już nie wierzę, że oni jeszcze cokolwiek dla nas robią – powiedziała cicho moja rozmówczyni, a w jej jasnych oczach błysnęły łzy. – Minęło właśnie półtora roku... Umyli ręce, mają bieżące sprawy, zresztą od początku nie ukrywali, że wolą zwalić poszukiwania na berlińską policję, bo przecież było podejrzenie, że właśnie tam Ali wywiózł naszego syna.

– Opowie mi pani o tamtym dniu? – poprosiłam. – Znam sprawę z mediów, przejrzałam większość doniesień prasowych, ale wolałabym usłyszeć to od pani.

– Był koniec lipca, piękny słoneczny dzień. Olaf bawił się w piaskownicy, moja mama siedziała przed domem i czytała książkę. Oliwia bawiła się obok, siedziała z lalką na murku przy pergoli z różami... Ja byłam wtedy w pracy, zresztą z tego, co mówi moja mama, wynika, że to były dosłownie sekundy. Ali podjechał z jakimś znajomym, wyskoczył z samochodu, pchnął furtkę, zawołał naszego syna, a kiedy mały do niego podbiegł, zapakował go do samochodu i odjechał. Nie mieliśmy jeszcze wtedy psa, nie zamykaliśmy bramki w ciągu dnia. Nikt z nas nie podejrzewał, że dojdzie do czegoś takiego. Moja mama strasznie krzyczała, chciała zaalarmować sąsiadów, ale wszyscy byli tamtego dnia w pracy. Powiedziała, że biegła za bmw, dopóki nie zaśląbła, ale przecież nie mogła dogonić auta... Kiedy do mnie zadzwoniła, od razu wezwałam policję. Byliśmy już z Alim po rozwodzie, rozstaliśmy się w gniewie. On wielokrotnie znęcał się nade mną psychicznie i fizycznie, zgłaszałam to policji, ale... – dziewczyna nagle urwała i wytarła łzy. – Rodzice od początku byli przeciwni naszemu ślubowi. Nie wychodzi za Turka, powtarzał mi tato, a mama tylko płakała. Ale ja byłam ślepo zakochana. Zresztą nie sądzę, żeby to była kwestia jego narodowości. Po prostu miałam pecha... Przez ostatnie lata poznałam w sieci mnóstwo Polek, które są szczęśliwe z facetami tureckiego pochodzenia. Po prostu źle trafiłam – powtórzyła Kinga Kletner, wyłamując palce.

– Czyli były mąż, który w tamtym czasie mieszkał już na stałe w Berlinie, podjechał przed pani dom, zawołał pani dziesięcioletniego syna, wsadził nieświadome niebezpieczeństwa dziecko do auta i odjechał w nieznanym kierunku? Usiłowała się pani z nim skontaktować? Z jego rodziną? Znajomymi?

– Nie mieliśmy wielu wspólnych znajomych... Kiedy byliśmy małżeństwem, spotykaliśmy się głównie z zaprzyjaźnionymi parami z sąsiedztwa. Ali nigdy tak do końca nie zaaklimatyzował się w Polsce, a jego rodzina mówi tylko po turecku.

– Nie znają niemieckiego? Przecież od lat mieszkają w Berlinie – zdziwiłam się.

– Trochę znają. Usiłowałam tam dzwonić, pomagała mi koleżanka, która przez kilka lat mieszkała w Hamburgu, ale nie chcieli rozmawiać. Powtarzali, że nie mają pojęcia, o czym mówię. Berlińska policja wielokrotnie sprawdzała ich mieszkanie, ale nie znaleźli nawet śladu Olafa. Ali też się ponoć u nich nie pokazywał, odkąd porwał naszego syna, w co jakoś nie potrafię uwierzyć. Był bardzo mocno związany ze starszymi braćmi i z całą pewnością to oni pomogli mu ukryć dziecko.

– Podejrzewa pani, gdzie w tej chwili może być Olaf? Po tylu apelach w prasie i telewizji, po

nagłośnieniu sprawy... Myśli pani, że pani były mąż jest w Niemczech, czy nadal przetrzymuje go gdzieś w Polsce? – zapytałam.

– Nie wiem – kobieta bezradnie rozłożyła ręce. – Gdybym miała pojęcie, gdzie mogę go szukać, popędziłabym mu na ratunek, ale nie wiem...

– Jak to znosi pani córka? Pamięta brata? Lubi o nim rozmawiać?

– Pamięta, oczywiście, że tak. Ale coraz rzadziej go wspomina... Pamięć dziecka działa chyba inaczej niż nasza. – Lekko wzruszyła ramionami i spojrzała mi prosto w oczy. – Pani Julio, ja muszę go odnaleźć! Błagam panią, niech pani napisze coś, co sprawi, że ktoś zareaguje. Że ludzie otworzą oczy, coś sobie przypomną!

– Napiszę dobry, rzetelny artykuł, pani Kingo – obiecałam.

Nie miałam serca dodać, że sprawa wydawała mi się beznadziejna. Minęło półtora roku odkąd ojciec uprowadził chłopca. Czy były szanse, że dziecko jeszcze się znajdzie? Ale zdarzały się przecież cuda, a ja naprawdę chciałam pomóc zrozpaczonej matce.

– Wie pani, co jest najśmieszniejsze? Kiedy tu wpadł tamtego dnia, nawet nie spojrzał na córkę. W jego kulturze ceni się tylko synowie, a ja w pewien sposób jestem mu za to wdzięczna. Gdyby zabrał mi również Oliwię, nie potrafiłabym chyba żyć... Co nie znaczy, że się o nią nie boję. Czasem śni mi się, że on wraca, wyjmuje ją nocą z łóżeczka i zabiera. Wzięliśmy ze schroniska młodego psa, zamontowaliśmy alarm i zamykamy furtkę na klucz, ale czy to coś da? Czy mogę mieć pewność, że on któregoś dnia nie porwie jej sprzed szkoły, z boiska, z kina? Może tylko się przyczaił, czeka, aż ona podrośnie? Może kręci się tu nadal?

– To małe miasteczko, pani Kingo. Nie sądzę, żeby...

– Pani go nie zna! Nie wie, jaki potrafi być zacięty! Mściwy, wredny, toksyczny! Kiedy poprosiłam go o rozwód, wykrzyczał mi w twarz, że mnie zniszczy. A później zabrał mi dziecko – rozpląkała się żałośnie.

– Przykro mi – szepnęłam.

Chciałam dodać coś jeszcze, kiedy w pokoju pojawiła się starsza szczupła kobieta z ciasno związanymi w kok siwymi włosami.

– Nie płacz, co ci to da? – powiedziała do córki i położyła na ławie dużą drewnianą tacę z talerzem ciasta i dwiema filiżankami kawy. – Niech się pani częstuje – zwróciła się do mnie.

Sięgnęłam po kruchą porcelanową filiżankę z kawą i upiłam kilka łyków gorącego napoju. Kinga Kletner podeszła do okna.

– Był przy mnie przez cały ten czas, kiedy rodziłam Olafa. Widział, jak cierpię, trzymał mnie za rękę, a później mi go zabrał! – powiedziała łamiącym się głosem, a matka podeszła do niej i pogłaskała ją po plecach. – W jakim my świecie żyjemy, skoro ojciec może zabrać matce dziecko i nikogo to nie interesuje?! Przez pewien czas łudziłam się, że coś jednak drgnie, że stanie się cud. Był taki gliniarz z Berlina, Bastian Langer. Przez pierwsze miesiące od porwania Olafa kontaktował się ze mną regularnie, sprawiał wrażenie kogoś, komu zależy na dotarciu do prawdy. Ale czas mijał, nie pojawiał się żaden trop i chyba nawet on się poddał. A ja tu siedzę i czekam...

– On się znajdzie, zobaczysz! – powiedziała starsza kobieta.

– Chciałabym mieć twoją wiarę, mamó – szepnęła.

Wysłałam od nich kwadrans później i pojechałam do redakcji, chcąc na świeżo opisać tę sprawę, jednak chociaż włożyłam w ten artykuł całe swoje serce, nie potrafiłam odegnąć poczucia zniechęcenia. Minęło tyle czasu, a miejsce pobytu chłopca nadal nie było znane. Policja nie wiedziała nawet, czy Ali wywiózł syna z Polski i wrócił do Niemiec, gdzie miał liczną rodzinę, czy ukrywał się z nim zupełnie gdzieś indziej. Jeszcze kilka miesięcy temu sprawę tego porwania wałkowały wszystkie media, a jednak ojcu udało się ukryć syna tak, że do dziś nikt nie wie, gdzie się podziewa Olaf.

Dopiłam przestygłą kawę. Chwilę później znalazłam w sieci zdjęcie chłopca zrobione tuż przed jego uprowadzeniem i wrzuciłam je na Facebooka razem z apelem, że zrozpaczona matka nadal go szuka. Ale chociaż miałam w gronie znajomych grubo ponad trzysta osób, nikt nie zareagował...

W czwartek mojej matce udało się kompletnie mnie zaskoczyć. Kiedy wspomniałam jej, że dzień później robię kolację dla Eryka i jego nowej dziewczyny, byłam pewna, że zjawi się u mnie jako pierwsza. Zawsze musiała się znaleźć w samym centrum rodzinnych zawirowań. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się jednak, że ma inne plany.

– Umówiłam się z kimś akurat na jutro, więc bawcie się dobrze – powiedziała, kiedy do niej zadzwoniłam.

– Z kim? – zdziwiłam się, bo ostatnio nie wspominała o żadnym nowym adoratorze, jak zwykła określać kręcących się wokół niej mężczyzn. – Mamo, jesteś?

– Tak, wybacz. Odłożyłam na moment telefon, bo musiałam zdjąć mleko z gazu. A umówiłam się z wybrakowanym towarem, jak nazywasz klientów mojego biura – rzuciła z przekąsem, chociaż w jej głosie udało mi się wychwycić nutkę rozbawienia.

– O, a coś więcej? – zainteresowałam się, przekładając słuchawkę do drugiej ręki.

– Emerytowany profesor chemii, siedemdziesiąt lat, wysoki i dobrze zbudowany. Przyszedł do mnie z zamiarem znalezienia znacznie młodszej partnerki, najlepiej blondynki przed sześćdziesiątką, ale tak dobrze nam się rozmawiało, że nagle stracił zainteresowanie katalogiem z matrymonialną ofertą pań i zaprosił mnie na kolację. Wybieramy się do tej nowej restauracji w ratuszu, wyobraź sobie – pochwaliła się mama, wyraźnie z siebie zadowolona.

– Brzmi nieźle – przyznałam.

– Nieźle? Brzmi rewelacyjnie! – mama sprawiała wrażenie mocno ożywionej.

– W takim razie baw się dobrze – uśmiechnęłam się. – Mam nadzieję, że facet okaże się ciekawy.

– Też mam taką nadzieję! I oby nie był jakimś skapiradłem, bo tego, jak wiesz, nienawidzę!

– Skoro zabiera cię do Le Carrousel, na pewno nie pożałuje kasy – powiedziałam, krzywiąc się na myśl o pretensjonalnej nazwie lokalu prowadzonego przez siostrę miejscowego radnego. – To jakiś rozwodnik? – zapytałam, a mama przeciągle westchnęła w słuchawkę.

– Wdowiec. Jego żona odeszła sześć lat temu. Tak sobie myślę, że to trochę upiorne żyć przy kimś w cieniu jego zmarłej ukochanej. Zdecydowanie wolałabym rozwodnika, ale...

– Mamo, nie uprzedzaj się, okay? Nawet jeśli kochali się do końca, on nie jest już przecież pogrążony w tym pierwszym bólu. Sześć lat to szmat czasu. Każdy ma prawo ułożyć sobie życie od nowa – weszłam jej w słowo.

– Pewnie tak – matka ponownie westchnęła i dodała, że musi lecieć. – Zaraz jadę do fryzjera! Udanej kolacji. Tylko nie wydrap oczu najnowszej dziewczynie Eryka – rzuciła matka lekkim tonem.

– Kobiecie w ciąży? Nie żartuj! Poczekam, aż urodzi.

– Proszę, proszę! Widzę, że moja starsza córka zaczyna w końcu pokazywać pazurki! – powiedziała wesoło.

– Żartowałam, mamo.

– To się jeszcze okaże. Pa, Juleczko. Muszę lecieć, bo Izydor nie będzie w nieskończoność czekał z balejażem!

– Izydor?

– Mój nowy fryzjer. Nie wspominałam ci o nim?

– Jakoś nie.

– To kiedyś ci opowiem, teraz lecę! – Mama, zwyczajem, który zapożyczyła zapewne od moich córek, cmoknęła w słuchawkę i szybko się rozłączyła.

– Izydor – mruknęłam pod nosem i krzywo się uśmiechnęłam.

Pewnie młody i przystojny, pomyślałam, bo moja matka nie robiła sobie wiele z własnego wieku i nadal z dużym upodobaniem flirtowała z młodymi facetami. Jednak jakoś mi to do niej pasowało, dodawało jej uroku i życiowej energii.

– Maminko, odgrzałaabyś mi trochę zupy?! – krzyknęła Olga z głębi mieszkania, wyrrywając mnie z zamyślenia.

– A czy ty przypadkiem nie nadużywasz mojego dobrego serca? Zdjęli ci już przecież gips! – odkrzyknęłam, a córka, która wpadła do mnie zabrać jakieś swoje rzeczy, dodała, że nie może teraz odejść od komputera.

– Skoro tak... – wyjęłam z szafki niewielki garnek i przelałam do niego połowę wyjętej z lodówki pomidorowej.

Grzejąc zupę, w niczym niezmaconej ciszy pustej kuchni, pomyślałam, że może nie powinnam aż tak córce dogadzać? Latami irytowało mnie wścibstwo i nadopiekuńczość mojej matki, a teraz sama podsuwałam pod nos moim dwudziestokilkuletnim dziewczynom rozmaite przysmaki i rozpieszczałam je do granic możliwości. Tak naprawdę jednak ciężko czasem wyczuć, gdzie przebiega granica pomiędzy zwykłą matczyną troską a nadmiernym angażowaniem się w życie dorosłych dzieci.

– Olga, zjesz w kuchni, czy...

– W pokoju! – wrzasnęła moja księżniczka. – I przynieś mi ją w tej żółtej misce, *please!*

– Co ty właściwie robisz przed tym moim laptopem? – zapytałam, kiedy weszłam do salonu, w którym rozsiadła się Olga z notebookiem na kolanach.

– Siedzę na Facebooku i gadam z Błażem – mruknęła.

– Gadasz z Błażem? Z tym Błażem, który mieszka za ścianą? – parsknęłam śmiechem.

– No tak, a co? Znasz jakiegoś innego? – Wzruszyła ramionami.

– A nie prościej byłoby wyjść z mieszkania, pokonać tych kilka metrów dzielących cię od jego drzwi, zapukać i...

– Mamuś, nieważne! On i tak zaraz musi zniknąć z sieci, bo ma sporo pracy. Dzięki wielkie za zupę! – Olga odłożyła na bok laptop i wzięła ode mnie miskę.

– Wyglądasz na poirytowaną – zauważyłam. – Stało się coś?

– Nie, tylko... No dobra, stało się! Błażej zaprosił mnie na imprezę i naprawdę strasznie się cieszyłam, bo wpadł mi w oko jego kumpel, ale okazało się, że leci akurat do Berlina i go nie będzie – mruknęła Olga.

– Czekał, wróć! Wpadł ci w oko jego kumpel? O kim mowa? – zainteresowałam się, siadając obok niej na sofie.

– Rany, mam! Od razu byś chciała wszystko ze mnie wyciągnąć! To świeża sprawa – odparła moja córka, pochłaniając pomidorową. – Dobra zupa. Robisz lepszą niż babcia – dodała.

– Powiedz to mojej matce prosto w oczy i zobaczymy, jak długo pożyjesz – rzuciłam. – A wracając do tego chłopaka...

– Oj, mam, no! Zaraz, daj mi zjeść!

– Okay, dam ci zjeść. – Uśmiechnęłam się do córki i spojrzałam w okno, za którym zapadł już wczesny zimowy zmierzch. – Znowu sypie – dodałam.

– Pieprzony śnieg – powiedziała moja córka z pełnymi ustami i wymownie się skrzywiła. – Nawet zamszaków nie można włożyć...

– Twoja babcia umówiła się na randkę.

– Też mi nowość. Odkąd prowadzi cały ten matrymonialny cyrk, stale wyrywa jakichś ramoli.

– Olga!

– No co? A jak niby mam tych dziadów nazywać?

– Starsi panowie? – zaproponowałam.

– No sorry, masz rację, jestem nieelegancka. Więc odkąd babcia ma własne biuro, stale umawia się z uroczyimi starszymi panami. Lepiej?

– Też kiedyś będziesz stara – zaśmiałam się, głaszcząc ją po kolanie.

– No może. W dwa tysiące pięćdziesiątym.

– W dwa tysiące pięćdziesiątym może jeszcze nie, ale...

– Mamuś, czy kobieta może zrobić pierwszy krok? – weszła mi w słowo córka, a ja dopiero po chwili załapałam, że pewnie mówi o poderwaniu faceta.

– Może, czemu nie? – Wzruszyłam ramionami. – Waszego ojca to ja sobie upatrzyłam. On początkowo w ogóle nie zwracał na mnie uwagi. Kiedy go poznałam, laził za Aśką Barską, ale kręciłam się koło niego tak regularnie, że w końcu o niej zapomniał.

– No wiem, opowiadałaś mi to już kiedyś, ale chodzi o Olka.

– O Olka, który leci do Berlina?

– Tak, o Olka, najlepszego kumpla Błażeja. Musisz go kojarzyć, bo on tu czasem bywa. Puchowa kurtka w trupie czaszki, długie włosy spięte w taki śmieszny koczek...

– Jak u samuraja?

– No. Znasz go?

– Widywałam go na klatce, a kiedyś wpadłam na niego w mieście i dość długo się zastanawiałam, skąd go kojarzę. Kto by pomyślał, że właśnie w nim się zadurzysz – powiedziałam z uśmiechem, a córka od razu się zjeżyła.

– Nie mówię przecież, że jestem w nim zadurzona! Podoba mi się, to wszystko! To fajny facet, poza tym mamy sporo wspólnego. No i nie ma dziewczyny, bo niedawno rzuciła go jakaś blondyna. Swoją drogą, jaką ciężką trzeba być debilką, żeby zostawić takiego zajebistego chłopaka? – Moja córka odstawiła na ławę miskę po zupie i zapatrzyła się w sypiący za oknem

śnieg. – Czyli mówisz, że mogę do niego zagadać? Wiesz, na Fejsie.

– Jasne, że możesz – powiedziałam.

– No to spoko – mruknęła i sięgnęła po mojego laptopa. – Nie potrzebujesz go teraz? Bo chcę jeszcze...

– Nie potrzebuję – zapewniłam ją.

– Aha, zapomniałabym. Wiesz już, że Matylda wychodzi za Briana? – zapytała Olga, nie odrywając wzroku od monitora. – Okay, widzę, że nie wiesz – córka podniosła w końcu głowę i dodała, że sama wie dopiero od rana. – Wyznaczyli termin na sierpień. Oczywiście ślub tylko cywilny, bo jak się wyraziła Mati, oboje nie są w stanie przebrnąć przez nauki przedmałżeńskie. Wiedziałaś, że gada się tam o owulacji i całej reszcie? To obrzydliwe! Tłumaczą dorosłym kobietom, jak działają ich organizmy! Mają nas za jakieś idiotki, czy co? Jedna moja koleżanka usłyszała niedawno od księdza, że nie może zażywać tabletek, bo to Bóg decyduje, ile dzieci ma urodzić. Czujesz? A jeśli Bóg zdecyduje, że ma wycisnąć z siebie powiedzmy ósemkę, to Wera ma zacisnąć zęby i pokornie się na to zgodzić? Przecież to jest jakaś tragifarsa! Ja z całą pewnością kościelnego brać nie będę! O to też zresztą zawsze się żarliśmy z Adrianem. Jego rodzice są bardzo wierzący i... Mamuś? Co tak siedzisz? Jesteś w szoku?

– Co? Nie – uśmiechnęłam się. – Cieszę się.

– No, ja też! Oczywiście będę druhną! Ale babcia na pewno nie będzie w aż takiej euforii. Matylda prosiła, żeby na razie o niczym jej nie wspominać. Dowie się przed samym ślubem, na tyle wcześniej, żeby zdążyła sobie kupić jakąś kieckę. Musi jakoś wyglądać, skoro jej wnuczka wychodzi za czarnoskórego mężczyznę, nie? – dodała Olga kpiarskim tonem i obie się roześmiałyśmy.

– Nie znoszę tych jej uprzedzeń! Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tak myśli! – powiedziałam, poważniejąc.

– „Polacy rasiści – każdy to powie i nikt tu nie lubi czarny człowiek” – zanuciła Olga. – Pamiętasz ten kawałek o Makumbie?

– Bie Cyc, jasne – przypomniałam sobie, a moja córka znalazła na YouTube piosenkę o zakochanym Afrykańczyku i po chwili wewnątrz mieszkania wypełniła muzyka.

– Wyłączę to, zanim ktoś pomyśli, że robię sobie jakieś jaja z przyszłego szwagra – zdecydowała chwilę później. – Maminko, tylko nie dzwoń na razie do Matyldy, okay? Pewnie na dniach sama ci o wszystkim powie – poprosiła.

– Nie zadzwonię – obiecałam.

– Dobra, to ja się będę zbierać. – Olga wystukała kilka ostatnich zdań do mojego sąsiada, wylogowała się z Facebooka, odłożyła laptopa na ławę i dodała, że nie będzie jej na jutrzejszej kolacji. – Nie pogniewasz się, mam nadzieję? No i że tato nie będzie zły... Umówiłam się na jutro z dziewczynami z fitnessu i idziemy na sushi. Ale Matylda z Brianem na pewno będą! Myślę, że właśnie jutro będą ci chcieli powiedzieć o ślubie, więc błagam, udawaj mocno zaskoczoną!

– Wespnę się na wyżyny mojego marnego aktorstwa – mruknęłam, a Olga pocałowała mnie w policzek i dodała, że niebawem zadzwoni.

– Pa, mamuś! Miłego wieczoru! – powiedziała, zapinając sweter.

– Gdybyś zmieniała zdanie w kwestii jutrzejszej kolacji...

– Nie ma takiej opcji. Sushi z dziewczynami zawsze wygrywa! – weszła mi w słowo i chwilę później była już w korytarzu.

– Pamiętaj o kwiatku! – krzyknęłam, bo córka w drodze do mnie kupiła małą, egzotyczną roślinę.

– O matko, dzięki! – Córka, która oczywiście zapomniała o nieszczęsnym anturium, wróciła po nie do salonu. – Pa, maminko! I pamiętaj, jutro grasz totalnie zaskoczona!

– Obiecuję – zapewniłam ją radośnie.

Chwilę później trzasnęły frontowe drzwi i w mieszkaniu zapadła cisza. Nie na długo jednak, bo niebawem z korytarza doszedł kokieteryjny śmiech mojej córki i rozbawiony głos Błażeja, którego młoda musiała na moment wyciągnąć z mieszkania. A miał ponoć tyle pracy – uśmiechnęłam się pod nosem, zabierając z ławy miskę po pomidorowej, którą oczywiście Olga beztrudnie tam porzuciła. Tak, zdecydowanie rozpieściłam córki, zwłaszcza tę młodszą. Ale czy nie od tego ma się właśnie matka? Moja nigdy nie była dla mnie zbyt łagodna, o co przez wiele lat miałam do niej żal. Może dlatego robiłam wszystko, żeby moje dziewczyny czuły się kochane?

Doprawiałam właśnie sałatkę, kiedy odezwał się dzwonek. Ściągnęłam więc stary kuchenny fartuch w bananowe kiście, odstawiłam młynek do pieprzu i w locie zerknęłam w lustro w przedpokoju i otworzyłam frontowe drzwi.

– Cześć, mamuś! – Matylda podała mi bukiet kolorowych róż, wśród których złościły się czekoladki Ferrero.

– Jaki cudny! – zachwyciłam się. – W życiu bym na to nie wpadła, żeby wkomponować słodczyce w kwiaty.

– Moja dawna przyjaciółka założyła właśnie z siostrą kwiaciarnię. Robią niesamowite wiązańki, naprawdę warto do nich zaglądać – powiedziała moja starsza córka.

– Piękny, dziękuję! Wchodźcie! – zachęciłam ich i wzięłam od Matyldy kurtkę.

– Cześć, Julia. – Brian, ubrany w elegancki garnitur, pocałował mnie w oba policzki i odwiesił swój płaszcz na wieszak.

– Cześć, chłopaku! A Kamila gdzie? – zapytałam.

– Podrzuciliśmy ją do sąsiadki. Jej dzieciaki dostały właśnie nowe Duplo i zaproponowała, że się nią zajmie – wyjaśniła moja córka, ściągając buty.

– Ale nic na darmo. My pilnujemy jej Eweliny niedługo – powiedział Brian swoją rozbrajająco łamaną polszczyzną.

– Nic za darmo, *honey* – poprawiła go moja córka. – Na darmo ma zupełnie inne znaczenie.

– Serio? – zdziwił się.

– Serio. Ale błagam, nie każ mi tego teraz tłumaczyć – parsknęła śmiechem Matylda. – Pomóc ci w czymś, mamu? – zapytała, kiedy weszliśmy do salonu.

– Nie, prawie wszystko już gotowe.

– A tato gdzie? Jako gość honorowy powinien się już chyba zjawić? – moja córka usiadła za stołem i poprawiła stojący na środku wazonik.

– Będą za jakiś kwadrans, przed chwilą dzwonił.

– Poznałaś już tę jego pannę? – zapytała Matylda z dość dziwnym przekąsem.

– Nie.

– Ja wybielił sobie niedawno tam zęby – pochwalił się Brian, siadając obok Matyldy.

– Ty zawsze miał białe – odpowiedziała mu, kalecząc ojczysty język.

– Nie mów tak do niego, bo nigdy się nie nauczy mówić poprawnie – zbeształam ją, a ona swoim zwyczajem wywróciła oczami.

– I co z tego? Między sobą i tak głównie rozmawiamy po angielsku. Ja w końcu potrzebuję korepetycji od seksownego *native speaker* – zażartowała.

– A Kamila będzie dwujęzyczna – wtrącił Brian.

– Dwujęzyczna – poprawiłam go odruchowo, a Matylda momentalnie przytaknęła.

– Uwielbiam, kiedy mówisz po polsku. – Matylda pogłaskała Briana po karku. – Teraz? – szepnęła i wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Co teraz? – zapytałam.

– Nic, później ci powiemy – powiedziała cicho Matylda i domyśliłam się, że czekają na Eryka, żeby ogłosić wieści o swoim ślubie.

Potruchtałam więc do kuchni, mając nadzieję, że nie zdradziłam się, że już wiem, a córka pojawiła się przy mnie chwilę później.

– Myślę ostatnio o drugim dziecku – powiedziała.

– Żartujesz? Fantastycznie! – ucieszyłam się na myśl o kolejnej wnuczce bądź wnuku. – Ale chyba nie jesteś...

– Nie, skąd. Ale już bym chciała – córka przysiadła na kuchennym taborecie i podkrađła z patery jedno z orzechowych ciastek. – W takim układzie po trzydziestce mogłabym pomyśleć o stałej pracy, albo rozkręceniu czegoś swojego. Nie ma co zwlekać – dodała.

– Cieszę się – powiedziałam. – Bardzo!

– Brian też się cieszy – uśmiechnęła się Matylda. – Mamuś, miałam z tym poczekać na tatę, ale powiem ci teraz. Zaklepaliliśmy sobie termin w urzędzie stanu cywilnego, więc pierwsza sobota sierpnia jest nasza! – dodała i z niedowierzaniem pokiwała głową. – Co? Już wiesz? Cholera, już wiedziałaś, prawda?! Smarkata ci wygadała, chociaż miała siedzieć cicho!

– No wiem już, Olga mi powiedziała – przyznałam. – Wczoraj obiecałam jej, że będę przed tobą udawać zaskoczoną, ale widać moje zdolności aktorskie są znacznie bardziej zenujące niż mogłabym przypuszczać – parsknęłam śmiechem i podeszłam do córki, którą spontanicznie objęłam. – Gratuluję, kochanie. Bądźcie szczęśliwi!

– Dzięki, mamuś – Matylda pogłaskała mnie po plecach i dodała, że rodzice Briana też bardzo się cieszą. – Aha, i masz pozdrowienia! Było im głupio, że nie znaleźli czasu, żeby się z tobą spotkać i kazali przekazać, że wiosną czekają na ciebie w Londynie! Mogłabyś lecieć z cicią Iloną. Spędziłybyście razem trochę czasu, na pewno byłoby fajnie. Rezerwuj bilety, będzie taniej!

– A wiesz, że to niezły pomysł? Ilona pewnie by się ucieszyła – powiedziałam.

Chwilę później ktoś zadzwonił do drzwi.

– Ja otwieram! – krzyknął Brian, a my z Matyldą wymieniliśmy rozbawione spojrzenia.

– Skoro on otwiera, zdążę jeszcze przyprószyć ciastka cukrem pudrem – powiedziałam. – Podaj mi to małe sitko, córciu. Jest w pierwszej szufladzie od okna.

– Proszę. – Córka wręczyła mi sitko i szepnęła, że idzie się przywitać z ojcem.

– Też zaraz do was dołączę – obiecałam.

Eryk zjawił się w kuchni, kiedy kończyłam posypywać ciastka cukrem.

– Cześć, Jula. – Pocałował mnie w policzek i wręczył mi moje ulubione wiśnie w czekoladzie.

– Hej. Dziękuję, uwielbiam je – uśmiechnęłam się, biorąc od niego pralinki.

– Chodź, przedstawię ci Jagodę. – Eryk ujął mnie za łokieć i pociągnął w stronę przedpokoju.

Idąc za nim, poczułam lekkie ukłucie niepokoju. Miałam co do niej mieszanie uczucia, liczyłam jednak na to, że się polubimy. W końcu, pomimo tego, że Eryk będzie miał z inną dziecko, nadal jest przecież częścią mojej rodziny, a relacje między nami wszystkimi powinny być dobre.

Stała przy drzwiach, nadal w eleganckim wiśniowym płaszczu, z gładko upiętymi ciemnymi włosami.

– Dzień dobry, pani Julio. – Uśmiechnęła się i wręczyła mi bukiet maleńkich kolorowych róż.

– Mówmy sobie po imieniu – zaproponowałam, bo ta „pani Julia” aż mnie zmroziła.

Nie byłam chyba aż tak stara? A może zrobiła to celowo, żeby złośliwie podkreślić dzielącą nas różnicę wieku? – zastanawiałam się, kiedy z pomocą Eryka ściągała płaszcz. Nie, chyba nie. Nie zrobiłaby mi takiego afrontu zaraz na wejściu – pomyślałam.

W salonie, kiedy rozmawiała z Brianem o Londynie, mimowolnie zerknęłam na jej brzuch i zdałam sobie sprawę, że to nie była wczesna ciąża. Na moje oko dziewczyna Eryka była już w jakimś piątym, może nawet szóstym miesiącu i wyglądało na to, że mój były mąż czekał do ostatniej chwili, żeby poinformować mnie o jej stanie...

– Mamo, gdzie są te kryształowe kieliszki? Tato przyniósł dobre wino. – Głos Matylda wyrwał mnie z zamyślenia.

– W kuchni. Przełożyłam je do kredensu – powiedziałam. – Czeka, pójdę z tobą. Trzeba podawać schab.

– Ten ze śliwkami? Babcia by się załamała, gdyby wiedziała. Uwielbia go – uśmiechnęła się Matylda.

– Twoja babcia je dziś kolację w naprawdę wykwintnej restauracji, więc na pewno znajdzie na talerzu coś równie dobrego – powiedziałam, otwierając kredens.

– No słyszałam, słyszałam. Wyjąć już to mięso? – zapytała córka, zerkając do piekarnika.

– Wyjmij. Pokroję i rozłożę je na talerze.

– Przepraszam, może w czymś pomogę? – Jagoda pojawiła się w kuchni, kiedy kroiłam pieczeń.

– Radzimy sobie, ale dzięki – uśmiechnęła się do niej Matylda.

– Słyszałam, że jesteś dziennikarką? – Jagoda stanęła przy oknie i oparła się o parapet.

– Tak – powiedziałam, nie wdając się w szczegóły i w kuchni zapadła nieco krępująca cisza.

Powinnam być dla niej miłsza – pomyślałam, jednak nie potrafiłam się przełamać. Może dlatego, że dziewczyna Eryka traktowała mnie z wyraźną rezerwą połączoną z irytującym szacunkiem, jaki okazuje się osobom znacznie starszym od siebie. A przecież była zaledwie dwanaście lat ode mnie młodsza! Nie dzieliło nas nawet jedno pokolenie, do cholery!

– Mamuś, zobacz! Olga wysłała mi esemesa – Matylda podsunęła mi pod nos swoją komórkę i zerknęłam na fotkę roześmianej młodszej córki siedzącej nad sushi.

– Ja pomagać w cokolwiek? – zapytał Brian, który zjawił się w kuchni.

– Weź już te talerze, zanim wszystko wystygnie – poprosiła Matylda.

– Mówiłaś Julii? – zapytał.

– Mówiła – uśmiechnęłam się. – Gratuluję wam obojgu – podeszłam do przyszłego zięcia i przytuliłam go.

– Pobieracie się? – zapytała Jagoda.

– Tak – powiedziała Matylda. – A wy kiedy? – zapytała i dziewczyna wyraźnie się zmieszała.

– My na razie... – zaczęła.

– Nie planujemy ślubu – powiedział Eryk, stając w kuchennych drzwiach.

– Czemu? – zdziwiłam się.

– Tak postanowiliśmy – uciął dyskusję mój były mąż, zauważyłam jednak, że jego dziewczynie zrobiło się przykro.

Cóż... W końcu żadna kobieta nie byłaby zachwycona tak definitywnym zanegowaniem jakichkolwiek matrymonialnych planów. I to w obecności ludzi, których pierwszy raz widziała na oczy – pomyślałam, tymczasem moja córka zabrała do salonu resztę talerzy z pieczenią i po chwili zasiedliśmy do stołu.

– Zepsuła nam się pralka i to jak na złość akurat teraz, przed samym wyjazdem! – powiedziała Matylda z pełnymi ustami. – I zastanawiamy się, kto poniesie koszty naprawy? My, jako najemcy? Czy właścicielka?

– Sprawdź w umowie, na pewno jest... – Eryk nie dokończył, bo ktoś zadzwonił do drzwi. – Zapraszałaś kogoś jeszcze? Wspominałaś coś o tym sąsiedzie...

– Nie, Błażej ma dziś gości u siebie. Nie mam pojęcia, kto to – przyznałam, wstając.

– Ja otwieram! – Brian poderwał się zza stołu i poszedł do przedpokoju.

Chwilę później usłyszałam głośny, podekscytowany głos matki, która paplała coś o nieudanej randce.

Wstałam i przeszłam do korytarza.

– Mamo? Co się dzieje? Nie miałaś być teraz na spotkaniu? – zapytałam, biorąc od niej futro.

– No i byłam! Tyle że nawet kolacji nie zjadłam, bo nie było gdzie!

– A nie mieliście przypadkiem iść do Le Carrousel? – zdziwiłam się.

– No i poszliśmy! A na miejscu się okazało, że nie mamy rezerwacji! Co za mężczyzna zaprasza kobietę na kolację i nie myśli o czymś takim?! Zaproponowali nam dwuosobowy stół dosłownie pod drzwiami do toalety, więc powiedziałam, że nie zamierzam jeść w takim miejscu i wyszłam!

– Wyszłaś? W sensie zostawiłaś tam faceta i...

– Oczywiście, że go zostawiłam! A co innego mogłabym zrobić? – obruszyła się matka. – Zaprasza elegancką kobietę do Le Carrousel i nie wie, że trzeba zarezerwować stół? Ja się z kimś takim spotykać nie zamierzam! Coś świetnie pachnie! Czy to schab? – Moja rodzicielka cisnęła futro na fotel przy drzwiach, poprawiła włosy przed lustrem i ruszyła w stronę salonu.

– Eryk! – ucieszyła się na widok swojego byłego zięcia, za to jego dziewczynę zmierzyła raczej mało sympatycznym spojrzeniem.

– Siadaj, mamo – podsunęłam jej krzesło, na które opadła z głębokim westchnieniem, jakby miała za sobą nie tylko nieudaną randkę, ale naprawdę koszmarny dzień.

– Poznajcie się. To jest Jagoda, a to mama Julii, moja była teściowa – powiedział Eryk, a moja matka się skrzywiła.

– Paskudne słowo! Nigdy nie lubiłam być teściową! – mruknęła.

– Przyniosę ci mięso. Mam nadzieję, że nie wystygło – powiedziałam, tymczasem Jagoda, wyraźnie zażenowana skupioną na niej uwagą, z zaczerwienionymi z emocji policzkami, wykrztusiła jakieś powitanie.

– Och, pani jest w ciąży? – rzuciła moja matka i dziewczyna jeszcze mocniej poczerwieniała.

– Wybacz, nie miałam kiedy ci powiedzieć – mruknęłam.

– Czyli szykuje się wesele? – zapytała moja rodzicielka raczej kwaśnym tonem.

– Nie zamierzamy się pobierać – powtórzył Eryk drugi raz tego wieczoru, a Jagoda, najwyraźniej chcąc zmienić temat, dodała, że przy stole siedzi za to inna panna młoda.

– Jaka panna młoda? – zdziwiła się moja matka. – No bo chyba nie... – Zrozumiała dopiero po chwili i nagle przy stole zapadła martwa cisza. – Ślub? – wycedziła w końcu.

– Tak, babciu. I bardzo cię proszę, zastanów się dwa razy, zanim cokolwiek dodasz – powiedziała cicho Matylda.

– Jezu Chryste – moja matka wyglądała na tak zdruzgotaną, że aż mi skoczyło ciśnienie.

– Nikt nie umarł, mamó – syknęłam.

– Masz już sukienkę? – zapytała Matyldę Jagoda, chcąc jakoś uratować sytuację.

– Czemu nikt mi nie powiedział, że moja wnuczka wychodzi za mąż?! – zapytała moja matka ostrym tonem. – Wszyscy wiedzą, tylko nie ja?!

– Mamó, proszę cię, przestań... – zaczęłam, ale w nią jakby coś wstąpiło.

– Będiesz żałować tej decyzji szybciej, niż ci się wydaje – zwróciła się do Matyldy, która zbladła i odsunęła na bok talerz z niedojedzoną pieczęcią.

– Chodźmy stąd, Brian. Nie musimy tego słuchać – powiedziała moja córka, wstając.

– Mati, usiądź. Nie róbmy afery. Znasz babcię i wiesz, że czasem...

– Afery?! – uniosła się moja matka, wchodząc mi w słowo. – Ja robię aferę?! Ja jedna z was wszystkich widzę, że to małżeństwo nie ma przyszłości, a wy...

– Czemu, babciu?! Czemu to akurat my nie mamy szansy na szczęście?! – krzyknęła Matylda łamiącym się głosem.

– Proponuję, żebyśmy powściągnęli emocje – wtrącił Eryk, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Brian wstał, objął roztrzęsioną Matyldę, podziękował mi za kolację i trzymając się za ręce wyszli do przedpokoju.

Poszłam za nimi i mocno objęłam córkę.

– Nie słuchaj tego, co ona wygaduje – powiedziałam cicho.

– Jasne, nie słuchaj! Julia też całe życie mnie nie słuchała i zobacz, jak skończyła! – usłyszałam dochodzący z salonu głos matki.

– Jak skończyłam, mamó?! – krzyknęłam, do reszty wytrącona z równowagi.

– Samotnie – odpowiedziała moja matka zaskakująco lekkim tonem.

– Zamknij się, stara wrono – szepnęła Matylda, w pośpiechu zakładając kurtkę. – Sorry, mamo, ale jeśli teraz stąd nie wyjdę, zaczniesz fruwać porcelana! – dodała znacznie głośniej.

– Talerzami to dopiero po ślubie zaczniesz rzucać! – odpowiedziała jej z salonu moja matka.

– Chryste! Czy możesz się już przymknąć, mamo?! – wrzasnęłam i zatrzasnęłam drzwi od pokoju.

– Super, po prostu bosko! – skrzywiła się Matylda. – Jagoda z nerwów wyląduje pewnie zaraz na patologii ciąży... Trzymaj się, mamo. I sorry, że tak naskoczyłam na babcię, ale ja od dawna nie potrafię z nią rozmawiać.

– To ja was przepraszam. Zepsuła wieczór nam wszystkim i szybko jej tego nie zapomnę! Brian, przykro mi, naprawdę – powiedziałam ze łzami w oczach.

– Nie przejmujesz się w ogóle. A ja i tak się żenię z twoją córką – odpowiedział, zanim otworzył frontowe drzwi.

– Zadzwoń do mnie wieczorem – poprosiłam Matyldę.

– Zadzwonię – obiecała.

Do salonu wróciłam chwilę później i w przeraźliwej ciszy, która panowała w pokoju, usiadłam przy pięknie nakrytym stole.

– Jesteś z siebie zadowolona, mamo?! – zapytałam.

– Oczywiście! Ktoś musiał jej w końcu powiedzieć prawdę – wzruszyła ramionami moja matka. – Raz się już przecież rozwiodła, a teraz znowu popełnia błąd – dodała kąśliwym tonem, a mnie przypomniała się mistrzowska rola Meryl Streep i film „Sierpień w hrabstwie Osage” – ten sam klimat przy rodzinnym stole i takie samo zachowanie seniorki rodu, która nie bacząc na emocje innych, w naprawdę szokujący sposób rani dorosłe dzieci...

– Wybaczcie, ale my też będziemy się zbierać. Jagoda marnie się dziś czuje – powiedział Eryk.

– Odprowadzę was do drzwi – zdecydowałam, w żaden sposób nie starając się ich zatrzymać.

Wieczór i tak był już nie do uratowania, a ja chciałam tylko zmyć makijaż, wziąć gorącą kąpiel i dać upust cisnącym się do oczu łzom.

– Przykro mi, że tak wyszło, Julia – powiedział Eryk, kiedy we trójkę wyszliśmy z pokoju, zostawiając za stołem moją wyraźnie z siebie zadowoloną matkę, która naląła sobie właśnie wina i jak gdyby nigdy nic zabrała się za ciasto.

– Mnie również – powiedziałam. – Mam nadzieję, że następnym razem uda nam się chociaż dokończyć kolację – dodałam, a Jagoda posłała mi blade uśmiech.

– Oczywiście teraz my zapraszamy – zapewniła mnie, ale czułam, że prędko się tego zaproszenia nie doczekam.

Nie chodziło nawet o to, że się nie polubiłyśmy. Po prostu obie czułyśmy się w swoim towarzystwie spięte, a szokująca scena, jaką urządziła przy stole moja matka, bynajmniej nie pomogła w przełamaniu lodów...

– Trzymaj się, Juleczko. – Eryk pocałował mnie w oba policzki i dodał, że zaraz po powrocie do domu zadzwoni do Matyldy. – Musi się czuć koszmarnie – skrzywił się i z niechęcią spojrział

w stronę uchylonych drzwi od salonu, za którymi czaiła się moja matka.

– Koszmarnie to mało powiedziane. Wyobrażasz sobie coś takiego? Przyszli tu dzisiaj tacy radośni, a ona... Kurwa mać, jak można wyciąć taki numer własnej wnuczce? – powiedziałam na klatce, na którą wyszłam za gośćmi.

– Pogadamy kiedy indziej, okay? Zadzwoń. Uważaj na siebie – dodał Eryk i objął Jagodę, która stojąc w milczeniu, zapinała płaszcz.

– Do widzenia, Julio. – Jego dziewczyna, znacznie bardziej oficjalna, skinęła mi jedynie głową i z malującą się na twarzy ulgą ruszyła w stronę schodów.

Wzięłam kilka głębszych oddechów, zamknęłam za nimi frontowe drzwi, wróciłam do salonu i usiadłam za stołem, naprzeciwko matki.

– Czemu, mamó? – zapytałam cicho. – Czemu zepsułaś mojej córce wieczór, w którym powiedziała mi o swoim ślubie?

– Przecież już ci mówiłam. To nie jest kandydat dla niej. – Matka ponownie obojętnie wzruszyła ramionami i zerknęła na wyświetlacz swojej komórki. – Wiesz, że on ma czelność pytać, czy dam mu jeszcze jedną szansę? Po całym tym blamażu w Le Carrousel! – roześmiała się, a ja nagle poczułam złość na tego Bogu ducha winnego mężczyznę, któremu nie przyszło do głowy, żeby zrobić rezerwację.

Gdyby o tym pomyślał, moja matka wdzięczyłaby się pewnie teraz do niego, zamiast zadrećcać swoim towarzystwem mnie...

– Nie podoba mi się ta dziewczucha – powiedziała chwilę później. – Przecież to widać gołym okiem, że ona leci na kasę Eryka! Tyle lat młodsza i jeszcze ta niespodziewana ciąża... – dodała.

Na szczęście i chyba jakimś cudem, bo zazwyczaj miała dobre oko do twarzy, nie rozpoznała w niej recepcjonistki Eryka, bo dopiero musiałabym się nasłuchać...

– Idę pod prysznic – powiedziałam, nie wdając się w dalszą dyskusję.

– Rozumiem, że już po przyjęciu? – rzuciła moja matka.

– To nie było przyjęcie, mamó! To miała być miła, skromna i kameralna kolacja! I taka była, dopóki nie zwałaś się nam na głowy razem ze swoimi życiowymi mądrościami! – krzyknęłam.

– Jasne, obwiniaj mnie, ale pamiętaj, Matylda niebawem przyjdzie do ciebie z płaczem! Ja ci dobrze radzę, wybij jej ten ślub z głowy, jeszcze nie jest za późno. Przecież ona nie...

– Nie chcę tego słuchać! – wycedziłam. – A ty możesz być pewna, że zaproszenia na wesele nie dostaniesz! – dodałam, po czym nalałam sobie wina, wypiliśmy cały kieliszek i nie oglądając się za siebie wyszłam z pokoju. – Bądź tak miła i wyjdź, kiedy będę się kąpać – powiedziałam jeszcze, zanim zamknęłam się w łazience.

Matka nie odpowiedziała, zresztą pewnie i tak niczego bym nie usłyszała poprzez szum odkręconej wody.

Kwadrans później, w szlafroku i turbanie z ręcznika na głowie, zajrzałam do salonu, ale matki już nie było. I chociaż przez chwilę zrobiło mi się smutno na myśl, że samotnie wyszłam i wróciłam do siebie, to na wspomnienie łez w oczach mojej Matyldy szybko zapomniałam o współczuciu dla niej. Zawsze była trudna, wiem. Zawsze wszystko miało być tak, jak chciała ona, albo wpadała w szal. Zarówno moja siostra, jak i ja, latami wysłuchiwałyśmy jej porad, które kompletnie nie współgrały z naszymi planami i marzeniami, ale dzisiaj przeszła samą siebie.

Dzisiaj, obrażając przy moim stole moją córkę, zadarła również ze mną! Jak mogła tak się zachować?! Obrazić Briana, zrobić taką żenującą scenę w obecności Jagody?! Nie mieściło mi się to w głowie! Jedno było pewne. Matylda szybko jej tego nie wybaczy. Jej relacje z moją matką od dawna były trudne, ale teraz pewnie nieprędko się do siebie odezwą. Moja matka zawsze twierdzi, że chce dla nas dobrze. Ale czy takie nachalne ingerowanie w czyjeś decyzje może być dobre? – zastanawiałam się, susząc włosy.

Zbierałam talerze z niedojedzoną pieczenią, kiedy przyszedł esemes od Eryka. *Nie dołuj się dziś, okay?* – napisał.

– Nie dołuj się – szepnęłam, odkładając telefon.

Łatwo powiedzieć...

Matka zaczęła do mnie wydzwaniać kilka minut przed dwudziestą pierwszą, jednak tym razem nie odebrałam. Nawet jeśli coś się stało i czegoś ode mnie chciała, nie potrafiłam tego wieczoru normalnie z nią rozmawiać. W końcu odpuściła, a ja z niekłamaną ulgą wyłączyłam telefon.

Stefan, dasz mi kluczyki? Chcę jechać pod miasto, pogadać z Wandą Rostowską – poprosiłam naczelnego, który ze złością minął tkwił za swoim zabałaganionym biurkiem – dzień wcześniej dopadła go rwa kulszowa i wyglądał jak obraz nędzy i rozpacz. – Czemu ty po prostu nie pojedziesz do domu? – zapytałam, przysiadając na jedynym niezawalonym papierami krześle.

– Jak mam jechać, skoro zabierasz mi auto? – mruknął.

– Mogę cię podrzucić – zaproponowałam. – A samochód oddam ci wieczorem.

– Mówisz? – Stefan momentalnie się ożywił, stęknął, poderwał się zza biurka i od razu pochylił z grymasem bólu na twarzy.

– Kurewska rwa – warknął.

Rzadko słyszałam, żeby tak otwarcie klął, więc musiało go naprawdę boleć.

– Zażyłeś coś? – zapytałam, kiedy zakładał kurtkę.

– Tak. I jak widzisz, nie pomogło.

– Może powinieneś jechać do przychodni? – zasugerowałam. – A jeśli to nie rwa? Może to coś poważniejszego?

– Julia, cenię wszelkie twoje rady, ale w lekarza rodzinnego może się nie baw. – Król, już w kurtce, z szyją owiniętą szalem, wyłączył swój komputer i ruszył w stronę drzwi. – Chodź, zanim ktoś nas zatrzyma! – ponaglił mnie.

– Słuchaj, wielokrotnie usiłowałam się dodzwonić do tego nauczyciela, który porzucił na mrozie szczeniaka, ale facet konsekwentnie nie odbierał. Nagrałam mu się więc na sekretarkę, prosząc o rozmowę i odpisał mi esemesem – powiedziałam w drodze do samochodu.

– O, a co konkretnie? – zapytał mój naczelnny.

– Cóż... Polecił mi, żebym się odpierdoliła.

– Serio, tak napisał? Niezbyt sprytnie z jego strony – mruknął Król. – I taki burak dzieci uczy...

– Czekaj, to jeszcze nie koniec. Dwie godziny później jednak do mnie zadzwonił.

– Żartujesz? – Stefan otworzył auto i podał mi kluczyki. – Co powiedział? Chce pogadać?

– Nie. Nie zgadza się na rozmowę z prasą, ale bardzo przeprosił za esemesa. Ponoć, w nerwach, wysłała go jego żona. Kolesi twierdzi, że dostają mnóstwo nieprzyjemnych wiadomości i nękają ich dziennikarze.

– I niby ona wysłała to z jego telefonu? Co się porobiło z tym światem? Tyle lat jestem żonaty, a nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby przejrzeć komórkę Aliny. – Stefek z niedowierzaniem pokręcił głową i wszedł do swojego samochodu.

Dziesięć minut później zatrzymałam się przed niewielkim parterowym domem i obiecałam, że wieczorem wpadnę, żeby oddać mu auto i kluczyki.

– Tylko bez żadnych numerów, Julia! Bo jeśli jutro będę musiał zaiwaniać do redakcji pieszo...

– Stefek, czy kiedykolwiek ci tego gruchota nie oddałam? – mruknęłam.

Nie odpowiedział.

Wysiadł, pomachał mi i wyraźnie kulejąc, ruszył w stronę furtki. Zawróciłam w wąskiej uliczce, zjechałam na chodnik i otworzyłam schowek, w którym Stefan trzymał ostatnio tylko trzy płyty – najnowszy album Stinga, Laurę Pergolizzi i Roda Stewarta. Wybrałam LP i nucąc *Lost On You* przekręciłam kluczyk w stacyjce. Kilka minut później, mijając stację benzynową, zdecydowałam, że zatankuję. Od lat używaliśmy tego auta wspólnie, dlatego regularnie dolewałam Królowi do baku. Sięgając po pistolet, przypominałam sobie historię młodego chłopaka zatrutego niedawno oparami benzyny w garażu jego ojca i lekko się wzdygnęłam. Dziewiętnastolatek zmarł, a reportaż o tej sprawie był jednym z najdramatyczniejszych, jakie kiedykolwiek napisałam.

– Mamo, możesz rozmawiać? – Olga zadzwoniła, kiedy czekałam w kolejce do kasy.

– Nie bardzo. Co się dzieje, córciu?

– A nic, tylko pomyślałam, że może do mnie wpadniesz? Nie umiem wyprasować tej nowej bluzki, poza tym...

– Nie dzisiaj, kochanie. Przykro mi – powiedziałam, bo stara ja pognałaby pewnie od razu na ratunek córce, ale moje nowe wcielenie uczyło się właśnie mówić „nie”.

– Szkoda – jęknęła wyraźnie zawiedziona Olga, ale nie zamierzałam mieć wyrzutów sumienia.

Nie do moich obowiązków należało w końcu prasowanie jej bluzek i nawet jeśli do tej pory robiłam to często i z własnej, nieprzymuszonej woli, pomagając zarówno jej, jak i Matyldzie, to właśnie mi się znudziło – pomyślałam, podając zmięty banknot młodemu chłopakowi za kasą.

Kilka minut później zaparkowałam przed dużym zaniedbanym domem z szarych pustaków, wokół którego poniewierały się połamane deski i zalegał gruz. Kobieta po sześćdziesiątce, która czekała na mnie przed budynkiem, paliła papierosa – w narzuconej na ramiona puchowej kurtce, z byle jak spiętymi siwymi włosami, wyglądała na przygnębioną i zmęczoną życiem.

– Niech pani wchodzi, furтка jest otwarta! – krzyknęła.

Weszłam do ogrodu i ostrożnie stąpając po krzywym, zrobionym z płytek chodniku, ruszyłam w jej stronę.

– Przepraszam za spóźnienie, pani Wando. Musiałam jeszcze podrzucić kogoś do domu – powiedziałam.

– Nie pali się przecież. – Rostowska machnęła ręką, ostatni raz zaciągnęła się papierosem i pchnęła przymknięte, frontowe drzwi. – Niech pani wejdzie, pani redaktor – powiedziała.

– Proszę mi mówić po imieniu. Jestem Julia – powiedziałam pogodnie.

– Julia... Jak moja córka – mruknęła, a ja dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że faktycznie mamy tak samo na imię. – Napije się pani czegoś?

– Może gorącej herbaty – poprosiłam. – Chłodno dziś...

– Chłodno? Ziąb, jakiego dawno nie było – starsza kobieta postawiła na maszynie czerwony emaliowany czajnik w białe kwiaty i usiadła za stołem.

– Jak dzieciaki? – zapytałam, a ona lekko wzruszyła ramionami.

– Dobrze. Majka dostała niedawno szóstkę z polskiego, Oleńka miała zapalenie gardła, ale już z tego wyszła, a Bartka wozi na rehabilitację mój kuzyn. Dobry człowiek, mało już teraz takich – powiedziała Rostowska.

– Córka się do pani odzywa? – zapytałam, a ona wymownie się skrzywiła.

– Dzwoniła na święta, ale kiedy odebrałam, to się rozłączyła. Odezwała się dopiero, kiedy Bartek dopadł telefonu. No, ale co mi z tego, skoro wracać do Polski nie zamierza? Pieniądzy też już mi nie wysyła, mówi, że na razie ma swoje własne wydatki. Porzuciła czwórkę dzieciaków i po świecie fruwa! Włocha sobie znalazła, zamiast o rodzinie myśleć! – W oczach starszej kobiety pojawiły się łzy. – Zięc to mnie jeszcze kilka miesięcy temu jakoś wspierał, ale w końcu się rozpił i wyniósł do tej rozwiedzionej fryzjerki, a na mojej głowie wszystko! Gdyby jeszcze pieniądze były, tobym nie narzekała, ale czasem to i z tydzień na ziemniakach i chlebie z margaryną żyjemy – pożaliła się kobieta.

– No niech babcia nie przesadza, źle nie jest – chwilę później do niewielkiej kuchni wjechał nastoletni chłopak na wózku.

– Cześć, Bartek. – Uśmiechnęłam się do niego, bo świetnie go pamiętałam z mojej poprzedniej wizyty.

Pisałam wtedy o ich dramatycznej sytuacji finansowej do lokalnego internetowego portalu z wiadomościami – dorabiałam tam czasem do pensji, wysyłając im krótkie artykuły o życiu regionu.

Bartłomiej skinął mi głową i zapytał babkę, czy pożyczy mu komórkę.

– Bierz, tylko nie gadaj za długo. – Kobieta podała mu podniszczony, wyglądający na przedpotopowy telefon i dodała, żeby zajrzał do sióstr.

– Pani Wando, nie mam dziś za wiele czasu, ale umawiamy się tak. Jutro koło szesnastej podjedź do pani Konrad, mój redakcyjny kolega i zrobi wam zdjęcia. W przyszłym tygodniu ukaże się duży artykuł o was i będziemy organizować zbiórkę pieniędzy, dobrze? Gdyby potrzebowała pani czegoś konkretnego, proszę mi powiedzieć. Jakies leki, ubrania, albo...

– Julii bym potrzebowała, niczego więcej – mruknęła pani Wanda. – Ale ona nie wróci! Zasmakowała lepszego życia, znalazła naiwnego z ładnym domem i zapomniała o dawnym życiu. Dziewczynki płaczą po nocach, najmłodsza zaczęła moczyć łóżko, bo nie może zrozumieć, czemu matka ją porzuciła, ale moja córka nie ma serca! Wstyd przed ludźmi taki, strach im w oczy patrzeć! Męża zostawiła i dzieciaki na łaskę losu, a sama korzysta z życia! Gdybym ją dorwała, tobym jej oczy wydrapała! Nie tak ją wychowałam! – pani Wanda sięgnęła po paczkę papierosów i wyjęła z niej kolejnego. – Pani wie, ile ja nocy przepłakałam? Rodzina rozbita, do garnka nie ma czego włożyć, a ona w Mediolanie! Córka sąsiadki niedawno mi wspomniała, że Julia wrzuca dziesiątki zdjęć na tego całego Facebooka i chwali się tym swoim makaroniarzem! Że BMW jeździ, że do restauracji ją zabiera! Ja rozumiem, że młoda jeszcze i ładna, to czegoś od życia chciała, ale źle jej było z Mirkiem? Może i kokosów nie zarabiał, ale złym mężem nie był. A ona złapała pierwszego lepszego w tych Włoszech i złamała nam serca. –

Rostowska sięgnęła po zapalniczkę i zapaliła papierosa. – Powinam rzucić to cholerstwo, bo jak mnie papierochy zabiją, to już nikogo dzieciaki nie będą miały – dodała, ale chwilę później z błogością zaciągnęła się dymem.

– Co by jej pani powiedziała, gdyby dziś wróciła? Gdyby teraz weszła przez te drzwi

i poprosiła o drugą szansę? – zapytałam, a kobieta roześmiała się głośno i wyraźnie rozbawiona pokiwała głową.

– Wróciła? A gdzie ona tu wróci? Całe miasteczko wie, że dzieciaki porzuciła i się z jakimś podstarzałym dziwkazem zadała! Gdzie ona tu teraz wróci? Przecież by jej ludzie żyć nie dali! Jak własnym dzieciom w oczy spojrzy, co Mirkowi powie? Porzuciła trzy córki i niepełnosprawnego syna! Takiej suki pod dach nie przyjmę! – zarzekła się kobieta.

– Może się zakochała? Rozmawialiście o tym? – zapytałam. – Wytłumaczyła pani cokolwiek, obiecała, że za jakiś czas zabierze dzieci do Mediolanu?

– Zakochała się?! Ona Mirkowi przed ołtarzem miłość i wierność ślubowała, to niech o amorach zapomni! Ja od razu czułam, że ta praca we Włoszech to jest zły pomysł, ale tak się wtedy na ten wyjazd uparła! Na okrągło powtarzała, że będą pieniądze, że nam się polepszy, że dzieciakom w końcu nowe meble i telefony kupi! Tyle naobiecowała, a teraz nawet złotówki nam nie wyśle! Dzwonić też przestanie, zobaczy pani! Teraz jeszcze ją sumienie podgryza, ale za rok czy dwa całkiem o dzieciach zapomni! Taki charakter, latawica! Zawsze się tylko bawić lubiła, od młodej dziewczuchy!

– Niech już babcia tak na mamę nie psioczy, bo aż żal słuchać! – krzyknął z korytarza Bartek, a pani Wanda poczerwieniała ze złości.

– Broń jej, pewnie! Zostawiła cię i grosza na was nie daje, zapomniałeś już? Sądem ją ostatnio postraszyłam, ale jak na własną córkę donosić?

– Mama wróci, zobaczy babcia! – chłopak z powrotem wjechał do kuchni i oddał babci telefon. – Później zadzwonię.

– Wróci?! – pani Wanda krzywo spojrzała na wnuka i dogasiła niedopałek w szklance po kawie. – Jeśli wróci, to niech sobie poszuka nowego lokum, bo ja jej pod mój dach nie przyjmę!

– Przyjmie babcia, przyjmie. Bo babcia zawsze twardą udaje, a serce ma złote. – Chłopak podjechał wózkiem do krzesła, na którym siedziała starsza kobieta, ujął jej spracowaną dłoń i przycisnął sobie do serca. – Przyjmie ją babcia i znowu będzie fajnie – powiedział.

– Bzdury opowiadasz! – Rostowska wyrwała rękę, a w jej oczach błysnęły łzy. – Wracaj do siebie, ale najpierw zajrzyj do sióstr, mówiłam ci! Coś podejrzanie tam cicho! – zbeształa wnuka, który, jako czternastolatek, był najstarszy wśród rodzeństwa.

– Pani Wando, będę się zbierać. Proszę pamiętać, że jutro wpadnie do państwa Konrad. Gdyby chciała pani jeszcze o czymś porozmawiać, proszę dzwonić na moją komórkę. Za artykuł wezmę się już jutro – obiecałam.

– Dziękuję. – Wanda Rostowska wstała z krzesła i podała mi rękę. – Mnie tak wstyd do ludzi na żebry wychodzić, ale jakie mam wyjście? Zagryzam zęby i biorę, co dają. Wszystko się przecież przyda. Pościel, ubrania, jedzenie, buty. Co kto da, to weźmiemy, wybrzydzać nie będę. Jak człowiek pięć dni z rzędu podaje dzieciakom na obiad i kolację ziemniaki ze smażoną cebulą, to nabiera pokory – powiedziała starsza kobieta, a ja poczułam pod powiekami łzy.

Odprowadzając mnie do drzwi, dodała jeszcze, że prosi też o modlitwę.

– Niech pani napisze, że kto wierzący, niech do Boga w naszej intencji westchnie. Żeby się nam lepiej żyło, pogodniej – powiedziała. – Pani jest wierząca? – zapytała, kiedy zakładałam kurtkę.

– Nie bardzo – przyznałam szczerze. – Ale też się pomodłę. Ponoć Bóg ma słabość do grzeszników – powiedziałam. – Do widzenia, pani Wando. Niech pani o siebie dba.

– Dbam, jasne, że dbam. Kto się dziećmi zajmie, jak mnie zabraknie? Jeszcze tylko te fajki rzucę, bo za dużo zdrowia i pieniędzy mnie kosztują. Raz mi zresztą sąsiadka w złości powiedziała, że chodzę do mediów na żebry, ale na fajki mam. Tak podle się ludzie odezwać do człowieka potrafią, chociaż jej to niczego nie brakuje. Żyją z mężem we dwójkę, opływając w luksusy, ale nigdy nawet tu nie zaszła, żeby zapytać, czy czegoś dzieciakom nie trzeba. Taka flądra z tej Opackiej...

– Przykro mi – powiedziałam.

– Pani niech nie będzie przykro, bo pani już niejedno dla nas zrobiła. I prezenty dla dzieciaków i dobre słowo... Ludzie niech się wstydzą, ci co dookoła mieszkają! Myślą, że jak im teraz wygodnie, to zawsze tak będzie, ale los jest przewrotny. Był tu taki jeden w okolicy, wielki pan, co się terenowym audi rozbijał, a willę na pięćset metrów wybudował. Ważny taki, że nawet „dzień dobry” człowiekowi nie powiedział. Aż nagle przyszła nawałnica i mu pół dachu zerwało. Sąsiedzi wtedy pomogli, nikt nie jest mściwy, a ludzie mają wielkie serca. Mój zięć jeszcze z nami mieszkał i też poszedł, żeby dom mu jakoś zabezpieczyć. Od tamtej pory czasem tu Zieliński do nas zajeżdża i coś nam do garnka podrzuca. Kabanosy, parówki dla dzieciaków, trochę słodkości. Niewiele, ale zawsze coś. Lepsze niż nic. – Rostowska otworzyła frontowe drzwi i życzyła mi spokojnego wieczoru.

Powinłam coś im wysłać, chociażby tylko paręnaście złotych – pomyślałam kilka minut później, zjeżdżając w stronę centrum handlowego. Zakupy zrobiłam z myślą o matce. Wyjeżdżałam na tydzień, więc chciałam jej co nieco podrzucić. Miała wprawdzie samochód i sama często bywała w sklepach, ale myśl, że przez tyle czasu będzie zdana tylko na siebie, dziwnie mnie niepokoiła.

Sprawunki podrzuciłam jej koło dziewiętnastej. Otworzyła mi w szlafroku, ze szklanką kakao w rękę i wałkami na głowie.

– A czemu nie zadzwoniłaś, że jedziesz? – powitała mnie wyrzutem.

– Przywiozłam ci kilka rzeczy. Mleko, żebyś nie narzekała, że musisz dźwigać, trochę wędliny, ser, kawę. Wyjeżdżam na tydzień, więc jesteś zdana na siebie. Bo na moje córki obecnie raczej nie masz co liczyć. Nie po twoim ostatnim występie. Olga była mocno zszokowana, kiedy jej opowiedziałam, co nagadałaś Matyldzie, a Matylda... Cóż... Myślę, że prędko się do ciebie nie odezwie. Trzymaj! Spiesz się, bo muszę jeszcze oddać Stefkowi auto – powiedziałam, podając jej siatkę.

– Nie wejdiesz nawet na chwilę? – zapytała matka.

– Nie – powiedziałam.

– Wejdz, chcę porozmawiać – naciskała.

– Nie mamy o czym, mamó – rzuciłam zmęczonym głosem, a jednak chwilę później ustąpiłam i weszłam za nią do pogrążonego w półmroku przedpokoju. – Możesz mi wytłumaczyć, czemu tak się zachowałam? – zapytałam.

– Zdejmij płaszcz, zgrzejesz się.

– Pytam cię o coś, mamó! – podniosłam głos. – Wytłumacz mi, skąd ta twoja niczym

nieuzasadniona niechęć do Briana?!

– Nie lubię go – powiedziała cicho. – Nigdy go nie lubiłam. Nie pasuje do mojej wnuczki!

– Bo jest czarny?!

– Bo jest nie dla niej!

– I tyle? Nie dla niej? Widzę, że brakuje ci konkretnych argumentów – syknęłam.

– Bo to inna kultura, zupełnie inne obyczaje, bo...

– Brian urodził się w Londynie, mamó! Jest protestantem, do cholery! O jakiej innej kulturze mówisz?! Je to, co my, wierzy w to, co my i już nawet mówi w naszym języku! Czego jeszcze chcesz?!

– Chyba kaleczy nasz język – prychnęła matka.

– Nie znosisz go, bo jesteś rasistką! Przeszkadza ci kolor jego skóry, prawda?! No powiedz, mamó! Chociaż raz bądź ze mną szczerą! – krzyknęłam.

Matka nie odpowiedziała, ale pogarda malująca się na jej twarzy mówiła sama za siebie.

– Jesteś obrzydliwa – powiedziałam, łapiąc za kłamię. – I wiesz co ci jeszcze powiem?! Całe życie szukałam u ciebie akceptacji i nigdy się jej nie doczekałam! Cokolwiek bym zrobiła, zawsze było źle! Cierpiałam z tego powodu, ale nagle doszłam do momentu, w którym mam twoje zdanie w głębokim poważaniu! W dupie mam, słyszysz?! I zapamiętaj sobie jedno! Nigdy, przenigdy nie pozwolę ci obrażać moich córek! To jest ich życie, nie twoje! Dbaj o siebie – dosłownie warknęłam i zatrzasnęłam za sobą drzwi od jej domu.

W drodze do auta, walcząc z napływającymi do oczu łzami, pomyślałam, że to takie smutne. Całe lata marzyłam o dniu, w którym ona powie, że zrobiłam coś dobrze bądź podjęłam słuszną decyzję, ale potrafiła tylko mnie krytykować... Robiłam wszystko, żeby być dobrą córką, ale im bardziej się starałam, tym więcej gorzkich słów od niej słyszałam. I chociaż od dawna powtarzałam sobie, że mam to gdzieś, a przed chwilą wykrzyczałam jej to nawet prosto w twarz, i tak nadal mnie to bolało... Nie zamierzałam się jednak nad sobą użalać. Wiedziałam już, że ona się nie zmieni, a walka z nią jest walką z góry przegraną. Na swój sposób bardzo ją kocham. Jest moją matką, wiele mi poświęciła. Dlatego nadal o nią dbam i wciąż jeszcze odbieram od niej telefony. Ale jedno sobie obiecałam i zdania nie zmienię – nigdy, przenigdy nie posłucham żadnej jej rady, bo już wiem, że moja intuicja podszeptuje mi znacznie lepsze rozwiązania niż własna matka, pomyślałam, zajeżdżając przed dom Stefana.

Oddając kluczyki jego żonie, pomyślałam o Oldze. Nie, nie zamierzałam prasować jej bluzki, ale nagle za nią zatęskniłam. Dlatego ruszyłam pieszo w stronę jej osiedla i po kwadransie marszu znalazłam się przed jej blokiem.

– Cześć, maminko! Jednak wpadłaś! – młodsza córka szczerze się na mój widok ucieszyła.

– Wpadłam, ale żelazka nawet nie wezmę do ręki! – zarzekłam się.

– Spoko, jakoś już tę bluzkę wyprasowałam. Wygląda co prawda nadal, jak psu z gardła wyjęta, ale co tam – skrzywiła się Olga. – Zmarłaś? Wchodzi, mam dobrą zupę! – powiedziała.

Uśmiechnęłam się pod nosem i dałam się zaprosić na kolację. Miło czasem odwrócić role i dać się nakarmić – pomyślałam.

– Za kwadrans leci *Ze śmiercią jej do twarzy!* Zostaniesz? – zapytała Olga. – Mam wolną

chatę, bo Wiolka śpi dziś u swojego faceta, a Kaśka nadal baluje we Włoszech. Zaczynam podejrzewać, że zamierza tam zostać na dłużej i chyba będziemy musiały poszukać nowej współlokalki. Ale, chwilowo, jej bety zawalają połowę mieszkania – mruknęła moja córka. – Napijesz się piwa czy wolisz wino? Z tym że to jakiś sikacz z marketu, nic wykwińskiego.

– Sikacze z marketów czasem całkiem nieźle smakują – uśmiechnęłam się. – Ale dzisiaj napiję się piwa. Chyba że masz coś mocniejszego? Po spotkaniu z moją matką potrzebuję czegoś konkretnie zwalającego z nóg – dodałam, zastanawiając się, czy aby ostatnio nie za dużo piję...

– O, byłeś dziś u babci? – Olga krzywo się uśmiechnęła i postawiła na gazie garnek z barszczem. – Sama zrobiłam, wyobraź sobie. Z przepisu cioci Ilony – pochwaliła się.

– Ty i obieranie buraków? Świat się kończy – roześmiałam się.

– Prawda? Przyznaj, byłeś pewna, że to barszcz z kartonu.

– Nie miałam co do tego nawet cienia wątpliwości – rzuciłam lekkim tonem.

– Oto wiara matki w dziecko! A narzekasz na babcię. – Córka żartobliwie pogroziła mi palcem i wyjęła z kredensu głęboki talerz. – Adrian zmiękł i dzwonił, chce się ze mną umówić na kolację. I teraz w sumie nie wiem, co robić... Podobają mi się Olek, ale z Adrianem też swoje przeżyliśmy.

– Idź na tę kolację, pogadajcie. Nie musicie przecież od razu do siebie wracać – powiedziałam.

– Nie no, o powrocie do poważnych matrymonialnych klimatów nawet mowy nie ma! Tak, jak już ci kiedyś mówiłam, za mąż przed trzydziestką wychodzić nie zamierzam – córka przemieszała barszcz i wyłączyła gaz pod garnkiem. – Jedz, bo zaraz się zacznie film – ponagliła mnie.

– Ty już jadłaś?

– Tak, niedawno – powiedziała.

Zjadłam z apetytem, a córka włączyła telewizor w swoim pokoju.

– Chodź, mamuś! Zaczyna się! – krzyknęła.

Film obejrzałyśmy w jej łóżku, okryte grubą kołdrą z kolorową poszewką, podjadając paluszki i co chwilę wybuchając śmiechem.

– Fajnie, że wpadłaś – powiedziała córka, kiedy szykowałam się do spania. – Masz ręcznik. Bez obaw, wyprany. Zapasowej szczoteczki nie mam, ale od czego są palce – dodała.

– Nie przejmuj się. Jutro przed pracą podskoczę jeszcze do siebie i doprowadzę się do stanu używalności – wzruszyłam ramionami.

– Dzwoniła dziś do mnie Matylda. Dość długo gadałyśmy i nie ukrywała, że jest załamana zachowaniem babci – powiedziała Olga, kiedy chesałam włosy przed łazienkowym lustrem.

– A dziwisz jej się? – odpowiedziałam pytaniem. – Brian udawał, że go to nie ruszyło, ale miał w oczach taki przejmujący smutek... A Matylda była na skraju łez...

– W sobotę miałam iść z babcią do kina, ale chyba odwołam.

– Rób, co chcesz – mruknęłam.

– Myślisz, że Mati serio nie zaprosi jej na ślub?

– Myślę, że tak – powiedziałam, odkładając na półkę pożyczoną od córki szczotkę. – I myślę, że to będzie słuszna decyzja. Niektórzy ludzie powinni zacząć brać odpowiedzialność za swoje słowa. Może jeśli moja matka spędzi samotne popołudnie z myślą, że jej wnuczka właśnie wychodzi za mąż, zrozumie, jak bardzo nas wszystkich zraniła. Bo, na razie, nie wygląda na zdruzgotaną faktem, że zrujnowała nam wszystkim wieczór.

– Zaczynam żałować, że mnie tam nie było – zażartowała Olga.

– Uwierz mi, nie chciałabyś być świadkiem całej tej sceny – powiedziałam. – Gdzie dziś śpię?

– Możesz w moim pokoju. Ja się zdrzemnę u Wiołki. Zakładam, że ma czystszy pościel niż Kaśka, która nie przepada za nastawianiem pralki... Dobrej nocy, maminko!

– Śpij dobrze, mysza! – odpowiedziałam.

Pół godziny później, bezsennie leżąc w łóżku Olgi, pomyślałam, że powinnam jeszcze raz zadzwonić do Matyldy, żeby spróbować ponownie podnieść ją na duchu, ale zdecydowałam, że może nie powinnam się jej aż tak narzucać? Zresztą ona myślała pewnie teraz o wyjeździe i przygotowaniach do ślubu, a incydent z moją matką w roli głównej jakoś musiała przeboleć – powiedziałam sobie. Gadanie o tym na okrągło niczego nie zmieni. Trudno. Stało się i się nie odstanie...

Naprawdę lecę na wakacje! Dopiero teraz, siedząc w szykującym się do startu samolocie, uwierzyłam, że w końcu robię krok w nieznaną i wyrwam się ze szponów codziennej rutyny. Pilot poinformował nas, że przechodzimy właśnie procedurę odladania, a ja nerwowo sprawdziłam zapięcie pasów, chociaż na start trzeba było jeszcze trochę poczekać. „Gwiazdy mówią o poważnym zagrożeniu w powietrzu” – przypomniałam sobie ostrzeżenie nadesłane mi przez wróżkę Eulalię i ponownie przeklełam w duchu babę, która nękała mnie złowróżbnymi wiadomościami. Nie byłam naiwna i świetnie wiedziałam, że to stek bzdur mający na celu wyłudzenie ode mnie kasy za ewentualne esemesy zwrotne, ale teraz, tkwiąc w kabinie niewielkiego boeinga, dosłownie czułam, jak budzą się wszystkie moje lęki...

Latać bałam się właściwie od zawsze. Krótkie trasy jakoś jeszcze znosiłam, ale te dłuższe były dla mnie prawdziwym koszmarem. Każda myśl o całkowitej utracie kontroli nad własnym życiem przerażała, ale i odrobinę mnie fascynowała. To jak walka dobra ze złem, czerni z bielą, ognia z wodą. Wygra szczęśliwy los czy ponure fatum? Ciemnooka szatynka w kolorowej tunice powita rodzinę w hali przylotów, czy może... Nie, nie chcę teraz myśleć o niczym okropnym! – powiedziałam sobie pół godziny później, kiedy już wzbiliśmy się w niebo. A jednak zamknięta w metalowej puszcze, z trudem panująca nad oddechem, zdana na łaskę i niełaskę pilota, starałam się przyspieszyć czas, pogonić los. Lądujemy już! – powtarzałam w duchu jak mantrę, ale minuty płynęły swoim własnym, odwiecznym tempem. Miarowy szum silników nieco kołło lęki, uspokajał, jednak strach do końca nie odpuszczał. Czasem pomagał mi widok młodych twarzy pokładowego personelu. Uśmiechniętych na ostrą czerwień warg pewnie stąpających po pokładzie stewardess, prężących mięśnie młodych stewardów, wymienianych pomiędzy nimi uśmiechów, cichych szeptów. Nie, Bóg nie może być aż tak okrutny. Nie dziś, nie teraz, nie podczas tego lotu. Proszę zapiąć pasy, weszliśmy w strefę turbulencji...

Ta podróż była w miarę spokojna, a jednak przez niemal pięć i pół godziny strach wczepiał w moje ciało swoje żelazne szpony i nie odpuszczał. Nie pomagały nawet tabletki uspokajające, które łyknęłam po starcie. Na godzinę przed lądowaniem wymknęłam się w pobliże kuchni na ogonie i przez dłuższą chwilę po prostu stałam w przejściu pomiędzy toaletami, przyglądając się rzędom siedzących przede mną pasażerów. Głowy, dziesiątki głów – błyszczące loki, efektowne pasemka, zaczątki łysin, bujne siwe czupryny, ciemnobrązowe dredy. Kim są ci ludzie? Czy podobnie jak ja starają się uciec przed duszącą rutyną codzienności, czy może po prostu złapali okazję i wykupili tanią wycieczkę? – zastanawiałam się. Jakaś kobieta szturchnęła mnie łokciem, usiłując wejść do jednej z toalet, a młoda stewardessa o delikatnej urodzie porcelanowej lalki posłała mi wymowne spojrzenie, dając do zrozumienia, że od dłuższego czasu zawadzam w ciasnym przejściu.

– Przepraszam. Przepraszam najmocniej, proszę wybaczyć. – Przeciskając się z powrotem na swoje miejsce, pomyślałam o córkach, ale szybko przegnałam myśli o rodzinie.

To jest mój czas, moje własne próżne pięć minut! – pomyślałam, zerkając przez niewielkie okienko. Pod nami, w ostrym blasku przedpołudniowego słońca, kłębiły się wody oceanu, uderzając o przybrzeżne skały. Powoli zaczynaliśmy podchodzić do lądowania na niewielkim lotnisku w Puerto del Rosario. Zacisnęłam spoczone dłonie na podłokietniku, czekając na ten

znienawidzony moment, kiedy metalowy ptak rąbnie podwoziem o ziemię i w szaleńczym pędzie zakończy podniebną przygodę w chmurach. Dobrze zbudowany ciemnowłosy facet siedzący obok mnie nie wyglądał na zdenerwowanego, wręcz przeciwnie. Czytał książkę, od czasu do czasu zerkając w stronę okienka, przy którym siedziałam. Zazdrościłam mu spokoju ducha i marzyłam już tylko o tym, żeby rozpiąć pasy, dotrzeć do wyjścia i poczuć pod stopami ziemię. Lądowanie było twarde. W momencie uderzenia o betonowy pas wybuchły płaczem obecne na pokładzie dzieci. Zacisnęłam powieki i starałam się skupić na oddechu, kiedy facet z siedzenia obok zapytał, czy dobrze się czuję.

– Tak, teraz już tak – powiedziałam, otwierając oczy.

W kabinie, pomimo że nie rozległ się jeszcze nawet sygnał rozpięcia pasów, zaczęło się spore poruszenie. Ludzie wierzili się na siedzeniach, wyciągając szyje w stronę wyjścia, jakby nie mogli się doczekać chwili, w której dotkną stopami rozgrzanej palącym słońcem kanaryjskiej ziemi. Przed momentem pilot poinformował nas, że na zewnątrz jest ponad dwadzieścia stopni i zrobiło mi się jeszcze bardziej gorąco w grubych czarnych getrach i zamszowych kozakach, które założyłam na drogę. Ale przecież w Polsce, w chwili mojego wylotu, było kilka stopni poniżej zera...

– Pierwszy raz na Fuerteventurze? – zainteresował się mój sąsiad.

– Tak – powiedziałam. – Kafka?

– Owszem – mruknął, zamykając trzymaną w rękę, cieniutką książeczkę. – „List do ojca”. Zna pani?

– Nie – przyznałam szczerze. – Czytałam tylko „Proces”.

– Stare wydanie, z siedemdziesiątego dziewiątego. Znalazłem to, porządkując bibliotekę mojego taty. Niedawno zmarł, całkiem niespodziewanie... Zasłabł w swoim gabinecie, sekretarka znalazła go za późno...

– Przykro mi – powiedziałam, a on pokiwał głową i zamknął książkę.

– Naprawdę poruszająca rzecz. Nie wiem, czy Kafka miał pojęcie, że ktoś to kiedyś opublikuje, ale ten list niesie w sobie taki ładunek emocjonalny, że wbija w fotel. Miał wiele pretensji do ojca, czuł się przez niego krytykowany i oceniany. Miłość przeplatana nienawiścią, cholernie pogmatwane relacje... Ja z moim ojcem też fatalnie się dogadywałem. A teraz odszedł i już tyłu rzeczy mu nie powiem... Przepraszam... Nie chcę pani zanudzać, a już z całą pewnością nie chciałbym pani wprawiać w zakłopotanie – zreflektował się mój sąsiad.

– Nie zanudza mnie pan. W żadnym wypadku – zapewniłam go. – Przypuszczam, że relacje synów z ojcami mogą być równie trudne jak matek z córkami.

– Czyli jest pani w temacie?

– O tak – uśmiechnęłam się krzywo, a on ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Przykro mi – mruknął. – Powinniśmy się zbierać – wstał, schował książkę do niewielkiego plecaka i sięgnął po swoją kurtkę. – Przyjemnego pobytu – dodał.

Do wyjścia dotarliśmy obok siebie. Chwilę wcześniej mój sąsiad pomógł mi ściągnąć z półki podręczną torbę i oboje precyzyjnie przeszliśmy przez wąskie, pełne rozgadanych ludzi przejście. Kiedy jednak zeszedłam na płytę lotniska, mój przypadkowy znajomy szybkim krokiem ruszył w stronę oszklonego tunelu, nie czekając, aż za nim nadąży i zrozumiałam, że nasza krótka

konwersacja była jedynie kończącym ponadpięciogodzinny podróż epizodem. Czekając na bagaż, pomyślałam, że to w sumie niemal zabawne. W domu, w rodzinnym miasteczku, grałam od lat wyznaczone mi role matki, córki, babci, siostry i dziennikarki. Ale tutaj byłam jedynie turystką, niczym się niewyróżniającą kobietą grubo po czterdziestce, cierpliwie czekającą na swój bagaż. Wśród otaczających mnie roześmianych par, rodzin z biegającymi wzdłuż bagażowej „karuzeli” dziećmi i rozgadanych starszych kobiet, byłam jedną z wielu anonimowych postaci, której jedynym zmartwieniem było wypatrywanie swojej niewielkiej ciemnobordowej walizki. Dotarła jako jedna z ostatnich, kiedy już miałam ponurą wizję z zaginionym bagażem w roli głównej... Ściągnęłam ją z taśmy i ruszyłam w stronę stanowisk biur podróży, gdzie miała zbiórkę nasza charterowa grupa.

Rezydent był niezaprzeczalnie przystojny i chyba świetnie o tym wiedział. Wysoki, niebieskooki brunet w jasnej koszuli i ciemnych spodniach, od razu przyciągnął spojrzenia kilku kobiet. Stałam z boku, czekając, aż poda mi informacje dotyczące transferu, a kolejka przede mną dziwnie nie malała. Kiedy przyszła moja kolej, chłopak posłał mi nieco kwaśny uśmiešek kogoś, kto wyczuł, że nie działa na mnie jego czar, i wręczył wydrukowaną, pełną literówek kartkę z notkami o naszym hotelu i okolicznych atrakcjach. Przed budynkiem lotniska, ciągnąc za sobą walizkę, z bagażem podręcznym i puchową kurtką pod pachą, ruszyłam w stronę ustawionych rzędem pomarańczowych autokarów. Obok mnie szła na oko trzydziestopięcioletnia kobieta, którą zapamiętałam z samolotu.

– Pachnie morzem – powiedziała, mrużąc oczy w promieniach ostrego kanaryjskiego słońca.

Nie odpowiedziała.

Posłała mi obojętne spojrzenie i złapała pod rękę idącego obok niej brzuchatego męża, jakby się bała, że uwiodę go na jej oczach, a przynajmniej wdam się z nim w ostry flirt. Wzruszyłam ramionami i ruszyłam w stronę czekających na turystów autobusów. „Nasz” kierowca – niski, pękaty Hiszpan ze spaloną słońcem skórą i sumiastym wąsem, wziął moją walizkę i posłał mi szeroki uśmiech.

– Dzień dobry! – powiedział po polsku.

W autobusie było duszno. Usiadłam z przodu i wyjęłam z torebki przewodnik po wyspie.

– Mamo, nie! Nie chcę! – Chwilę później do czekającego na resztę pasażerów pojazdu wsiadła młoda, wyraźnie udęczona dziewczyna z małym dzieckiem na ręku i wczepionym w pasek jej torby, na oko czteroletnim chłopcem, który wrzeszczał wniebogłosy.

Mąż i ojciec – rosły nieogolony facet w pasiastym podkoszulku i beżowych spodniach, wsiadł chwilę po nich i ze zboląłą miną męczennika ruszył za żoną. Oczywiście usiedli zaraz za mną, a upiorny dzieciak zaczął kopać tył mojego siedzenia.

– Teraz chcę zobaczyć ocean, teraaaaz! – darł się.

Przymknęłam oczy, starając się nie poddawać poirytowaniu. Po bezsennej nocy, kilkugodzinnym koczowaniu na lotnisku i nudnym locie czułam się brudna, wyssana z energii i śpiąca.

Po jakimś kwadransie do autokaru zajrzał nasz rezydent. Nie zabawił długo. Poinformował o spotkaniu, powiedział, kto gdzie wysiada na trasie i życzył nam miłego pobytu. Ruszyliśmy kilka minut później. Niewielki fragment Puerto del Rosario, który zobaczyłam z okna autokaru,

raczej mnie nie zauroczył. Miasto sprawiało wrażenie równie sennego, jak ja sama. Nie miało w sobie żadnego czararu. Ale może to tylko moje zmęczenie podróżą wpłynęło na tak surowy osąd? Przez kolejnych czterdzieści minut widoki za oknem zmieniały się jak w kalejdoskopie – od wulkanicznych masywów skalnych i nieco księżycowego krajobrazu, po drogę wzdłuż oceanu i w końcu pomiędzy wydmami narodowego parku. Poboczem jeździli rowerzyści, na skraju szosy parkowały samochody młodych surferów. Mój hotel był pierwszy na trasie, co przyjąłam z ulgą. Puchowa kurtka, walizka, podręczna torba – znowu z bagażem w ręku, złana potem i skonana, zjawiłam się w recepcji.

Oczywiście na pokój trzeba było czekać. Zbliżająca się do sześćdziesiątki pucułowana kobieta za recepcyjnym kontuarem poinformowała mnie, że mogę za to skorzystać z opcji all inclusive i coś zjeść. Więc poszłam. Naznaczona szpetną plastikową bransoletką, która przypominała mi te przypinane w szpitalach, po tym, jak już wcisnęłam bagaż w kąt recepcji, znalazłam jadalnię. Ludzi było sporo. Od mocno opalonych, spędzających tu pewnie ostatnie dni turnusu, po białych i wymizerowanych podróżą. Zjadłam niewiele, nie byłam głodna. Jedyne, o czym marzyłam, było niedostępne – prysznic... Na zewnątrz, z filiżanką kawy w dłoni, usiadłam na wolnym leżaku przy basenie. Obok jakiś brunet rozmawiał przez telefon, krzycząc coś po hiszpańsku; w brodziku, niemiłosiernie piszcząc, taplały się kilkuletnie dzieciaki. Wypiłam kawę i przymknęłam oczy. Mocno wiało, a szum palm nad moją głową przyjemnie kołował zmęczenie podróżą.

Pokój dostałam dopiero po dwóch godzinach; niestety to, co biuro podróży szumnie określało mianem apartamentu, okazało się ciemną, zajeżdżającą stęchlizną norą w suterenie. Okienko pod samym sufitem, łóżka przedzielone od reszty pokoju niskim murkiem, stół, szafa, sofa z brudnym obiciem i telewizor. Drzwi wejściowe były oszklone. Wpadało przez nie trochę światła, ale zamek w nich był z gatunku tych na zapałkę... Rzuciłam walizkę za murek przy łóżku, zabarykadowałam się w moim „apartamencie” i weszłam pod prysznic. Łazienka była czysta, co uznałam za spory plus. W strugach wody, strząsając z siebie resztkę zmęczenia i senności, pomyślałam o Rafale, sama nie wiedząc, co tak naprawdę do niego czuję. Rozstaliśmy się definitywnie, a jednak bywały chwile, że tęsknota za dotykiem jego dłoni niemal fizycznie bolała. Ale nie, nie będę o nim myśleć. Nigdy więcej, a już na pewno nie teraz – powiedziałam sobie, zła na siebie, że pierwsze myśli kieruję właśnie ku niemu.

Z pokoju wyszłam pół godziny później, starając się ponownie nie zgubić w krętym gąszczu wąskich zaułków hotelowego labiryntu. Mój „apartament”, z dala od strefy VIP, był oddalony od przeszkolonego budynku recepcji o ładnych parę minut – najpierw szło się czymś w rodzaju balkonu, mijając maleńkie bungalowy dla bogatych turystów, później schody, placyk z palmami, zapomniany basen tuż pod hotelowym murem, kolejne schody...

Przed hotelem, na obrzeżach parku narodowego, ciągnęło się coś w rodzaju stepu porośniętego egzotycznie wyglądającą roślinnością. Ruszyłam wzdłuż ulicy, ciesząc się promieniami popołudniowego słońca na twarzy. Dzień był piękny, niemal upalny. Teraz, przebrana w jedną z ulubionych letnich sukienek, w końcu zrozumiałam, że zamiast kisić się w zimowym smogu, naprawdę wyjechałam i jestem daleko od domu. Byłam w okolicy niewielkiego parku, w którym młodzi jeździli na deskach, przekrzykując się, kiedy kątem oka dostrzegłam znajomą twarz.

Stał po drugiej stronie ulicy, z aparatem w ręku, zapatrzony w królujący nad Corralejo masyw jednej z wulkanicznych gór. Nie widział mnie, sprawiał wrażenie kogoś, kto pogrążony we własnych myślach nie dostrzega całego świata. Dopiero kiedy podeszłam bliżej, odwrócił się i zmierzył mnie wzrokiem, jakby nie miał pojęcia, kto przed nim stoi.

– Siedział pan przy mnie w samolocie – powiedziałam.

– Ach, tak. Nie poznałem pani w tej sukience – mruknął.

– Nie wiem, czy mogę to uznać za komplement – roześmiałam się. – Idzie pan w stronę plaży?

– Tak, pewnie tak – odpowiedział mało zachęcającym tonem.

– Jestem Julia. Możemy sobie mówić po imieniu? – zaproponowałam, niezrażona jego widocznym brakiem entuzjazmu.

Nie wiem czemu tak mu się narzucałam... Może nagle dotarło do mnie, że jestem spragniona czyjegoś towarzystwa? A on był mniej więcej w moim wieku i wyglądał na kogoś, z kim można pogadać.

– Jasne, czemu nie? – odpowiedział pytaniem. – Daniel – dodał.

Ruszyliśmy wzdłuż ulicy. Biały mur z ażurowym wykończeniem, kwitnące krzewy z różowymi kwiatami, gdzieniegdzie palmy. Domy za murem były niewysokie i zróżnicowane pod względem architektonicznym – od białych budynków z płaskim dachem w marokańskim stylu po otynkowane na pastelowe kolory niewielkie wille ze spadzistymi dachami z czerwoną cegłą. Okolica sprawiała wrażenie zadbanej i bezpiecznej, u wylotu ulicy górowała nad miastem przypominająca dzwonnice wieża.

– Centrum handlowe – mruknął Daniel. – Gdybyś chciała sobie kupić waciki – dodał.

– Zgryźliwy jesteś z natury, czy tylko dzisiaj? – zapytałam.

– Czemu zgryźliwy? Mówię tylko, że to centrum handlowe – wzruszył ramionami.

– Znasz drogę na plażę? – zapytałam.

– Tak, ale to kawałek stąd – uprzedził.

– Na stronie biura podróży zapewniali, że z naszego hotelu do plaży jest czterysta metrów – przypomniałam sobie to, co przed wyjazdem powiedział mi Błażej.

– Bo jest, ale to w drugą stronę. Mieli pewnie na myśli niewielką dziką plażę z widokiem na wyspę Los Lobos. Jest za rondem, tuż obok zrujnowanego osiedla.

– Znasz Corralejo?

– Jako tako. Jestem tu drugi raz i powiedzmy, że orientuję się w terenie. Zresztą tutaj się nie zgubisz. Układ ulic prosty, miasteczko niewielkie... Czemu przyleciałaś tu sama? – zainteresował się po kilku minutach marszu, kiedy mijaliśmy rozciągający się za krzywym metalowym płotem, mało zachęcająco wyglądający park rozrywki.

– Niedawno się z kimś rozstałam, poza tym potrzebowałam chyba chwili odpoczynku od własnego życia – powiedziałam.

W kwestii rozstania z Rafałem nie wdawałam się w szczegóły. Zresztą ciężko byłoby powiedzieć obcemu w zasadzie facetowi, że Rafał puścił mnie kantem i wrócił do byłej żony...

– Rozwódka? – zapytał Daniel.

– Tak – przyznałam.

– Ja też niedawno się rozwiodłem. Nie udało się nam i czasem żałuję, że nie zrobiłem tego wcześniej – powiedział.

– Długo ze sobą byliście?

– Dwanaście lat. Ale to od początku nie było udane małżeństwo – powiedział. – Tu też możesz kupić waciki, gdybyś miała ochotę – dodał, wskazując na centrum handlowe, które mijaliśmy.

Las Palmeras – przeczytałam, bez większego zainteresowania przyglądając się niewielkiemu budynkowi, który teraz, w okołoswiątecznym okresie, zdobiły migające światełka i renifery.

– Ewa jest chirurgiem, podobno świetnym. Nasze małżeństwo nigdy nie było dla niej priorytetem. W domu bywała jedynie gościem, dzieci nigdy nie chciała. – Daniel przystanął pośrodku ulicy pełnej straganów z chińszczyzną i podszedł do wystawionego na chodnik stojaka z upominkami. – Może magnes na lodówkę? – zapytał kpiarskim tonem.

– Daj spokój, szkoda kasy na taki kicz – stwierdziłam.

Nie odpowiedział.

Kupił tanie słoneczne okulary i westchnął, że zaczyna solidnie wiać.

Na plażę dotarliśmy kilka minut później; rozciągała się w stronę portu i jak na porę poza sezonem, była pełna ludzi. Ale na Kanarach ponoć nigdy nie kończy się sezon – uśmiechnęłam się pod nosem. Wiatr owijał mi sukienkę wokół ud, bawił się moimi włosami, tańczył z rzuconym na chodnik styropianowym kubkiem po kawie. Rozsznurowałam buty i z tenisówkami w dłoni weszłam na piach. Był zimny i wilgotny, tutaj, przy samej wodzie, wiało tak mocno, że pomimo upału na ramionach miałam gęsią skórę.

Daniel, który szedł tuż obok mnie, zdjął swoją bluzę i narzucił mi ją na plecy.

– Dzięki – powiedziałam, przystając na łasze mokrego, lizanego przez fale piasku.

Woda sięgnęła czubków moich palców ze świeżo pomalowanymi na pomarańczowo

paznokciami, a ja gwałtownie się cofnęłam.

– Zimna, jak nad Bałtykiem w pełni sezonu, co? – roześmiał się Daniel.

– Lodowata! – przyznałam.

– Masz ochotę na kawę?

– W barze Waikiki? Zawsze! – roześmiałam się. – Faktycznie jest tu odrobinę hawajski klimat...

– Nie wiem, nie znam Hawajów. – Daniel poszedł za moim przykładem, zdjął buty i wszedł do wody. – Zimna!

Spacerowaliśmy może jakiś kwadrans, kiedy rozdzwoniła się jego komórka.

– Wybacz, muszę odebrać i wygląda na to, że nici z naszej kawy – powiedział, sięgając do kieszeni spodni po telefon.

Nie rozmawiał długo, ale wyraźnie spochmurniał.

– Muszę lecieć, przepraszam – powiedział, kiedy już się rozłączył i stanął obok mnie.

– Teraz? – zapytałam głupio, a on krzywo się uśmiechnął.

– Tak. Powinienem podzwonić i załatwić parę spraw, bo prawdę mówiąc, nie do końca jestem tutaj na wakacjach – wyjaśniał, pospiesznie otrzepując stopy z mokrego piasku.

– Rozumiem – oddałam mu bluzę i starając się nie okazywać rozczarowania, samotnie ruszyłam w stronę portu, z którego, plując z komina czarnym dymem, odpływał właśnie prom na Lanzarote.

Odwróciłam się tylko raz.

Daniel dotarł już do drewnianego podestu przy wyjściu z plaży i mył stopy pod strumieniem wody z zamontowanego w kamiennym murze kranu. Nie patrzył w moją stronę, był całkowicie zaabsorbowany sobą. Nic z tego nie będzie – powiedziałam sobie, bo przecież od początku czułam, że nie było między nami chemii. Bardziej pragnienie zwykłej rozmowy niż flirtu pchnęło nas do siebie na ulicy przy parku, a jednak nie potrafiłam okłamywać samej siebie. Wpadł mi w oko, coś w sobie miał. Trochę w typie Joaquina Phoenixa, z intensywnie zielonymi oczami i ciemną czupryną, mógł się podobać, nawet jeśli nie był szczególnie wysoki i powalająco przystojny. Otaczała go jednak aura pewności siebie i swego rodzaju niedostępności, jakiej zawsze ulegałam. Faceci, którzy od początku wykazywali zainteresowanie moją osobą, wydawali mi się zwyczajnie nudni – pomyślałam, przystając na wąskiej betonowej ścieżce z widokiem na ocean. Za moimi plecami, stłoczone jeden przy drugim, tętniły życiem małe przybrzeżne bary. Zapach kawy, frytek i smażonej ryby przyjemnie drażnił nozdrza i zdałam sobie sprawę, że jestem wściekle głodna. Zjedzony w hotelu jogurt i niewielka słodka bułka z całą pewnością nie wystarczały na pełen wrażeń dzień. Dlatego weszłam do najbliższej knajpki i zajęłam mały stolik z pomalowanego na biało drewna. Z okien rozpościerał się widok na ocean, a gwar wielojęzycznej klienteli od razu poprawił mi humor. Chrzanić Daniela i jego zadufane, rozdęte do granic możliwości ego! Jestem na wakacjach! – powiedziałam sobie.

Kelnerka podeszła do mnie niemal od razu i po rzuconym lekkim tonem „hola!” podała mi kartę. Po dłuższej chwili wahania zamówiłam duszone kozie mięso z ziemniakami w sosie *mojo verde* i kieliszek czerwonego wina. W hotelu miałam co prawda opłaconą kolację, ale mała knajpka w okolicach portu miała o wiele więcej magii niż olbrzymia i nijaka jadłodajnia nad

hotelowym basenem. Czekaając na zamówienie, przysłuchiwałam się konwersacji siedzących przy sąsiednim stoliku Włochów. Wyglądali na małżeństwo, oboje mieli takie same wąskie złote obrączki. Ona na moje oko zbliżała się do pięćdziesiątki, on musiał jakiś czas temu ją przekroczyć. Siedzieli pochyleni w swoją stronę, dotykając się pod stolikiem kolanami i dłońmi na jego blacie. Mówili dość cicho, jednak udało mi się wyłapać specyficzną wymowę dialektu toskańskiego – on, zamawiając colę, wymówił coś, co zabrzmiało jak: una hoha hola hon hanuccia; „c” wyraźnie zmieniło się w „h”. Kelnerka, najpewniej Włoszka, skoro zwrócił się do niej w swoim języku, uśmiechnęła się szeroko, zabrała z ich stolika talerze po obiedzie i zniknęła na zapleczu. Zdziwiłam się, że aż tyle rozumiem – włoskiego uczyłam się lata temu... Moje danie smakowało wyśmienicie, dawno nie jadłam czegoś tak dobrze przygotowanego. Wino też było niezłe, nieco cierpkie, ale wyraziste w smaku.

– Powinnaś zrozumieć, że Carla jest dorosła i ma prawo o sobie decydować. Nawet jeśli straci te pieniądze... – powiedział Włoch z sąsiedniego stolika, kiedy czekałam na rachunek.

Domyśliłam się, że rozmawiają z żoną o ich córce i poczułam lekkie ukłucie tęsknoty w sercu.

Placąc, zostawiłam spory napiwek, w końcu jak wakacje, to szaleć. Wychodziłam z restauracji, kiedy minęła mnie młoda wysoka blondynka idąca za rękę z ogolonym na łyso facetem w beżowej kurtce z kapturem i czerwonych spodniach od dresu z białymi lampasami.

– I mówię ci, tak te fale napierdały! – wrzasnął on, usiłując przekrzyknąć dochodzącą z pobliskiego baru muzykę.

Rodacy przyjechali – uśmiechnęłam się pod nosem, ruszając z powrotem w stronę centrum. W okolicach galerii Las Palmeras weszłam do jednego ze sklepików z pamiątkami i kupiłam kilka pocztówek. Papugi, kolorowe kwiaty, ocean, sowy – motywy zdobiące kartki były wściekle kolorowe i kiczowate, ale było w tym kiczu coś urokliwego. A może po prostu słowo kicz nie współgra ze słowem wakacje? Może tu, na tej nieco dzikiej, przyjaznej wyspie, nawet papierowe papugi tonące w gąszczu wściekle różowych kwiatów miały swój urok? – pomyślałam, wyjmując z portmonetki dziesięć euro. Hindus, który sprzedawał pocztówki, szeroko się uśmiechnął, błyskając brakami w uzębieniu i wsunął do reklamówki sztuczną różę.

– Dla ciebie, piękna! – powiedział raczej marną angielszczyzną, ale moje podziękowanie już zignorował – do sklepiku z pamiątkami weszły właśnie trzy roześmiane, młodziutkie Brytyjki, które wyraźnie zainteresowały olbrzymie drewniane penisy sprzedawane tutaj w formie zawieszek na klucze i figurek.

W hotelu, wygodnie rozłożona nad basenem, wyjęłam z torebki jedną z pocztówek i skreśliłam parę słów do Karoliny, redakcyjnej koleżanki przebywającej obecnie na macierzyńskim.

Cześć, Laleczko! Przesyłam gorące jak pustynny piach buziaki z pięknej Fuerteventury! Pogoda jest bajkowa, w hotelu mnóstwo przystojnych Francuzów, a ja mam już za sobą dość obiecujący flirt z zielonookim fotografem, który poderwał mnie na lotnisku! Resztę opowiem po przylocie! – napisałam.

Chwilę później podałam pocztówkę w drobny mak i cisnęłam ją do przepelnionego pustymi kubkami po napojach kosza. Skłamałam... Czemu? Dlaczego wymyśliłam te bzdury, nie potrafiąc być szczerą nawet z Karoliną? Bo miałam dość ludzi, którzy traktowali mnie

z wyższością tylko dlatego, że od kilku lat nie udało mi się na stałe z nikim związać? A może po prostu nauczyłam się nakładać maski, jakie nosił niemal każdy w moim otoczeniu? Może te rozdawane na prawo i lewo uśmiechy były sposobem na przetrwanie, czymś w rodzaju oręża? Ludzie prędzej czy później wykorzystają przeciwko nam wszystkie nasze słabości, ale tylko wtedy, kiedy sami im na to pozwolimy. Kiedy opowiesz im o tym, jak ci źle, będą pełni współczucia i mniej lub bardziej udawanej troski. Ale przy pierwszej ostrzejszej wymianie zdań, przy najbardziej błahej kłótni, prosto w oczy wykrzyczą ci, co tak naprawdę o tobie myślą... Może właśnie dlatego czasem kłamię przyjaciółkom, a każde kolejne łągarstwo przychodzi mi z coraz większą łatwością. Och, oczywiście, że cudownie znowu być singielką! Człowiek ma wokół siebie mnóstwo przestrzeni i czas na samorealizację. Tak, jasne, że stale się z kimś spotykam, pierwsze randki są zawsze takie ekscytujące! Nie, wcale nie jest mi przykro, kiedy zjawiam się w pojedynkę na redakcyjnej imprezie. Ależ skąd, związki są przereklamowane, seks znacznie lepiej ogląda się na srebrnym ekranie, a faceci chrapią i są męczący. Tyle kłamstw, tyle sztucznych emocji... Niemal wszyscy z nas zwyczajnie udają, że są radośni i spełnieni, nie mając odwagi przyznać się do porażki czy gorszego momentu w życiu. Jakby bycie nie do końca szczęśliwą było w naszych czasach niemal grzechem, czymś nie do pomyślenia i nie do przyjęcia... Mężatki – wiecznie niewyspane, z obłędem w oczach uganiają się za wrzeszczącymi dzieciakami, wmawiając sobie i innym, że niewielu mężów tak naprawdę angażuje się w domowe obowiązki i wcale nie są wyjątkiem. My, rozwódki, udajemy, że przeżywamy drugą młodość i topiąc smuteczki w truskawkowych margaritach, szalejemy po mieście, a panny po prostu stawiają się w jednym szeregu z tymi, które właśnie się z kimś rozstały i równie namiętnie korzystają przy tym z życia, sprawiając wrażenie beztroskich, pogodnych i szczęśliwych. Łzy płyną dopiero w domu, kiedy po zrzuceniu przyciasnych szpilek i zmyciu makijażu dociera do nich, że tym razem też nie poznały nikogo w nowo otwartym barze, a facet, który gapił się na nie znad piwa, miał na palcu złotą obrączkę... Ale mimo wszystko, czy mam dziś prawo się nad sobą uzalać? Rodzina, dobra praca, własne mieszkanie, sporo znajomych i nie najgorsze zdrowie – to przecież niemało. Czy mam prawo obwiniać los o rozpad małżeństwa i głupi rozwód, kiedy tyle znacznie gorszych dramatów dookoła? Moja dawna znajoma rok temu straciła męża. Zasłabł w pracy i zmarł przed przyjazdem karetki. Miał trzydzieści osiem lat i nigdy nie chorował. Czy bardziej boli moja samotność, czy tragedia Zuzanny, która z dnia na dzień została wdową? – wzdrygnęłam się i zlustrowałam wzrokiem zatłoczony brzeg basenu.

Kobieta w rzucającym się w oczy czerwonym kostiumie kąpielowym strofowała właśnie kilkuletniego syna. Francuzka, mniej więcej w moim wieku, niebrzydka, ale też bez szalu. Krótkie nogi, masywne uda, pomarańczowa skórka na pośladkach. Jej mąż siedział na leżaku, czytając gazetę. Przystojny, opalony, oddalony o lata świetlne od wrzeszczących dzieciaków i wściekłej żony. Zawsze zazdrościłam mężczyznom tej zdolności odcięcia się od problemów, zrzucanych z taką beztróską na kobiety. Dzieciak, którego matka szarpnęła za rękę, głośno się rozplakał, ale jego ojciec nadal nie reagował – z malującym się na twarzy spokojem przewracał strony kolorowego miesięcznika.

Wstałam i ruszyłam w stronę baru. Chciało mi się pić i nieprzyjemnie zaschło mi w gardle. Nalewałam sobie do kubka coli, kiedy zauważyłam Daniela. Od naszego spotkania w parku zdążył się już przebrać. Teraz miał na sobie ciemne kąpielówki i przerzucony przez ramię ręcznik. Na mój widok skinął głową, ale nawet się nie zatrzymał, żeby zamienić ze mną choć słowo. Po prostu minął mnie, rozłożył ręcznik na jednym z wolnych leżaków pod mizerną kępką

palm i usiadł nad basenem, bardziej zainteresowany dwiema brodzącymi w płytkiej wodzie dziewczynami w skąpych bikini, niż mną. Dupek! – pomyślałam, ochlapując się przy okazji colą. Dupek, zarozumiały palant i niewarty uwagi pajac! – powiedziałam sobie. Czemu więc podczas kolacji non stop zerkałam w jego stronę? Siedział samotnie, na zadaszanej werandzie obok głównej jadalni. Jakaś kobieta, też najwyraźniej przebywająca tu w pojedynkę, zagadnęła go, mijając jego stół, ale nie podtrzymała rozmowy. Burknął jedynie coś, czego siłą rzeczy nie mogłam usłyszeć i zajął się swoją sałatką, kompletnie ją ignorując. Wiem, że to podłe, ale widok tego, w jaki nieprzyjemny sposób ją spławił, nieco poprawił mi humor. Więc to po prostu gbur, zwykły cham. Nie mnie jednej zrobił afront – powiedziałam sobie, dopijając sok.

Z jadalni wyszłam jako jedna z pierwszych i pomimo porywów silnego wiatru, samotnie usiadłam nad opustoszałym o tej porze podświetlonym basenem. Daniel siedział na werandzie z widokiem na ten oto sielski obrazek i musiał mnie dostrzec. A jednak tym razem też do mnie nie podszedł. Widziałam, jak wychodzi z budynku restauracyjnego i kieruje się do jednego z eleganckich domków w centrum strefy VIP. Chwilę później wszedł do środka, a wewnątrz, za przeszkoloną ścianą, rozbłysło światło. Szkoda – pomyślałam. Jeśli nie na obiecujący flirt, liczyłam przynajmniej na miłą znajomość, ale facet zachowywał się co najmniej enigmatycznie... Z drugiej jednak strony czemu aż tak desperacko pragnęłam czyjś towarzystwa? Przyleciałam tu, żeby odpocząć, zebrać myśli i zastanowić się, czego tak naprawdę oczekuję obecnie od życia. Wdawanie się w zawile historie z jakimś mrukiem z całą pewnością nie powinno być moim priorytetem.

Czwartego dnia mojego pobytu w Corrajelo wiatr był tak silny, że zaczęto mówić o alercie pogodowym, a widoczne z hotelowego punktu widokowego góry zniknęły, całkowicie przesłonięte unoszącym się w powietrzu, przypominającym mgłę pyłem.

– *Kalima* – powiedziała prowadząca niewielki sklepik z pamiątkami Włoszka, z którą zgadałam się zeszłego wieczoru. – Wiatr przenosi pył z burz piaskowych nad Saharą, czasem wszędzie go pełno...

– Wygląda spektakularnie.

– *Si, spettacolo...* – roześmiała się Laura, potrząsając skręconymi w spiralki ciemnobrązowymi włosami. – Gdybyś mieszkała tu na stałe, nie byłabyś taka zachwycona. Piasek mam czasem nawet pomiędzy zębami, bywa, że trzeba przed nim osłaniać twarz.

– Długo tu jesteś? – zapytałam moim raczej marnym włoskim, ale kobiecie nie przeszkadzało to, że słabo mówię w jej języku.

Wręcz przeciwnie. Wyglądała na zachwyconą tym, że ma z kim pogadać.

– Osiem lat – powiedziała. – Uciekłam tu po rozwodzie z Riccardo. Był porywczy, groził mi, nie mógł się pogodzić z naszym rozstaniem. Przyjechałam zimą, z dwunastoletnim synem i resztkami oszczędności. Miało być na kilka miesięcy, ale poznałam kogoś, a wyspa totalnie mnie zauroczyła. Tutaj żyje się tak, jakby nagle zniknęła cała reszta świata. Cisza, spokój, znajome twarze. Dobrze mi tu – powiedziała Laura. – Ale nie zatrzymuję cię. Leć, szkoda dnia! Tylko zapomnij dziś o wydmach. Przy tym pyle w powietrzu chyba byś tam oszalała!

– Więc spacer na wydmy odpada – uśmiechnęłam się. – *Ci vediamo presto!* – Pomachałam jej.

– *Ciao, bella! Buona giornata!* – Laura przesłała mi w powietrzu buziaka i wróciła do rozkładania podniszczonej talii kart, którą bawiła się, wypatrując jednocześnie nielicznych klientów.

W centrum miasteczka sklepiki z pamiątkami przeżywały niemal oblężenie, ale tutaj, w rzadko odwiedzanym hotelowym zaułku, niewielu turystów w ogóle zaglądało. Współczułam jej, bo wyglądało na to, że zastanawia się nad zamknięciem lokalu, a nie ma pomysłu na nic innego. Pieniędzy też zresztą nie za bardzo, z tego, co zdołałam wywnioskować, i mogłam jedynie mieć nadzieję, że jakoś jej się poukłada.

Dochodziła dziesiąta przed południem, kiedy dotarłam do samego krańca miasteczka, z którego rozciągał się widok na bijący o skały ocean. Usiadłam na jednej z ławek ustawionych wzdłuż zadbanego pasażu i wystawiłam twarz do słońca. Silny wiatr targał moimi włosami, ale upał był znacznie bardziej odczuwalny niż dzień wcześniej. Nie wiem, jak długo tam siedziałam, zastanawiając się nad moim życiem, przyszłością, planami na najbliższe miesiące. Mijały mnie trzymające się za ręce pary, roześmiane grupy cudzoziemców i młodzi chłopcy w dresach, a ja tkwiłam tam samotnie, wsłuchana w kojący szum oceanu. Kiedy wstawałam, upadła mi butelka z wodą. Sięgnęłam po nią, ale mijający mnie mężczyzna w stroju do joggingu był szybszy. Schylił się, podał mi butelkę i posłał szeroki, imponująco biały uśmiech.

– Dzięki – powiedziałam po angielsku.

– Proszę bardzo – odpowiedział po polsku. – Lecieliśmy tym samym samolotem – dodał na widok mojej zaskoczonyj miny i zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, pomachał mi i pobiegł dalej.

Od jakiegoś czasu ludzie mijają mnie w biegu – pomyślałam. Rodzina, przyjaciele, były mąż, nawet córki – każdy dokąś pędzi, ma swoje życie... Czasem czułam się tak, jakbym obserwowała świat zza grubej pancernej szyby. Po jednej stronie wszyscy inni, po drugiej ja – przeszło mi przez myśl i znowu poczułam złość. Czemu na okrągło się dołuję? – pomyślałam, ruszając w stronę portu.

Do niewielkiego zatłoczonego pubu weszłam pod wpływem chwilowego kaprysu. W środku panował półmrok, a siedząca w głębi grupa Brytyjczyków przekrzykiwała się, rzucając grubymi wulgaryzmami. Przepisnęłam się do baru, przypadkiem potrącając masywną wytatuowaną blondynkę w nieokreślonym wieku, która nawet na szyi miała kolorową papugę. Uśmiechnęła się do mnie i zrobiła mi miejsce obok siebie, a jej ciężkie metalowe kolczyki cichutko brzęczały przy każdym ruchu jej głowy. W rękę trzymała klucze z biało-czerwonym breloczkiem i napisem Polska. Zauważyła, że im się przyglądam i zapytała, skąd jestem.

– Mieszkam kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy – powiedziałam, nie wdając się w szczegóły. – A pani? – zapytałam.

– Żadna tam pani. Jowita – blondynka wyciągnęła do mnie rękę i skinęła na barmana. – Brian, polej nam dwa duże piwa! – krzyknęła po angielsku, a mnie zrobiło się przykro na wspomnienie nieprzyjemnego zajścia z innym Brianem i moją matką w rolach głównych.

Jak ona mogła tak się zachować? – pomyślałam. Ale nie! Nie będę teraz o niej myśleć! – powiedziałam sobie, idąc za Jowitą w głąb lokalu.

– Siadaj! – Jowita podsunęła mi krzesło i powiedziała, że jest spod Rzeszowa, ale od lat mieszka w Bolton. – Zawsze chciałam wyjechać na Wyspy. Podobało mi się brzmienie języka angielskiego, marzyłam o zamieszkaniu w Londynie, a wylądowałam zupełnie gdzie indziej, ale cóż... Nie możesz mieć wszystkiego, nie? – wzruszyła ramionami. – Co tu robisz? – zapytała, kiedy już usiadłam naprzeciwko niej.

– Przyjechałam na tydzień, a ty?

– Ja zostanę chyba znacznie dłużej. W Bolton i tak nie mam teraz pracy, a tutaj dorabiam u Briana...

– Jesteś barmanką? – zapytałam.

– Obecnie sprzątaczką – uśmiechnęła się krzywo i dodała, że ogarnia pub po zamknięciu, dba o czystość w łazienkach, a raz w tygodniu sprząta też dom swojego pracodawcy. – Pamela, żona Briana, to strasznie zarozumiała suka. Ma kasy jak lodu i uważa się za wielką panią, ale nie potrafi nawet trafić zużytym tampaxem do kosza na śmieci. Mieszkają tu blisko, na wzniesieniu, w willi z widokiem na ocean. Ponad czterysta metrów syfu, który muszę ogarniać za każdym razem, kiedy tam jestem...

– Jak się poznaliście? – zapytałam.

– Z Brianem? Kilka lat temu na Gran Canarii. Byłam wtedy po rozstaniu z mężem numer trzy i leczyłam smuteczki w plażowym barze, który należał do jego kumpla. Brian do mnie zagadał,

bzyknęliśmy się i pewnie o wszystkim bym zapomniała, gdyby nie to, że rok później wpadłam na niego w Londynie. Od tamtej pory mieliśmy kontakt na Facebooku – powiedziała Jowita, spijając pianę z piwa, które przed momentem postawił przed nami właściciel lokalu.

– Miałaś trzech mężów? – zapytałam, a ona westchnęła ciężko.

– Czterech – sprecyzowała. – Numer jeden, poślubiony tuż po maturze, zdradził mnie pół roku po ślubie. Kopnęłam go w dupę bez większych sentymentów i rzuciłam się w ramiona przygodnie poznanego kierowcy, za którego później wyszłam. Miał na imię Janusz, był dobrym człowiekiem. Zmarł na raka trzustki kilka tygodni przed moimi dwudziestymi szóstymi urodzinami. Później przez dłuższy czas byłam sama. Nie potrafiłam się pogodzić ze śmiercią męża, sporo wtedy piłam, w końcu wyjechałam do Bolton, gdzie mieszka moja kuzynka. Tam poznałam Colina. Pobraliśmy się, urodziła się nam córka. Pierwsze lata były niezłe, chyba byłam szczęśliwa. Później on poznał inną, odszedł od nas niemal z dnia na dzień, a ja zostałam sama z jedenastoletnią córką, ratą kredytu i pieprzonym psem, którego on ze sobą nie zabrał. Po jego odejściu zrobiłam sobie pierwszy tatuaż – Jowita uśmiechnęła się pod nosem, a ja pomyślałam o siostrze i jej świeżo wytatuowanym na brzuchu wężu. Dziwne, jak podobnie czasem reagujemy, my, kobiety. Impulsywnie, gwałtownie, bez zastanowienia...

– A mąż numer cztery? – zapytałam po chwili.

– Męża numer cztery poznałam w kręgielni. Dwa metry wzrostu, całe ciało w tatuażach, ogolony na łyso. Trenował zapasy i wydawał mi się cholernie seksowny. Pobraliśmy się w Las Vegas. Oboje zawsze marzyliśmy o wycieczce do Stanów. Początkowo było nawet między nami niezłe, szybko się jednak okazało, że Nigel sporo przede mną ukrywa. Miał gigantyczne długi i wielu wrogów. Zadarł z kimś z półświatka i wrobiono go w bójkę z ciężkim pobiciem.

– Wrobiono go?

– Sprovokowano go, żeby komuś dowalił, a nakręcony z miejsca zajęcia filmik wysłano policji. Poszedł siedzieć, a ja spakowałam swoje bety i wróciłam do mieszkania kuzynki.

– Nie czekałaś na niego?

– Nie. Wiesz czemu? Bo byłam na etapie fascynacji własnym życiem i olewania facetów. W końcu straciłam pracę i przyjechałam tutaj. Nigel nadal siedzi, a ja nie mam z nim nawet rozvodu, ale to też mam gdzieś...

– A twoja córka? Ile ma lat? – zapytałam.

– Szesnaście. Mieszka w Bolton, z moją kuzynką. Uznałyśmy, że tak będzie lepiej. Chwilowo – Jowita dopiła swoje piwo i wrzasnęła na Briana, żeby jeszcze nam polał. – A ty? Byli mężowie? Dzieci? Jakież ciekawostki do opowiedzenia przy piwie? – zapytała.

– Jeden były mąż, dwie córki i wnuczka.

– Wnuczka? – Jowita parsknęła śmiechem. – Za cholerę nie wyglądasz na babcię!

– Dzięki – uśmiechnęłam się i dopiłam swoje piwo. – W takim tempie lada moment się upiję – powiedziałam.

– I o to chodzi, dziewczyno! Życie jest krótkie, trzeba korzystać! – rzuciła.

Chwilę później pomachała do dwóch wchodzących do lokalu facetów i zaprosiła ich do naszego stolika. Starszy z nich, wysoki żylasty facet z siwą szczeciną, chwilę później zmył się na zaplecze, ale młodszy usiadł naprzeciwko nas i zamówił piwo.

– To jest Oliver – przedstawiła mi go Jowita.

– Julia – powiedziałam.

– Miło cię poznać – uśmiechnął się.

Przystojny – pomyślałam. Szkoda, że taki młody. Na moje oko mógł mieć jakieś trzydzieści cztery, może trzydzieści sześć lat...

– Oliver jest Australijczykiem. Pochodzi z Darwin, z tego miasta, które w siedemdziesiątym czwartym dosłownie zmiotło tornado. Opowiedz jej, co przeżyła twoja rodzina – zachęciła go Jowita, ale on tylko krzywo się uśmiechnął. – Tutaj Oli pracuje jako instruktor nurkowania, sporo też surfuje – dodała, nie wracając już do tematu tragicznego tornada.

– Zawsze chciałam się nauczyć nurkowania. Problem w tym, że ledwo pływam – mruknęłam.

Oliver nie podjął jednak tematu i przy naszym stoliku na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Dobra, muszę ogarnąć lokal, zanim Brian wywali mnie z roboty. – Jowita wstała, zebrała z blatu puste kufle po swoich piwach i ruszyła w stronę baru. – Nie siedźcie tu tak, jak jakieś niemowły – dodała, zanim zostawiła nas samych.

– Jesteś Ukrainką? – zapytał Olivier.

– Polką.

– Nieźle – powiedział. – Długo zostaniesz na wyspie?

– Jeszcze trzy dni.

– W sam raz, żeby się lepiej poznać – rzucił wyraźnie flirciarskim tonem.

Uśmiechnęłam się kokieteryjnie i spojrzałam mu w oczy.

– Tylko tyle potrzeba ci do szczęścia? Trzech dni z kobietą?

– Trzy dni z jedną, trzy dni z drugą – zażartował.

Dziwkarz – oceniłam go w duchu. Dziwkarz, ale uroczy. Jasne oczy, piegi na nosie, męska szczęka i przydługie, spalone słońcem włosy w kolorze nadmorskiego piachu. Był naprawdę przystojny i świetnie zbudowany. Nawet teraz, siedząc z nim przy stoliku w kącie sali, widziałam zazdrosne spojrzenia rzucone w naszą stronę przez znajdujące się obok nas młode Brytyjki.

– Masz ochotę stąd wyjść? – zapytał.

Zawahałam się, zaskoczona jego nagłą propozycją, a on złapał mnie za rękę i splótł nasze palce, pieszcząc kciukiem wnętrze mojej dłoni.

– *Carpe diem* – szepnęła i dopiero po chwili zauważyłam, że ma ten napis wytatuowany na przegubie.

– W tym miejscu musiało boleć – powiedziałam.

– Nie ma szczęścia bez bólu – mruknął do mnie.

Kiedy wyszliśmy na ulicę, wiało jeszcze mocniej niż przed południem. Porywy były tak silne, że momentami niemal zwały mnie z nóg, wiatr był jednak przyjemnie ciepły, nie miał w sobie nic z lodowatych nadbałtyckich podmuchów.

– Mieszkam tu blisko, zaraz za rogiem. Wpadniesz na drinka? – zapytał Oliver, ale przecież oboje wiedzieliśmy, że alkohol był jedynie pretekstem do przekroczenia jego progu.

Czekając, aż ulicą przejedzie samochód, przystanęliśmy na skraju chodnika, a on przyciągnął mnie do siebie i pocałował. Oddałam mu pocałunek, jednak szybko otrzeźwiałam. Dosłownie i w przenośni...

– Wybacz, to nie w moim stylu – powiedziałam.

– Seks nie jest w twoim stylu? – uśmiechnął się krzywo.

– Przygodny seks nie jest w moim stylu.

– Uwierz mi, taki jest najlepszy. – Mój przypadkowy amant przyciągnął mnie do siebie i przywarł ustami do mojej szyi. – Chodź, nie stójmy tak tutaj. Mówią, że jestem całkiem niezły w łóżku – wyszeptał mi na ucho i delikatnie przygryzł jego płatek.

– Puść mnie – poprosiłam, lekko go odpychając.

Cofnął się i posłał mi urażone spojrzenie.

– Okay, jak sobie chcesz – wzruszył ramionami, ze złością kopnął leżącą na chodniku puszkę i nie żegnając się ze mną nawet słowem, zawrócił w stronę baru.

– Dżentelmen, cholera! Też się władowałaś, dziewczyno... – mruknęłam pod nosem i samotnie ruszyłam w stronę plaży.

Chwilę później, mocząc czubki palców w zimnej wodzie oceanu, niemal parsknęłam śmiechem, bo popołudnie okazało się całkiem ciekawe. Najpierw dałam się zaprosić na piwo zupełnie obcej kobiecie, a później niemal się przespałam z jakimś napalonym australijskim playboyem... Ale czy nie na tym polegał cały urok wakacji? – pomyślałam, ruszając brzegiem w stronę portu. Po drodze przysiadłam na olbrzymim czarnym głazie, wyjęłam z torebki telefon i wysłałam esemesy do córek i siostry. Olga odpisała niemal od razu i przesłała mi miliony całusów, ale Matylda z Iloną milczały – znając je obie, znajdą pewnie moje wiadomości za jakiś czas – pomyślałam. Będąc tuż przy porcie, zdałam sobie sprawę, że myślę o Jowicie. Prosta kobieta, nieskomplikowana i niewykształcona, a jednak, pod pewnymi względami, sprawiała wrażenie znacznie szczęśliwszej ode mnie. Żyła tak, jak chciała, i nie oglądała się na nikogo. Ale czy to aby na pewno był klucz do szczęścia? I czy można odstawić bliskich na boczny tor tylko dlatego, że akurat samemu tęskni się za wolnością? – zastanawiałam się, śledząc wzrokiem biegającą po betonowym nabrzeżu dziewczynkę z kolorowymi balonikami w ręku.

Siedem dni i koniec... Kanaryjskie wakacje zleciały mi w mgnieniu oka i chociaż stęskniłam się za bliskimi, żal mi było wyjeżdżać, tym bardziej że Fuerteventura zdążyła mnie już totalnie zauroczyć. Ostatniego popołudnia, samotnie siedząc przy basenie, wyrwałam kartkę z wyjętego z torebki notesu i skreśliłam parę słów do matki. Zamierzałam jej tę notkę wręczyć po powrocie, razem z kolejnymi zakupami, które dla niej zrobię.

Nie wiem, czemu w ogóle teraz o Tobie myślę, Mamo – zaczęłam. – Bo zdecydowanie nie powinnam Ci poświęcać aż tylu sielskich chwil... Powiedziałaś mi któregoś dnia, że nie jestem dobrą córką, bo zawsze robię wszystko po swojemu. Ale czy uleganie czyimś naciskom czyni z nas dobre dzieci? I czy Ty zawsze słuchałaś swojej matki? Wiem przecież, jak się ze sobą kłóciłyście, pamiętam z dzieciństwa wasze ostre wymiany zdań, ciągle wrzaski i pretensje... Byłaś równie uparta jak ja i równie krnąbrna. Matka odradzała Ci ponoć ślub z moim ojcem, a jednak za niego wyszłaś. Czy to znaczy, że byłaś złą córką? Przecież gdybyś tego nie zrobiła, nie byłoby na świecie ani mnie, ani Ilony, ani moich córek i wnuczki. Bo nawet jeśli komuś innemu urodziłabyś dwie dziewczynki, byłybyśmy teraz zupełnie innymi kobietami. Ale Ty zrobiłaś po swojemu i miałaś do tego prawo. Zresztą przecież odkąd pamiętam, cały świat musiał się kręcić wokół Ciebie, inaczej wpadałaś w szal... Kiedyś zapytałaś, czemu moje córki tak rzadko Cię odwiedzają. Powiedziałam Ci, że nie mają czasu, ale przecież prawda wygląda zupełnie inaczej. Nie przychodzą do Ciebie, bo potrafisz tylko je krytykować. Jak mnie, jak Ilonę i jak tatę. Nigdy mu nie wybaczyłaś, że od Ciebie odszedł, prawda? Nie wybaczyłaś i nie wybaczysz, zabierzesz swoją furję do grobu, będziesz ją w sobie dusić do ostatniego tchnienia... Ale kiedy jeszcze przy Tobie był, traktowałaś go jak kogoś, kto tylko niepotrzebnie pałęta się pod Twoimi nogami. Przeszkadzał Ci, irytował Cię, nie dorastał Ci do pięt i jasno dawałaś mu to do zrozumienia. Dopiero kiedy odszedł do innej kobiety, doceniłaś to, co miałaś. Wylałaś wtedy wiele łez, ale było już za późno. A teraz odchodzimy my. Krok po kroku, coraz dalej od Ciebie. Najpierw uciekła Ilona. Przeprowadzka do innego miasta, radość z bycia wolną, brak kontroli z Twojej strony – przez kilka tygodni od dnia swojego wyjazdu dzwoniła do mnie co wieczór i płakała ze szczęścia, powtarzając, że nigdy nie była taka cudownie beztroska. Później zerwał się z Twojej smyczy tato, w końcu Olga. Tak, ona też, chociaż pewnie to jeszcze do Ciebie nie dotarło. Pamiętasz tamten deszczowy wtorek, kiedy wpadłyśmy do Ciebie po powrocie z kina? Powiedziałaś jej, że fatalnie wygląda w ciemniejszych włosach, a później skrytykowałaś jeszcze jej nową sukienkę. Było jej przykro, wieczorem się popłakała, ale Ty nie dostrzegasz tego, że kogoś ranisz. Ponoć robisz to dla naszego dobra. Tysiące drobnych uszczypliwości, którymi od lat nas raczysz, według Ciebie mają nam otworzyć oczy na świat, ale tylko niepotrzebnie ranią. Twoja starsza wnuczka bierze niebawem ślub z mężczyzną, którego kocha, ale Ty nie widzisz miłości... Ty uroiłaś sobie, że on nie jest dla niej i ślepa na ich szczęście, ranisz Matyldę i nas wszystkich. Zawsze byłaś trudna. Zaborcza, natarczywa, krytyczna i złośliwa. Ale byłaś też pomocna, zabawna, hojna i oddana rodzinie. Może właśnie dlatego wciąż przy Tobie jestem, Mamo. Wciąż odbieram Twoje telefony, godzinami wysłuchuję Twoich planów poukładania mojego nieudanego według Ciebie życia i wciąż dzwonię do Twoich drzwi. Może jestem naiwna? Może inna córka, będąc na moim miejscu, odwróciłaby się od Ciebie dawno temu? Nie wiem. Wiem za to jedno. Jeśli nie przeprosisz Matyldy i Briana, moje dziewczynki nigdy Ci tego nie

wybaczą. Nie wiem, czy Mati zaprosi Cię na swój ślub, ale i tak powinnaś wyciągnąć do niej rękę. Jest Twoją wnuczką i moją córką! Obie powinnyśmy być dla Ciebie kimś, z kogo jesteś dumna, ale Ty nigdy nie byłaś dumna z nikogo oprócz siebie. Ty, Ty, Ty... Nie wiem nawet, po co to piszę, bo pewnie i tak uznasz, że miałaś prawo zachować się tak, jak się zachowałam... Ale zapamiętaj jedno, bo więcej Ci tego nie powiem – jeśli jeszcze raz zranisz mnie, moje dziewczyny lub moją siostrę, cały nasz kontakt ograniczy się do podrzucania Ci pod drzwi cotygodniowych zakupów. Masz udane córki i wspaniałe wnuczki, Mamo. Otwórz oczy i zobacz to, co masz przed samym nosem. Opamiętaj się, zanim będzie za późno. I chociaż jeden jedyny raz postaraj się zobaczyć coś, co Ci się w nas podoba. Bo w świecie, który nie szczędzi nikomu krytyki i podłości, to właśnie matka powinna być tą, która kocha bezwarunkowo – napisałam.

Chwilę później złożyłam kartkę na cztery i wsunęłam ją do portmonetki. Być może matce będzie przykro, kiedy to przeczyta, ale czy to nie ona zawsze uważała, że należy walić nawet najbrutalniejszą prawdę prosto między oczy? – uśmiechnęłam się krzywo.

Daniel podszedł do mnie, kiedy sącząc colę, kręciłam się po wysadzonym palmami hotelowym dziedzińcu. Z rękami w kieszeniach, niespiesznie, jak ktoś, kto szuka jedynie okazji do przypadkowej pogawędki.

– Cześć, miło cię widzieć – powiedział, przystając.

Tym razem miał na sobie eleganckie ciemne spodnie i beżową koszulę, która ładnie współgrała z jego opalenizną, a włosy postawił na żelu, co upodabniało go nieco do kręcących się w pobliżu basenu młodych Włochów.

– Cześć – rzuciłam mało zachęcającym tonem.

Spojrzał na trzymany przeze mnie kubek.

– Cola? Przydałoby się coś mocniejszego w ostatni wieczór przed wylotem. Dasz się dziś gdzieś zaprosić? Może jakaś kolacja na mieście albo spacer? – zaproponował. – Miałem wczoraj spotkanie z koleśkiem, z którym chcę wejść w spółkę i pokazał mi naprawdę świetną restaurację. Mówi, że nigdzie nie zjesz lepszej ryby.

– Wybacz, mam inne plany – skłamałam, w żaden sposób nie komentując jego rzekomych kontaktów biznesowych.

Wzruszył ramionami. Nawet jeśli był rozczarowany, nie dał tego po sobie poznać. A może rzeczywiście to po nim spłynęło? Mieszkaliśmy w końcu w olbrzymim kompleksie hotelowym, a chętnych na randkę samotnych kobiet z całą pewnością tu nie brakowało – pomyślałam.

– Szkoda – powiedział tylko. – W takim razie miłego wieczoru – dodał i samotnie ruszył w stronę swojego bungalowu.

Patrząc w ślad za nim, lekko się skrzywiłam. Facet konsekwentnie i przez cały tydzień mnie ignorował, a teraz nagle zaprasza mnie na kolację? Przykro mi, nie ten adres. Jakies dziesięć minut później, przebrana w strój kąpielowy, z upiętymi wysoko włosami, zanurzyłam się w najpłytszej części jednego z basenów, gdzie woda sięgała mi nieco powyżej kolan.

– Tylko żeby się pani w tym brodziku nie utopiła! – zarechotał jakiś brzuchaty rodak, kiedy usiadłam w wodzie i wystawiłam twarz w stronę zbliżającego się powoli ku zachodowi słońca.

– Liczę na to, że mnie pan uratuje! – odkrzyknęłam, a brzuchacz zarechotał.

– Zawsze! – zapewnił mnie, zanim dołączył do wyraźnie podminowanej, ufarbowanej na

wściekłą oberżynę żony, która czekała na niego przy barku z napojami.

Skąd wiedział, że jestem Polką? Nie mam pojęcia. Może on też widział mnie w samolocie?

W basenie tkwiłam przez dobrą godzinę, łapiąc ostatnie promienie kanaryjskiego słońca, otoczona przez piszczące i hojnie chlapiące mnie wodą dzieciaki. Kiedy wyszłam i otuliłam się ręcznikiem, poczułam na sobie czyjś wzrok.

Daniel...

Tym razem to on stał przy barku z napojami i sączył sok z plastikowego kubka. Posłałam mu raczej kwaśny uśmiech i owinięta ręcznikiem ruszyłam w stronę swojego „apartamentu”. Byłam mniej więcej w połowie drogi, kiedy mnie dogonił.

– Sprawiasz wrażenie urażonej i chyba wiem, czemu – zaczął.

– Bzdura – mruknęłam.

– Julia, zaczekaj – złapał mnie za rękę, a jego śmiały gest totalnie mnie zaskoczył. – Chodź dziś ze mną na miasto, pogadajmy! Zachowałem się jak palant, wiem. Ignorowałem cię, ale...

– Wybacz, ale nie mam pojęcia, o czym mówisz – skłamałam.

Przystanął pośrodku ocienionego niewysokimi palmami placu i krzywo się uśmiechnął.

– Rozumiem – powiedział tylko, zanim zostawił mnie samą.

Guzik rozumiesz – pomyślałam, z narastającym poirytowaniem szukając w torebce kluczy od pokoju. Myślał, że całymi dniami będzie mnie olewać, a później po prostu skinie palcem, a ja przybiegnę i to w podskokach? Jeszcze kilka lat temu może i tak bym zrobiła? Zdruzgotana rozwodem, spragniona uczucia, samotna... Dziś też czułam się samotna, ale nauczyłam się już unikać dziwnych, pogmatwanych relacji z facetami. Mężczyźni, tacy jak Daniel czy Rafał, na pierwszy rzut oka nadal wydawali mi się kuszący. Mieli w sobie jakiś mrok, coś pociągającego, zakazanego. Kiedyś szłam za nimi w ogień, jak ćma krążąca wokół płomienia, ale chyba w końcu zmądrzałam. Teraz rozglądałam się za kimś, kto podaruje mi spokój. Na kolejną emocjonalną szarpaninę nie mam już ochoty – pomyślałam, wchodząc do pokoju.

Godzinę później, przebrana w krótką czerwoną sukienkę, samotnie siedziałam w jednym z pubów w centrum Corralejo, niespiesznie sącząc mojito. Kieckę kupowałam z młodszą córką tuż przed wyjazdem. Zapewniała mnie, że wyglądam w niej obłędnie, teraz jednak żałowałam, że ją włożyłam. Była zbyt kusa i czułam się w niej co najmniej niepewnie. Pocieszało mnie to, że lokal był pełen roześmianych, wciśniętych w przykrótkie kiecki kobiet, które piły w ostrym tempie i szalały na niewielkim parkiecie. Dopijałam drinka z zamiarem zmiany miejscówki, kiedy w gęstym tłumie podpitych i spoconych turystów wypatrzył mnie Oliver. Trzeba mieć mojego pecha, żeby wpaść akurat na niego – pomyślałam, tymczasem on podszedł bliżej i nachylił się nade mną, zerkając w głęboki dekolt mojej czerwonej sukienki.

– Nie dałaś się przelecieć, to chociaż ze mną zatańcz! – krzyknął po angielsku i prawie oblał mnie swoim piwem.

– Jesteś pijany! – skrzywiłam się, odwracając głowę, kiedy owiał mnie przesączonym przetrawionym alkoholem oddechem.

– Nie zaprzeczam! – roześmiał się i gwałtownie zatoczył, potrącając jakąś parę. – Sorry – burknął, a facet, którego trącił, posłał mu wściekłe spojrzenie.

– To jak? Zatańczysz? – Oliver wyciągnął do mnie rękę i krzyknął, że DJ jest jego dobrym

kumplem i zaraz zagra nam coś wolnego.

– Wybacz, ale... – nie dokończyłam, bo do australijskiego lowelasa podeszła jakaś tleniona siksa w kusej mini, dosłownie na nim zawisała i wpiła się ustami w jego wargi.

– Ostro – mruknęłam i zachciało mi się śmiać.

Popaprany emocjonalnie gbur i pijany w cztery dupy australijski playboy – oto, jakich amantów spotkałam na pięknej wulkanicznej wyspie – pomyślałam rozbawiona.

Po dwudziestej drugiej, samotnie i żenująco wcześniej wracając do hotelu, natknęłam się na kłócącą się po polsku parę, która obrzucała się obelgami na samym środku pustego parkingu przed jednym z zadbanych pensjonatów.

– Ja ci mówię, Iwonka, że jak ty mi teraz nie powiesz prawdy, to z nami, kurwa, koniec! – wydarł się on.

– Przecież ci, kurwa, mówię, że nic tam wtedy nie było! – krzyknęła ona i zalana łzami opadła na ławkę.

Mijając ich, zauważyłam jeszcze, że dziewczyna odepchnęła swojego chłopaka i wstrząsana szlochom ukryła twarz w dłoniach. Była mniej więcej w wieku mojej Olgi i zrobiło mi się jej żal. Czemu to wszystko musi być takie trudne? – zastanawiałam się, mijając zamknięte centrum handlowe z wieżą podobną do dzwonnicy. Życie z drugą osobą powinno być proste i nieskomplikowane, a jednak wszyscy nieustannie się ze sobą szarpiemy – pomyślałam i nagle przypomniał mi się nasz ostatni wyjazd do Chorwacji. Eryk zabrał mnie tam na naszą siedemnastą rocznicę ślubu. Dziewczyny zostały w Polsce, a my zafundowaliśmy sobie dwutygodniowe wakacje we dwoje. Niestety niemal przez cały pobyt na okrągło się wyklócaliśmy, a pod koniec, tuż przed wyjazdem, Eryk wmówił sobie, że flirtuję z mieszkającym w sąsiednim namiocie Hiszpanem i zrobił mi awanturę na pół kempingu. Przez całą drogę do kraju nie odezwałam się do niego słowem, a po powrocie jeszcze przez jakiś tydzień dosłownie na niego warczałam. A mogło być tak pięknie – pomyślałam, przecinając niewielki park.

W hotelu, kiedy już wzięłam prysznic, nastawiłam budzik i spakowałam resztkę drobiazgów, zdałam sobie sprawę, że znowu tęsknię za Rafałem. Wiedziałam jednak, że duma nie pozwoli mi do niego zadzwonić. Cokolwiek jeszcze do niego czułam, musiało dogasnąć niczym tłące się niemrawo ognisko, bo po naszej ostatniej rozmowie stało się jasne, że już do siebie nie wrócimy. Przy Rafale znowu byłabym nieszczęsną ćmą krążącą wokół płomienia...

Dwa dni po moim powrocie do Polski, z butelką czerwonego wina w ręku, zadzwoniłam do drzwi Błażeja.

– Wpadłam, żeby ci podziękować, bo w sumie to ty wypchnąłeś mnie w wielki świat – uśmiechnęłam się, kiedy mi otworzył. – Wybacz, że zjawiam się tak bez zapowiedzi... Mogę wejść?

– Jasne, wbijaj! – sąsiad wziął ode mnie wino i weszliśmy do salonu. – Rozumiem, że wyjazd się udał? Byłaś grzeczna? – mrugnął do mnie.

– Obawiam się, że aż za bardzo – roześmiałam się. – Ale przynajmniej miałam czas, żeby sobie parę rzeczy przemyśleć.

– Na przykład? – zainteresował się Błażej, zasiadając na jednym z pufów.

– Na przykład doszłam do wniosku, że mam dość bycia ćmą – powiedziałam, a on parsknął śmiechem.

– Co?

– Ćma leci do płomienia, nie zważając na to, że ogień może przypalić jej skrzydełka. I z taką samą przerażającą autodestrukcją ja rzucałam się do niedawna w ramiona nieodpowiednich facetów.

– No tak, teraz to ma jakiś sens. Chociaż obawiam się, że w przypadku miłości wszyscy w jakimś stopniu jesteśmy ćmami – westchnął mój sąsiad. – Napijesz się wina? – Chłopak rozejrzał się za kieliszkami, ale odmówiłam.

– Nie, dzięki. Nie dzisiaj. Zaraz muszę jechać na dworzec, wybieram się na weekend do siostry. W święta ponownie się do siebie zbliżyłyśmy i obiecałam sobie, że więcej jej nie zaniedbam – powiedziałam.

– Nie będzie cię jutro?

– Nie, wracam dopiero w niedzielę wieczorem. A czemu pytasz? – zdziwiłam się.

– Pytam, bo zaprosiłem do siebie parę osób i najprawdopodobniej będzie trochę głośno – wyjaśnił.

– Jeśli o mnie chodzi, żaden problem. Cieszę się, że wróciłeś do życia – mrugnęłam do niego. – Muszę lecieć, Błażej. Dbaj o siebie – powiedziałam, wstając.

– Ty też – młody sąsiad posłał mi uśmiech i odprowadził mnie do drzwi. – Aha, zapomniałbym. W przyszłym tygodniu przylatuje z RPA mój ojciec, więc jeśli usłyszysz dochodzące z mojego mieszkania wrzaski, nie przejmuj się i w żadnym wypadku nie wzywaj policji...

– W żadnym wypadku nie wzywać policji, zrozumiałam. Swoją drogą, zapowiada się to naprawdę ciekawie.

– Nawet sobie nie wyobrażasz... – powiedział Błażej, otwierając mi drzwi.

– Okay, w takim razie miłego weekendu. Zbieraj siły na spotkanie z ojcem – powiedziałam.

– Tobie też miłego! I dzięki za wino! Jak tylko wrócisz, zabiorę cię na dach i wspólnie

popracujemy nad tą flaszką – obiecał.

– Trzymam cię za słowo – uśmiechnęłam się, wychodząc na klatkę. – A tak ogólnie, jak sobie radzisz? – zapytałam jeszcze, zanim wróciłam do siebie.

Błażej przysiadł na schodach i lekko wzruszył ramionami.

– Chyba okay. Zaczęłam regularnie wychodzić z mieszkania, myślę o powrocie na terapię. Oczywiście zmienię lekarza, może tym razem trafię na kogoś, kto poukłada mi w głowie? – uśmiechnął się krzywo. – W każdym razie ojciec będzie zachwycony...

– Cieszę się – powiedziałam. – Nawet nie wiesz, jak bardzo.

– Wyobrażam sobie. W końcu nikt nie chce mieć sąsiada świra – zażartował Błażej i oboje parsknęliśmy śmiechem.

– Nigdy tak o tobie nie myślałam. Bywasz ekscentryczny, to wszystko.

– Skoro tak mówisz... – Błażej wstał, ruszył w moją stronę i cmoknął mnie w policzek. – Dzięki za wszystko, Jula.

– Ja również ci dziękuję.

– Mówiłem ci, że jeszcze mi podziękujesz. – Błażej wyszczerzył się w uśmiechu i dodał, że następnym razem wyśle mnie gdzieś znacznie dalej.

– Zapomnij! Pięć i pół godziny w samolocie to wystarczająca katorga.

– Pożyjemy, zobaczymy – zaśmiał się do mnie sąsiad. – Jeszcze raz miłego weekendu – dodał, kiedy wyjmowałam z torebki klucze od swojego mieszkania.

Godzinę później siedziałam w pociągu, wysyłając esemesy do córek. Matylda była cała w nerwach, bo zbliżał się ich wyjazd, a ona nadal nie ogarniała przeprowadzki. Dzień wcześniej, tuż po powrocie z lotniska, spędziłam kilka godzin w jej mieszkaniu, segregując z nią rzeczy. Część planowała wyrzucić, część oddać biednym, a część zostawić u mnie. Wizja zagrzenia jednego z moich świeżo wyremontowanych pokoi nie zachwycała mnie zbyt, ale przecież nie odmówię pierworodnej... Pożyczyłam więc od Stefka Króla auto i przewiozłam do siebie kilka worków z ciuchami córki i wnuczki oraz chyba z tonę książek, których nie mogli zostawić w zwalnianym przez nich wynajętym mieszkaniu, ale nie mogli też przecież zabrać ze sobą do Pragi.

– Jedziesz już? – Moja siostra zadzwoniła, kiedy wysyłałam esemesa do Olgi.

– Jadę – powiedziałam.

– Upiekłam ciasto, dasz wiarę? – pochwaliła się Ilona, która podobnie jak moje córki, nie zносиła gotować i piec.

– Pogratuluję ci, jak zjem pierwszy kawałek. Zakalca nie chwałę – zastrzegłam.

– Matka znowu dziś do mnie dzwoniła, w dodatku grubo przed ósmą rano – powiedziała Ilona zmęczonym głosem. – Odkąd przestałyście ze sobą rozmawiać, wydzwania do mnie prawie codziennie.

– Witam w moim życiu.

– Pytała, czy Matylda już wyjechała – powiedziała Ilona.

– Aha, czyli nadal do niej nie zadzwoniła – zrozumiałam.

- I pewnie nie zadzwoni. W jej słowniku nie ma słowa „przepraszam”...
- Jej strata – skwitowałam. – Przyjdiesz po mnie na dworzec?
- Tak, zaraz wychodzę z domu.
- Okay, to widzimy się w tej kafejce obok saloniku prasowego – powiedziałam.
- To pa – rzuciła Ilona i przerwała połączenie.

Kiedy wysiadłam z pociągu, mżyło. Kafejka była nieopodal peronów; niewielka, ładnie urządzona, pełna ludzi.

– Cześć, siostrzyco! – Ilona, która już czekała przy jednym ze stolików, wstała i mocno mnie przytuliła. – Zauważyłaś, że ostatnio widzimy się głównie w przydworcowych knajpach? – roześmiała się. – Zostajemy tutaj, czy idziemy od razu do mnie?

– Chodźmy do ciebie – zdecydowałam. – Zakładam, że podasz mi równie dobre cappuccino – dodałam i wyszłyśmy na mżawkę.

– Z ciastem, kochana, z ciastem. – Ilona szturchnęła mnie łokciem i wskazała palcem jedną ze sklepowych witryn. – Patrz, jaka fajna kiecka.

– Nie w moim stylu – mruknęłam.

– Znalazłam większe mieszkanie. A co lepsze, mam już kupca na moje! – pochwaliła się Ilona, kiedy wolnym krokiem ruszyłyśmy w stronę jej osiedla.

– Super! – ucieszyłam się. – Jeszcze niedawno nie byłaś pewna, czy w ogóle się zdecydujesz na tę przeprowadzkę.

– Nie byłam pewna, ale jakoś tak się wszystko fajnie i szybko potoczyło, dosłownie w ostatnich dniach... A teraz niespodzianka. Wracam na stare śmieci!

– Co? – z wrażenia aż przystanęłam. – Żartujesz?!

– Nie. Kupuję mieszkanie cztery przecznice od ciebie – uśmiechnęła się siostra.

– Ilonka, to są wieści stulecia! Nawet nie wiesz, jak się cieszę! – objęłam ją.

– Też się cieszę. Ostatnio tak sobie pomyślałam, że chyba zbyt wiele jest na twojej głowie, wiesz? Od dawna w pojedynkę zajmujesz się naszą matką, a ja wpadam do niej dwa, trzy razy w roku... To nie fair, zwłaszcza że mamunia nie należy do najprostszych w obsłudze – dodała Ilona z wyraźnym przekąsem w głosie.

– Cudowne wieści, naprawdę! Tęskniłam za tobą, odkąd wyjechałaś – powiedziałam.

– Ja za tobą też, wariatko! A jak wyjazd? Poznałaś kogoś interesującego? Przystojnego Hiszpana? Namiętnego Włocha? Szarmanckiego Francuza?

– Raczej pijanego w cztery dupy i niebywale napalonego Australijczyka, któremu się wydawało, że zamieni ze mną dwa słowa i momentalnie dobierze mi się do majtek – odpowiedziałam. – Ale doszłam do wniosku, że kończę z desperackimi poszukiwaniami miłości! Kręciłam się ostatnio wokół mężczyzn jak ćma wokół płonącej świecy, ale koniec i kropka! Przez te ostatnie lata po moim rozwodzie z Erykiem matka na okrągło powtarzała mi, żebym sobie kogoś znalazła, a ja niemal w każdym spotkanym mężczyźnie widziałam kandydata na nowego faceta. Tak jak w tym całym Wolskim, który pozbierał mnie z chodnika. Wywaliłam się, taszcząc choinkę, on odprowadził mnie do drzwi, a ja tygodniami wypatrywałam go w sąsiedztwie, wmawiając sobie, że zmarnowałam okazję. Okazję na co, cholera?! Czasem tak

się zastanawiam, czy ja naprawdę jestem tak rozpaczliwie samotna, czy po prostu wmówiła mi to matka, wiesz? – uśmiechnęłam się krzywo, a siostra ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Skąd ja to znam? – westchnęła.

– A im bardziej ona naciskała, tym bardziej byłam zdesperowana. Aż tu nagle dotarło do mnie, że potrzebuję czasu dla siebie. Tylko i wyłącznie. Jeśli trafi mi się ktoś interesujący, okay. Ale dłużej szukać nie zamierzam. Wczoraj dzwonił do mnie Rafał... Chciał iść do kina, proponował przyjaźń. Nie pierwszy raz zresztą... Odmówiłam. Nie zamierzam znowu się łączyć, że może jeszcze między nami coś będzie, że kiedyś on zostawi żonę, że jednak jest mi pisany. Chrzanię go, rozumiesz? – powiedziałam.

– Jasne, że rozumiem, bo ja chrzanię chrapiącego Romana – parsknęła śmiechem moja siostra.

– Dalej do ciebie wydzwania? – zapytałam.

– Nie, już nie. Ale pewnie gdybym tylko skinęła palcem, toby do mnie wrócił – wzruszyła ramionami Ilona.

– A w kwestii powrotów, moja młodsza córka postanowiła dać kolejną szansę Adrianowi. W międzyczasie wpadł jej ponoć w oko jakiś kumpel mojego sąsiada, ale wyszło na to, że stara miłość jednak nie rdzewieje...

– O, a Adrian wybaczył jej już odrzucone zaręczyny?

– Na to wygląda. Chyba że po prostu zaczął się z pierścionkiem – roześmiałam się. – W każdym razie Olga się zarzekła, że za mąż wychodzić nie zamierza, ale lata z nim do kina i całuje się po ciemnych klatkach schodowych...

– Ach, słodki urok młodości – uśmiechnęła się Ilona. – Chciałabym jeszcze raz mieć dwadzieścia kilka lat, tak chociaż na chwilę...

– A ja chciałabym potrafić być szczęśliwa tu i teraz. Czterdziestosześcioletnia, rozwiedziona, samotna...

– I zdesperowana – zażartowała Ilona.

– No właśnie słowo „zdesperowana” koniecznie muszę wyrzucić z mojego życia, bo z niczym chyba tak kobiecie nie do twarzy, jak z desperacją – westchnęłam.

– W takim razie dzisiaj wypijemy za szczęście – powiedziała Ilona. – Mam dobre wino.

– I ciasto – dodałam.

– I ciasto – powtórzyła moja siostra. – Obie zaczynamy od nowa, siostrzyczko! I precz z desperacją!

– Precz z desperacją – powtórzyłam.

– A zmieniając temat, matka powiedziała mi dziś przez telefon, że dołączyłaś do zrobionych dla niej zakupów jakiś bardzo obraźliwy list – poinformowała mnie Ilona, kiedy wchodziłyśmy do jej klatki.

– A i owszem. Siedząc nad hotelowym basenem, naprędce i na wyrwanej z notesu kartce, skreśliłam kilka słów prawdy o niej i o naszych relacjach.

– No to musiałaś jej ostro pojechać po rajtuzach, bo była oburzona i ponoć prędko ci tego nie wybaczy. – Ilona otworzyła drzwi i weszłyśmy do jej niewielkiego zagraconego mieszkania.

– Jeśli jej gniew ma polegać na zaprzestaniu nękania mnie telefonami, to niech trwa jak najdłużej – powiedziałam, schylając się, żeby rozpiąć kozaki.

– Rozumiem, że teraz moja kolej na wysłuchiwanie tego wszystkiego? – skrzywiła się Ilona.

– Na to wygląda. Olga, solidarna z siostrą, przestała z nią rozmawiać. Matylda z całą pewnością nieprędko się do niej odezwie, ja chwilowo mam dość, więc zostajesz ty.

– O Chrystusie, teraz naprawdę muszę się napić! – Ilona weszła do kuchni i wyjęła z szafki wino.

– Chodźmy dziś potańczyć – zaproponowałam. – Chyba z ładnych parę lat nie szalałyśmy razem na parkiecie. Ostatnio w Kołobrzegu, pamiętasz?

– Tak dawno? – zdziwiła się Ilona i odstawiła wino na blat. – Wiesz co, chrzanić tego sikacza, jak mawia twoja Olga. Masz rację, chodźmy na miasto! Upijemy się, potańczymy i nawet nie spojrzymy w stronę żadnego faceta!

– Chwila, moment! Jeśli trafi się jakiś fajny, to...

– To co? I mówisz mi, że nie jesteś cholerną ćmą? – parsknęła śmiechem Ilona i z powrotem włożyła buty. – Idziesz?

– Idę – uśmiechnęłam się.

I chyba po raz pierwszy od długich miesięcy poczułam się tak naprawdę wolna, beztroska i szczęśliwa. Zaczynam od nowa, tu i teraz. Dawniej, będąc młodą mężatką, myślałam, że życie to niekończący się etap bycia z kimś, przy kimś, dla kogoś. Teraz wiem, że składają się na nie najprzeróżniejsze epizody, którymi trzeba się cieszyć gdzieś po drodze, na bieżąco, a określenia takie jak „na zawsze” nie gwarantują tak naprawdę niczego... Przeszłość przepadła, coraz bardziej mglista w urywkach wspomnień; przyszłości nie widać jeszcze zza zakrętu... Jest tylko ten dzień, ta chwila, siąpiąca z nieba mżawka, mokra od deszczu ulica, obce miasto i moja roześmiana siostra w zielonym płaszczu. Tu i teraz, my obie i drobny zimowy deszcz. Zaczynam od nowa – uśmiechnęłam się do siebie i złapałam Ilonę za rękę. Czasem szczęście jest tak banalne, że nie potrafimy go dostrzec. Ale obiecałam sobie, że już zawsze będę go wypatrywać w chwilach takich jak ta – perfekcyjnie nieidealnych. Teraz. W deszczu. Tutaj. Jestem szczęśliwa.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz